



Opowieść o marzeniach, upływie czasu,  
przebaczeniu, i o drobnych gestach, dzięki  
którym możemy poznać smak szczęścia.

Ángeles Doñate

# PROSTY GEST

Prószyński i S-ka

Ángeles Doñate  
PROSTY  
GEST

Przełożył  
Andrzej Flisek

Prószyński i S-ka

*Wszystkie listy miłosne*

*Są śmieszne.*

*Nie byłyby listami miłosnymi, gdyby nie były*

*Śmieszne.*

*Ja też kiedyś pisałem listy miłosne,*

*Jak wszystkie inne –*

*Śmieszne.*

*Listy miłosne, jeśli dyktuje je miłość,*

*Muszą być*

*Śmieszne.*

*Ale prawdę mówiąc, tylko ludzie,*

*Którzy nigdy nie pisali*

*Miłosnych listów,*

*Są śmieszni.*

*Szczęśny to czas, kiedy pisałem,*

*Nic o tym nie wiedząc,*

*Śmieszne*

*Miłosne listy.*

*Prawdę mówiąc, dopiero moje dzisiejsze*

*Wspomnienia*

*Tamtych miłosnych listów*

*Są śmieszne.*

FERNANDO PESSOA

## Wspomnienia na papierze

Jednym z uroków starych listów jest to, że nie wymagają odpowiedzi.

LORD BYRON

Na co komu dziś listonosz, skoro nikt już nie pisze listów? – Sara przeciągała wolno każdą sylabę, a słowa zdawały się uginać pod brzemieniem klęski.

Jej smutny, wąty głos zawisł w powietrzu. Poprzedził głęboką ciszę, która wpęzła we wszystkie zakamarki mieszkania.

Rosie zdało się, że dokładnie w tym momencie w jej miasteczku, a także w jej sercu, nastąpiła zima. Spojrzała na ściany kuchni, wyłożone popękkanymi i obłupanymi gdzieniegdzie kafelkami. Potem przeniosła wzrok na małą szafkę, w której trzymała garnki i talerze. I na spiżarkę, w której Sara pomogła jej przed chwilą rozłokować zakupy. Z ósmym krzyżykiem na karku brakowało jej czasem sił, aby podolać zwykłym, codziennym zajęciom.

Pogrążona w zadumie, staruszka gładziła dwie złote obrączki, które nosiła na serdecznym palcu lewej, niemal przezroczystej ręki. Zawsze gdy przeczuwała coś niedobrego, szukała ratunku w ślubnych obrączkach. Nie miała wątpliwości, że Abel, gdziekolwiek jest, towarzyszy jej i dodaje sił.

– Ależ, Saro... – szepnęła – jesteś pewna, że...?

Nie odważyła się zadać pytania ze strachu przed odpowiedzią, ale i tak ją otrzymała.

– Chcą nam zamknąć pocztę. Mówią, że przeniosą mnie do stolicy zaraz po Bożym Narodzeniu. W ramach restrukturyzacji, cięć budżetowych czy czegoś w tym stylu... Tak mniej więcej było napisane w mailu, który dostałam z centrali.

– Dwa miesiące, pomyślała Rosa. – Lepszego prezentu nie mogli zrobić czterdziestoletniej matce trójki małych dzieci – dodała gorzko młodsza kobieta. – Wychowałam się tutaj, tu urodzili się moi synowie. W miasteczku jesteśmy jedną wielką rodziną. Jeśli mnie przeniosą, trzeba będzie zaczynać wszystko od początku.

– Listonoszka błędziła wzrokiem za oknem. Jakby rozmawiała sama ze sobą, wyszeptwała: – Ja chyba tam zwariuję, w tej dżungli, ale cóż innego mi pozostaje. Muszę przecież z czegoś żyć, mam troje dzieci.

Rosa spojrzała na budzik stojący na nocnym stoliku. Zaraz wybije północ.

Gdy tylko Sara poszła do siebie, serce w piersi staruszki zaczęło się miotać jak oszalałe. Krew tętniła w jej skroniach, nie pozwalając zasnąć.

Wypiła dwa kubki mocnego naparu z lipy. Na kolację, zgodnie z zaleceniem lekarza, zjadła talerz lekkiej zupy. Zmyła naczynia, namoczyła soczewicę na następny dzień i poskładała czystą bieliznę.

Ale wszystko na nic. Zła nowina na dobre zadomowiła się w jej myślach – chcą wysiudać stąd jej sąsiadkę! Na wszelkie sposoby usiłowała wyobrazić sobie Sarę z dala od Porvenir i żadną miarą nie mogła. Miasteczko nie jest Bóg wie jaką atrakcją. Ani tu przedromańskich kościółków, ani bohaterów wsławionych walką o niepodległość, ale... jest nasze, myślała Rosa, szukając w szafie torby z drutami i wełną. I to wystarczało, żeby je kochać.

Porvenir to istny labirynt domów z kamienia i dachów krytych łupkiem, z zaledwie tysiącem dusz, nie licząc mieszkańców około tuzina domów rozrzuconych po okolicznych błoniach. Od niedawna pierścień nowoczesnych osiedli systematycznie zaciskał się wokół miasteczka, jakby ktoś się uparł, żeby zdławić autoch-tonów. Dla Rosy nowo przybyli to obcy ludzie. Nie miała wątpliwości, że to tylko przelotne ptaki, które przyciągnęły ze sobą szybką koleją i spekulację nieruchomości.

Jak to możliwe, żeby Sara, moja mała Sara, musiała stąd odejść, a nowi zostali? – dręczyła się pytaniami.

Wróciła pamięcią do dnia, w którym urodziła się Sara.

Sypał wtedy gęsty śnieg. Ktoś zapukał do drzwi. To sąsiad z góry, z twarzą białą jak prześcieradło. Ledwie przed kilkoma miesiącami przyjechał do miasteczka, gdzie objął posadę listonosza. Zdesperowany wykrztusił, że żona zaczęła rodzić i że lekarz nie zdąży przyjechać. Rosa spojrzała na swoje dłonie, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

„To, że mogłaś przyjść na ten świat, zawdzięczasz swojej matce i mnie”, powtarzała Sarze, kiedy ta była dzieckiem. „Twój ojciec zemdlął, jak tylko ujrzał pierwszą kroplę krwi, a kiedy w końcu zjawił się lekarz, było już po wszystkim: zdążyliśmy cię umyć i zawinąć w czystą pieluszkę”.

Właśnie wtedy ona, kobieta bezpłodna, była najbliżej narodzin dziecka.

Rosa poczuła ukłucie strachu. Usiadła w fotelu, w dużym pokoju, i wbiła palce w podłokietniki. Niezbita pewność torowała sobie drogę pośród niejasnych myśli: jeśli Sara stąd wyjedzie, ona zostanie sama jak palec.

Wzdrygnęła się.

Pierwszy raz spała w tym mieszkaniu w noc poślubną z Ablem.

Ten surowy, solidny dom zbudowany był z kamienia w kolorze ochry. Jedyną ekstrawagancją, na jaką pozwolił sobie budowniczy, był kurek na dachu

w kształcie sowy wykutej z żelaza. „Symbol mądrości”, lubiła powtarzać mężowi.

Na parterze był garaż. Na pierwszym piętrze mieszkała Rosa z Ablem, a na drugim – teściowie. Po ich śmierci mąż odziedziczył dom. Gdy dowiedzieli się, że nigdy nie będą mogli mieć dzieci, postanowili wynająć puste mieszkanie. To w nim kilka miesięcy później przysła na świat Sara.

Były to szczęśliwe lata dla Rosy.

Dzięki tym wspomnieniom jej serce wróciło do normalnego rytmu. Ciągłe tupotanie na schodach małej, ganiającej z góry na dół i z dołu na górę, gra w karty w sobotnie popołudnia, pogaduszki podczas rozwieszania prześcieradeł i poszew na dachu, letnie wypadki na jeżyny. Potem ślub Sary i narodziny pierwszego, drugiego i trzeciego chłopca.

Ale pewnego dnia, niepostrzeżenie, nad dom nadciągnęły czarne chmury.

Abel zginął w wypadku samochodowym.

Niedługo potem mąż Sary ulotnił się bez śladu, zostawiając ją z trójką dzieci i plikiem rachunków do zapłacenia. Jej rodzice, bezsilni wobec nieszczęścia córki, ciężko się rozchorowali. Rosa zwykła powtarzać: „Najpierw pomogłam urodzić się tobie, a potem byłam przy twojej matce do samego końca”.

Powoli jednak radosna wrzawa trzech urwisów wypełniła pustą przestrzeń pozostawioną przez tych, którzy odeszli. Sara i Rosa pogodziły się z bolesnymi stratami i odzyskały równowagę ducha, która teraz zawisła na włosku z powodu jednego maila wysłanego ze stolicy.

Rosa zaczęła robić na drutach, próbując odnaleźć w tym zajęciu odrobinę ulotnego spokoju. Między jednym oczkiem a drugim zadawała sobie bolesne pytanie: jak też dadzą sobie radę Sara i jej dzieci z dala od Por-venir, od jego łąk i jego mieszkańców? I chociaż czuła, że może w takiej chwili to nie na miejscu, nie mogła przecież nie myśleć o tym, jak ona sama udźwignie tę samotność, jak sprosta codziennemu życiu bez pomocy i towarzystwa Sary.

Nagle druty osunęły się na podolek. Nowa troska dołączyła do poprzednich. Jeśli przeniosą do stolicy jedyną listonoszkę, to przecież po to, żeby zamknąć urząd pocztowy, który działał tu od ponad stu lat. Wydało się jej, że nad miasteczko nadciąga katastrofa o apokaliptycznych rozmiarach. Wszyscy już spali, nieświadomi zbliżającego się nieszczęścia, z wyjątkiem Rosy – biednej, starej kobiety cierpiącej na bezsenność; kobiety, która nie mogła uczynić nic, aby zapobiec zagładzie.

Ogarnęła ją wielkie znużenie i wiedziała, że nie pomoże tu żaden odpoczynek. Mimo wszystko postanowiła wrócić do łóżka.

Minęły już dwie godziny, odkąd się położyła, a wciąż wpatrywała się we wskazówki zegara. W jej głowie szalała burza. Jedna myśl pociągała następną,

jakby jej życie było kłębkim wełny. Wkrótce czas zaczął pędzić wstecz i powróciła w lata swojej młodości.

Wówczas wiedziałyby, co zrobić. Była nad wyraz śmiałą i rezydentną dziewczyną, nie mogła usiedzieć w jednym miejscu. Jeśli nie przychodziła w sukurs nauczycielce, żeby okiełznać najbardziej niesfornych chłopaków, uczyła się robić na drutach od swojej babki albo pomagała ojcu w rodzinnym sklepiu z artykułami spożywczymi. To dlatego Abel się w niej zadurzył. „Dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych”, powiedział jej w dniu ślubu. Był to chyba najszcześniejszy dzień w jej życiu.

Luisa. Imię, którego nie wymawiała od wielu, wielu lat, zagościło na jej ustach.

Przeszłość skrywa też bolesne wspomnienia. Kiedy przechadzasz się po alejach pamięci, zawsze istnieje ryzyko przebudzenia któregoś z nich, pomyślała, ocierając zdradziecką łzę.

Od pierwszego dnia szkoły były z Luisą nierozłączne. Jak kropka towarzysząca „i”. Gdzie jedna, tam i druga. Jej przyjaciółka mieszkała za miasteczkiem, w domu znajdującym się na granicy z sąsiednią miejscowością. Była nieśmiała, łagodna i spokojna. Doskonała równowaga dla trzpiotowatej i energicznej Rosy. Bawiły się od poniedziałku do niedzieli, przez wszystkie pory roku. Mijały lata i po nauce pisania i czytania przyszedł czas na wspólne lekcje szycia i gospodarstwa domowego.

Rzuciły w kąt lalki i wskoczyły na rowery. Pewnego popołudnia wybrały się na przejażdżkę za miasteczko i złapał je deszcz. Schroniły się w stojącej przy drodze starej kapliczce Matki Bożej Rozmaryńskiej.

Była to mała kwadratowa budowla z kamienia o suficie z przegniłych, drewnianych belek. Antaba na drzwiach miała kształt głowy kosoookiego aniołka. Według legendy była ponoć owocem zemsty kowala, żonatego po raz wtóry z owdowiałą wieśniaczką. Kobieta ta miała z poprzedniego małżeństwa syna, wcielonego diabła, który zatruwał ojczymowi życie. Pewnego dnia rozeźlił kowala do tego stopnia, że ten wykuł z żelaza kołatkę, biorąc sobie za wzór oblicze zezowatego pasierba. Patrząc z powagą na swoje dzieło, miał rzec: „Teraz dostaniesz za swoje, choć nie ode mnie, żeby twoja matka nie ciosała mi kołków na głowie”.

Jak kazała tradycja, rozchichotane przyjaciółki uderzyły dwa razy ciężką kołatką. Gdy pchnęły drzwi i wsunęły głowy do środka, ich zdumionym oczom ukazał się chłopak siedzący na ziemi obok oliwkowego worka. Uśmiechnął się do nich, a jego ciemne oczy zaśniły w półmroku kapliczki łagodnie i uspokajająco. Był nieco starszy od nich i niby go znały, ale nie mogły sobie przypomnieć skąd.

Usiadły obok niego, czekając, aż minie ulewa. Opowiedział im, że właśnie skończył służbę wojskową i wraca do domu, do miasteczka. Gestykułował bez

przerwy dużymi, silnymi dłońmi, od których Rosa nie mogła oderwać oczu.

Minuty mknęły niczym sekundy. Gdy tylko burza zaczęła cichnąć, wojak, rzuciwszy zdawkowe słowa pożegnania, pognął do miasteczka, nie mogąc się doczekać spotkania z przyjaciółmi. Nie przedstawił się dziewczynom, ale nie było to konieczne. Jeszcze tej samej nocy dowiedziały się, jak ma na imię – Abel.

Przez następne tygodnie ani Luisa, ani Rosa nie zająknęły się słowem o chłopaku, ale wspomnienie o nim rosło potajemnie w ich sercach.

Zobaczyły go dopiero na tańcach na zakończenie lata. Owej nocy Luisa była szczególnie piękna i Abel tańczył z nią częściej niż z innymi dziewczętami. Rosa postanowiła pogrzebać swoje pierwsze uczucia pod warstwą obojętności, sądząc, że nie ma dla niej żadnej nadziei.

Po tamtej nocy Luisa nie potrafiła zdobyć się na rozmowę z Ablem. Była taka nieśmiała. Kiedy widziała go na ulicy, chowała się czym prędzej w pierwszej lepszej bramie. Jeśli spotykali się przypadkiem w jakimś sklepie, pochylała głowę i nie podnosiła jej dopóty, dopóki się nie upewniła, że chłopak wyszedł. Zakochała się w nim po same uszy – albo tak przynajmniej się jej wydawało. Straciła apetyt. O wszystkim zapominała.

Rosa wystraszyła się i zaproponowała przyjaciółce, że zajmie się tą sprawą. Obmyśliły plan, który z początku wydawał się doskonały: ona zdobędzie zaufanie Abła i delikatnie opowie mu o uczuciach Luisy, aby przekonać się, czy są odwzajemnione. Miała być kimś w rodzaju Celestyny. Pomysł ten ukoił duszę Luisy i, w pewnym sensie, również duszę Rosy.

Trudno jest ujarzmić potęgę rzeki, kiedy jej nurt staje się porywisty, pomyślała Rosa. Jakże proroctwo okazały się te niewypowiedziane słowa: uczucie, jakim zapalała do Abła już podczas pierwszego spotkania, wzmagało się w niej z dnia na dzień. Jej głowa pragnęła pomóc Luisie, lecz serce mówiło, że to niemożliwe.

To samo działo się z nim. Obraz łagodnej i cichej dziewczyny z tańców przyćmiło muśnięcie dłoni Rosy. Całe miasteczko wiedziało, co się święci, z wyjątkiem samych zainteresowanych. Kumoszki powtarzały ze znajomością rzeczy: „Dwoje to para, troje – tłum”.

W końcu stało się to, co się miało stać. Pewnego wieczoru Abel oświadczył się Rosie, a ona nie potrafiła odmówić. Trzy miesiące później byli już po ślubie.

Nie mieli odwagi spojrzeć w oczy swojej przyjaciółce i zaprzepaścili wszystkie nadarzające się ku temu okazje. Żadne z nich nie zdobyło się na słowo wyjaśnienia. W dniu ślubu widzieli ją po raz ostatni.

Sześćdziesiąt lat później, będąc już wdową, Rosa wróciła pamięcią do tamtego dnia i znów ujrzała stojącą w ostatnich ławkach przyjaciółkę, ubraną w żałobną czerń. Kiedy ksiądz wypowiedział sakramentalne słowa: „Teraz pan młody może pocałować pannę młodą”, Luisa szarpnęła za klamkę drzwi kościoła,



wybiegła na ulicę i zniknęła na zawsze.

Przez pierwsze dni oszołomiona szczęściem Rosa nie odczuwała jej braku. Jednak po kilku tygodniach postanowiła ją odwiedzić. Wybrała się do niej i wówczas usłyszała od jej rodziców, że Luisa wyjechała z miasteczka. Nigdy nie dowiedziała się dokąd.

– Twoja nieobecność zajmowała zbyt wiele miejsca w naszym życiu... – wyszeptwała staruszka pod natłokiem wspomnień, chociaż małżeństwo nigdy nie żałowało podjętej decyzji. Darzyli się od pierwszych do ostatnich dni tym samym niesłabnącym uczuciem i jedynym cieniem na ich szczęściu kładł się brak dzieci.

„Niewypowiedziane słowa są jak kotwice, które ciągną nas na dno”, powtarzała wiele razy Rosa. Tej nocy zrozumiała, że słowa, którymi nie podzieliła się z Luisą przed ślubem, ciążyą jej tak samo jak przed laty.

Być może to jej jedyny dług. Czy nie jest za późno, żeby go spłacić?

Otworzyła szufladkę nocnego stolika i wyjęła z niej pożółkłą fotografię Abła z ich pierwszego wspólnego Bożego Narodzenia – ulubione zdjęcie Rosy. Uśmiecha się na niej tak serdecznie i naturalnie.

– Zawsze mówiłeś, że nic się nie dzieje bez powodu, pamiętasz? Coś w tym musi być, że chcą nam zabrać Sarę i zamknąć pocztę. Nie przypadkiem też opowiedziała o tym mnie, starej kobiecie ze skołatany sercem. – Uśmiechnęła się, musnąwszy zdjęcie ustami. – I to nie zbieg okoliczności, że tego samego wieczoru, kiedy Sara opowiedziała mi o wszystkim, odżyła w mojej pamięci Luisa. – Zamilkła na kilka sekund. – Ktoś się spodziewa, że coś zrobię, Ablu! Może Sara, może ty, a może Luisa... Macie chyba nie po kolei w głowach, myśląc, że wszystkiemu mogę podołać. To dlatego, że przez całe życie byłam taka zdecydowana i uparta... Ale ja nie mam już dwudziestu lat, nie zapominaj o tym. – Zamyśliła się i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. – W każdym razie jeszcze nie umarłam. – Uśmiechnęła się psotnie. – I kto wie, kto wie... może mogłabym zrobić coś dla Sary i dla miasteczka. A nawet spłacić mój dług.

Położyła fotografię na piersi i zamknęła oczy.

Gdy już, już zaczynała osuwać się w miękki puch snu, wyobraziła sobie, jak idzie wolniutko na pocztę. Wchodzi do środka. Staje przed okienkiem. Wsuwa dłoń pod bluzkę i szuka czegoś dokładnie w miejscu, w którym materiał dotykał jej serca.

Rosa

*Porvenir, 9 listopada*

*Najdroższa Luiso,*

*zaklinam Cię, NIE NISZCZ TEGO LISTU. Jeszcze nie teraz.*

*Daj mu szansę... i mnie. Z pomocą tych zdań, tych kilku akapitów, nadużywając Twojej wielkoduszności, śmiem prosić Cię o kilka słów, zanim zdecydujesz o naszym losie.*

*Jestem pewna, że rozpoznałaś moje pismo, jak ja rozpoznałabym Twoje, choćby nie wiem ile upłynęło lat. Wiesz, kim jestem. Moje „elki” nie prężą się już tak dumnie jak kiedyś, a „efki” nie wyginają z elegancją, której na lekcji kaligrafii uczyła nas pani Ingrid. Mimo to jak mogłabyś je zapomnieć? Ja wciąż pamiętam te zabawne bereciki, które rysowałaś nad „i”, żeby nie było mu zimno.*

*Wybacz, odbiegłam od tematu... Ta moja słabostka pogarsza się z wiekiem. Teraz nie tylko, gdy mówię, ale nawet kiedy się modlę lub myślę o czymś, gubię się we własnych słowach.*

*Wiem, że po ponad sześćdziesięciu latach nie mam prawa burzyć Twojego spokoju. Uwierz mi, że nie odważyłabym się, gdyby nie zmusiły mnie do tego nadzwyczajne okoliczności. Wiem też, że list ten powinnaś była otrzymać wieki temu. Zapewne marnym będzie dla Ciebie pocieszeniem, jeśli Ci powiem, że w rzeczywistości pisałam go już od bardzo dawna. Słowa, które czytasz teraz, są którąś z kolei wersją listu, pisanego od sześćdziesięciu lat.*

*Kiedyś nosiłam go nawet przez pół roku w kieszeni, zbierając się na odwagę, żeby Ci go wysłać. Lecz gdy podchodziłam do skrzynki, ręce drżały mi tak bardzo... i odkładałam ten moment, i odkładałam... W końcu pogniółł się tak strasznie, że nie można już było nawet odczytać Twojego adresu.*

*A życie płynęło dalej.*

*Po pewnym czasie to, co wydawało się nieodzowne jak powietrze, stało się potrzebne, ale nie pilne. Później tylko ważne, a w końcu zmieniło się w coroczne przyrzeczenie na 1 stycznia.*

*Pamiętam, jak się śmiałaś z mojego dekalogu na Nowy Rok! Zaczęłam go pisać w święta Bożego Narodzenia, gdy dostałam w prezencie od ciotki Margarity drewnianą szkatułkę pomalowaną we wróżki. 31 grudnia przed zaśnięciem spisałyśmy razem mój pierwszy dekalog i schowałyśmy go do szkatułki, pamiętasz?*

*Ciekawe, co się z nią stało...? Nie z ciotką Margaritą, bo ona spoczywa w niszy 2011 F, między 2011 E, gdzie leżą moi rodzice, a 2011 G, w której pochowana jest Herminia, ta z trafiki...*

*Miałam na myśli szkatułkę z moimi przyrzeczeniami...*

*Raz było to malowanie domu, kiedy indziej odwiedziny u siostry i uprawianie gimnastyki albo zapisanie się na kurs gotowania. List do Ciebie zawsze był żelaznym punktem tego katalogu życzeń. Ale dopiero w tym roku, kiedy po raz pierwszy nie sporządziłam listy, w końcu piszę do Ciebie.*

*Pewnie zapytasz, dlaczego w tym roku odstąpiłam od tradycji, po tych wszystkich latach skrupulatnego zapisywania przyrzeczeń. Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że dożyję następnych świąt Bożego Narodzenia: jedenaście miesięcy temu usłyszałam od lekarzy, że moje serce jest bardzo słabe. Przed dwoma tygodniami byłam w przychodni i lekarz powiedział mi, słowo w słowo, że starość ma tę dobrą stronę, że spowalnia choroby. I tak się tu jakoś telepię.*

*Teraz, gdy święta za pasem i wygląda na to, że udało mi się przeżyć kolejny rok, list do Ciebie zaczyna krążyć mi po głowie jak wtedy, jak na początku.*

*Jesteś moim zaległym zobowiązaniem.*

*Przez te sześćdziesiąt lat pomalowałam kuchnię cztery razy, zapisywałam się i wypisywałam z kursów ogrodniczych i stałam się szanowaną kucharką, głównie za sprawą apple pie, amerykańskiej szarlotki, na którą przepis ściągłam z jakiegoś serialu telewizyjnego.*

*List do Ciebie, Luiso, to mój dług.*

*Dlaczego postanowiłam napisać do Ciebie właśnie dzisiaj? Nie będę Cię zwodzić. Ponieważ Sara, dobra dziewczyna, którą bardzo kocham, ma kłopoty. Jest listonoszką w Porvenir i moją sąsiadką. Słusznie zapytasz, co to ma z Tobą wspólne. Otóż ma, i to bardzo wiele.*

*Chcę ją przenieść do stolicy i zamknąć naszą pocztę. Zostaniemy bez listonosza. Na pewno wiesz, że dziś młodzi wysyłają sobie wszystko przez komputer, więc kilku starszkom z Porvenir w zupełności wystarczy furgonetka rozwożąca pocztę dwa razy w tygodniu.*

*Chcę coś zrobić, aby pomóc Sarze, naszemu miasteczku. I spłacić mój dług wobec Ciebie.*

*Rozwiązanie przyszło do mnie we śnie: śniło mi się, że jestem na poczcie i że spod bluzki wyciągam kopertę, na której widnieje Twoje nazwisko skreślone moją ręką. Sara potrzebuje listów do roznoszenia, a ja muszę Ci coś opowiedzieć.*

*Chcę wyznać Ci to, do czego nie miałam odwagi się przyznać przed ponad pół wiekiem: zakochałam się w Ablu i wciąż go kocham, mimo iż od trzydziestu bez mała lat nie żyje. Ale jakie to ma znaczenie, skoro czuję, że jest przy mnie?*

*Abel zginął w wypadku samochodowym. Z pewnością doszły Cię słuchy, chociaż nie widziałam Cię na cmentarzu. Nie mogliśmy mieć dzieci. To jedyne*

*szczęście, jakiego odmówił nam Bóg.*

*To, że zakochaliśmy się w sobie, nie było częścią uknutego przez Ciebie i mnie planu – to prawda. Nie brałam czegoś takiego w ogóle pod uwagę. Ale stało się i już.*

*Gdybyś wiedziała, ile razy wracałam pamięcią do tamtego deszczowego dnia, w którym wybrałyśmy się na przejażdżkę. Szukając schronienia w kapliczce Matki Boskiej Rozmaryńskiej, ani Ty, ani ja nie wiedziałyśmy, co nas tam czeka – miłość i miłosny zawód. Dwie strony medalu, któremu na imię było Abel. Tam spotkałyśmy go po raz pierwszy, pamiętasz?*

*Z biegiem lat przestałam tam zaglądać – zbyt wielką stało się to dla mnie udręką. Od pół wieku omijam kapliczkę z daleka. A Ty? Byłaś tam? Są jeszcze te drewniane belki? A kołatka z zezującym aniołkiem? Jeśli wciąż się trzyma na drzwiach, musi być już strasznie zardzewiała...*

*Nie chcę Cię prosić o wybaczenie, bo nie mogłabym okazać skruchy. Nie usprawiedliwiam się przed Tobą. Zdradziłam Cię. Ktoś mógłby rzec, że zdradziłam Cię, zakochując się w Ablu czy pozwalając, żeby on zakochał się we mnie. To nie tak. Czuję, że moja zdrada polega na tym, że o niczym Ci nie powiedziałam, że pozwoliłam, aby to, co się stało, rozdzieliło nas na zawsze, i to bez pożegnania, bez możliwości podania Ci ręki. Byłam szczęśliwa i zachowałam się wobec Ciebie niegodnie. W naszym życiu było dla Ciebie miejsce, a my Ci go poskąpiliśmy.*

*Jeślibym ustawiła jeden za drugim te wszystkie razy, kiedy sobie powtarzałam: „Gdybym tak mogła opowiedzieć o tym Luisie...”, utworzyłby się sznur dłuższy od chińskiego muru! Miałam inne przyjaciółki, jasne, że tak. Ty pewnie też. Ale chciałabym wierzyć, choćbyś nienawidziła mnie przez te wszystkie lata, że żadna z nich nie wypełniła pustki, jaką zostawiłam po sobie.*

*Twojego miejsca w moim sercu nie zajął nikt.*

*Myśląc o Tobie, zadaję sobie całe mnóstwo pytań. Najważniejsze z nich: czy byłaś szczęśliwa? Ach, gdybym mogła usłyszeć, że tak! Wyszłaś za mąż? Miałaś dzieci? Pracowałaś? Odwiedziłaś Paryż, tak jak marzyłaś? Nauczyłaś się tańczyć tango?*

*Gdzieś przepadła, Luiso? Początkowo myślałam, że zamknęłaś się w swoim domu i nie wyściubiasz z niego nosa. Ale po roku uwierzyłam w to, co Twoi rodzice powiedzieli mi już na początku – że wyjechałaś z Porvenir.*

*Dopóki żyła Twoja matka i Twój ojciec, nie opuszczała mnie nadzieja, że prędzej czy później wrócisz. Po ich śmierci był jeszcze Twój młodszy brat. Rzadko się tu pokazywał. Przypuszczam, że jeśli czegoś potrzebował, wolał jechać do stolicy. Ktoś mi powiedział, że ożenił się w niemłodym już wieku i wraz z żoną postanowili wyjechać do Niemiec. Nigdy nie przepadał za hodowlą krów, które tak lubili Twoi rodzice.*

*Ale do tego czasu minęło dwadzieścia lat. Pomyślałam, że już nigdy Cię nie*

*zobaczę i że Twój dom rozpadnie się na kawałki. Jego szczątki przywalibyby jakąś część mojego życia, mojego dzieciństwa. Gdy o tym myślałam, serce ścisnął mi niewymowny żal. Ale na szczęście tak się nie stało. Twój dom jest niezamieszkały i zamknięty na cztery spusty, ale ktoś o niego dba. Ktoś wyrywa zielsko sprzed wejścia.*

*Dodaje mi to otuchy i mobilizuje do napisania tego listu. Odbierzesz go sama albo osoba zajmująca się domem. Wiem, że wcześniej czy później przeczytasz te słowa. Mam przeczucie, że czekasz na nie.*

*Wciąż za Tobą tęsknię, Luiso, a kiedy przed zaśnięciem zamykam oczy, przypominam sobie, jak biegniemy razem drogą do szkoły. Mam nadzieję, że Tobie też brakuje Rosy, diablidy, która co rusz pakowała Cię w tarapaty. Już dawno jej nie ma, zniknęła za zakrętami życia. Czy to samo stało się z Luisą, za którą tak bardzo tęsknię?*

*Jeśli zostało coś jeszcze z tej dziewczyny, która nie potrafiłaby skrzywdzić muchy, do niej właśnie teraz się zwracam.*

*Wiem, że piszę do Ciebie o wiele za późno. Nie oczekuję Twojej odpowiedzi. Nie podaję nawet swojego adresu.*

*Mam do Ciebie tylko jedną prośbę:*

*Życie Sary, kobiety, którą mogłybyśmy być Ty czy ja, może lec w gruzach. Całkiem możliwe, że spotkałaś ją kiedyś – urodziła się i mieszka w naszym miasteczku. Ma trzech pędraków, ganiających po tych ulicach. Mimo iż jej życie nie jest usłane różami, zawsze ma dla wszystkich serdeczny uśmiech. A teraz jej zwierzchnicy chcą ją przenieść daleko stąd.*

*Po ponad stu latach Porvenir zostanie bez listonosza. W centrali twierdzą, że nie lubimy wysyłać i dostawać listów. Jak śmiać! Nie opowiadałabym Ci tego wszystkiego, gdybyś nie mogła pomóc Sarze i naszemu miasteczku. Jak to zrobić?*

*Bardzo prosto, tak jak to zrobiłam ja – napisz list. Nieważne, czy będzie długi, czy krótki, z błędami czy bez. Napisz list i wyślij go do innej kobiety z miasteczka, bo ona na pewno zrozumie, jak ciężko jest wychować dzieci z daleka od swoich bliskich. Nawet jeśli jej nie znasz, podziel się z nią kilkoma chwilami Twojego życia. Wspólnymi siłami zbudujmy łańcuch ze słów, tak długi, aby dosięgnął stolicy, i tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać.*

*Luiso najdroższa, zyskam pewność, że przeczytałaś mój list i że jesteś, kiedy zobaczę, że Sarze zaczyna ciążyć torba. Dziękuję Ci z całego serca.*

*Żegnaj.*

*Kocham Cię.*

*Rosa*

*PS Nie zapomniałam, że Twoim ulubionym kwiatem była lawenda. Skropiłam list kilkoma kroplami olejku lawendowego. Może przypomniawszy sobie ten zapach, łatwiej Ci będzie wybaczyć swojej dawnej przyjaciółce i zechcesz wesprzeć mnie w tej misji.*

## Głosy z przeszłości

List Pański spadł na mnie jak grom z jasnego nieba. Ledwo się nie rozpląkałem ze wzruszenia i czuję teraz, że po tym liście w duszy pozostał niezatarty ślad. (...) Wszyscy moi najbliżsi zawsze traktowali moje piarstwo pobłażliwie i wciąż po przyjacielsku radzili mi, żebym dla pisaniny nie rezygnował ze swego właściwego zawodu1.

ANTONI CZECHOW DO DMITRIJA W. GRIGOROWICZA

Alma przyglądała się ze zdziwieniem zamkniętej kopercie.

Ścisłała ją w obu dłoniach, jakby się bała, że nagle wyfrunie jak motyl. Albo że rozsypie się w jej palcach jak popiół. Papier wydawał się kruchy, a rozedrgane, skreślone odręcznie litery imienia i nazwiska adresata wpadały jedna na drugą.

Nie było nadawcy.

Potrząsnęła wciąż zamkniętą kopertą, jakby mog-ła zmusić ją do mówienia. Słodki aromat osiadł na meblach przykrytych starymi, pożółkłymi prześcierad-łami. Próbowwała odszukać w pamięci nazwę tego zapachu. Przytknęła kopertę do nosa.

– Lawenda! – wykrzyknęła uszczęśliwiona, jakby odkrycie czegoś swojskiego miało kojącą moc.

Dwie godziny temu wstała z łóżka i czuła się jak z krzyża zdjeta. Jej nastrój też pozostawiał wiele do życzenia. Zawsze, gdy spała pierwszy raz w nowym miejscu, budziła się cała obolała. Jeśli dołożyć do tego nieużywany od dziesiątków lat twardy wełniany materac, trudno się było dziwić jej samopoczuciu.

Na sypialnię wybrała największy pokój na piętrze. Przypadły jej do gustu błękitne ściany i olbrzymia szafa z lustrem w drzwiach, stojąca naprzeciwko obszernego łóżka. Pamiętała mgliście, że gdy była małą dziewczynką, często chowała się tam, między starymi sukienkami, ciężkimi od woni naftaliny.

Oparta o kute w żelazie wezglowie, Alma patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Wysunęła dolną wargę, żeby zdmuchnąć z czoła bezustannie opadającą, niesforną kasztanową grzywkę. Uległa namowom matki i obcięła się na chłopaka. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego i w tym się jej posłuchała. Tak czy inaczej, nie była zadowolona z rezultatu. Tego ranka irytował ją nie tylko jej wygląd. Wydarzenia ostatnich miesięcy zostawiły swój ślad pod postacią ciemnych

worków pod jej miodowymi oczami. Reszta twarzy była o wiele bledsza niż zwykle. Z niewyjaśnionych powodów kontrast ten budził w niej niepokój.

Postanowiła wziąć gorący prysznic, aby odzyskać równowagę ducha i nabrać sił potrzebnych do wypełnienia zadania, które przywiodło ją na to odludzie.

Otworzyła okno łazienki. Pluskając się w strumieniach wody, błędziła wzrokiem po zieleni łąk, szukając w niej odprężenia. Życie w takim ustronnym zakątku musi mieć swoje dobre strony. Nie ma sąsiadów, którzy by cię podglądali, stwierdziła, uśmiechając się po raz pierwszy od przyjazdu do Porvenir.

Jakby los chciał jej zagrać na nosie, niemal w tej samej chwili dostrzegła małą furgonetkę toczącą się po polną drogą. Jej krzykliwą, jaskrawą żółć widać było z daleka – to samochód rozwożący pocztę. Jedzie to i pojedzie, pomyślała, nie przykładając do tego widoku zbyt wielkiej wagi. Przecież od ponad dwudziestu lat nikt tu nie mieszkał.

Nagle usłyszała chrzęst opon na żwirze przed domem. Z furgonetki wysiadła osoba w typowym uniformie listonosza: w żółtej koszuli i granatowych spodniach. Z okna łazienki Alma nie potrafiła dostrzec rysów jej twarzy, widziała jedynie rude włosy.

Ze sposobu, w jaki poruszała się postać, wywnios-kowała, że to musi być kobieta. Była nieco przy kości, ale gesty miała miękkie, pełne kobiecej gracji.

Zamarudziła dość długo przy pomalowanym na biało drewnianym płocie. Wydawała się równie zdziwiona, co Alma. Spojrzała w jedną i w drugą stronę ogrodu, nie mogąc się zdecydować, czy wejść do środka. Zaraz potem zerknęła w górę, jakby szukała jakiegoś znaku życia.

Alma wstrzymała oddech.

W bezwarunkowym, pozbawionym sensu odruchu cofnęła się od okna i wyszła spod prysznica. Nie chciała, żeby ktoś ją tam zobaczył. Jeszcze nie teraz. Przedtem musiała zadać sobie kilka pytań i, przy odrobinie szczęścia, znaleźć w tych ścianach odpowiedzi.

Zeszła bezszelestnie po kamiennych schodach prowadzących do salonu. Przystanąła obok starego kominka z osmolonymi cegłami. Na jego gzymsie leżały dwie przewrócone, zapomniane fotografie w ramkach – niemi świadkowie tego opuszczenia.

Rozejrzała się – wszystko tu wyglądało tak, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Wszędzie panoszył się kurz i tylko dwa przedmioty odcinały się od tła – zielony plecak i torba, rzucone niedbale na kanapę stojącą naprzeciwko kominka.

Wczoraj późną nocą przywiozła ją tu taksówka. Skonana od razu położyła się spać. Była pewna, że rankiem wszystko będzie prostsze. Ale nie przewidziała tej wczesnej wizyty.

Okienne wcióż były zamknięte, czuła się więc bezpiecznie.

W ogrodzie dały się słyszeć kroki. Zdziwiona, w szczelinie pod drzwiami



ujrzała rozek papieru. Sekundę później nieco sfatygowana fiołkowa koperta znieruchomiła na terakotowej podłodze salonu. Miodowe oczy dziewczyny wpatrywały się w nią, okrągłe ze zdumienia. Nie wiedziała jeszcze, że otworzywszy ją, nic już nie będzie takie jak dawniej.

Firmy energetyczne czy wodociągowe nie używają przecież takich kolorowych kopert. To musi być prywatny list, pomyślała. Ktoś musiał się pomylić. Kto pisałby na adres, pod którym od tyłu już lat nikt nie mieszka?

Gdy podniosła kopertę, przekonała się, że list był zaadresowany prawidłowo. Jednak tym, co wprawiło ją w autentyczne osłupienie, było nazwisko adresatki – Luisa Meillás.

Minął kwadrans, a ona, znieruchomiła w szlafroku na środku salonu, wciąż patrzyła na kopertę. Nie wiedziała, co ma z nią zrobić. Otworzyć? Schować? Podrzeć i wyrzucić? Tak czy siak, najpierw się ubiorę, postanowiła.

Położyła list na gzymsie kominka, podniosła z podłogi plecak i wróciła do błękitnego pokoju. Rozpakowała swój skromny dobytek: kilka ciuchów, adidas i botki za kostkę.

Pamiętała jak przez mgłę lasy i łąki otaczające miasteczko. Chciała je znów zobaczyć, odetchnąć ich zapachem, żeby móc skonfrontować wspomnienia z rzeczywistością. W dzieciństwie wydawały się jej ogromne i tajemnicze. Była pewna, że upływ czasu przywróci im właściwą miarę.

Otworzyła drzwi szafy i dwa brązowe mole wyfrunęły ze środka – ociężałe, jakby zbyt długo czekały na wolność. Uśmiechnęła się, wyobraziwszy sobie, jak śmiertelnie musiały się wynudzić w tym na wpół opustoszałym drewnianym więzieniu: dwa samotne wieszaki, stare męskie spodnie i patchworkowa narzuta, której nijak nie mogła sobie przypomnieć.

Włożyła swoje rzeczy do szafy i zostawiła ją otwartą na oścież, żeby wywietrzała z niej woń stęchlizny.

Jeśli nie chce skończyć jak te biedne ćmy, wdychając kurz i opary pleśni, powinna otworzyć wszystkie drzwi i okna.

Tak też uczyniła w pokoju, w którym spędziła noc. Później też w pozostałych pomieszczeniach. W sumie w domu było pięć sypialni i dwie łazienki. Korciło ją, żeby pościagać prześcieradła przykrywające meble, jak zrobiła w swojej sypialni, ale zaraz pomyślała, że na te parę dni się nie opłaca.

Dziwił ją panujący tu nienaganny porządek. Zawsze sądziła, że opuszczone domostwa to rupieciarnie pełne zapomnianych i bezużytecznych przedmiotów, ale tu wszystko było na swoim miejscu, jakby w oczekiwaniu na powrót dawnych mieszkańców.

Mogę się założyć, że strych jest zawalony po brzegi, przeszło jej przez myśl

i od razu straciła ochotę na rekonesans. Zeszła na dół, aby i tam wpuścić trochę świeżego powietrza. Zabrała ze sobą torbę, w której miała notebooka, notes, kilka batonów zbożowych i parę saszetek herbaty.

Przezornie uchyliła tylko okiennice jednego z okien frontowych salonu. Potem zajrzała do kuchni, z której można było wyjść na tyły domu.

Z wielkim wysiłkiem zdołała otworzyć małe drewniane drzwi. Promienie przedpołudniowego słońca wdarły się pod powieki dziewczyny. Wyszła na zewnątrz i dawno zapomniane uczucie błogostanu zawładnęło jej sercem. Przykucnęła. Dotknęła dłonią wyschniętej ziemi. Zamknęła oczy.

Miała może pięć lat, kiedy po raz ostatni spędziła wakacje w tym domu. Człapała niezgrabnie w wielkich kaloszach między ciemnymi grządkami, upstrzonymi zielonymi liśćmi. Z uciechą wskakiwała we wszystkie napotkane kałuże. Z oddali, zza jej pleców, dobiegał ją czuły śmiech: „Panie i panowie, przed państwem kotka w butach”.

Wspomnienie tamtego głosu sprawiło, że wróciła myślami do listu i postanowiła zerknąć na niego raz jeszcze.

Siedząc pod śliwą, ostatnią pozostającą przy życiu przedstawicielką sadu, gładziła opuszką palca krawędzie fioletowej koperty.

Alma nie wierzyła w przypadki.

Dobę wcześniej, nie zastanawiając się nad tym, co robi, włożyła do plecaka kilka rzeczy, które mogły jej się przydać podczas wypadu do Porvenir, i zasunęła suwak.

W międzyczasie matka chodziła za nią krok w krok, ciskając gromy. Nie rozumiała, co też córce strzeliło do głowy z tą nagłą podróżą. Zagroziła, że natychmiast zadzwoni do ojca. Wychodząc z domu, Alma usłyszała, jak matka wybiera numer telefonu.

Tak oto rozpoczęła dwudziesty trzeci rok życia. Bez słowa pojechała na stację i wsiadła do pociągu. Żegnając się z betonowym miastem i dymiącymi fabrykami, nie uroniwszy jednej łzy, ponownie przeczytała polecony list, który otrzymała w dniu urodzin.

*Szanowna Pani. Niniejszym zawiadamiamy, że zgodnie z wolą poprzedniego właściciela przechodzi na Pani wyłączną własność Dom Meillás wraz z kilkoma hektarami ziemi znajdującymi się w granicach administracyjnych miejscowości Porvenir. Od tej chwili może Pani swobodnie rozporządzać powyższym mieniem i decydować co do jego dalszych losów.*

Czytając po raz nie wiadomo który dokument ostemplowany pieczęciami notarialnymi, zacisnęła z całej siły palce na dwóch kluczach dołączonych do dokumentów w bąbelkowej kopercie. Poczula, jak małe ząbki wrzynają się jej w skórę.

Ból spowodował, że otworzyła dłoń i, niejako odruchowo, także swój umysł. Ona właścicielką czegoś? Z jakiej racji? To chyba jakiś żart. Przecież ledwie знаła ten dom i to miasteczko! Pamiętała, że jadła śliwki prosto z drzewa. Pamiętała niewielki ogród, błękitny pokój i wielką szafę z lustrem. I nic więcej.

Wyteżała pamięć, aby wyłuskać z niej coś jeszcze, ale wszystko spowijała nieprzenikniona mgła.

Ktoś, kto postanowił zostawić mi spadek, w ogóle mnie nie zna, rozmyślała Alma, patrząc, jak za oknem migają kolejne stacje. Jak mogłaby decydować o losie czegokolwiek, choćby miał to być tylko dom z kamienia, skoro nie potrafiła zdecydować o swoim własnym życiu?

Przypomniała sobie ostre, będące na porządku dziennym wymiany zdań z rodzicami, odkąd przed dwoma laty skończyła studia. Uzyskała tytuł magistra filologii i dyplom z wyróżnieniem. Rodzice marzyli, żeby przystąpiła do konkursu na stanowisko nauczyciela gimnazjum. „Musisz mieć stałą pracę”, doradzała jej matka. Ojciec podpowiadał, że jeśli chce zostać na uniwersytecie i zająć się pracą naukową, to on uruchomi swoje kontakty i jej pomoże. Załatwi jej stypendium doktorskie. A po obronie doktoratu stanie do sławetnego konkursu i dostanie pracę na uniwersytecie.

Ku rozgoryczeniu obojga Alma podjęła pracę w sklepie odzieżowym jako ekspedientka. Zapewniła ich, że to tylko tymczasowe zajęcie, żeby mogła się zastanowić, co dalej robić w życiu. Wiedziała jedno: mrówcze przerabianie z uczniami kilometrowego programu dla godnej pensyjki na koniec miesiąca to absolutnie nie jej bajka.

W głębi serca wiedziała doskonale, czemu chciałaby się poświęcić, ale nie potrafiła przyznać się do tego głośno. Metkując sweterki w dziale dziewczęcym, recytowała półgłosem wiersze Pabla Nerudy. Między jednym klientem a drugim przypominała sobie utwory Gabrieli Mistral, a w czasie przerwy obiadowej zamykała się w magazynie sklepowym z tomikiem lorda Byrona. Nocami zapisywała całe stronicie obrazami i metaforami, które gdy przybrały formę wierszy, wysyłała na konkursy poetyckie i do wydawnictw, czekając z przyspieszonym biciem serca na odpowiedź. Ta jednak zawsze brzmiała: NIE.

Pragnęła być poetką. Ale kto mógł wyżyć z pisania wierszy?

Dwanaście godzin później dojeżdżała do Porvenir. Głęboką nocą udało się

jej złapać jedyną taksówkę, jaka czekała na podróżnych na tej głuchej stacyjce.

Wkładając klucz do zamka, powtórzyła szeptem:

– W jednej sekundzie wszystko może się zmienić. – I przypomniała sobie ową sekundę, w której zaczęła się ta nowa przygoda.

W dniu swoich dwudziestych trzecich urodzin, wpatrując się w świeczki na torcie, stała o krok od kapitulacji pod presją rodziny. Była skłonna wydusić z siebie, żeby już się nie niepokoili. Nie spisie na straty „najlepszych lat swojego życia”. Zrobi coś pożytecznego, stanie do konkursu na wydawcę biuletynu Unii Europejskiej. Poezja – usłyszała – zawsze może jej towarzyszyć. Nie musiała się jej wyrzekać. Może ją traktować jako hobby. Nikt jej przecież nie broni brać udziału w spotkaniach poetyckich, czytać swoich wierszy czy zapisać się na jakieś warsztaty literackie. I, rzecz jasna, zawsze będzie mieć przy sobie antologię lorda Byrona.

Gdy zdmuchiwała świeczki, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko wywróciło się do góry nogami. Ojciec wręczył jej wielką kopertę, której zawartość była dla niego taką samą zagadką jak dla jego córki. Myślała, że zemdleje, gdy z koperty wyłonił się plik prawniczych dokumentów.

Dołączona do nich była krótka notka:

*Najdroższa Almo, jeśli czytasz te słowa, znaczy to, że nie mogłam być na Twoich dwudziestych trzecich urodzinach. Gdybyś wiedziała, jak bardzo chciałabym poznać Twoje marzenia i plany! Ale cóż, człowiek myśli, Pan Bóg kreśli.*

*Los chciał inaczej i mój prezent wręczy Ci notariusz, kiedy mnie już nie będzie.*

*Ile bym dała, żeby móc przekazać Ci te klucze osobiście i wybrać się w tę podróż z Tobą. Oprowadzić Cię po wszystkich kątach i przywołać wspomnienia uspione w domu mego dzieciństwa, zobaczyć, jak obszedł się z nimi czas. Jak bardzo chciałabym wrócić tam raz jeszcze, z Tobą, aby pojednać się z przeszłością.*

*Zrobisz to za mnie Ty. Sama. I będziesz musiała podjąć decyzję. Jakakolwiek by nie była, będzie słuszna. Kocham Cię.*

Owego słonecznego poranka pod śliwą Alma czuła się odległa o lata świetlne od kłótni z rodzicami, od urodzin, od pięknego, wychuchanego mieszkańka na poddaszu, wyasfaltowanych ulic miasta, sklepu z ciuchami. Przyszłość była nieodgadniona, a pierwsza decyzja, jaką musiała niezwłocznie podjąć, dotyczyła koperty w kolorze fiołków.

Wskazującym palcem prześledziła imię i nazwisko adresatki: *Luisa Meillás*,

dawna właścicielka domu.

Luisa Meillás, jej babka.

Kim była osoba, która zadała sobie tyle trudu, aby z taką dbałością napisać do kogoś, kto zmarł piętnaście lat temu?

1 Czechow, *Listy*, t. 1, tłum. N. Gałczyńska, A. Sarachanowa, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.

## Dług nie do spłacenia

Nigdy kropla łzy nie zrosi maila.

JOSÉ SARAMAGO

„List do Ciebie, Luiso, to mój dług” – powtórzyła Alma na głos.

W zdaniu tym, pogrubionym kilkakrotnym pociąg-nięciem długopisu, wyczuwała cierpienie. Litery składające się na słowo „dług” tłoczyły się, jakby im było wstyd, jakby chciały zająć jak najmniej miejsca, nie rzucać się w oczy.

Ten list sprawia wrażenie, jak gdyby był kwestią życia i śmierci dla jego autorki, przemknęło przez myśl dziewczynie, spoglądającej w niebo.

Słońce wdzierало się między gałęzie śliwy, które kład-ły cienie na smukłe nogi Almy. „Masz bardzo ładne nogi, powinnaś się nimi chwalić”, ciągle powtarzała jej matka. Alma jednak wolała skrywać je pod znoszonymi dżinsami albo spódnicami do kostek.

Przeczytała list w pośpiechu, przeskakując niecierp-liwie z jednego akapitu do drugiego. Gdy skończyła, w jej głowie kłębiło się mnóstwo pytań.

Kto jest jego autorem? Kim jest owa tajemnicza Rosa?

Alma nigdy nie słyszała o kapliczce Matki Boskiej Rozmaryńskiej ani o żadnym Ablu. Historia, o której dowiedziała się z listu, była jej całkiem obca, a nawet wydawała się jej dziwaczna. Trąciła myszką. To tak, jakby przeglądać stary album z czarno-białymi fotografiami. Nie potrafiła wyobrazić sobie swojej babki w ciele młodziutkiej dziewczyny goniącej w podskokach do szkoły. Rzeczywiście była bojaźliwa i łagodna?

Nie zapomniała jej, chociaż miała niespełna dziesięć lat, gdy Luisa umarła. Babka z jej wspomnień to silna i serdeczna kobieta. W niczym nie przypominała eterycznej, delikatnej istoty opisanej w liście.

Nigdy nie widziała, żeby płakała czy skarżyła się z jakiegoś powodu. Ojciec Almy mówił zawsze, że była jak góra – niewzruszona i pełna tajemnic. Czy historia opowiedziana w liście to jedna z nich? Wygląda na to, że owa Rosa utrzymywała z Luisą bardzo bliskie stosunki, z Luisą, jakiej Alma nie znała – zakochaną bez pamięci w mężczyźnie, który nie był jej dziadkiem. Wszystko wskazywało na to, że w zamierzłych czasach Rosa bardzo kochała jej babcię. Mimo to nie widziały się od sześćdziesięciu lat! List dramatycznie się spóźnił.

Alma usiłowała wyobrazić sobie, jak mogłaby wyglądać za sześćdziesiąt lat. Czy życie zmieni ją tak samo, jak zmieniło jej babkę? Czy będzie mieszkać daleko

od swego rodzinnego miasta? Mieć innych przyjaciół?

„Zadaję sobie całe mnóstwo pytań. Najważniejsze z nich: czy byłam szczęśliwa? Ach, gdybym mogła usłyszeć, że tak!”, przeczytała kolejny raz.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami – gdyby mogła zadać to samo pytanie swojej babce. Jeszcze parę dni temu nie wątpiła, że tak, była szczęśliwa. Teraz jednak, odkrywszy, że zdradziła ją najlepsza przyjaciółka, że ukrywała pierwszą, nieodwzajemnioną miłość i że opuściła na zawsze swój dom, nie była tego już taka pewna.

– Ile bym dała za to, aby móc do niej zadzwonić i porozmawiać... – westchnęła.

Przez moment poczuła, że z nieznaną autorką listu łączy ją ten sam smutek, ale Alma była w o wiele lepszej sytuacji, ponieważ wiedziała, że jej babka wyszła za mąż i miała syna. A dzięki synowi również wnuczkę – Almę Meillás.

Pytania Rosy o Paryż i tango przywołały na jej twarz uśmiech. Przez głowę przemknęły jej luźne obrazy, dawno już, jak sądziła, zapomniane. Uspokajała ją myśl, że tam, gdzie nie sięgały wspomnienia Rosy, docierała jej wiedza. Wiedziała, jak potoczyły się losy dwudziestoparoletniej Luisy – gdzie mieszkała, czym się zajmowała. Wróciła do rodzinnego miasteczka tylko raz. Nie było też dla niej tajemnicą, kto i w jakim celu opiekował się domem.

Przypomniała sobie zaskoczenie ojca na jej przyjęciu urodzinowym, gdy okazało się, że rodzinnego domu wraz z ziemią nie odziedziczy on, lecz jego dwudziestotrzyletnia córka. I to bez słowa uzasadnienia. Almie zrobiło się żal ojca. Z pewnością odebrał to jako zdradę ze strony matki.

Poczuła obecność babki, przebiegając ponownie wzrokiem przez jedno z ostatnich zdań: „Dodaje mi to otuchy i mobilizuje do napisania tego listu. Odbierzesz go sama albo osoba zajmująca się domem. Wiem, że wcześniej czy później przeczytasz te słowa. Mam przeczucie, że czekasz na nie”.

Alma pomyślała, że jeśli nic nie dzieje się bez przyczyny, to może ona też jest częścią jakiegoś planu. Może przeznaczenie chciało, żeby to właśnie ona otrzymała ten list.

Potrząsnęła głową – jak zwykle wyobraźnia płatała jej figle. „Twoją specjalnością nie jest poetyckie natchnienie, tylko poetyckie zaćmienie”, śmiał się ojciec, mając na myśli skłonność córki do niedostrzegania rzeczywistości. Niezależnie od tego, czy pojawienie się tego świadectwa na jej drodze było zrzędzeniem losu, trzymała w rękach pachnący lawendą list, który żądał od niej działania.

Rosa nie czekała na odpowiedź. Zwalniało to Almę z wielkiej odpowiedzialności, bo być może nie mogłaby jej odpowiedzieć. Nie prosiła też o wybaczenie. Tym lepiej, pomyślała dziewczyna.

– Zbrodnie popełnione z miłości nie ulegają przedawnieniu – wyszeptwała

w pustkę.

Chociaż, jeśli dobrze się zastanowić, nie wiedziała, czy powinna się z tego powodu gniewać, czy dziękować. Gdyby babka nie wyjechała z Porvenir, gdyby wyszła za tego Abła... jej nie byłoby na świecie!

Niemniej jednak stara przyjaciółka Luisy miała do niej konkretną sprawę – prosiła o napisanie listu dla „ratowania” Sary, dobrej kobiety, której posada wisiała na włosku i którą chciano przenieść daleko od domu. Czy miała na myśli tę rudą listonoszkę, którą Alma zobaczyła z okna łazienki? Takie małe miasteczko mog-ło mieć tylko jedną pocztę, obsługiwaną przez jednego, góra dwóch urzędników. To na pewno była Sara, utwierdziła się w przekonaniu Alma.

Zafascynowana, ponownie odniosła wrażenie, że jest częścią tej niezwyklej historii, choć nie miała pojęcia, jak się w nią uwikłała.

Dla niej listonoszka nie była już tylko jakąś dobrą kobietą.

Jakby obrywała listki stokrotki, biła się z myślami, czy napisać ten list, jak prosiła Rosa, czy nie. Co najmniej dwa argumenty przeciw narzucały się niejako same.

Po pierwsze, autorka listu skrzywdziła jej babkę, choć wyrzuty sumienia dręczą ją od ponad sześćdziesięciu lat.

– Straciła najlepszą przyjaciółkę i ani ja, ani nikt inny nie jest w stanie temu zaradzić – powiedziała cicho.

Nie pisząc listu, ukarze jedynie Sarę, do której poczuła sympatię, kiedy tylko ujrzała ją, idącą łagodnie przez ogród.

Drugi argument na nie wydawał się solidniejszy. W Porvenir była tylko przejazdem, znalazła się tu poniekąd przypadkowo. Było to fajne miejsce, w którym mogła się schronić przed nudą i niezbyt obiecującą przyszłością. Wsiadła do tego pociągu, szukając azylu, w którym mogłaby nabrać sił potrzebnych jej do stawienia oporu rodzinie. Zamierzała zostać tu tydzień, najwyżej dwa. Czyż miała prawo wtrącać się w życie miasteczka, ingerować w jego sprawy, jeśli zamyślała wkrótce się stąd ulotnić? Koniec końców list dostał się w jej ręce całkiem przypadkowo.

Niewykluczone, że przed wyjazdem wystawi dom na sprzedaż.

Lepiej się do tego nie mieszać, pomyślała. Nie jest przecież Luisą Meillás i nie powinna była otwierać tego listu. Złożyła kartkę, a kiedy wkładała ją na powrót do koperty, jej wzrok prześlizgnął się po zdaniu: „W centrali twierdzą, że nie lubimy wysyłać i dostawać listów. Jak śmia!”.

– Właśnie, jak śmia! – powtórzyła zirytowana Alma, odbierając to jako osobistą zniewagę.

Sama uwielbiała pisać listy i – ma się rozumieć – otrzymywać je, choć nie



zdarzało się to często.

Studiując filologię, zapisała się na konwersatorium z powieści epistolarnej tylko z tego względu, że przypasowały jej godziny zajęć. Szybko jednak odkryła, że przypadek okazał się szczęśliwym trafem.

Wykładowca, który wyglądał na spadkobiercę genów biblijnego Matuzalema, na samym wstępie zakomunikował studentom, że historia pisania listów jest stara jak samo pismo. Znane są świadectwa epistolarne już z czasów Mezopotamii i starożytnego Egiptu. W starożytnej Grecji korespondencja między politykami, kupcami czy filozofami odgrywała niezwykle ważną rolę, a święty Paweł pisał listy, w których objaśniał przesłanie Jezusa. Przez cały trymestr Alma i jej koledzy czytali teksty Arystotelesa, Cycerona, Petrarcki, Queveda czy świętej Teresy.

Nie sposób było nie zarazić się entuzjazmem wykładowcy przypominającego, że od szesnastego wieku, dzięki zwykłym ludziom, dla sztuki pisania listów zaczęły się czasy największej świetności. „Narodziny i zgon, zaręczyny i rozstania, kupno i sprzedaż... Listy to kawał życia, drodzy państwo! Szanujcie je”, lubił powtarzać.

Dzięki zwykłym ludziom, takim jak Sara, Rosa czy Alma, gatunek epistolarny tętnił życiem. A teraz ta odwieczna praktyka, która oparła się prześladowaniom i cenzurze, miała zniknąć z powierzchni ziemi z winy komunikacji cyfrowej?

Alma zadawała sobie to i wiele innych pytań, chowając list do fiołkowej koperty.

– Chcę napisać ten list. Napiszę go jeszcze dzisiaj. Wiem nawet, kto będzie adresatem – powiedziała z determinacją, wchodząc do domu.

Zamykając drzwi wychodzące na ogród, raz jeszcze rzuciła okiem na śliwę, pod którą przed chwilą siedziała. Westchnęła i spostrzegła swoje odbicie w szybie drzwi: Wysłanie tego listu, Almo Meillás, nie oznacza, że podjęłaś decyzję co do dalszych losów tego domu, pomyślała.

Wyznaczenie sobie na ten dzień konkretnego zadania wprawiło ją w dobry nastrój. Takie przynajmniej miała wrażenie, gdy z pustym plecakiem i lekkim sercem szła drogą. Przez te kilka dni samotności nie miała zamiaru głodować. Upiecze zatem trzy pieczenie przy jednym ogniu – kupi coś do jedzenia, napisze list i wrzuci go do skrzynki – postanowiła, podchodząc zasapana pod górę.

Wybrała wąską polną drogę, tę samą, którą wczorajszej nocy przywiozła ją taksówka. Przez kilkadziesiąt metrów odprowadzały ją zielone sosny i kojąca cisza, do której nie była przyzwyczajona. Jej ulica w mieście w godzinach szczytu była istnym piekłem. „To minus mieszkania w centrum”, wzdychała matka, kiedy bolała

ją głowa.

Polna droga zaprowadziła ją do szosy. Jeśli uda się w lewo, dotrze do Porvenir, w prawo – do Mastán, nieco większego miasteczka. Dom Luisy znajdował się w połowie drogi między jednym a drugim.

Alma wahała się przez kilka sekund, nie mogąc się zdecydować, w którą stronę pójść. Przeważyło pragnienie zachowania anonimowości. Ruszyła w stronę Mastán, zanurzając się w rzadki lasek, przez który biegła droga.

Nagle z prawej strony wyłoniła się mała polanka. Alma zatrzymała się jak wryta. Nie wierzyła własnym oczom. Ile kapliczek mogło się znajdować na drodze łączącej oba miasteczka? Po raz kolejny los rzucił kości, dając jej widoczny znak. Na niewielkim pagórku wznosiła się kwadratowa, kamienna budowla kryta dachówką. Pomyślała, że nic się nie stanie, jeśli rzuci okiem, czy to kapliczka, o której mówiła w swoim liście Rosa, kapliczka pod wezwaniem Matki Boskiej Rozmaryńskiej.

Nogi same poniosły ją w tamtą stronę.

Kosy aniołek wciąż strzegł drzwi – tak jak mówiła Rosa.

Alma zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że przenosi się w czasie sześćdziesiąt lat wstecz. Usłyszała uderzenia kropel deszczu o dachówki, zbliżające się chichoty dwóch dziewcząt i zgrzyt rowerowych łańcuchów.

Wyciągnęła przed siebie rękę w poszukiwaniu głowy aniołka, aby zastukać w furkę, podobnie jak to miały w swoim zwyczaju dwie przyjaciółki.

Jej przeraźliwy krzyk rozdarł ciszę.

Alma spodziewała się, że w dłoni poczuje zimno metalu, lecz dotknęła czegoś ciepłego.

Otworzywszy powieki, zderzyła się ze spojrzeniem równie przerażonym, co jej własne. Przeszył ją zielony błysk. Wpatrywały się w nią rozszerzone trwogą oczy jasnowłosego, niewiele od niej starszego chłopaka. Przed chwilą dotknęła jego czoła.

Zanim zdołała ochłonąć z przerażenia, chłopak czmychnął, jakby go diabeł gonił, niknąc w lesie za kapliczką. Alma spostrzegła, że w trakcie tej szaleńczej ucieczki coś mu wypadło z plecaka.

Pobiegła za nim, krzycząc, żeby zaczekał, ale ten przepadł już między drzewami.

– *Pod słońcem. Listy Bruce'a Chatwina* – przeczytała głośno.

Postanowiła poczekać kilka minut w nadziei, że może właściciel tego kieszonkowego wydania wróci. Tymczasem nie mogła oprzeć się pokusie, by

zajrzeć do środka.

Jakiś czas temu przeczytała *W Patagonii* tego samego autora, bardziej znęcona nimbem sławy otaczającym jego piarstwo niż samym dziełem. W początkach lat siedemdziesiątych Chatwin przeprowadził wywiad z Eileen Gray, dziewięćdziesięcioletnią architektką i projektantką. W jej paryskiej pracowni odkrył wspaniałą mapę Patagonii, którą namalowała sama Gray. Chatwin wyznał jej, że zawsze marzył o podróży na południe Argentyny. Staruszka przyznała, że ona również, i zwróciła się do niego z ekscentryczną prośbą: „Pojedź tam za mnie”. Niewiele myśląc, najznamienitszy i najbardziej kontrowersyjny pisarz i podróżnik dwudziestego wieku wyruszył do Ameryki Południowej. Z przełożonymi pożegnał się lapidarnym telegramem: „Jestem w Patagonii”. Spędził tam blisko sześć miesięcy i napisał książkę o swoim pobycie w tym odległym zakątku. Wiele lat później część tamtejszych mieszkańców podważyła autentyczność niektórych relacji Chatwina, twierdząc, że wysłał je z palca.

Alma otworzyła książkę na przedmowie i natknęła się na wypowiedź Elizabeth, żony autora: „Listy to najżywsza forma pisarska”<sup>2</sup>. Nieco dalej jeden z wydawców przyznawał, że „Bruce Chatwin z listów jest mniej pewny siebie, bardziej wrażliwy, a przez to ludzki”<sup>3</sup>.

Czy tak się dzieje zawsze, kiedy piszemy list? – zastanawiała się Alma, wodząc oczami koloru miodu po belkach podtrzymujących dach kapliczki.

Śmiechy gromadki dzieci wychodzących ze szkoły przypomniały Almie, że zrobiło się późno. Czekala na zielonookiego chłopaka dłuższą chwilę. Gdy już pogodziła się z myślą, że pochłonał go las i nie zamierza zawrócić, wyruszyła w dalszą drogę.

Dotarwszy do Mastán, najpierw odszukała trafikę, gdzie kupiła papier, kopertę i znaczki. Potem wstąpiła do sklepu spożywczego.

Z plecakiem pełnym zapasów krążyła po miasteczku w poszukiwaniu jakiegoś szczególnego miejsca, w którym mogłaby wypełnić ostatnie zadanie dnia. Napisanie listu wymagało adekwatnej scenarii.

Kawiarnia, z której okien patrzyła na biegnących chłopców, zdawała się przestrzenią wymarzoną do tego celu. Stolik z marmurowym blatem wspierał się na nogach z kutego żelaza, wokół których pośród lilii baraszkowały figlarne wróżki.

Najwyraźniej jednak kapryśnych muz nie kusila ta stara kafejka. Chociaż Alma usilnie je przyzywała, nie chciały się zjawić.

Powróciła do leżącej przed nią kartki papieru. Musnęła ją kilka razy stalówką pióra, jakby chciała obudzić słowa uspięne pod celulozową bielą.

Jak to możliwe, żeby tak trudno było napisać anonimowy list?

2 B. Chatwin, *Pod słońcem. Listy*, wybór i redakcja E. Chatwin i N.

Shakespeare, tłum. J. Kozak, Świat Książki, Warszawa 2010.  
3 Tamże.

Alma

*Mastán k. Porvenir, 12 listopada*

*Droga Maro,*

*czy wierzy Pani w przypadki? Bo ja nie.*

*I właśnie dlatego kreślę do Pani tych kilka słów.*

*Zawsze o tym marzyłam. Jakże wiele razy w myślach zwierzałam się Pani z moich smutków, prosząc o zbawienną radę albo gratulując jej sukcesów. Kiedyś nawet śniło mi się, że przesyłam Pani pytania egzaminacyjne, prosząc o podpowiedzi! Wiem, był to przejaw arogancji z mojej strony...*

*Ale dopiero dziś mój mały kosmos połączył wszystkie elementy, aby to pragnienie mogło się ziścić. Jak powiedział Schopenhauer: „Los tasuje karty, a my nimi gramy”. Kilka godzin temu, również pocztą, otrzymałam asa i zdecydowałam się postawić wszystko na jedną kartę.*

*Kim jest gracz piszący te słowa? Alma Meillás. Kobieta, według dowodu osobistego, dwadzieścia trzy lata i niespełna czterdzieści osiem godzin. W moim curriculum można przeczytać, że byłam kasjerką w sklepie z ciuchami dla dzieci i że skończyłam filologię. W opinii moich rodziców – wyrodna córka, która zniknęła z domu bez słowa. Według serca – marzycielka śniąca o pisaniu wierszy, chociaż przed Panią wstyd mi się do tego przyznać.*

*Przed Panią, Marą Polsky, moją ukochaną poetką. Największą.*

*Kocham poezję, odkąd sięgam pamięcią.*

*Po kryjomu połknęłam wszystkie domowe książki, jakie wpadły mi w ręce. Przyznaję, że nie było ich zbyt wiele. Czy raczej nie było zbyt wiele wartych przeczytania. Ale kiedy człowiek jest głodny, nie wybrzydza. Mój ojciec jest adwokatem dwadzieścia cztery godziny na dobę, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Myśli, mówi i zachowuje się jak adwokat. Jego jedyna lektura to książki prawnicze i artykuły socjologiczne. Od czasu do czasu oddaje się swojemu małemu nałogowi, pozwalając sobie na jakiś kryminał z prywatnej biblioteczki, zawsze mający związek z procesami sądowymi i śledztwami. Uwielbia cytować świętego Tomasza: „Jeśli nie zobaczę, nie uwierzę”.*

*Na próżno mówić mu o natchnieniu, muzach, pasji czy rozpacz. To gorsze, niż rozmawiać ze ścianą, bo w jej przypadku można przynajmniej mieć nadzieję, że w końcu pęknie, jeśli będziesz krzyczeć ze wszystkich sił! Z moim ojcem, w którego*

*sercu tętnią wyłącznie prawa i obowiązki, to absolutnie niemożliwe.*

*Kiedy mówię, że chcę być poetką, pyta: „A jaki z tego pożytek?”. Pewnego razu usiłowałam bronić się zdaniem Rimbauda: „Żeby zmienić życie”. Jego odpowiedź pozostawiła mnie bez argumentów: „Zmieniamy świat, jeśli zabieramy się do jego zmieniania, a nie snując bezpłodne rojenia”. I zamknął dyskusję, mówiąc, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym dalej pasjonowała się poezją, ale mam sobie znaleźć praktyczne zajęcie, które pozwoli mi zarabiać na utrzymanie. „Coś pożytecznego”. A gdyby udało mi się znaleźć stałą i dobrze płatną pracę, tym lepiej.*

*Zgodził się na filologię, bo mama przekonała go, że po studiach będę mogła starać się o stałą posadę nauczycielki. Coś pewnego.*

*Proszę jednak nie myśleć, Maro, że matka ujęła się za mną i poparła moją miłość do literatury. Kiedy myślę o niej, przychodzą mi do głowy strofy Alfonsiny Storni: „Niekiedy matką mą kaprysy miotały, o wolności śniła, lecz zaraz jej oczy chmurą naciągały bezbrzeżnego smutku i w skrytości łkała”. Nie wiem, co to za tajemnica, ale jestem przekonana, że coś ją gryzie. Wyrzeczenie przepelniające ją goryczą. Albo ból tak straszny, że chce mi go zaoszczędzić. A może to tylko wygoda, takt... albo, co gorsza, zazdrość, że mam takie wielkie marzenie.*

*Wiem, że słowa te uzna Pani za grubą przesadę, ale jestem też pewna, że właśnie Pani może mnie zrozumieć. Kto, jeśli nie Pani? Ja zawsze Panią rozumiałam. Być może nie jej słowa – dzielą nas kilometry lat i przestrzeni! Ale uczucie rozpacz czy radości, którymi pulsowały.*

*Jak już wspomniałam, najpierw było czytanie. Na początku to mi wystarczało. Ale tylko na początku. Szybko zaczęłam gryzmolić nieskładne wiersze. Na domiar złego z błędami ortograficznymi! To było silniejsze ode mnie. Odnosiłam wrażenie, że cały otaczający mnie świat dyszy poezją, rymem. I że łącząc te wszystkie obrazy, stworzę wiersz.*

*Zdobywszy się na odwagę, zgłosiłam się ze swoimi pierwszymi próbami do wydziałowego kółka poetyckiego. Spotkałam tam podobnych do siebie marzycieli. Truliśmy się nawzajem. Po tym, jak wygrałam kilka konkursów uniwersyteckich, utwierdziłam się w przekonaniu, że jestem tą wybraną. W tajemnicy zaczęłam wysyłać swoje utwory na różne konkursy, do wydawnictw i czasopism literackich. Tymczasem po ukończeniu studiów wszystkie ochy i achy, jakich nie szczędzili mi koledzy i wykładowcy, uciły jak nożem uciął.*

*Nigdy nie dostałam odpowiedzi.*

*Pewnie pomyśli Pani: Może piszesz, bo chcesz publikować? Dla pieniędzy? Dla sławy? Nie, nie, nie!*

*Tworzę wiersze, bo śnią mi się słowa na jawie i piszę gorączkowo we śnie. Zna Pani strofę Conchi Méndez? Pewnie nie, bo pochodzi Pani z tak daleka. „Chciałabym i nie mogę być jak inni, którzy zaludniają świat i zwą się ludźmi:*

zawsze ten pocałunek w usta, pokrywający czyny, i na koniec... spokojnie umywają ręce”.

*Pisałam, piszę, ale... czy będę pisała?*

*Dwa dni temu skończyłam dwadzieścia trzy lata. Przypuszczam, że dla weteranki z sześćdziesięcioletnim stażem, takiej jak Pani, to tyle co nic. Proszę, aby wytężyła Pani pamięć i przypomniała sobie, jak się czuła Mara w dniu swoich dwudziestych trzecich urodzin. W jednym z wywiadów przeczytałam, że pierwszy rym napisała Pani wcześniej niż swoje imię i nazwisko. Dziennikarz zauważył, że jako metafora nie ma sobie równych. Pani odpowiedziała mu na to, że to nie metafora, ale fakt. Ja Pani wierzę. Jeśli już w wieku trzech lat tworzyła Pani poezję... to kiedy Pani poczuła, że właśnie poezji chciałaby się poświęcić bez reszty? W jakim wieku uświadomiła sobie, że może zatonąć w niej po uszy? Kiedy do Pani dotarło, że to już na zawsze?*

*Bardzo dawno temu odkryłam, że chcę być poetką. W dniu moich urodzin byłam o krok od wyrzeczenia się marzeń. I właśnie tego samego dnia w moje ręce trafił list polecony od notariusza, list, który udzielił mi moratorium, dał mi dodatkowy czas na przemyślenie wszystkiego. Moja babcia, świeć Panie nad jej duszą, zrobiła mi wyjątkowy prezent, zostawiając w spadku wielki rodzinny dom z kamienia. Jest tam mały ogród, a wokół nic, tylko łąki. Zakątek dla mnie.*

*Po raz kolejny pokłóciłam się z rodzicami, którzy za nic w świecie nie chcą się zgodzić, abym poświęciła się pisaniu. Niewiele myśląc, wsiadłam do pociągu. Przyjechałam tutaj, aby się zastanowić, co począć ze swoim życiem: czy mogę egzystować na marginesie poezji? Nie jestem pewna. Ale muszę też zdecydować, co zrobić z tym domem.*

*Tak wyglądały moje plany, kiedy zjawiłam się w Porvenir, ale zdaje się, że ktoś je odroczył.*

*Jeszcze tydzień temu wiedziałam o Porvenir, miasteczku, w którym nieoczekiwanie się znalazłam, zaledwie trzy rzeczy. Tutaj urodziła się moja babcia, ale jako młodziutka dziewczyna wyjechała za granicę. Po śmierci jej rodziców i wyjeździe bezdzietnego brata dom opustoszał.*

*Drugą rzeczą było to, że dom miał ogród i że jeden z pokoi pomalowany był na jasnyniebieski kolor. Jako pięcioletnia dziewczynka spędziłam tu kilka dni w wakacje. Przyjechałam z babcią. Tylko my dwie. Niewiele z tej podróży pamiętam. Tylko od czasu do czasu pojawiają się nagle przed moimi oczami sceny z tamtego pobytu. Nie myślałam o tym aż do dnia, w którym otrzymałam kopertę z dokumentami spadkowymi.*

*Po trzecie, wiedziałam, że właśnie tu zaszła się Mara Polsky, zupełnie w naszym kraju nieznana.*

*Na drugim roku studiów zjawiła się na naszym uniwersytecie pewna amerykańska dziewczyna. Przyjechała w ramach międzynarodowej wymiany. Los*

*chciał, że usiadłyśmy obok siebie. Któregoś dnia przyszła na zajęcia z podkrążonymi oczami. Powiedziała, że nie spała całą noc, bo poraziły ją swoim pięknem jakieś wiersze. Ukradkiem, jakby to był zakazany narkotyk, wsunęła w moją dłoń książkę obłożoną gazetowym papierem. Powiedziała, że jeśli chcę poczuć, że żyję, powinnam ją przeczytać. Było to bardzo stare wydanie pierwszego tomu poetyckiego autorki uznanej i cenionej we własnym kraju: „W szczelinach duszy”, autorstwa M.P. Tomik był szcztany, ale przez to podobał mi się jeszcze bardziej – niektóre strony nosiły ślady po rozlanej kawie czy herbacie, widać było na nich odciski palców, trąciły nie do końca zwietrzałymi zapachami. Zaczarował mnie. Od tamtej pory nic już nie było jak dawniej. Słyszę Pani głos nawet wtedy, gdy rozmawiam z kimś na ulicy.*

*Czy może Pani sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy dwa miesiące temu owa koleżanka ze studiów napisała do mnie maila z informacją, że M.P. wyjechała ze Stanów Zjednoczonych i ukryła się w jednej z małych dolin w mojej ojczyźnie? Zdumienie sięgnęło zenitu, gdy stwierdziłam, że nazwa tej doliny jest mi znana. Emile, bo tak ma na imię Pani rodaczka, wiedziała nawet, na jakim osiedlu mieszka poetka. Emile pracuje w suplemencie znanego czasopisma literackiego i nic się przed nią nie ukryje.*

*A więc tu jest Mara Polsky, tak blisko i tak daleko zarazem.*

*I wszystko to pozostałoby tylko pyszną anegdotą, którą można by opowiadać przyjaciółom, gdybym dzisiejszego ranka nie dostała fiołkowej koperty. To ona wprawiała w ruch całą maszynę. Po sześćdziesięciu latach milczenia ktoś postanowił napisać do mojej babki. Pierwszy raz od dwudziestu lat ktoś obudził się w opuszczonym domu. Aby mógł otrzymać list dostarczony właśnie dzisiaj? Ani wcześniej, ani później.*

*Przeczytałam ten list i pośród wielu innych poruszanych przez autorkę spraw, niemających tu nic do rzeczy, zwraca się ona z konkretną prośbą do tego, kto będzie czytał jej słowa.*

*Poczułam się częścią tej historii, ogniwem łańcucha o wiele ważniejszego niż moja osoba – i spełniłam tę prośbę. Dzielę się nią z Panią:*

*„Życie Sary, kobiety, którą mogłybyśmy być Ty czy ja, może lec w gruzach. Całkiem możliwe, że spotkałaś ją kiedyś – urodziła się i mieszka w naszym miasteczku. Ma trzech pędraków, ganiających po tych ulicach. Mimo iż jej życie nie jest usłane różami, zawsze ma dla wszystkich serdeczny uśmiech. A teraz jej zwierzchnicy chcą ją przenieść daleko stąd.*

*Po ponad stu latach Porvenir zostanie bez listonosza. W centrali twierdzą, że nie lubimy wysyłać i dostawać listów. Jak śmiać! Nie opowiadałabym Ci tego wszystkiego, gdybyś nie mogła pomóc Sarze i naszemu miasteczku. Jak to zrobić?*

*Bardzo prosto, tak jak to zrobiłam ja – napisz list. Nieważne, czy będzie długi, czy krótki, z błędami czy bez. Napisz list i wyślij go do innej kobiety*



*z miasteczka, bo ona na pewno zrozumie, jak ciężko jest wychować dzieci z daleka od swoich bliskich. Nawet jeśli jej nie znasz, podziel się z nią kilkoma chwilami Twojego życia. Wspólnymi siłami zbudujmy łańcuch ze słów, tak długi, aby dosięgnął stolicy, i tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać”.*

*Do kogo miałam napisać, jeśli nie do Pani? Wiedziałam to od razu. Nikt inny nie rozumiałby moich rozterek. Nie oczekuję od Pani rad. Ani odpowiedzi. Chociaż bardzo pragnęłabym otrzymać zarówno pierwsze, jak i drugie. Ale takie są reguły – na kopercie nie ma adresu nadawcy. Ten łańcuch dobrej woli działa wyłącznie do przodu. Proszę, niech go Pani nie przerywa.*

*Czy pomyślała Pani kiedyś, że w pewnym sensie zaciągnęła dług wobec swoich czytelników, którzy ją podziwiają i kochają? Proszę napisać choćby jedną linijkę dla Sary i w ten sposób wyrównać mały dług zaciągnięty u mnie, Pani bezwarunkowej czytelniczki. Zapłata, o jaką proszę, jest bez wątpienia o wiele wyższa od zaciągniętego długu. Ale przecież Pani serce i hojność są równie wielkie.*

*Te kilka godzin, które spędziłam na rozmowie z Panią, pisząc ten list, to najwspanialsze przeżycie, jakiego doświadczyłam w ostatnim czasie. Prawdziwy balsam dla mojej duszy. Dziękuję.*

*Zanim się pożegnám, chciałabym coś wyznać: Czy wie Pani, dlaczego kocham jej głos? Bo to krzyk głośny, mocny i jasny. Nie boi się Pani pisać o niczym, nawet o swoim strachu.*

*Obym, jak poetka Belén Reyes, mogła kiedyś wykrzyknąć: „Jestem tym, co czytacie, kurewskim wierszem / kosturem atramentu, na którym wspieram moją trwogę!”.*

*Na zawsze oddana*

*Alma*

*PS Proszę się nie martwić, nikomu nie powiem, że ukrywa się Pani tutaj. Ta tajemnica strzeżona jest w pewnym miejscu.*

## Dziobanie

W listach ludzie zdolni są mówić o czymkolwiek.

ERNST JÜNGER, cenzor korespondencji w Paryżu okupowanym przez nazistów

Nie, nie i do trzech razy nie! – powtórzyła kobieta w czerni z taką mocą, że wróbel dziobiący w ogrodzie odfrunął spłoszony.

Sara spojrzała na nią stropiona. Pusta torba zaczęła jej ciążyć, a kołnierzyk koszuli, do tej pory w miarę luźny, zdawał się zaciskać na jej szyi jak powróż na gardle skazańca. Od dwudziestu minut z okładem handryczyła się w drzwiach jedyne zamieszkałego domu na La Rosa de los Vientos, osiedlu na obrzeżach Porvenir. Nie przywykła do takich sytuacji.

Kiedy tego ranka w urzędzie pocztowym pojawiła się ta koperta, pomyślała, że to jakaś pomyłka. Poza sezonem na nowych osiedlach nie można było uświadczyc żywej duszy. Jej sąsiadka, Rosa, powtarzała zawsze, że kiedyś, kiedy była małym dzieckiem, o nadejściu wiosny informowały mieszkańców kwitnące czereśnie, teraz zaś, zapewne w wyniku zmian klimatycznych, sznur samochodów, które w piątkowe popołudnia pną się pod górę ku osiedlom.

Teraz był listopad. Jakie wiatry przygnały w tutejsze lasy to dziwne ptaszysko? – zastanawiała się Sara.

– Ale... czy na pewno pani Mara Polsky? – spytała, wolno wypowiadając słowa, jakby wciąż nie miała całkowitej pewności.

– Przecież nie dalej jak przed sekundą zaspokoiliam pani chorobliwą ciekawość – odparła zgryźliwie kobieta. – Czy może myśli pani, że w mgnieniu oka można się stać kimś innym? Jeśli wie pani, jak to zrobić, oddam duszę za zdradzenie tej tajemnicy...

– W takim razie ten list jest do pani – zawyrokowała listonoszka.

– Można by pokusić się o takie stwierdzenie – odparła kobieta, wykrzywiając usta w ironicznym grymasie, wyraźnie znudzona tą rozmową – skoro są tu moje imię i nazwisko. Napisane z błędem ortograficznym, co prawda. No, ale niech będzie, że ma pani rację. Nie bądźmy tacy pryncypialni na tym wygwizdowie.

– W takim razie powinna go pani przyjąć.

Sara wyciągnęła rękę tak energicznie, że o mały włos nie wraziła rogu koperty w dziurkę nosa adresatki.

Zawstydzona pochyliła głowę. Odkąd pracowała na poczcie, nigdy nie przytrafiła się jej podobna sytuacja. Gdyby ta kobieta nie miała siwych włosów do pasa i zmarszczek wokół ust, można by pomyśleć, że to mała dziewczynka. Mimo iż mówiła płynnie po hiszpańsku, jej akcent zdradzał, że jest cudzoziemką. Ubrana była w niezliczoną ilość czarnych łańców, wiszących na niej warstwami jak na strachu na wróble. Stała w progu na bosaka, a u kostek obu jej nóg pobrzękiwały dzwoneczki, które zbijały z pantałyku listonoszkę.

– I tutaj się z panią nie zgodzę, moja droga. Nie mam obowiązku go przyjmować. Czy pani wie, co oznacza słowo „obowiązek”? – Przeszyła Sarę inkwizytorskim spojrzeniem, będąc pewna odpowiedzi, zanim jeszcze sformułowała pytanie. Sara wzruszyła ramionami. Chciała tylko uwolnić się od tego listu, który już zaczynał parzyć ją w ręce. Jeśliby musiała w tym celu wysłuchać od deski do deski całego słownika, zgodziłaby się bez wahania. Nie potrafiła zrozumieć, co opętało tę obcą kobietę! Jakby koperta miała ją ugryźć, pomyślała. – Być obowiązany do czegoś przez prawo boskie, naturalne lub stanowione – zacytowała pyszałkowato cudzoziemka. – Jest pani kapłanką? Sędzią? I żeby nie było niedomówień, to nie moje słowa, tak twierdzi RAE4.

– RAE? – wymsknęło się listonoszce.

Wyraz twarzy Mary Polsky utwierdził ją w przekonaniu, że lepiej było milczeć.

– O bogowie! Jeśli oni, rdzenni mieszkańcy, sól tej ziemi, nie wiedzą, kto czy co to jest, to co ja mogę, biedna przybłęda? – ciągnęła fałszywym, łzawym tonem. – Nieszczęśni wasi poeci i pisarze! Na tym odludziu... – Nagły silny wstrząs wywołany czkawką przerwał jej wywód i sprawił, że oparła się o futrynę. Zaczepnęła powietrza, gotowa walczyć zajadle z wszystkimi i ze wszystkim, co ośmieliłoby się zakłócić tę, jak była przekonana, błyskotliwą diatrybę. – Myje, usztywnia, nadaje poloru. Kojarzy pani? – Spojrzała na Sarę wyzywająco, ale zaraz nowy atak czkawki rozdarł na pół jej zdanie. – Niech pani będzie łaskawa nie dzielić się ze mną swoimi przemyśleniami, że to jakoby promocja specyfiku do mycia podłóg czy eteryczne przesłanie modelki ze spotu reklamowego farby do włosów.

Czkawka targnęła nią ponownie i Mara wyrznęła głową o drewnianą futrynę, o którą wspierała się ramieniem. Niezdarnie potarła ręką bolące miejsce.

Przyjrzała się dłoni – między palcami dojrzała ślady krwi.

Sara się wystraszyła. Chciała coś powiedzieć, lecz napotkawszy lodowate spojrzenie Mary Polsky, przełknęła słowa.

Coś dziwnego i złowrogiego zawisło w powietrzu.

Mara Polsky okręciła się na pięcie i weszła do domu. Nie zamknęła za sobą drzwi, ale listonoszka nie odważyła się pójść za nią. Od progu mieszkanie wyglądało na nowoczesne, eleganckie i komfortowe. Nie przypominało barłogu

czarownicy.

Nagle ze środka dobiegł ją chrapliwy krzyk:

– Rób, co ci się żywnie podoba! Ma pani szczerą ochotę podrzucić mi tę nieszczęsną epistołę – jestem za. Możesz też ją spalić... albo zmiatać stąd do wszystkich diabłów i zapomnieć o moim istnieniu. Przede wszystkim wymazać mnie z pamięci. Mnie tu nie ma, słyszysz? Nie widziałaś mnie, nie istnieję. I niech ci nie przyjdzie do mózgowicy popędzić zaraz z wypiekami na twarzy do sąsiadek rajfurek i wypaplać, że posiadałaś wielki sekret o Marze Polsky przyczajonej w tej pipidówie.

Sara usłyszała odgłos głuchego uderzenia.

Niewiele myśląc, wpadła do środka. Zaskoczyła ją duszna woń zatechłego powietrza. Na dworze był piękny dzień, na błękitnym, bezchmurnym niebie świeciło słońce. A wewnątrz panowały półmrok i chaos.

Z korytarza wbiegła prosto do salonu. W głębi ujrzała wielkie schody, za którymi zdawał się ciągnąć korytarz. Cudzoziemka klęczała na kolanach – na pierwszym stopniu – z głową opadającą na piersi.

Po raz pierwszy od wielu lat Sara, z natury zdecydowana i pewna siebie, nie wiedziała, co robić. Podejść do kobiety i sprawdzić, co jej jest? Pomóc jej wstać? Czy może, jak sama gospodyni sobie życzyła, zostawić list i zabierać się stąd w podskokach?

Przez chwilę biła się z myślami, a tymczasem Mara sprawiała wrażenie, jakby z wolna odzyskiwała siły. Wyciągnęła przed siebie ręce jak lunaticzka i chwyciła się balustrady. Z trudem dźwignęła nieposłuszne ciało. Nie patrząc za siebie, rozpoczęła wspinaczkę. Przejawiała takie zacięcie i wkładała w nią tak wiele wysiłku, iż można by sądzić, że ma do pokonania Himalaje, a nie trzydziestostopniowe schody.

Mruczała coś do siebie, aż w końcu przepadła gdzieś na piętrze – słychać było jedynie pobrząkiwanie dzwoneczków u jej stóp, zdających się gorliwie przyznawać jej rację.

Pozostawiła po sobie tylko smugę, która Sarze wydała się dziwnie znajoma: były to te same perfumy o zapachu whisky, jakimi się raczyły ochlaptusy z baru El Círculo, najstarszego wodopoju w miasteczku.

Już miała się obudzić z tego czegoś, co wydawało się jej groteskowym snem, kiedy z oddali usłyszała pohukiwania Mary:

– Jako rzekł Unamuno: Zwycięzycie, ale nie przekonacie! Ty, która frymarczysz i zarabiasz na życie cudzymi słowami, czy ty wiesz, jaka jest ich prawdziwa wartość? Dla ciebie – groch na talerzu. Koniec i kropka.

Potem zapadła cisza i po chwili Sara usłyszała chrapanie. Sen był silniejszy od koktajlu gniewu i alkoholu. W całym domu zapanował niepewny, kruchy spokój.

Sara uznała, że to dobry moment do odwrotu. Nie chciała być bohaterką poległą podczas wykonywania obowiązków służbowych. Nie miała zielonego pojęcia, kim jest Mara Polsky, i wątpiła, aby tę wiedzę posiadały jej koleżanki. Jednego była pewna, tego mianowicie, że ta pijaczka najwyraźniej miała nierówno pod sufitem.

Jeśli adresatka nie chce przyjąć listu, odeśle się go do nadawcy. Dopiero teraz, odwróciwszy kopertę, zorientowała się, że takowego nie było. Będzie musiała zatem zostawić list w urzędzie.

Dziwne, pomyślała. Widać, że rodzaj koperty został wybrany świadomie: papier był gruby, z włóknami kwiatów czy drobnusieńkich gałązek. Adres wpisała bardzo ładnym charakterem pisma osoba wykształcona – odgadła – dumna ze swego oka, wyrobionego przez lata praktyki. Jak to możliwe, że ktoś tak pedantyczny zapomniał podać swoje imię i nazwisko?

Za kogo się uważa ta rozczochna wiedźma, zachnęła się Sara. Nie była pospolitym handlarzem słów, potrafiła odróżnić dziesiątki rodzajów papieru, a nawet odgadnąć, z niewielkim marginesem błędu, ile gramów waży. Na podstawie koloru tuszu przepowiadała, czy list został napisany świeżo, czy dawno temu. Umiała nawet rozpoznać, czy nadawca był mężczyzną, czy kobietą, z wykształceniem czy bez, w podeszłym wieku czy młody... Czy ta bździągwa miała o tym pojęcie? Czy kiedykolwiek wygrała konkurs wiejskich listonoszy, w którym trzeba wykazać się wiedzą na ten temat i na temat mnóstwa innych rzeczy?

– Alkoholicy są nieprzewidywalni – mruknęła pod nosem bez złości.

Później ruszyła ku wyjściu. Chciała jak najszybciej ulotnić się z tego domu. Drzwi wciąż były otwarte. Przechodząc obok salonu, nagle zmieniła zdanie. Pośród poduszek bezładnie rozrzuconych na sofie coś niewielkiego zdawało się poruszać. Mysz? – pomyślała bez cienia lęku.

Podeszła bliżej, wykonując slalom pomiędzy pus-tymi butelkami, zagryzmołonymi kartkami papieru, pełnymi skreśleń, i książkami porzuconymi na środku parkietu.

– To ci dopiero... – szepnęła, zaskoczona, i dodała tkliwie: – Kogo my tu mamy?

Usłyszawszy ciepły głos, pisklak wróbla rozdziawił dzióbek i spróbował zaświergolić. Sara wyciągnęła ku niemu wskazujący palec i pogłaskała nieopierzony łeppek.

– Jaki z ciebie skrzat. Jeszcze nawet nie umiesz otworzyć oczu...

Wróbelek zdawał się uspokajać pod wpływem pieszczot i nastroszył piórka. Pomieszkiwał sobie w pudełku po butach wymoszczonym drogą jedwabną bluzką. Gospodyni zadała sobie sporo trudu, aby uratować to bezbronne stworzonko.

– To ci dopiero – westchnęła listonoszka. – Wiedźma z dobrym sercem. –

Uśmiechnęła się, spostrzegłszy obok ptaszyny butelkową nakrętkę wypełnioną wodą i okruchami chleba. Przechylając głowę na bok, wyszeptwała: – Ech, ty nicponiu, przygarnęła cię stara wyga, której wydaje się, że pozjadała wszystkie rozumy, ale o pisklętach nie ma bladego pojęcia.

W jej małym mieszkanku nietrudno było odgadnąć rozkład pokoi, ale tu kosztowało ją sporo trudu, żeby znaleźć łazienkę.

Dotknąwszy dzióbkiem zwilżonego wacika, pisklę desperacko wyciągnęło drobniutką szyję. To pewnie pierwsze krople wody od wielu godzin, pomyślała Sara, pojąc jak z kroplówki spragniony dzióbek.

– Nie tak łapczywie, zachłyśniesz się! No dobrze, a teraz dostaniesz jeść. Czeka cię prawdziwa uczta, co ty na to? Pyszny robaczek znaleziony w ogrodzie. Wygląda apetycznie, prawda?

Pisklak chyba podzielał zdanie Sary, połknął bowiem pędraka w mgnieniu oka.

Listonoszka znów go pogłaskała. Zrobiło się jej go żal. Wiedziała, że nie miał zbyt wielu szans na przeżycie. Kiedy była mała, na szkolnym dziedzińcu znalazła młodego ptaszka, który wypadł z gniazda. Z wielkim wysiłkiem wspięła się na drzewo, żeby włożyć go z powrotem. Tamtej nocy zasnęła szczęśliwa, ciesząc się, że uratowała życie bezbronnej kruszynie. Nie przypuszczała, że następnego dnia znajdzie go martwego pod drzewem. Miał zmasakrowaną główkę od uderzeń dzioba. Stracił oko, a jedno ze skrzydeł, złamane, zwisało żałośnie. Zanosząc się od płaczu, z ciałem martwego ptaszka w dłoniach, pobiegła do nauczyciela przyrody, szukając wyjaśnienia tej tajemniczej śmierci. Czyżby zjawił się tu orzeł mieszkający w górach? A może sprawcą był jakiś gołąb rozzłoszczony tym, że dzieci rzucały więcej okruchów wróblom? Nauczyciel pogłaskał ją po główce, tak jak Sara pisklaka. Jego słowa miała zapamiętać na całe życie: „Matka wyczuła twój zapach, zapach człowieka, i odtrąciła go. Nie lubi nas”. Sara rozpacziała przez dwa dni. Może gdyby wzięła go do domu, uratowałyby mu życie? Podzieliła się swoimi wątpliwościami z nauczycielem, ale ten odparł, że tak czy inaczej, szanse ptaszka były znikome. Nie zależało to od niej, ale od skrzydeł samego pisklaka, wyjaśnił łagodnie.

– Teraz już wiesz: od twoich własnych skrzydeł zależy, czy wyfruniesz stąd na wolność, gdy nabierzesz dość sił!

Zanim wyszła, raz jeszcze omiotła wzrokiem salon.

List leżał na sofie, obok pudełka na buty. Rozczulił ją ten dobry uczynek cudzoziemki. Powinna chyba dać jej jeszcze jedną szansę. Jeśli ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby wybrać tak piękną kopertę i zaadresować ją tym pięknym charakterem pisma, list mógł zawierać tylko serdeczne słowa. A było oczywiste, że

tego właśnie brakowało tej pustelnicy. Koniec końców, pomyślała, próbując przezwyciężyć opory, jeśli nie chce czytać tego listu, może go wyrzucić do kosza bez otwierania.

Pisklę zapadło w słodką drzemkę. Obok listonoszka ułożyła zestaw pierwszej potrzeby – watkę nasączoną wodą oraz pudełko po zapalkach z dwoma insektami ze świeżej dostawy. Zostawiła też związaną notkę: „Może też jeść rozgniecione ziarenka. Ważne, żeby miał ciepło, wystarczy oświetlić go z bliska na przykład nocną lampką”.

Z jakiegoś powodu – dumiała – Mara Polsky nienawidziła listonoszek, ale okazywała współczucie wróblom. Jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało, powyższe uczłowieczało w oczach Sary tę ekscentryczną kobietę. Można było to uznać za swoiste odkupienie win.

Wróciwszy do biura, zabrała się do wypełniania formularzy dla centrali. Nie cierpiała tego zajęcia. Została listonoszką, bo uwielbiała wychodzić na ulicę i rozmawiać z ludźmi, a nie po to, żeby tkwić godzinami przed ekranem komputera i tracić wzrok. Jednak jej przełożeni wierzyli w dobrodziejstwa kontroli absolutnej, obejmującej codzienne poczynania podwładnej z dokładnością co do godziny.

Włączyła komputer. Na monitorze niemal natychmiast pojawiła się informacja o nadejściu wiadomości na czacie.

Nie musiała jej czytać, żeby wiedzieć, kto do niej napisał, jak codziennie, punktualnie o dwunastej w południe.

CASTAWAY 65: Habemus słońce?

SARA: Cudowne! Olśniewające! Ani jednej chmurki na niebie.

CASTAWAY 65: Masz ci los! To niehumanitarne znęcać się w tak okrutny sposób nad nieszczęsnym mieszkańcem krainy ciemności...

SARA: Skąd! Mówię o tym, bo chcę się z Tobą podzielić tym pięknym widokiem. Ale, ale, smacznego!

CASTAWAY 65: Dziękuję. Wiesz, że od trzech miesięcy pora obiadowa jest moją ulubioną.

SARA: A to z jakiej przyczyny?

CASTAWAY 65: Bo w „mamrze” ewidentnie poprawił się wikt. Od dziewięćdziesięciu dni, baaardzo od czasu do czasu, między zupą czy ryżem można upolować kawałek kurczaka. Ziemia na horyzoncie! To oczywiście zwykła fatamorgana, następnego dnia wracają na stół ławice ryb.

SARA: Biedaczek... Szanowny Pan nie przepada za świeżym, norweskim łososiem? Tutaj nie możemy go posmakować nawet na Boże Narodzenie... Co ja

bym dała, żeby spróbować choćby kawaleczek!

CASTAWAY 65: Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, Pani. Zapraszam Cię na kolację. Wyznacz tylko dzień i godzinę.

SARA: 😊

CASTAWAY 65: I znowu dumny konkwistador dostał na odlew wulgarnym emotikonem.

SARA: Gdybym się zgodziła, dokąd byś mnie zabrał?

CASTAWAY 65: Do najlepszej restauracji specjalizującej się w łososiach.

SARA: Jak wygląda?

CASTAWAY 65: Bardzo malutka, pięć stołów zaledwie. Położona między drzewami na brzegu jeziora. Odwiedzają ją zakochane pary i jest idealna na romantyczny wieczór.

SARA: Zwolnij, CASTAWAY 65. Nikt tu nie wspominał o randce. Wyłącznie o zaproszeniu na kolację.

CASTAWAY 65: Ach tak? A więc płacisz Ty? Ekstra. W takim razie walimy do restauracji pięciogwiazdkowego hotelu.

SARA: Jesteś okropny. 😊

CASTAWAY 65: To samo mówiła mi mama, kiedy byłem mały. Dlatego złapała mnie za ucho i postawiła w tym kącie, żebym gruntownie przemyślał swoje postępowanie.

SARA: ...

CASTAWAY 65: I dalej tu sterczę, za karę. 😊

SARA: Czemu uważasz, że za karę? Mnie życie na platformie wiertniczej wydaje się emocjonujące.

CASTAWAY 65: Skoro tak Ci się wydaje... Szczerze mówiąc, to tragicznie nudna fucha. Przez sześć bitych godzin siedzę i patrzę w horyzont jak sroka w gnat... w całkowitej ciemności. Po obiedzie wracam na posterunek na kolejne trzy godziny. Jutro to samo i pojutrze...

SARA: Co ja bym dała, żeby móc codziennie popatrzeć chwilkę na morze!

CASTAWAY 65: Wszystko jedno, Saro, czy to morze, czy centrum Nowego Jorku. Dla mnie to nie ma znaczenia. Przez sześć miesięcy panują tu egipskie ciemności. Takie są zimy w Norwegii. Tak to wygląda dzień po dniu na platformie. Wiem, że trudno to sobie wyobrazić.

SARA: Opowiem Ci o czymś, chcesz?

CASTAWAY 65: Cała naprzód, marynarzu! Wracam do kieratu za dwie minuty.

SARA: Pamiętasz, że chcieli mnie przenieść, bo nie było listów do doręczania?

CASTAWAY 65: Tak, mówiłaś o tym mailu od bossów.



SARA: Nie uwierzysz, co się stało. Od tamtego dnia coś drgnęło i zaczęły przychodzić listy.

CASTAWAY 65: Jak to?!

SARA: A tak. Dzisiaj doręczyłam już drugi. W każdym razie to trochę dziwne...

CASTAWAY 65: Dlaczego?

SARA: Ani na jednej, ani na drugiej kopercie nie było adresu nadawcy, ale sprawiały wrażenie niezwykłych. Ktoś zadał sobie wiele trudu, aby wybrać ten, a nie inny kolor, papier... I charakter pisma był bardzo staranny...

CASTAWAY 65: Myślisz, że to ta sama osoba?

SARA: Nie. Pisały dwie różne osoby, to na pewno.

CASTAWAY 65: No, moja droga, skończyła się duża przerwa. Kapitan mnie wzywa.

SARA: Odezwiiesz się jutro?

CASTAWAY 65: Powinienem się obrazić za ten znak zapytania.

Ekran oniemiał, litery już się nie pojawiły, ale Sara patrzyła weń jeszcze przez dobrą chwilę. Poznała Fernanda dwadzieścia lat temu. Pracował w sąsiednim miasteczku w firmie zakładającej centralne ogrzewanie. W ciągu pięciu lat niezliczoną ilość razy odwiedzał pocztę w Porvenir. Wciąż psuł się jedyny kaloryfer Sary.

W tamtym czasie jeszcze była zamężna i marzyła o idealnej rodzinie. Z mety się zaprzyjaźnili. Fernando był wesołym i nastawionym pozytywnie do życia chłopakiem, zawsze miał na podorędziu jakiś komplement. Pewnego dnia wyznał jej, że zaczyna się tu dusić w tych górach. Jego kuzyn pracował w Norwegii na platformie wiertniczej i załatwił mu sezonową pracę.

Kilkumiesięczny w początkowych planach wyjazd przedłużył się do dziesięciu lat. W międzyczasie Sara urodziła dzieci, rozwiodła się, wróciła do swoich rodziców... ale wciąż pracowała na poczcie.

Stracili kontakt, aż tu nagle, trzy miesiące temu, dostała od niego maila.

Fernando musiał załatwić jakieś papierkowe sprawy i przypomniał sobie o listonoszce. Może mogłaby mu pomóc: na poczcie w rodzinnym mieście zawieruszył się odpis jego aktu urodzenia. Był mu potrzebny do przedłużenia pozwolenia na pobyt. Czy mogłaby mu pomóc go odnaleźć?

Sara nie zastanawiała się nawet sekundy. Nie miała wówczas zbyt wiele do roboty, a poza tym ciepło go wspominała.

I tak, krok po kroku, odnowili kontakt. Sara wysłała Fernandowi nowy odpis, a ten odpowiedział jej podziękowaniami. Z poczty elektronicznej przerwali się na mniej formalny czat. Od lat tyle się nie śmiali, chociażby tylko z pomocą

uśmiechniętych buziek. Z początku kontaktowali się co dwa, trzy dni. Gdzieś od półtora miesiąca – codziennie.

Sara miała wrażenie, że zapach morza wypełnia małą pocztę. W sercu poczuła łagodny powiew bryzy.

4 Real Academia Española – Hiszpańska Akademia Królewska (przyp. tłum.).

## Mara Polsky

*Porvenir, 19 listopada*

*Do nieznajomej.*

*Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem, czym się zajmujesz, i prawdę powiedziawszy, guzik mnie to obchodzi.*

*W tej chwili nie za bardzo wiem, kim sama jestem.*

*Nazywam się Mara Polsky. A raczej tak mnie nazywają. Nie mówiłam do siebie od ponad pół wieku. Kiedy byłam mała, ściśnięta w tłumie ludzi w schronie przeciwlotniczym, rozmawiałam sama ze sobą, aby wypełnić czymś długie godziny oczekiwania. „Wszystko będzie dobrze, Mareńko”, pocieszałam się. Śpiewałam sobie piosenki, sama się usypiałam, strofowałam... Opowiadała mi o tym później moja matka.*

*Czy to znaczy, że jestem Marą Polsky? Czy Mareńką? A może jedną spośród tysiąca istot stłoczonych w schronie? Nie wiem tego na pewno. Jesteśmy imieniem i nazwiskiem? Czy może czymś więcej, czymś, czego nie sposób zdefiniować ani nazwać?*

*Gdy przyszedłam na świat, moi dziadkowie chcieli, abym nazywała się Sara, Ruth albo Judith. Żydowskie imię, jak przystało na Żydówkę, twierdzili. Dziadkowie mi nieznani, ponieważ rodzice uciekli z nazistowskich Niemiec, w których ich przodkowie schronili się, uciekając przed straszliwym głodem. Czy jestem Żydówką? Tego też nie odważyłabym się jednoznacznie stwierdzić. I nie dlatego, że moja przerażona matka za wszelką cenę starała się zatrzeć jakikolwiek ślad demaskujący moje pochodzenie, poczynając od imienia, jakby za pomocą tego prostego zabiegu można było wymazać całe nasze drzewo genealogiczne. Postanowiła, że będę się nazywać Mara, czemu ojciec nie potrafił się przeciwstawić. Nie uważam się za Żydówkę, bo nigdy nie czułam się ani nie zachowywałam jak Żydówka. Imię nie ma tu nic do rzeczy.*

*Abyś mogła mnie lepiej zrozumieć, zacytuję słowa poety, którego wydała Twoja ziemia:*

*„Zedrzyj z siebie ubranie / zerwij znaki, portrety; / ja Ciebie takiej nie kocham, / przebranej za inną, / zawsze córki czegoś. / Ja Cię kochać chcę czystą i wolną, / niezłomną: Ciebie. / Wiem, że gdy Cię zawołam, / pośród ludzkiego mrowia / tylko Ty będziesz Tobą. / A kiedy mnie zapytasz, / kim jest ten, co Cię*

*wola, / ten, który Cię pragnie takiej, / pogrzebię imiona, / szyldy, historię. / Wniwecz obróćę, / co mi nakładli do głowy, / jeszcze nim światło dzienne ujrzałem. / I powróciwszy w odwieczną / bezimienną nagości, / kamienia, świata, / wówczas Ci powiem: / «Kocham Cię, oto ja»”.*

*Ileż prawdy w słowach Salinasa? Nie sądzisz?*

*Moi rodzice mieli dobre serce, ale byli krótkowzroczni. Postanowili uciec do Francji, której inwazja nastąpiła zaledwie kilka miesięcy później, trafili więc z deszczu pod rynnę, wprost pod nazistowską okupację, a potem w łapy kolaboracyjnego rządu Vichy. Nie wiedzieli, że antysemicki rak przerzuci się i tam. Straciliśmy już wszelką nadzieję, kiedy pewnego dnia zdołaliśmy jednak dostać się na statek, który zabrał nas do Nowego Świata.*

*Podczas tej podróży właśnie zaczęła się snuć nić, która dziś przywiodła mnie do Porvenir. Któż mógł przypuszczać, że będzie aż tak długa...*

*Na statku rodzice poznali nauczyciela Ramóna, republikanina, który uczył w miejscowych szkołach. Jeśli Twoja rodzina wywodzi się stąd, może będziesz wiedziała, o kim mówię. Uciekał, jak my. Więzy przyjaźni zadziergnięte w czasie tamtej transatlantyckiej przeprawy okazały się na tyle silne, że odziedziczyło ją następne pokolenie.*

*Z biegiem lat Ramón rozkręcił dobrze prosperujący interes. Im był bogatszy, tym mocniej tęsknił za rodzinnymi lasami. Na łożu śmierci wymógł na swoich dzieciach przyrzeczenie, że kupią w tych stronach dom i raz na jakiś czas będą tu przyjeżdżać. Pierwszą obietnicę wypełnili co do joty. Drugą – tyle o ile. Marisa i Ramón junior są moim rodzeństwem, którego nie miałam. Zaniepokojeni moim kiepskim samopoczuciem zaproponowali, abym wybrała się do ich domu, w którym nie zdążyli jeszcze zagościć. Wciąż dźwięczą mi w uszach ostatnie słowa mojej przybranej siostry, z którymi pożegnała mnie dwa tygodnie temu: „Jeśli istnieje raj, znajduje się w Porvenir. Tak zapamiętał to miejsce mój ojciec, a wiesz przecież, że on nie zwykł popadać w przesadę. Tam odnajdziesz siebie”.*

*W ciągu tych kilku tygodni rejsu zarówno w łonie mojej rodziny, jak i rodziny Ramóna nastąpiły zmiany, które skryształizowały się po przybiciu okrętu do portu znajdującego się w zakątku Ameryki pełnym światła i kolorów. Na pokład wpełzaliśmy pod postacią robaków, a wyfrunęliśmy motylami. Byliśmy uciekinierami, teraz przeobraziliśmy się w emigrantów. Moja matka pozostała w kokonie i mentalnie nigdy nie zeszła na stały ląd. Meksyk jawił się jej jakimś niewyobrażalnym koszmarem i ojciec, jak zwykle niepotrafiący się sprzeciwić, postanowił kontynuować podróż do małego miasteczka w Minnesocie, gdzie mieszkała nasza daleka rodzina. Ot, historia, jakich wiele. Może i Twój krewny doświadczył podobnego losu.*

*Czy uważam się za emigrantkę? Chyba nie. Moja matka zawsze była uciekinierką. Ojciec, ciotki i wujowie, kuzyni... wszyscy oni czuli się emigrantami*

*do końca swoich dni. Marzyli o powrocie do kraju istniejącego wyłącznie w ich wyobraźni, do którego nie można było wrócić, ponieważ już nie istniał. Pamiętam, że zawsze starali się żyć cichutko, nie robiąc hałasu. Przemykali się chyłkiem swoją własną ulicą, jakby ich obecność tam była niepożądana lub wymagała jakiegoś specjalnego zezwolenia. Ja nigdy nie czułam się w ten sposób.*

*Mój kraj jest we mnie. To, czego dotyczą moje stopy, to tylko skrawek ziemi. Zjeździłam cały świat ze względów zawodowych, okoliczności życiowych i tylko na przejściu granicznym przypominałam sobie, że jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych. Tak przynajmniej napisane jest w paszporcie. Wbijają mi w nim stempel, czasami patrząc na mnie z wyraźnym zaciekawieniem, innym razem z podziwem, kiedy indziej z nienawiścią. To funkcjonariusze straży granicznej i dokumenty tak mnie określają, nie ja.*

*Alex – to imię kobiety. Wpadłam na Ciebie przypadkiem, kartkując miejscową książkę telefoniczną.*

*Czy to znaczy, że jesteś kobietą? Czy ja jestem kobietą? W zależności od tego, jak zdefiniujemy kobietę, mogłabym nią być lub nie. Wychowywano mnie jako dziewczynkę, która potem stała się kobietą. Miałam dwadzieścia pięć lat i widoki na wspaniałe życie. Studiowałam filozofię i literaturę na jakimś prowincjonalnym uniwersytecie. Bardzo szybko zaczęłam wybijać się ponad przeciętność.*

*Wspominając teraz tamten okres mojego życia, myślę, iż należałoby to raczej przypisać niedostatkom innych niż moim własnym zasługom. Ale wówczas czułam się kimś szczególnym: zaproponowano mi stanowisko asystenta profesora literatury północnoamerykańskiej. To przekraczało najśmielsze marzenia moich rodziców czy dziadków. Kiedy nie byłam w gabinecie czy na zajęciach, piekłam szarlotki, czytałam opowiadania starszkom w domu opieki, a w długie zimowe wieczory haftowałam razem z matką. Zaczęłam pisać pracę doktorską, prowadziłam zajęcia ze studentami i w dodatku wydałam pierwszy zbiór wierszy.*

*Nie pamiętam tytułu, ale choćbym go nawet pamiętała, nie zdołałabym go odnaleźć. Mam nadzieję, że szczęł z nudów w jakimś zapyziałym magazynie, wypełniony po brzegi ćwierkającymi ptaszkami, wschodami słońca i trzymającymi się kurczowo za ręce zakochanymi. Oklepane banały wydane drukiem.*

*Tak właśnie wtedy się czułam – szczęśliwa istotka płasząca pod różowym niebem. A na deser już, już miałam wyjść za chłopca ślicznego jak malowanie. Serio. Żeby nie być gołosłowną, mam fotografię. Gdy robiono to zdjęcie, byłam o krok od stworzenia bajkowej rodziny.*

*Zapytasz, gdzie w takim razie jest to „ale”. Mam rację? Jak to się stało, że kobieta z tak nieprzebranymi możliwościami gwarantującymi szczęście skończyła w czterech ścianach nowiutkiego, dziewiczego, żeby się tak wyrazić, domku, w miasteczku ukrytym pośród gór, wściekła i zalana w trupa. Bo taka się czuję: wściekła i narąbana. I pusta. Teraz i przez ostatnie dziesięć lat. A może i dłużej.*

*Z mojego pijackiego dystansu kalendarz jest albo niewidoczny, albo baaardzo niewyraźny.*

*Wspomniane „ale” to diagnoza lekarska i w jej konsekwencji – operacja. Jak to Wy nazywacie? Wypatroszyli mnie? Coś w tym stylu... W wieku dwudziestu siedmiu lat usunięto mi macicę i na zawsze pozbawiono możliwości bycia matką. Zaaplikowano mi dożywotnią bezpłodność. Zasklepiłam się w nowym kokonie i po jakimś czasie opuściłam go jako inna osoba. Tym razem „zeszłam na ląd” w Nowym Jorku, daleko od rodziny, od narzeczonego, który wcześniej czy później i tak zwiąłby gdzie pieprz rośnie od przykładowej nauczycielki, którą nigdy nie zamierzałam być.*

*Jak poczytałam sobie zatem przez prawie czterdzieści ostatnich lat mojego życia? Jako poetka.*

*Tak. Jeszcze kilka miesięcy temu uważałam to za jedyne określenie, jakim skłonna byłabym definiować własną osobę. Kim ona jest? Poetką. Jak się nazywa? Co za różnica! To ktoś, kto żyje poezją i dla niej umiera. Tak to czułam. I takie odczucie mieli inni: krytycy, członkowie jury przyznających nagrody, szefowie wydawnictw, dziennikarze piszący o kulturze... również czytelnik czy czytelniczka. Lubię mówić w liczbie pojedynczej o nim lub o niej. Moi czytelnicy nigdy nie byli baranami podążającymi za stadem. Nawet teraz, gdy pogrążona jestem w rozpacz, zasługują na mój absolutny szacunek. Łączy nas bezwarunkowa miłość do poezji.*

*Jeśli dotrwałaś do tego miejsca, jeśli ścierpiałas wynurzenia starej pijaczki, zasługujesz na to, by usłyszeć prawdę.*

*Z pewnością nie obchodzi Cię w najmniejszym stopniu ani też nie jesteś świadoma, że odkrywam się przed Tobą. Może jakaś gospodyni domowa, której jedyną lekturą są czasopisma z modnymi wykrojami, stanie się posiadaczką wielkiego sekretu współczesnej literatury, za który niejeden magazyn literacki gotowy byłby zapłacić słoną cenę.*

*Mara Polsky już nie jest poetką. Nominowana do Nagrody Nobla, pojawiająca się na okładce „New York Timesa”, uhonorowana dziesięcioma doktoratami honoris causa przyznanymi przez uniwersytety na pięciu kontynentach... już nie pisze. Nie może. Nie potrafi. Zapomniała, jak to się robi. Straciła dar.*

*Została wybebeszona po raz drugi.*

*Dlatego wylądowałam tutaj. Po ciemku. Ukradkiem. Sama. Jak wyraziliby się moi bracia chrześcijanie: pokutując za grzechy, których nie pamiętam. Żyłam, tak jak chciałam – nie narzucałam sobie żadnych norm. Nie sądzę jednak, abym miała choćby jednego wroga, abym kogoś skrzywdziła. Nikt nigdy z mojego powodu nie cierpiał, chyba że ja sama. Czy teraz sama sobie mam wymierzyć karę?*

*Może znów uwięzłam w kokonie, z którego wyłoni się nowa Mara Polsky. Byłam Żydówką, dzieckiem wojny, uciekinierką, emigrantką, szczęśliwą*

*narzeczoną, nauczycielką... Powinnam również powiedzieć, że byłam poetką? W czasie przeszłym?*

*Żyję wyłącznie, kiedy piszę. Zostanę skazana na bląkanie się po świecie jak duch przez ostatnie dwadzieścia lat mojego życia?*

*Tonę w ciemności i ciszy.*

*Ale nie jestem samotna.*

*Ty jesteś ze mną – bez względu na to, kim jesteś. I czym się zajmujesz. Bez względu na to, jak Cię zwą.*

*Jest też i Alma, młodziutkie dziewczątko, które pomyślało o mnie i potrafiło dokopać się do mnie w moim kokonie. Napisała mi list i przypomniała kogoś, kogo znałam przed wielu, wielu laty. Studentkę pewnego prowincjonalnego uniwersytetu, zaczerniającą papier słowami o ptaszkach i chwytających za serce zachodach słońca, i marzącą jednocześnie o tym, aby któregoś dnia ujrzyć swoje wiersze drukiem, nie zastanawiając się przez sekundę, czy są coś warte i czy jej agentowi uda się je sprzedać, czy jakiś wydawca zgodzi się je kupić, czy jeszcze kiedyś dadzą jej za nie nagrodę...*

*Alma ma dwadzieścia trzy lata. W jej życiu szykuje się zmiana i pewnie sama nic o tym nie wie, jak to się zdarzyło mnie, kiedy byłam w jej wieku. Marzy o poezji. Jak oderwać oczy od jej listu, kiedy już raz zaczęło się go czytać?*

*Przypłatała się też ta przekłeta ruda listonoszka, która parę dni temu wytrąciła mnie z równowagi. Może to Twoja przyjaciółka? W takiej małej dziurze wszystko jest możliwe! Jest trochę przy kości i twarz ma usianą piegami, wygląda, jakby była czymś umazana. To ona ponosi winę za to, że piszę do Ciebie ten list, który swoją drogą jest pierwszą rzeczą, jaką piszę od niepamiętnych czasów. Choć to nie wiersz.*

*Czy to znaczy, że będę musiała podziękować tej wścibskiej donosicielce listów?*

*Jest sprawczynią tych słów z wielu powodów.*

*Po pierwsze, przypałała się do domu, w którym nikt nie mieszka, i waliła nachalnie w drzwi. Czy ujrzawszy list z tak dziwnym nazwiskiem i adresem niezamieszkałego domu, nie powinna była po prostu zwrócić go tam, skąd przyszedł? To prawda, na kopercie nie było nadawcy, ale... czy nie istnieje jakiś specjalny worek, coś w rodzaju zbiorowej mogiły? To znaczy worek, w którym ładowałyby trupy listów, o które nikt się nie upomina, aż rozpadną się w proch lub zjedzą je wszystkożerne szczypawki.*

*Jeśli taki worek nie istnieje, należałoby go wynaleźć.*

*Tak czy owak, ta listonoszka przywlekała się i zadudniła w drzwi. Bładym świtem! Spałam jeszcze, bo taki miałam kaprys. Ja urzęduję w nocy, a śpię w dzień. I co? Zamkną mnie za to czy co? A tak nawiasem mówiąc, to czy hiszpańskiego urzędnika nie uczą dobrych manier?*

Wyrwała mnie z głębokiego snu. Przyczepiła się, żebym przyjęła list. W głowie się nie mieści! Jadę na drugi koniec świata, żeby nie rozmawiać ze znajomymi, i okazuje się, że muszę to robić z ludźmi, których nigdy nie widziałam na oczy. Tylko dwie osoby, na których mi zależy, wiedzą, gdzie mnie szukać: Marisa i Ramón junior. Kim jesteście, żeby wpychać się tam, gdzie nikt Was nie prosił?

Na samo wspomnienie listonoszki dostaję drgawek.

W końcu nie wzięłam tego listu. Za to mogę ręczyć. Ale gdy o północy zwlekłam się z łóżka, żeby coś przegryźć i dać wróblowi przybłądzie ciastko rozmoczone w mleku, ujrzałam kopertę, całą w kwiatuszki!

A zatem ta bezczelna krowa wpakowała mi się do domu! To jest, zdaje się, karalne, ale ponieważ niezbyt pamiętam, jak do tego doszło... niech już jej będzie. Zresztą wszystko wskazuje na to, że ruda uratowała wróbla. Była nawet uprzejma zostawić mi kartkę z instrukcjami. Z dwiema, ściśle rzecz biorąc. I apteczkę pierwszej pomocy dla znajdy. Tylko dlatego jej nie zadenuncjuję.

Nie znam się na zwierzętach i innych ptakach, ale... jakże miałam zostawić na tym zimnie takie kruche życie, trzęsące się jak galareta.

Od tej wymiany myśli z listonoszką strasznie rozboleła mnie głowa. Chyba więc poszłam się położyć, w nosie mając świętą Job listonoszy.

Ze złości obiecałam sobie, że nie otworzę koperty. Bo niby co oni sobie wyobrażają! Ruda i ten nachalny autor, który miał czelność nabazgrać moje imię i nazwisko na kopercie, nie pytając mnie o zgodę. Ale postanowiłam, że jej nie wyrzucę. Została tam, gdzie ją położyła listonoszka, obok gniazda, które sprokurowałam dla wróbla. Podobnie jak łuk triumfalny – jaki sens ma napisany i doręczony list, którego nikt nie przeczyta? Żaden. Tak czy inaczej, moje było na wierzchu.

Ale mam jeden feler. Może zresztą jest ich więcej, ale ten to pewniak, zawsze jest pod ręką – jestem bardzo ciekawska. Moja ciekawość jest silniejsza od mściwości czy upartości. Mam tak od dziecka.

Kiedy dzisiaj, dwie noce później, wstałam, koperta nie była już żadnym łukiem triumfalnym, ale ohydną prowokacją, której ostrze wycelowane było w moją ciekawość. I nie mogłam się oprzeć. Powiedziałam sobie: Maro Polsky, przecież one nie wiedzą, że go przeczytałaś, w zasadzie dalej jesteś górą.

Dochodzi piąta rano, kiedy piszę do Ciebie te słowa. List Almy przeczytałam koło dziewiątej wieczorem, razem z moim pierwszym kieliszkiem wina. Zabrakło mi whisky i musiałam się obejść trunkiem boga Bachusa, co tłumaczy – mimo iż przyjęłam całą butelkę – mój mniej więcej jasny umysł i całkiem znośną koordynację członków, pozwalającą mi kreślić te słowa. Zwykle staję w szranki z większym woltażem i trzeba duuużo winogron, żeby powalić mnie na łopatki.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego winą za to, że do Ciebie piszę, należy



obarczyć Sarę, bo tak nazywa się ta ruda listonoszka. Doniosła mi o tym Alma, dziewczyna, w stosunku do której, w pewnym sensie incognito, uruchomiłam w mojej duszy procedurę adopcyjną. Oto co do mnie napisała:

„Życie Sary, kobiety, którą mogłybyśmy być Ty czy ja, może lec w gruzach. Całkiem możliwe, że spotkałaś ją kiedyś – urodziła się i mieszka w naszym miasteczku. Ma trzech pędraków, ganiających po tych ulicach. Mimo iż jej życie nie jest usłane różami, zawsze ma dla wszystkich serdeczny uśmiech. A teraz jej zwierzchnicy chcą ją przenieść daleko stąd.

Po ponad stu latach Porvenir zostanie bez listonosza. W centrali twierdzą, że nie lubimy wysyłać i dostawać listów. Jak śmiać! Nie opowiadałabym Ci tego wszystkiego, gdybyś nie mogła pomóc Sarze i naszemu miasteczku. Jak to zrobić?

Bardzo prosto, tak jak to zrobiłam ja – napisz list. Nieważne, czy będzie długi, czy krótki, z błędami czy bez. Napisz list i wyślij go do innej kobiety z miasteczka, bo ona na pewno zrozumie, jak ciężko jest wychować dzieci z daleka od swoich bliskich. Nawet jeśli jej nie znasz, podziel się z nią kilkoma chwilami Twojego życia. Wspólnymi siłami zbudujemy łańcuch ze słów, tak długi, aby dosięgnął stolicy, i tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać”.

Zadajesz sobie pewnie pytanie, co skłoniło wypaloną, zapijaczoną i wściekłą na cały świat byłą poetkę z amerykańskim paszportem, żeby dołączyć do tej piramidalnej bzdury. Nie cierpię mieć długów. Nie wiem, czy to kolejny defekt, czy może cnota. Zdecyduj sama.

Ma się rozumieć, dług nie ma nic wspólnego z Sarą, której mogę podziękować wyłącznie za ból głowy, chociaż przyznaję, że również alkohol mógł tu odegrać niepoślednią rolę.

Alma zadała mi w swoim liście następujące pytanie: „Czy pomyślała Pani kiedyś, że w pewnym sensie zaciągnęła dług wobec swoich czytelników, którzy ją podziwiają i kochają? Proszę napisać choćby jedną linijkę dla Sary i w ten sposób wyrównać mały dług zaciągnięty u mnie, Pani bezwarunkowej czytelniczki”.

Mówiłam już na początku czy gdzieś tam, że darzę wręcz nabożnym szacunkiem moją czytelniczkę czy czytelnika, jak się określiła ta dziewczuszka. Tym bardziej że przeczytała moją pierwszą, choć pozostawiającą wiele do życzenia, książkę, do której się przyznaję: „W szczelinach duszy”.

Dług? Nie chcę żadnych długów. Wystrzegam się ich jak morowego powietrza. Pragnienie wyrażone przez czytelniczkę, zaprzysięgłą miłośniczkę poezji? Zgoda.

Szczerze mówiąc, usiadłszy młodą nocą na sofie obok wróbelka, z kieliszkiem wina w dłoni, zamierzałam napisać do Ciebie trzy linijki:

„Do nieznajomej.

Nie wiem, kim jesteś. Nie wiem, czym się zajmujesz, i prawdę powiedziawszy, guzik mnie to obchodzi.

*Pragnę spłacić dług i ta koperta kryjąca w sobie cztery zdania jest ceną”.*

*Ale zamiast napisać tę trzecią linijkę, pióro zaczęło żyć własnym życiem.*

*Jeśli lubisz pisać, choćby pocztówki na Boże Narodzenie, na pewno znasz to uczucie. Palce odmawiają Ci posłuszeństwa i dają posłuch już tylko jemu – pióru. Mkną lekkie, a Ty jesteś tylko bierną obserwatką, której zdumione oczy śledzą atramentowe znaki pozostawiane na papierze.*

*Ten mały cud, który od dawna mnie omijał, zdarzył się właśnie tej nocy. Przeto bądź błogosławiona, jakiegokolwiek jest Twoje imię, gdziekolwiek jesteś, czymkolwiek się zajmujesz. Dziękuję Ci, że mogłam doświadczyć tego znowu. Choćby po raz ostatni.*

*Wezwane przez moje pióro – nie przeze mnie – zawitały do mnie dzieciństwo, młodość, początki dorosłego życia. Od tamtej cezury po dzień dzisiejszy wszystko, czego zapragnęłabyś się o mnie dowiedzieć, możesz znaleźć w bibliotece albo w Google. Całe moje życie aż do mojego zniknięcia przed dwoma tygodniami, spędzonymi w tym użyczonym mi domu, jest w zasięgu spragnionego, publicznego oka: miłości, rozstania, ucieczki, powroty, triumfy i porażki.*

*Teraz moją tajemnicą dzielę się z Tobą. Usiłuję wyobrazić sobie, jakie miejsce jej przeznaczysz. W szufladzie nocnego stolika? Między stronicami romansu? W pudle pełnym starych fotografii i pocztowych kartek?*

*Gdziekolwiek ją przechowasz, nie zdradź mnie. Nikt więcej nie może wiedzieć, że ja nie potrafię już pisać. Niech to pozostanie między nami. Nie znam Cię, ale Twojej polecam się opiece z naiwną pewnością, że zrobisz to, o co Cię proszę.*

*Nie zapominaj jednak, że tu nie chodzi o mnie czy o Ciebie. Rzecz idzie o Sarę i o łańcuch słów tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać. Dołącz do niego swoje ogniwo.*

*Mara Polsky*

## Oaza

Prawdziwy podróżnik nie planuje swojej podróży.

Nie pragnie nawet dotrzeć na miejsce.

LAOZI

Wychodzę!

Głuche uderzenie drzwi potwierdziło zapowiedź.

Głos Alexa wybrzmiewał jeszcze w korytarzu, gdy tymczasem on pędził już ulicą.

Zatopił się na chwilę w olbrzymiej plamie cienia kościelnej dzwonnicy, rozlewającej się ze szczytu wzniesienia. Następnie przeskoczył przez trzy krzewy geranium rosnące przy wejściu do domu sąiadki, wyciągając jednocześnie w górę prawą rękę, żeby dosięgnąć pończoch suszących się na sznurkach na pierwszym piętrze. Stracił równowagę i zawadził łokciem o pokancerowany kamień frontowej ściany plebanii. Nie zdążył poczuć obtarcia, bo przed sobą zobaczył nadjeżdżające samochody.

Zanim skręcił za róg i wypadł na główną ulicę Porvenir, udało mu się wyminąć plamiastego bezpańskiego kota, myjącego się w kałuży porannego słońca. Zwierzę poskarżyło się na to bezceremonialne zakłócenie świętego, kociego rytuału miauknięciem przeciągłym i pełnym urazy.

Biegnąc chodnikiem, wyminął slalomem dwie kobiety wracające z piekarni, kiwnął głową na dzień dobry sprzedawcy gazet i odruchowo spojrzął na swoje odbicie w szybie sklepu żelaznego.

Błysk mignął w jego zielonych oczach. Uśmiechnął się.

Przyszedł do niego list! List!

Biegnąc, czuł w tylnej kieszeni spodni szeleszczący papier. Kto mógł do niego napisać i dlaczego? Może jakiś stary kumpel ze szkoły?

Odkąd przed kilku laty znajomi zaczęli wyjeżdżać z miasteczka, zamknął się w sobie i unikał wszelkich kontaktów. Może jeden z nich ma do niego jakąś ważną sprawę? A może to ktoś z Klubu Podróżników? Zwykle porozumiewali się przez maila, ale niewykluczone, że któryś postanowił przeskoczyć do realnego świata.

Jest jeszcze jego brat mieszkający w stolicy. Nigdy nie napisał do niego jednego słowa, ale... może to właśnie ten pierwszy raz?

Brak danych nadawcy sprawiał, że gubił się w domysłach. Tajemniczy list przeciął nudną rutynę codzienności. Mógł tylko wyrazić wdzięczność jego

autorowi, kimkolwiek był.

W myślach prześledził drogę, jaka została mu do celu. Najpierw jednak przyjdzie mu minąć bezładne skupisko małych domów i sklepów, przemykając się jednokierunkową ulicą. Na następnym rogu, na małym placu, czuwał ze swoim wiernym psem niestrudzony pasterz, obaj z brązu. U ich stóp leniła się bezczelnie para najprawdziwszych kotów, jakby chciały ich sprowokować.

Na kolejnym skrzyżowaniu przejdzie na drugą stronę ulicy po pasach i skręci na deptak z apteką i przychodnią, którą w zimie otwierano tylko dwa razy w tygodniu. Następnie pójdzie w prawo, obok domu z kurkiem w kształcie sowy na dachu. Jeszcze dwieście metrów i wydostanie się z labiryntu kamienia i łupka, najstarszej części miasteczka.

Poczta, na której drzwiach zadawał szyku napis „Listonosz w rejonie”, znajdowała się tam, gdzie kończyło się stare i zaczynało nowe Porvenir. Most był naturalnym łącznikiem między jednym i drugim. Po drugiej stronie mostu rozpościerało się królestwo betonu. Z tyłu zostały zniszczone bruk, dachówki i rynny.

Minął nieliczne w miasteczku współczesne budynki, o gładkich frontonach zaopatrzone w neonowe reklamy, kilka budynków mieszkalnych, salon samochodów terenowych, supermarket i trzy biura nieruchomości, opylające piędź za piędzią tereny rozciągające się wokół Porvenir.

Na końcu drogi czyhało na niego pierwsze osiedle domków jednorodzinnych.

Álexowi były one całkowicie obojętne, ale w ostatnich latach jego ojciec, zanim na dobre pograżył się w ciemności, walczył zażarcie z tymi „architektonicznymi zbrodniami”. Pewnego dnia natknął się na niego przed bramą wjazdową do zamkniętego osiedla La Rosa de los Vientos, wygrażającego pięścią wzniesioną ku górze. Wykrzykiwał do zdumionych przechodniów niezrozumiałe hasła. Było to pierwsze ostrzeżenie, gdy przeklęty czerw dopiero zaczynał drążyć obrzeża jego mózgu; matka Álexa żyła, a starszy brat nie przyłączył się jeszcze do masowego exodusu.

Przyśpieszył kroku, jakby można było uciec od bólu – wczorajszego i dzisiejszego.

Wyszedł na drogę prowadzącą do Mastán. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów i znajdzie się w swojej kryjówce, wymarzonego miejsca do przeczytania listu w absolutnym spokoju. Uwielbiał półmrok, zapach wilgoci i ciszę panującą w zapomnianej przez wszystkich kapliczce.

Wewnątrz, na północnej ścianie, znajdowało się małe okienko. Jeśli usiądzie naprzeciwko niego, zobaczy kołyszące się drzewa pobliskiego lasu. Przychodził tu często czytać, myśleć albo po prostu posiedzieć chwilę.

Od lat nikt tu nie zagląda. Można powiedzieć, że należy już tylko do mnie,

uśmiechnął się.

Raptem zaatakowała go myśl przytająca od kilku dni, czekająca tylko sposobności, by wyrwać się na światło dzienne. Nie dawała mu spokoju. Podczas ostatniego pobytu w kapliczce Matki Boskiej Rozmaryńskiej naciął się na intruzkę – dziewczynę z wystraszonymi oczami koloru miodu i łagodnymi dłońmi, które musnęły jego czoło. Nie wiedzieć czemu dostał gęsiej skórki.

Zatrzymał się, oddychając głęboko. Aby uciec od tej ostatniej myśli, przywołał z pamięci zdarzenia związane z tym miejscem.

Zakręciło mu się w głowie na wspomnienie scen z dzieciństwa. W pierwszy dzień uroczystych obchodów święta patronki miasteczka na jej cześć mieszkańcy zasypywali podłogę kapliczki kwiatami. Ostatniego dnia, o północy, ze świecami w rękach, przy wtórze pieś-ni wracali tam, aby pożegnać się z nią do następnego roku. Alex pamiętał jak przez mgłę cienie kładące się od płomieni świec, a także ostry zapach kwiatów gnijących w zamkniętym przybytku od siedmiu dni, wymieszany z ciężką wonią perfum starszych mieszkank.

Mijały lata i kiedy był już kilkunastoletnim chłopakiem, poszedł tam któregoś dnia po południu sam, z wielkim bólem w sercu. Od jakiegoś czasu figurka Matki Boskiej Rozmaryńskiej znajdowała się w kościele w miasteczku, bo, wedle słów księdza, tam była bezpieczniejsza. Jeśli ktoś zaglądał do kapliczki, to chyba jedynie przez przypadek. Nie przedstawiała żadnej wartości artystycznej ani historycznej i tak z wolna popadała w zapomnienie. Tylko zezujący z kołatki aniołek wzdragał się przed opuszczeniem swojego posterunku.

Alex znalazł się tam przypadkowo, a może wiedziony niewidzialną ręką nieżyjącej już wówczas matki – któż to wie? Usiłował jedynie uciec od słowa prześladowającego go od kilku miesięcy jako jedna z możliwości: alzheimer. Tamtego popołudnia lekarz ogłosił wyrok. Alex miał wtedy niespełna szesnaście lat, jego starszy brat trzydzieści, a ojciec dopiero co przekroczył sześćdziesiątkę. Wybiegł na oślepek z lekarskiego gabinetu i oprzytomniał dopiero w kapliczce, która nie oczekiwała od niego żadnych wyjaśnień. Przesiedział tam długie godziny, aż w końcu znalazł w sobie dość sił, aby wrócić do swojego życia i stawić czoło przeciwnościom losu.

Zdecydował, że zostanie w miasteczku z ojcem. Zrezygnował ze studiowania geografii na uniwersytecie. Pogodził się z dorywczą pracą na miejscu i jednego po drugim pożegnał szkolnych przyjaciół. Wszyscy wyjechali.

Początkowo wracali latem. W ciągu tego jednego miesiąca Alex odżywał na nowo. Ale później przestali przyjeżdżać. Woleli wybrać się za granicę, odbywać praktyki albo kuć do egzaminów konkursowych, których zdanie gwarantowało zdobycie stałej pracy.

Ani się spostrzegł, jak coraz bardziej zamykał się w swojej skorupie. Uciekając w świat książek o podróżach, szybował nad stronicami i mapami. Unikał

kontakty z obcymi, a nawet ograniczył do minimum relacje ze znajomymi.

„Alex nie jest gburem ani ponurakiem. Po prostu nie nawykł do kontaktu z ludźmi”, zwykł mawiać jego starszy brat.

Alzheimer to zbyt ciężkie słowo dla tak młodych barków, myślał z trwogą. Mimo to minęło pięć lat, a on nie ugiął się pod jego brzemieniem.

Zatopiony w myślach, niespodziewanie stanął przed drzwiami. O dziwo, były otwarte.

Co robi ta książka na podłodze jego kapliczki?

Zbity z tropu, przez kilka chwil nie odważył się wejść do środka.

Kto sprofanował jego uświęconą enklawę?

W najśmielszych snach nie mógł podejrzewać, że dwudziesty pierwszy listopada będzie dniem tak szczególnym. Nadchodząca zima ofiarowywała mu dwa upominki: list i książkę. Nie mógł się zdecydować, co otworzyć pierwsze.

Ten nieoczekiwany dylemat obezwładnił go znowu, tym razem na samym środku jego małej kryjówki. Po chwili wewnętrznej szamotaniny zwyciężyła ciekawość, jaką wzbudziła w nim książeczka o wytartych okładkach.

„Nie tak łatwo wszystko ująć i wypowiedzieć, jak nam to sugerują; nie można wysłowić wszystkiego, co się zdarza, wiele zdarzeń żyje w przestrzeni, której nigdy nie naruszyło słowo”<sup>5</sup>, przeczytał na głos. I po raz pierwszy od długiego czasu pomyślał, że ktoś mówi właśnie do niego, Alexa Masa, urodzonego i mieszkającego przez całe życie w Porvenir. I mówił do niego z początków dwudziestego wieku, i był, ni mniej, ni więcej – Rainerem Marią Rilke.

Kilka akapitów niżej ktoś starannie podkreślił zdanie: „Nikt, ale to nikt nie może Panu doradzić ani pomóc. Istnieje tylko jeden sposób. Należy wnikać w siebie. Niech Pan zgłębia to, co każe Panu pisać”<sup>6</sup>.

Usiadł na zimnej podłodze kapliczki. Oparł się plecami o północną ścianę i przy świetle sączącym się przez malutkie okienko zapragnął się przekonać, co jeszcze trapiło osobę, która zostawiła tu tę książkę. Następna podkreślona myśl wydała mu się jakby również pisana z myślą o nim, chociaż nigdy nie marzył o tym, żeby pisać: „Jeśli dzień powszedni zdaje się Panu ubogi, niech go Pan za to nie obwinia; siebie niech Pan oskarża, niech Pan powie sobie, że nie dość jest poetą, by wysłowić bogactwa codzienności: bo dla tego, kto tworzy, nie istnieje ubóstwo (...). I gdyby nawet był Pan w więzieniu, którego ściany nie dopuszczałyby do Pańskich zmysłów żadnych odgłosów świata – czyż nie miałby Pan wciąż swojego dzieciństwa, tego drogiego, królewskiego bogactwa, tego skarbcza wspomnień?”<sup>7</sup>.

Opanowała go jakaś dziwna radość. Zatrzasnął energicznie książkę i wtem skrawek papieru wyfrunął spomiędzy stronic. Podniósł go i przeczytał:

*Oko za oko, ząb za ząb. Książka za książkę. Zatrzymuję listy Chatwina... przynajmniej na jakiś czas. Ale w zamian zostawiam Ci Rilkego... przynajmniej na*

*ten sam czas. Jeszcze się spotkamy, uciekinierze.*

Nie musiał zbyt długo łamać sobie głowy tym, kim była osoba, która pożyczyła mu *Listy do młodego poety* – dziewczyna o miodowych oczach. Łagodny uśmiech rozjaśnił twarz Álexa. Położył książkę na posadzce, będzie miał czas, żeby ją przeczytać, zanim ją zwróci... jeśli w ogóle zwróci. Kto daje i zabiera, ten się w piekle poniewiera – przypomniał sobie stare porzekadło, nie przestając się uśmiechać.

Zdecydowanym ruchem rozdarł kopertę z jednej strony dłuższego boku i wyciągnął zabazgraną niechlujnym pismem kartkę.

Od pół godziny biedził się nad rozszyfrowaniem treści listu.

Z początku nie potrafił odczytać tych chaotycznych liter. Wiersze zachodziły na siebie, sprawiając, że lektura przypominała żmudną pracę archeologa. W połowie listu sama autorka, niejaka Mara Polsky, zdradzała powód tego niechlujstwa: była wstawiona.

Skończywszy czytać dwie pierwsze strony, Álex oderwał oczy od kartki i zaczerpnął powietrza. Czuł się jak *voyeur* – ktoś, kogo nie widział w życiu na oczy, otwierał przed nim swoje serce, obnażał krwawiące rany i niedole, przeprowadzał wiwisekcję każdej z nich, skręcając się z bólu, dawnego i obecnego.

Ale było coś, co sprawiało, że Álex czuł się jeszcze gorzej: bez cienia wątpliwości list nie był przeznaczony dla niego, ale dla jakiejś kobiety. Zapuścił się w rewiry, które od dzieciństwa nie były dla niego dostępne, tylko z tego powodu, że urodził się mężczyzną.

Mimo to, gdy tylko otrząsnął się z tego poczucia winy, zrozumiał, że nie może przestać czytać. Słowa te były niczym wiadomość SOS w butelce unoszącej się na morskich falach. Zrozpaczona autorka ubezwłasnowolniła go mackami swojego majaczenia, strzelając celnymi słowami budzącymi jego ciekawość.

– Mamy tę samą słabość, Maro. Ja również jestem ciekawy – szepnął.

Odkrył znajome nazwy, które, niczym samotne wysepki w oceanie chaosu, pozwalały mu chwycić się brzegu, by odetchnąć przez kilka sekund. Był w La Rosa de los Vientos. Znał rudą listonoszkę. Zezłościła się na Marę Polsky za to, że ta nazwała ją mantyką i tłustym babsztylem. Álex również, podobnie jak Sara, potrafił nakarmić wróbla. Co też przyszło do głowy tej całej Marze, żeby takiemu małemu pisklakowi dawać ciastko umoczone w mleku? – pomyślał zgorzony.

W połowie listu odkrył z ulgą, że jednak był właściwym adresatem. Wybrał go przypadek i książka telefoniczna. Winę za pomyłkę ponosiła Mara Polsky, która myślała, że Álex to imię kobiety.

Parsknął śmiechem, wyobrażając sobie minę tej ekscentrycznej kobiety dowiadującej się, że golący się codziennie facet został depozytariuszem jej

tajemnic. Zirytowałyby się? Gwizdnęłyby na to? Było jasne jak słońce, że ta kobieta jest nieobliczalna. Przynajmniej w jego oczach. Przez kilka sekund próbował ją sobie wyobrazić. Jest blondynką, brunetką? Z pewnością ma już siwe włosy. Czy je farbuje? Pewnie jest chuda, skoro skrytykowała wymiary listonoszki. Wysoka? Gdzieś słyszał, że dzieci z traumatycznymi doświadczeniami wojny były niższe od swoich rówieśników, którym los zaoszczędził wojennego koszmaru.

Czyste serce Alexa współczuło jej bez cienia ironii.

Im bardziej zagłębiał się w tekst, tym swobodniej szło mu czytanie. Przepływał łagodnie ze zdania w zdanie. Wszystko zaczynało się składać w całość i powoli wczuwał się w desperację amerykańskiej poetki. Czy byłej poetki. Czy Żydówki. Czy czymkolwiek lub kimkolwiek była.

Czy zbikowałem jak ty, Maro? – wystraszył się.

I wtem poczuł ukłucie zazdrości. Ale nie chorobliwej, tylko czystej, zdrowej.

Chłopak, który zadawał się czytaniem przewodników turystycznych, dzięki temu listowi odkrył nowe światy, jakie Mara Polsky poznała i o jakich on nie miał wyobrażenia. Niemcy, Francja, Meksyk czy Stany Zjednoczone – i to jeszcze w dzieciństwie. A w dorosłym życiu Japonia, Chile... i kto wie, ile innych miejsc, do których zawiodły ją jej książki i dolary!

Złożył list. Wsunął go z powrotem w kopertę, którą wcisnął między kartki książki. Odniósł smutne wrażenie, że powinna go była otrzymać dziewczyna o miodowych oczach. Ta, która zgłębiała rady udzielane przez Rilkego młodym poetom. Albo ktoś taki jak owa Alma cytowana w liście, śniąca o zostaniu poetką. A nie on, biedny chłopak z głową pełną marzeń i niepełnym wykształceniem.

A jednak palec i oko Mary Polsky wybrały spomiędzy wszystkich mieszkańców Porvenir właśnie jego. Stał się częścią łańcucha listów przez pomyłkę, ale w żadnym stopniu nie zwalniało go to z wypełnienia roli kolejnego ogniwa. Jeśli obce kobiety, jak ta Alma lub Mara Polsky, pisały w obronie Sary, jakże miał tego nie zrobić on, który znał listonoszkę od dziecka?

– Twoja tajemnica jest przy mnie bezpieczna, Maro. Potrafię dotrzymać słowa – zawołał w kierunku horyzontu, biegnąc szosą z powrotem do domu. Czuł się jednym z bohaterów tego nieskończonego, szalonego wiersza.

Był tak podekscytowany, że o mało nie wpadł na Sarę, która, również w pośpiechu, wracała do biura. Była już dwunasta w południe i nie chciała się spóźnić na swoją wirtualną randkę.

CASTAWAY 65: Jest tam kto?

SARA: Tak, jestem, jestem. Cześć.

CASTAWAY 65: Już myślałem, że wystawiłaś mnie do wiatru. Ładnie to tak?



SARA: Przepraszam. Byłam w Mastán i...

CASTAWAY 65: Żartuję przecież.

SARA: Pędziłam szosą co silnik wyskoczy, żeby zdążyć.

CASTAWAY 65: Opowiedz mi, co widziałaś.

SARA: Co widziałam? Gdzie?

CASTAWAY 65: Na szosie.

SARA: Na szosie? Drzewa i asfalt.

CASTAWAY 65: Drzewa... To cudowne!

SARA: Normalne, zwyczajne drzewa.

CASTAWAY 65: To miód na moją duszę. Masz jakiś nowy list bez nadawcy?

SARA: Nie. Dzisiaj nie. Całe szczęście. Potrzebuję czasu, żeby dojść do siebie po ostatnim doręczeniu.

CASTAWAY 65: A co się stało? Rzucił się na Ciebie brytan zabójca? Wielki dog niemiecki, pitbull...

Sara patrzyła zdumiona w ekran komputera. Brytan zabójca? Lubiła psy. W Porvenir było dużo czworonogów i nigdy nie miała z nimi żadnego problemu. Obca pijaczka z dzwoneczkami pobrząkującymi na kostkach nóg była najgroźniejszą bestią, z jaką miała styczność od niepamiętnych czasów.

SARA: Nie gonił mnie żaden pies. Pierwszy list doręczyłam do wielkiego, starego domu za miastem, który od lat stoi pusty.

CASTAWAY 65: Pewnie pismo z urzędu skarbowego... Skarbówka depta ludziom po piętach nawet na platformach wiertniczych na Morzu Północnym. Wiem coś o tym.

SARA: Gdzie tam! To był prywatny list zaadresowany na nazwisko córki poprzednich właścicieli. Pomyśl tylko, wyjechała z miasteczka tak dawno temu, że znam ją tylko z opowieści.

CASTAWAY 65: Ale dom dalej należy do niej?

SARA: Z tego, co wiem, tak. Albo do jej brata. Jego poznałam, kiedy byłam mała. Ale wyjechał do Argentyny kupę lat temu.

CASTAWAY 65: I co zrobiłaś z listem?

SARA: Nie wiedziałam, co począć, i w końcu wsunęłam go w szparę pod drzwiami. Dom jest bardzo dobrze utrzymany. Ktoś musi o niego dbać.

CASTAWAY 65: Odkąd wyjechałem, nie możecie się uskarżać na brak rozrywek w miasteczku. Jaka szkoda, że mnie tam nie ma!

SARA: Tak, tak. Tłoczno się tu dziś zrobiło!

CASTAWAY 65: Tłoczno?

SARA: Ukrywa się tu nawet amerykańska poetka!

Zaraz po powrocie z rejonu listonoszka wklepała do Google nazwisko Mary Polsky.

CASTAWAY 65: Musi być bardzo interesującą kobietą.

SARA: Zaliczyłabym ją raczej do kategorii wiedźm.

CASTAWAY 65: Co takiego przeszkrobała?

SARA: Była adresatką drugiego listu.

CASTAWAY 65: Tylko tyle?

SARA: Dziwaczna, źle wychowana, agresywna, zaniedbana. Zapewniam Cię, że nigdy nie zostanie moją przyjaciółką.

CASTAWAY 65: Zarzekała się żaba błota... Jak wyjeżdżałem, psioczyłem na tę dolinę i zobacz, co się ze mną dzieje: marzę o powrocie.

SARA: Poważnie?

Wystukawszy ostatnie zdanie, Sara zadrżała.

Czekała z niepokojem na odpowiedź.

CASTAWAY 65: Listonoszko, skończyłem właśnie krem z warzyw i morskiczka. Muszę Cię pożegnać. Mam nadzieję, że wkrótce dostaniesz nowy list. I że mi o tym opowiesz.

A to chytrus, pomyślała. Czmychnął i nie pisnął słówka.

5 R.M. Rilke, *Listy do młodego poety*, tłum. J. Nowotniak, Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2010.

6 Tamże.

7 Tamże.

Álex

*Porvenir, 26 listopada*

*Witaj, Hypatio.*

*Wiesz, że masz imię greckiej filozofki, astronomki i matematyczki?*

*Przypuszczam, że myślisz o tym, że ktoś już Ci to kiedyś powiedział.*

*Nie wiesz, kim jestem, ale ja wiem, kim jesteś Ty.*

*Reguły tej gry są następujące: musimy stworzyć łańcuch złożony z anonimowych listów, aby uratować posadę Sary, naszej listonoszki, i aby nasze miasteczko, po ponad stu latach, nie zostało pozbawione urzędu pocztowego. Sara nic o tym nie wie. I Ty nie możesz jej powiedzieć. Musimy pisać, aby udowodnić jej szefom, że mieszkańcy Porvenir lubią wysyłać i otrzymywać listy. W ten sposób uchronimy ją przed przeniesieniem do stolicy.*

*Mnie nikt nie pytał, czy chcę brać udział w tym przedsięwzięciu. Ja też tego nie zrobię. Gdy przeczytasz te słowa, zdecydujesz, czy przyłączyć się do nas, czy nie. Ale chcę, żebyś wiedziała, Hypatio, że jeśli nie podejmiesz się tego zadania, wszystko pójdzie na marne. Pomyśl o tym.*

*Jedyne, co musisz zrobić, to napisać o czymkolwiek: kilka słów, kilka zdań. Nieważne, czy masz ładne pismo, czy brzydkie lub czy robisz błędy ortograficzne. Możesz opowiedzieć, o czym tylko zechcesz i komu zechcesz, choćby nieznanemu.*

*Ja nie bardzo lubię pisać. Nie potrafię opowiadać o tym, co widzę, o dziejących się wokół mnie zdarzeniach.*

*Najbardziej lubię czytać. Od dzieciństwa. Mogę czytać całymi godzinami, cokolwiek – gazetę, książkę historyczną albo kryminał. Myślę, że ze wszystkiego można czerpać naukę czy rozrywkę, która czasem jest nawet ważniejsza, przynajmniej dla mnie.*

**AHA, ZAPOMNIAŁEM POWIEDZIEĆ CI COŚ BARDZO WAŻNEGO: TO, CO PISZEMY W LIŚCIE, TO SEKRET. TREŚCI LISTU NIE MOŻEMY WYJAWIĆ NIKOMU. TO UMOWA OBOWIĄZUJĄCA WSZYSTKICH WTAJEMNICZONYCH.**

*Książki dotrzymują mi towarzystwa, kiedy jestem smutny.*

*Zamykam się w pokoju, dotykam papieru i zaraz czuję się lepiej. Czasami, przed snem, jak coś mnie gnębi albo odczuwam strach przed tym, co może się wydarzyć, kładę na poduszce książkę, którą akurat czytam. Uspokaja mnie świadomość, że w każdej chwili mogę zaświecić światło i że pierwszym, kogo zobaczę, będzie Marco Polo albo Juliusz Verne. Będę mógł otworzyć książkę i udać się z nimi w daleką podróż.*

*Najbardziej lubię książki o podróżach i atlasy. Wszystko jedno, czy będzie to biografia Aleksandra Wielkiego, czy Maty Hari, „W 80 dni dookoła świata” czy wojenne reportaże.*

*Najważniejsze jest to, żeby mówiły o miejscach, w których nigdy nie byłem. A to bardzo łatwe, możesz mi wierzyć. Chcę się dowiedzieć, jakie były Indie za czasów maharadzów, co czuł Darwin, dotarłszy do wysp Galapagos, lub jakie przygody stały się udziałem kuriera Michała Strogowa, który przemierzył wszcz carską Rosję. Nigdy nie ciekawiło Cię, co myślał Krzysztof Kolumb, odkrywając nowy kontynent? Mnie tak, wiele razy. Oddałbym życie za to, by móc się znaleźć u boku Diega de Triany na szczycie masztu i krzyczeć: Ziemia! I ujrzeć to, co zobaczyły jego oczy.*

*Ale drąży mnie również olbrzymia ciekawość, jak żyją koczownicze plemiona w Mongolii. Co jedzą? Czy ich członkowie próbowali kiedyś sztufady z dzika? Nie chciałabyś się tego dowiedzieć?*

*(27 listopada)*

*Wybacz mi, Hypatio. Wczoraj nie udało mi się dokończyć listu. Rozumiesz, problemy.*

Alex zamknął oczy i przypomniał sobie, co wydarzyło się wczorajszego dnia.

Siedział w kuchni przy stole z kubkiem kawy z mlekiem w jednej i długopisem w drugiej ręce. Przed nim leżały mapa świata i kilka czystych kartek. Długo wahał się, od czego zacząć list, i kiedy w końcu ruszył z miejsca, pomyślał, że... idzie mu wcale nieźle!

Naraz z drugiego końca mieszkania usłyszał przeraźliwy krzyk zajmującej się ojcem pielęgniarce, którą opłacał starszy brat, pragnący w ten sposób uciszyć wyrzuty sumienia po wyprowadzce z domu. Jak później tłumaczyła, spuściła pacjenta z oka dosłownie na sekundę, co wystarczyło, żeby ojciec wgramolił się na parapet. Z jedną nogą na zewnątrz, a drugą w środku, kiwał się na skraju przepaści. Rozłożył ramiona, usiłując naśladować gołębie przelatujące nad domem.

Kiedy wspólnymi siłami zdołali położyć go do łóżka i zamknęli okno, Alex

stracił chęci i energię, żeby kontynuować list.

*Ale dziś jestem jak nowo narodzony i z radością opowiem Ci o moich ulubionych podróżnikach. Poznałem ich dogłębnie. Mówiłem wczoraj, że uwielbiam mapy? A więc tak, jestem ich wielkim fanem. Każdy sławny podróżnik ma swoją mapę, na której różnymi kolorami zaznaczyłem odbyte przez nich trasy. Prześledziłem ich życie bardzo dokładnie. Czasem wydaje mi się, że rodzone matki nie znały ich tak dobrze jak ja.*

*To mrówcza praca. Ale powiedzmy, że czasu mam pod dostatkiem.*

*Zacznijmy od Marca Polo. Wielki pośród wielkich. Musiał nim niewątpliwie być, żeby wysmażyć „Opisanie świata”, on, trzynastowieczny kupiec wenecki. W czasach, kiedy ludzie podróżowali konno albo na pokładach żaglowców, na których członkowie załogi marli jak muchy, odbył podróż do Armenii, Persji, Afganistanu, Japonii, Indii, Sri Lanki, południowo-wschodniej Azji, opłynął wschodnie wybrzeże Afryki. Podróż trwająca dwadzieścia cztery lata i licząca dwadzieścia cztery tysiące kilometrów! I o wszystkim, co widział, opowiedział – od wizyt w pałacach i na dworach nieznanymi cesarzy po wspaniałości, z którymi tam się zetknął, jak proch czy makaron.*

*Innym moim faworytem jest Ferdynand Magellan. Polknąłem wszystkie jego biografie, które wpadły mi w ręce. Urodził się w piętnastowiecznej Portugalii i zmarł na Filipinach. Już tylko na podstawie tego faktu można wyciągnąć wniosek, że nie był spokojnym duchem. To pierwszy Europejczyk, który przepłynął z Oceanu Atlantyckiego na Ocean Spokojny. Pierwszy Europejczyk w tamtych czasach, to znaczy pierwszy znany człowiek, który tego dokonał. Wcześniej udało się to może tylko jakiemuś Indianinowi. Zapoczątkował wyprawę, która jako pierwsza w historii opłynęła Ziemię. Sam Magellan tego nie doczekał – zrzęczenie losu.*

*W wieku dziesięciu lat był już paziem na dworze królowej, a gdy skończył ćwierć wieku, zamustrował się na jeden z dwudziestu dwóch statków flotyli wyruszającej do Indii. Tam spędził osiem lat. Kilka lat później pod jego dowództwem wypłynęła wyprawa, podczas której odkrył cieśninę noszącą teraz jego imię i przepłynął z jednego oceanu na drugi, o czym przed chwilą wspomniałem. Czy to nie wspaniale, że jakaś cieśnina nazwana jest twoim imieniem? Albo jezioro, albo góra, albo miasto. Czy nawet ulica.*

*Z drugiej strony ten wielki żeglarz nie miał w życiu zbyt wiele szczęścia. Śmierć zabrała dwóch jego synów: jednego, gdy był kilkuletnim chłopcem, i drugiego wkrótce po przyjsciu na świat; doświadczył kilku buntów w czasie swoich podróży; z głodu i na szkorbut umierali jego marynarze, a on sam zginął z rąk tubylców na drugim końcu świata. Wiesz, że za jednego szczura marynarze gotowi byli płacić krocie? I że zjadali własne skórzane pasy, gdy przymierali*

głodem?

*(28 listopada)*

*Wczoraj było już bardzo późno i opadłem z sił. Pisanie mnie męczy.*

*Wiem, o czym chcę Ci opowiedzieć, ale nie znajduję odpowiednich słów. Może inaczej – znam słowa, ale ciężko mi jest przenieść je na papier.*

*Mam nadzieję, że nie przeszkadza Ci to czytanie na raty.*

*Dzisiaj opowiem o kimś bardziej współczesnym, żebyś nie myślała, że lubuję się tylko w starych obieżyświatach. Między nami mówiąc, ten podróżnik też ma już swoje lata. Ale nie aż tyle. Żył w XIX wieku. Był Szkotem. Nazywał się Livingstone. Był lekarzem, badaczem i misjonarzem. Co za kombinacja! Potomni uznawali go za bohatera z racji jego rozległej wiedzy z wielu dziedzin i napisanych dzieł z zakresu zoologii, botaniki i geologii. Skorygował nawet mapy istniejące w tamtej epoce, opierając się na obserwacji gwiazd! Niesamowite. To jeden z moich ulubionych odkrywców, bo nie tylko podróżował i zmagał się z przeciwnościami losu. Poczył wielkie zasługi dla ludzkości.*

*Przeczytałem prawie wszystko, co o nim napisano i co mogłem przeczytać po hiszpańsku. Prześledziłem na moich mapach trasy jego podróży. Śniłem tak intensywnie o tym, co widział i opowiadał, że czasem odnoszę wrażenie, że byłem tam naprawdę! Podróżował po Afryce. Odkrył między innymi Wodospady Wiktorii. Największe na całym kontynencie!*

*W tym miejscu chciałbym się zatrzymać. Wczoraj, pisząc o Magellanie, myślałem o tym, co Ci teraz powiem. Po części już o tym napomknąłem. Czy naprawdę jest tak, że to Livingstone odkrył Wodospady Wiktorii? Nikt do tego czasu ich nie widział? Wolne żarty! Człowiek zamieszkuje Afrykę od tysięcy lat i nikt ich nie widział? Żaden biały człowiek, ma się rozumieć, nikt jak ja i Ty.*

**HISTORIĘ NAPISAŁ BIAŁY CZŁOWIEK. I CZYTAMY JĄ NASZYMI OCZAMI. MYŚLAŁAŚ O TYM KIEDYŚ? MNIE OSTATNIO CZĘSTO SIĘ TO ZDARZA.**

*Wracam do przerwanej wątku, to znaczy do tego, z jakiej gliny ulepieni byli ci ludzie. Podczas jednej z ekspedycji Livingstone'a zmarli prawie wszyscy towarzyszący mu Europejczycy, w tym jego brat i bratowa. On przeżył. Lecz „ta wycieczka” nie zyskała miana najśłynniejszej. Pamięta się go przede wszystkim z powodu innej historii. Kojarzysz może Walijczyka o nazwisku Stanley i jego słynne zdanie: „Doktor Livingstone, jak sądzę?”. Może słyszałaś o tym w telewizji.*

*Nasz bohater udał się pewnego dnia w kolejną podróż i na wiele lat słuch o nim zaginął. Jeśli mnie pamięć nie myli, wyruszył na poszukiwanie źródeł Nilu. Niesamowite. Byłbym wniebowzięty, gdyby ktoś mnie zapytał: Czym się zajmujesz? A ja mógłbym wtedy odpowiedzieć: Szukam źródeł Nilu.*

*Pewna północnoamerykańska gazeta, „New York Herald”, postanowiła zaangażować do jego poszukiwań jednego ze swoich reporterów, Henry’ego Stanleya. Pomyślisz: Jak można szukać kogoś po całej Afryce i go znaleźć? Zdajesz sobie sprawę, ile puszczy, pustyń i rzek jest w Afryce? Byłoby prościej wymacać igłę w stogu siana, prawda? Tymczasem Stanley odnalazł Livingstone’a na brzegu pewnego jeziora. Podobno, usłyszawszy słynne potem na cały świat zdanie, Livingstone odpowiedział, że cztery razy przeczytał Biblię i że w niej właśnie znajduje się „źródło siły i mocy zdolnej do przeobrażeń”. Niewiele myśląc, wyruszyli razem na jego poszukiwanie. Stanley nie był zapewne tak niezłomny jak Livingstone, bo wkrótce powrócił do Londynu. Jego towarzysz natomiast dalej przedreptywał Afrykę, aż w końcu upolowała go śmierć.*

*Ta historia też jest piękna: Afrykanie zakonserwowali zwłoki badacza w soli i przetransportowali je na plecach do portu nad Oceanem Indyjskim. Stamtąd odplynęły statkiem do Anglii. Resztki Livingstone’a zostały pochowane w opactwie westminsterskim. Jednak dużo wcześniej, zanim jego ciało wyruszyło w drogę, tubylcy pogrzebali serce podróżnika pod drzewem w wiosce, w której zmarł. Twierdzili, że należy ono do tego kontynentu. Nie do Europy.*

*(29 listopada)*

*A Twoje serce, Hypatio, do jakiego miejsca należy?*

*Wczoraj, pisząc o śmierci Livingstone’a, zastanawiałem się, do jakiego miejsca należy moje. Do Por-venir, jak sądzę.*

*Tutaj się urodziłem, wychowałem i dorastałem. Tutaj umrę, chociaż mam nadzieję, że przede mną jeszcze długie życie. I jest mi tu naprawdę dobrze.*

*Ale nie wyobrażasz sobie, ile razy marzyłem o tym, aby w międzyczasie odbyć długą podróż! Inie wiesz, jak bardzo czuję się winny z powodu tego pragnienia, bo żeby ono mogło się ziścić, najpierw musiałoby się stać coś potwornego. A tego nie chcę za nic w świecie. Co za sprzeczność!*

*Tymczasem tkwię tutaj, grzęznę na mieliźnie Por-venir, patrząc, jak inne statki odbijają od brzegu. Patrząc, jak mijają lata. Czekam.*

*Tutaj kończę mój list, Hypatio. Chcę go wysłać już, natychmiast.*

*Teraz decyzja należy do Ciebie. Czy napiszesz swój list? Czy go wyślesz?*

*Mam nadzieję, że tak.*

*Ze względu na Sarę. Ze względu na Porvenir. Na tych, którzy przyłączyli się do tego przedsięwzięcia.*

*Pamiętaj: cokolwiek znajdzie się w kopercie, warte będzie zachodu.*

**STACJONARNY PODRÓŻNIK**

Álex popatrzył na list leżący przed nim na stole. Jak to się stało, że czas przemknął tak szybko? – nie mógł się nadziwić. Teraz będzie musiał zasuwać do skrzynki, żeby Sara zdążyła go wybrać podczas popołudniowego objazdu.

Zamykając atlas i chowając wieczne pióro, próbował sobie wyobrazić minę Hypatii trzymającej w rękach list. Lubił tę kobietę, zwłaszcza od dnia, w którym matka powiedziała mu, że łączy ich coś cennego. Álex łypnął wtedy na matkę zaskoczony: co mógł mieć wspólnego z matulą kolegi ze szkoły, niepozorną i ciapowatą kurą domową? Matka uśmiechnęła się do syna i wyjaśniła: „Oboje nosicie imiona sławnych osób, które przed wieloma wiekami żyły w starożytnej Grecji. Ty masz imię Aleksandra Wielkiego, jednego z największych zdobywców w historii, ona – jednej z najmądrzejszych kobiet w dziejach ludzkości. Jesteście powołani do wielkich czynów”.

Poczuł przyływ nagłej, krępującej tkliwości. Jak bardzo się myliłaś, mamo, pomyślał ze smutkiem. Los gospodyni domowej w przypadku Hypatii i choroba ojca Álexa uniemożliwiły obojgu wypełnienie przeznaczenia.

Jego wybór padł na nią, kobietę ledwie umiejącą czytać, ze względu na ten łączący ich skarb, ale też przez pewną solidarność wiążącą rozbitków. Miguel, młodszy syn Hypatii, był jednym z najlepszych przyjaciół Álexa. I ostatnim, który wyjechał z Porvenir.

Nie oglądając się za siebie, zostawiono ich samych na tej wyspie.



## Literatura i garnki

Największą przyjemnością, jaką czerpię z pisania, nie jest temat, lecz muzyka słów.

TRUMAN CAPOTE

Jak smakuje szczur? Założę się, że nie gorzej niż ty... – Hypatia mówiła do ćwiartowanego właśnie kurczaka bez cienia uszczypliwości.

Rytmiczne uderzenia noża o deskę do krojenia odbijały się od ściany wyłożonej kafelkami i zagłuszały jej myśli. Od dziesięciu dni, odkąd otrzymała list, myśli nie dawały jej spokoju. Osaczały ją co chwila, niezależnie od tego, czym akurat się zajmowała.

Któregoś dnia, biorąc prysznic, usiłowała wyobrazić sobie oblicze Marca Polo. Nie miała pojęcia, w jakim zakątku świata znajduje się Armenia czy Persja. Afganistan przewijał się co jakiś czas w wiadomościach telewizyjnych, a o Wenecji usłyszała od szwagrostwa, którzy szarpnęli się na podróż do tego miasta z okazji trzydziestej rocznicy ślubu. „Woda, wszędzie woda”, opowiadał on. „Pałace, wszędzie pałace”, opowiadała ona.

Innym razem, jak teraz, myśli przychodziły jej do głowy podczas gotowania. Zastanawiała się, co też mog-li jeść marynarze Magellana, tego brodacza, który miał nieszczęśliwe życie. Bo Hypatia była przekonana, że wszyscy marynarze mieli brody, jak jej wujek Manuel, który jako młody chłopak zamustrował się na statek do połowu tuńczyka.

Pływać w kółko po morzach przez dziesięć lat to nie w kij dmuchał, pomyślała sobie.

Olej zaczynał skwierczeć w rondlu – musi zacząć smażyć kurczaka, bo inaczej przyjdzie im z Tomášem delektować się mięsem przypalonym z wierzchu i surowym w środku.

– Byłaby to pierwsza wpadka w pięćdziesięcioletniej historii mojego małżeństwa – poinformowała drewnianą łyżkę leżącą na kuchennym blacie.

Sięgnęła po przygotowany wcześniej talerz – czerwono-zielono-biała mozaika otuliła kawałki drobiu. Hypatia oprószyła wszystko solą i przykryła rondel pokrywką. Teraz trzeba było tylko trochę poczekać. Na pierwsze będzie rosół, już gotowy, na drugie kurczak. Niczym dumny dyrygent patrzyła bacznie na swoją scenę – kuchnię. Ani śladu tłuszczu na ścianach, na kuchennym blacie czy podłodze. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, talerze i cały arsenał

kuchennych utensyliów pochowane w białych szafkach; pod oknem stół z formiki nakryty był do obiadu, na czystym obrusie lśniły szklanki i sztućce dla dwojga.

Spojrzała na duże, kolorowe litery na dole fartuszka: „Dla najlepszej mamy na świecie”. Dostała go na ostatnie urodziny od najmłodszego syna, Miguela. Nie mógł go jej wręczyć osobiście, bo już nie mieszkał w Porvenir. Był bardzo zapracowany i wysłał upominek kurierem. Był zapakowany w różowy papier, który Hypatia wykorzystwała później do zawinięcia obrazka na bożonarodzeniowy prezent dla swojej przyjaciółki Puri. „Wszystko można spożytkować”, powtarzała przez całe życie swoim czterem pociechom.

– Szczerze mówiąc, wolałabym zjeść szczura niż but – przyznała się pomarańczom, które obierała na deser.

Po skończonym obiedzie Tomás poszedł podrzemać przed telewizorem. Hypatia skorzystała z okazji i zrobiła sobie drugą kawę z mlekiem. Włożyła rękę do kieszeni fartucha i wydobyla kopertę, sfatygowaną od ciągłego miętoszenia.

Przeczytanie listu zajęło jej długie godziny. Wygospodarowywała wolny czas to tu, to tam. Jako żona i matka wielodzietnej rodziny była specjalistką w znajdowaniu krótkich chwil wytchnienia. W niedzielę, wyszedłszy z mszy, przysiadła na ławce w parku. W poniedziałek, przy obieraniu fasoli, wykroiła następną chwilkę. We wtorek Tomás pojechał na polowanie i prawie już skończyła czytać. W środę i w czwartek wracała do fragmentów, które spodobały się jej najbardziej.

– Dziwne rzeczy mówi ten podróżnik! – rzuciła jakby od niechcienia do łyżeczki, patrząc na podpis.

Nie była pewna, czy zrozumiała wszystko, co było napisane w liście.

Mimo tak sławnego imienia czytanie sprawiało Hypatii dużą trudność. Kiedy dzieci lub wnuki pytały, dlaczego wodzi palcem po papierze i mruży coś pod nosem, czytając lekarską receptę, odpowiadała, że to starość. Jej mąż milczał. Tylko on wiedział, że już jako dwudziestoletnia, świeżo upieczona mężatka miała z tym problemy. Gdyby to od niego zależało, nie robiłby z tego żadnej tajemnicy, nie ukrywałby niczego przed tymi uczonymi mądralami. Wszystkiemu winny był ojciec Hypatii, który osierocił ją, gdy była małą dziewczynką, najstarszą spośród sześciorga rodzeństwa. Matka sprzątała po domach.

Jemu było wszystko jedno, bo wcale nie czytał ani nie pisał dużo lepiej. Kochał ją taką, jaka była.

Ale Hypatia wolała milczeć i Tomás szanował jej wolę.

Kilka słów w tę czy w tamtą... najważniejsze, że pojęła ogólny sens listu: jakiś mieszkaniec Porvenir marzył, by polecieć daleko, dalej niż jej dzieci. Ale coś mu stało na przeszkodzie. Pogodził się z myślą, że pozostanie mu jedynie czytać

o dokonaniach sławnych podróżników. I opowiedział o tym Hypatii, która urodziła się w Porvenir, spędziła tu całe życie i umrze też tutaj. Nigdy nie pragnęła niczego więcej. Nawet wówczas, kiedy dzieci wyjechały w świat.

– A to, czego w liście nie zrozumiałam, i tak przecież nie zmieni już mojego życia – odezwała się ponownie do łyżeczki. – W jakim miejscu jest moje serce? Co za dziwaczne pytanie! Jakby mogło znajdować się gdzie indziej niż w mojej piersi. – Roześmiała się.

Szkoda jej było nieszczęsnego Magellana, któremu przyszło opłakiwać śmierć własnych dzieci. Jego zabili tubylcy, ale sam się o to prosił. Czego szukał na tych Filipinach, tak daleko od domu?

– Ale dzieci – westchnęła ciężko, podnosząc do ust filiżankę z kawą – to straszne.

Hypatia zapatrzyła się w okno niewidzącym wzrokiem. Co by zrobiła, gdyby straciła swoje dzieci? Przeszył ją lodowaty dreszcz. Jej oczy napełniły się łzami pod wpływem wymagowanego bólu.

– Może też szukałabym śmierci na drugim końcu świata – wyznała kawałkowi ciastka, które trzymała w palcach.

Gdy przyglądała się mu z uwagą, na myśl przyszły jej inne rzeczy, o których była mowa w liście, i znów się roześmiała. A jeśli idzie o dietę Mongołów, to czy oni przejmują się tym, co jedzą mieszkańcy Porvenir?

– Niech każdy je to, co chce lub co ma pod ręką, i kwita – skonkludowała.

A przecież gotowanie było jej pasją i traktowała je z prawdziwą nabożnością. „W kuchni daję o sobie znać artystka, którą skrywasz w środku”, często żartował Miguel. Syn zachęcał ją co rusz, aby wykorzystwała ten „dar”, aby się nim podzieliła z innymi. „A kogo może obchodzić gotowanie jakiejś babuleńki z małej miejsciny?”, machała tylko ręką.

Przypomniała sobie jeszcze coś, co przykuło jej uwagę. Rozłożyła kartkę papieru – w czasie czytania podkreśliła ulubione zdania na czerwono, jak dzieciaki w szkole, żeby wyróżnić ważne fragmenty. Szukała długo, aż odnalazła ustęp, który zrobił na niej wrażenie: „Byłbym wniebowzięty, gdyby ktoś mnie zapytał: Czym się zajmujesz? A ja mógłbym wtedy odpowiedzieć: Szukam źródeł Nilu”.

Ani się obejrzała, jak zrobiło się późno.

Ogarnęła kuchnię, włączyła pralkę, rozwiesiła pranie i wyprasowała kilka koszul. Wyszła z mężem na krótki spacer, zgodnie z zaleceniem lekarza.

O liście przypomniała sobie dopiero półtora tygodnia później. Wciąż jeszcze nie wysłała swojego. Może inni wtajemniczeni, kimkolwiek są, pomyśleli, że przerwała łańcuch?

Spojrzała na zegar z kukułką wiszący w dużym pokoju. Wpół do dziewiątej.

Odetchnęła z ulgą. Zaraz przyjdzie jej starszy wnuczek, a wraz z nim rozwiązanie. Tomás czekał na niego na dworcu autobusowym. Za dziesięć minut powinni być w domu.

– Nie bój się, Saro – szepnęła. – Już wkrótce łańcuchowi przybędzie kolejne ogniwo.

Przejęta, przypomniała sobie, jak to wszystko się zaczęło.

Wyszła kupić chleb. Po powrocie otworzyła metalową skrzynkę w formie listu. Jedna z kopert spadła pikującym lotem pod jej nogi. Całą resztę stanowiły ulotki reklamowe zachęcające do podróży emerytów, pismo z banku i pismo od operatora telefonicznego na nazwisko Tomása. Zamknęła skrzynkę i schyliła się, żeby podnieść kopertę.

Pierwsze, co ją zaskoczyło, to jej ciężar. Rachunki czy ulotki prawie nic nie ważą. Przyjrzała się jej uważnie i odkryła jeszcze trzy dziwne rzeczy: szary kolor oraz brak znaku firmowego i nadawcy. Ale omal nie upadła z wrażenia, kiedy przeczytała swoje imię i nazwisko: „Hypatia González, ulica Principal 11, Porvenir”.

To nie mogła być pomyłka.

„Ktoś do mnie napisał”, wyszeptała. „Do mnie!”.

Nagle poczuła, że słońce zaświeciło mocniej.

Przycisnęła list do piersi.

Jak małe dziecko, które nie chce podzielić się z nikim cukierkiem, po raz pierwszy ukryła coś przed Tomásem. Schowała list do torebki i weszła do domu. Zaraz weźmie się do śniadania. Nie mogła wiedzieć, że zza rogu przyglądała się jej Sara. Listonoszka zdziwiła się niezmiernie, że trzeci list otrzymała Hypatia. Wcześniej nie przychodziła do niej żadna korespondencja.

Minęło już dziesięć dni, a mąż dalej o niczym nie wiedział. Wcale nie czuła się winna, czuła się ważna. Hypatia González była częścią łańcucha ludzi dobrej woli, którzy pragnęli uratować listonoszkę i pocztę w Porvenir. I jeszcze coś – ktoś uwierzył, że ona również ma coś do opowiedzenia innym, i dlatego postanowił włączyć ją do tej akcji. Ją! Była tylko jedna przeszkoda, o której ten ktoś nie wiedział – Hypatia prawie nie umiała pisać.

Wiele razy kusiło ją, żeby poprosić o pomoc Tomása. Aż przed dwoma dniami zadzwonił do niej starszy z wnuczków, jej Tomasito, którego wszyscy poza nią nazywali Tomem. Dzwonił, żeby powiedzieć, że przyjedzie na weekend. Przed Hypatią otworzyło się niebo.

– Można?

– Jasne, babciu!

– Nie przydałby ci się czasem kocyk, Tomasito? – zapytała, wsuwając głowę do pokoju.

– Gdzie tam! Nie jest mi zimno – odparł leżący na łóżku chłopiec, odrywając wzrok od komiksu.

Hypatia pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Na pewno?

– Aha.

Stała w drzwiach, nie mając odwagi wejść.

Tom popatrzył na nią i uśmiechnął się.

Ależ on wyrósł! – przemknęło jej przez myśl. Miał tylko trzynaście lat, ale już był wyższy od niej o głowę. Hypatia była bardzo niska i szczupła, nawet w porównaniu z kobietami z jej pokolenia.

Tom był przyzwyczajony do tego, że babcia go rozpieszczała, kiedy przyjeżdżał do Porvenir. Nie spuszczała z niego oka i dbała o to, żeby dobrze się odżywał. Co, jak po powrocie do domu opowiadał swojej matce, nie kosztowało go wiele wyrzeczeń, bo wszystkie babcine specjały były palce lizać.

– Do jutra, babciu. Odsapnij sobie.

– Wiesz co? Wyciągnę jednak ten koc z szafy, tak na wszelki wypadek... – powiedziała i wsunęła się nieśmiało do pokoju.

Tom ujrzał ze zdziwieniem, jak Hypatia wyciąga z rękawa kawałek szarego papieru. Wyglądał jak koperta.

– Tomasito, ja...

– Tak, babciu?

Przysiadła na krawędzi łóżka, w nogach. Materac niemal się nie ugiął pod jej kruchym ciałem. Wyciągnęła do wnuczka dłoń z listem.

Tom przeczytał go jednym tchem. I wykrzyknął szczęśliwy:

– Kapitalnie! Z samego rana napiszemy anonim... Nie zostawimy najmniejszego śladu, żeby nikt nas nie namierzył. Ale numer! I naprawdę nie wiesz, kto mógł do ciebie napisać?

– Już ci mówiłam, że nie. Ale pamiętaj...

– Tak, babciu, spokojna głowa. To będzie nasza tajemnica, nikomu ani mru-mru.

## Hypatia

„Dzień dobry” – podyktowała Hypatia.

– Babciu! Tak się nie zaczyna listu – zaśmiał się Tom.

– Nie? A jak?

– Najpierw trzeba napisać datę i miejscowość.

– No to pisz: „Niedziela ósmy grudnia, Porvenir”.

– „Ósmy grudnia, Porvenir” – powtórzył z entuzjazmem Tom i zapisał. –

Niedzieli nie trzeba.

Byli sami, siedzieli w kuchni.

Tomás poszedł do baru wypić piwo z kolegami. Od samego rana czuł przez skórę, że babcia i wnuczek coś kombinują. Nie chciał im zawadzać i zapowiedział się na drugą, na obiad.

Gdy wyszedł, para spiskowców wzięła się do roboty. Nie mieli czasu do stracenia, bo po południu chłopiec musiał wrócić do domu.

– Czy teraz mogę już powiedzieć „dzień dobry”? – spytała Hypatia.

– Nie, nie... takiego zwrotu w listach się nie używa! Przecież nie wiesz, o której godzinie ta pani to przeczyta, co nie?

– Masz rację.

– Może dopiero w nocy. A ty, babciu, kiedy przeczytałaś swój list?

Hypatia popatrzyła na wnuczka. Czowała, że z nim może być szczerza, bo to jeszcze prawie dziecko.

– Babci zajęło to kilka dni.

Użyła trzeciej osoby, bo ta forma wydała się jej mniej upokarzająca. To tak, jakby nie mówiła bezpośrednio o sobie. Czekwała na reakcję Toma, ale wnuczek najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi. Patrzył z dumą na zapisane słowa.

Dodał:

– „Droga Pani”. Przecinek. Od następnej linijki.

– Wolabym nazywać ją przyjaciółką... Jak sądzisz? – Pomyślała, że jeśli ma zamiar dzielić się z adresatką tyloma sekretami, to chyba może zwracać się do niej w bardziej poufaly sposób.

– No dooobra – zgodził się niechętnie Tom i przekreślił napisane słowa.

Hypatia zamknęła oczy, żeby lepiej się skoncentrować. Poszperała chwilę w pamięci i jakby powtarzała za jakimś wewnętrznym głosem, podyktowała:

– „Żywię głęboką nadzieję, że niniejszy list zostanie...”.

Tom parsknął śmiechem. Hypatia wytrzeszczyła oczy, jakby przyłapano ją na jakimś nieczym uczynku.

– Chyba żartujesz, babciu? Kto tak dzisiaj mówi?!

– Mnie uczono, że tak właśnie pisze się listy...

Widząc, że babci nie jest do śmiechu, chłopiec spoważniał.

– Kto?

– Co „kto”? – spytała, nieco rozdrażniona.

– Kto cię uczył pisać listy?

Hypatia wiedziała, że w pytaniu wnuczka nie było złośliwej ironii. Zdała sobie sprawę, że w pewnym sensie dla swoich potomków była obcą osobą. Sama postanowiła nie wtajemniczać ich w wiele szczegółów ze swojej przeszłości. Jedną decyzją ukryła przed nimi cierpienia, jakich doznała w ciągu tylu lat.

– Pani Teresa – powiedziała.

– Jaka pani Teresa? Twoja przyjaciółka?

– Moja pani.

Tom spojrział na nią, zaskoczony i zaintrygowany.

– Pani, u której byłam na służbie – wyjaśniła.

Hypatia westchnęła. Woda zaczęła się gotować w odpowiednim momencie. Podeszła do kuchenki. Wsypała ryż, wspominając te wszystkie, niezliczone razy, kiedy robiła to w domu pani Teresy. Usłyszała jak żywy jej szorstki głos: „Mam cię na oku, słyszysz, ty niewdzięczna dziewucho? Jedna garść, masz prawo tylko do jednej garści ryżu. Kosztujesz mnie fortunę! Lepiej cię ubierać, niż żywić... Tylko mojemu synowi mogło się ubzdurać, żeby wziąć na służbę takie dwunastoletnie chuchro”.

– Chcesz powiedzieć, że pracowałaś jako służąca? – spytał Tom, zapisując bez specjalnego przekonania to, o co prosiła go babcia.

Popatrzyła na niego czule. Gdybyś ty wiedział... – pomyślała. To nie była praca, tylko niewolnictwo. Na całe życie pozostały jej w pamięci obelżywe traktowanie, krzyki i razy, którymi częstowano ją przez trzy niekończące się lata służby.

– Tak, pracowałam u niej w domu, w innej miejscowości. Pani prawie nie widziała. Musiałam za nią czytać i pisać listy, i robić wiele innych rzeczy. W tamtych czasach telefon mieli tylko nieliczni.

Wróciła do stołu i usiadła naprzeciwko swojego skryby.

– Ale jeśli nie przestaniesz pytać i pytać, przyjdzie dziadek, a my ciągle będziemy w polu.

Hypatia nie chciała grzebać w swojej przeszłości, naznaczonej cierpieniem. Znowu poczuła ból w kostkach palców od uderzeń twardej trzciny i usłyszała tamten zniechęcony głos: „Co ty wyprawiasz, kapuściana głowo! Proszę cię

o przysługę, a ty bazgrzesz jak kura pazurem”.

– Już dobrze, babciu!

– „Chcę pani powiedzieć, że stworzyliśmy łańcuch listów, żeby uratować naszą listonoszkę, Sarę. Mają ją przenieść do stolicy i zamknąć nam pocztę”.

– Nie tak szybko, nie nadążam! – zaprotestował Tom.

– Wybacz, wnusiu. Pisz, pisz, zaczekam.

Tom skupił się na kartce papieru:

*Pisze do pani, żeby powiedzieć, że utworzyliśmy łańcuch z listów, żeby uratować Sarę listonoszkę z naszego miasteczka.*

Hypatia wyszła z kuchni i po chwili wróciła ze swoim listem.

– Lepiej przepisz to stąd, wtedy będziemy mieć pewność, że nie strzelimy byka.

– Babciu! Teraz mi to mówisz? Napisałem już połowę zdania. I co teraz? Mam to przekreślić?

Kobieta zastanawiała się przez chwilę.

– Zostaw, jak jest, a z tego listu przepisz ten podkreślony fragment.

Tom wziął od babci kartkę i zaczął przepisywać, nieco modyfikując:

*Reguły tej gry są następujące: musimy utworzyć łańcuch złożony z anonimowych listów, aby uratować pracę Sary, naszej listonoszki, i żeby w naszym miasteczku po ponad stu latach nie zamknięto poczty. Sara nic o tym nie wie. Nie możesz jej nic powiedzieć. Musimy pisać, aby udowodnić jej szefom, że mieszkańcy Porvenir lubią wysyłać i otrzymywać listy. Może w ten sposób nie przeniosą jej do stolicy. Mnie nikt nie pytał, czy chcę brać w tym udział. Ja też nie będę Cię o to pytać. Gdy przeczytasz te słowa, zdecydujesz, czy przyłączyć się do nas, czy nie. Jedyne, co musisz zrobić, to napisać o czymkolwiek: kilka słów, kilka zdań. Nieważne, czy masz ładne, czy brzydkie pismo albo czy robisz błędy ortograficzne. Możesz opowiedzieć, o czym tylko zechcesz i komu zechcesz, najlepiej innej kobiecie, choćby nieznanym.*

– To nudne jak flaki z olejem! – jęknął Tom, odkładając długopis na stół.

Długopis poturlał się ku krawędzi. Kiedy już, już miał spaść, chłopiec chwycił go w locie. Powtórzył ten manewr trzy albo cztery razy.

– Dlaczego? – spytała Hypatia.

– Bo już chyba z pół godziny przepisuję i przepisuję, a ty w tym czasie gotujesz. – Hypatię łączyła z jej garnkami i kuchennym sprzętem głęboka miłość. Tomás, jej czworo dzieci i gotowanie dla rodziny to było jej wielkie, życiowe spełnienie. – Nie masz nic do opowiedzenia, babciu? Coś twojego... Nie chcę już więcej przepisywać!

– A co miałabym opowiedzieć? Przecież całe życie spędziłam tutaj, wychowując twoich wujków i twoją matkę. Sprzątając i gotując. Osoba, która do mnie napisała, powiedziała, że mogę pisać, co chcę.



- No to opowiedz o tym.
- O czym?
- O tym, jak mama była mała albo dlaczego tak lubisz gotować.

Hypatia uśmiechnęła się do siebie, odcedzając ryż. Długo się zastanawiała, aż w końcu odparła:

- Gotowanie jest jak malowanie.
- Malowanie?
- Tak, Tomasito. Kiedyś widziałam film dokumentalny w telewizji,

w którym jeden malarz...

- Jak się nazywał? – spytał podekscytowany chłopak. – Był sławny?

– Wnusi, a skąd ja mogę to wiedzieć! Nieważne, kto to był, ważne, co mówił. Dziennikarz odwiedził go w jego pracowni, żeby zobaczyć, jak pracuje. A on malował tak, jak ja gotuję w kuchni. – Tom wpatrywał się w babcię z niedowierzaniem. – Mówił, że słucha farb i pędzli, zanim zabierze się do pracy. Ja też rozmawiam z moimi drewnianymi łyżkami czy papryką!

- Poważnie?

- Oczywiście! A myślisz, że dlaczego tak smacznie gotuję?

- Bo jesteś mądra i od bardzo dawna przyrządzasz to samo...

– Skądże znowu! Po pierwsze, dlatego że dziękuję wszystkim składnikom, zanim je pokroję czy usmażę. Bez żywności umarlibyśmy z głodu. Pomyślałaś kiedyś, jak wielką oddaje nam przysługę?

Tom próbował sobie wyobrazić babcię rozmawiającą z hamburgerem czy z makaronem. Rozbawiło go to, ale zdusił w sobie śmiech. Opowiadała o tym bardzo serio.

- Od kiedy tak masz, babciu?

Hypatia usiłowała sobie przypomnieć, kiedy zaczęła to robić po raz pierwszy.

Miała piętnaście lat. Wujek zabrał ją z domu pani Teresy. Załatwił jej pracę pomocy kuchennej w nowo otwartym sanatorium w górach. Pomyślała, że Bóg wysłuchał jej modlitw: najbardziej na świecie lubiła gotować! A poza tym pośród tak wielu ludzi nie będzie się rzucać w oczy. Nikt nie będzie jej kontrolował, czy miesza łyżką w prawo, czy w lewo albo czy wyciera ręce w czysty fartuch.

Dni mijały, a z nią nikt nie zamienił słowa. Miała swój taboret w rogu kuchni. Wczesnym rankiem przynoszono jej miski pełne ziemniaków albo jabłek do obierania. Kiedy indziej skubała kurczaki. Pod koniec każdego dnia miała wrażenie, jakby jej palce poprzekłuwane były ostrymi szpilkami. Ale nie posiadała się ze szczęścia. To właśnie wtedy zaczęła rozmawiać z wiktuałami.

Zdobyła zaufanie głównej kucharki i została jej prawą ręką.

Ten szczęśliwy okres trwał blisko cztery lata.

- Malarz miesza kolory i formy. Ja też, Tom. Ważne jest to, co z czym

łączysz. Lubisz bezy?

– Wiesz przecież!

– Pewnie, że wiem, żarłoku. I co, zjadłbyś je z białą fasolą? Albo ze smażonym boczkiem?

– Fuj...

– No właśnie. Ja też łączę kolory i formy. Ale oprócz tego łączę również smaki.

Tom przeczytał cały list.

*Dla mnie gotowanie jest jak malowanie obrazów. Gdy wchodzę do kuchni najpierw myślę co tego dnia zrobię na obiad. Wcześniej tego nie wiem. Dopiero gdy wchodzę tutaj siadam sobie cichutko i zaczynam się zastanawiać i przychodzą mi do głowy pomysły! Czasem muszę lecieć na targ, bo akurat czegoś mi brakuje.*

*Muj mąż Tomás mówi, że jak zajrzeć do mojej spiżarni to trudno uwieżyć, że czegoś może tam brakować, tak w niej pełno wszystkiego. Dobry człowiek z tego Tomása. Nigdy nie protestuje i chodzimy razem na targ, gdy mi czegoś brakuje. On bardziej lubi kupować i jeść niż gotować. Poznałam go, kiedy pracowałam w kuchni w jednym hotelu, a on dowoził zamówione produkty. Jego rodzice mieli stragan z ważywami. Był bardzo ładnym chłopcem! I taki był dowcipny! Wzięliśmy ślub po trzech latach nażeczeństwa. Miałam dwadzieścia lat i zrezygnowałam z pracy w hotelu.*

*(PRZEPRASZAM, ALE MIELIŚMY MUWIĆ O CZYMŚ INNYM)*

*Rozmawiam z produktami, z których gotuje obiad. Mam ulubioną łyżkę, taką, która spisuje się najlepiej przy mieszaniu sosów. Wchodzę do kuchni i zapominam o bożym świecie, godziny płyną, a dla mnie to jakby jedna sekunda. Ale to nie ważne. I tak nie mam nic innego do roboty.*

*Kiedyś było inaczej. Miałam czwórkę dzieci. Zawsze w biegu. Kiedy były małe musiałam prowadzić je do szkoły. Po szkole pilnować, żeby odrobiły lekcje i żeby chłopcy się nie bili. Nauczyć je ścielić łóżka, iskać wszy czy szyć im szkolne fartuchy. Marisa zawsze była dobrą dziewczynką i taka jest po dziś dzień. Jak tylko podrosła trochę pomagała mi ze swoimi braćmi. Ale i ją trzeba było pilnować, bo bardzo była wymagająca zawsze ich karciała. Mam nadzieję, że dla swojego męża nie jest taka sroga.*

*Jesús, następny po Marisie, z tym zawsze były problemy. Ile razy ojciec musiał go szukać bo ciągle wdawał się w jakieś awantury! Na szczęście poznał dobrą dziewczynę i zmienił się niedo poznania. Zarobił tyle pieniędzy, że zafundował mnie i Tomásowi tygodniowy pobyt w luksusowym hotelu. Bardzośmy*

*się wynudziła, ale mu tego nie powiedzieliśmy. Raúl był najzdolniejszy. Od samego początku to było widać. Bardzo dobry syn, bardzo dobry przyjaciel, bardzo dobry sąsiad. Wszyscy go lubią. Zawsze jest gotowy pomóc każdemu. I Miguel, najmłodszy. Jeśli masz dzieci to wiesz co chcę przez to powiedzieć. Matka choćby się pszed tym wzbraniała zawsze najbardziej kocha najmłodsze dziecko i wszystko mu wybacza. Może dlatego, że jest już zmęczona.*

*Miguel zawsze bójał w obłokach. Marzyciel. Nie chciałam, żeby wyjeżdżał. To jeszcze taki nieopieźony kurczaczek! Ale on mówił, że tutaj nie ma nic do roboty. Odszedł z domu ostatni. Wszyscy odeszli. Jaka ciężka jest ta cisza. Tak bardzo się nimi przejmowałam przez całe życie, że zapomniałam pomyśleć o sobie. Teraz mogę jedynie ukraść im kilka minut w tygodniu przez telefon. Mają swoje życie.*

*A my zostaliśmy tutaj wrośnięci w to miasteczko z ich szkolnymi zeszytami. Na szczęście mam moją kuchnię, Tomása i moją przyjaciółkę Puri, z którą chodzimy na mszę i wymieniamy się przepisami.*

*(PRZEPRASZAM, ZNOWU ROZGADALIŚMY SIĘ NIENA TEMAT)*

*Dzieci i mąż przepadają za moją kuchnią. Miguel, ten najmłodszy, zajmuje się komputerami. Mówi, że któregoś dnia poprosi mnie o wszystkie moje przepisy i umieści je w Internecie, on mówi na to blog. I mówi, że dzięki temu w każdym zakątku świata ludzie będą mogli przyrządzić kurczaka z tymiankiem doñi Hypatii albo dżem z jerzyn. I że ludzie będą mi wysyłać zdjęcia potraw przyrządzonych według moich przepisów. Mówi, że będę sławna.*

*A mnie ciekawi czy w krajach, o których mowa w liście w Persji czy w Patagoni kogoś może interesować mój dżem. Po pierwsze zapytałam Miguela czy będą mieli pod ręką jerzyny w takich dalekich stronach? Ja myślę, że nie. Ale jeśli mowa o marzeniach nie ma z nim dyskusji. Więc jeśli tak bardzo chce to dam mu te przepisy i już. Musze się przyznać, że czasami podoba mi się ten pomysł. To znaczy nie chcę być sławna. Czy sławę można zjeść? Można ją ugotować? No to czort z nią. Ale chciałabym poznać inne gospodynie z Chin czy Francji. Żeby pokazały mi swoje przepisy. A ja im moje. To byłoby dla mnie wielkie przerzycie. Zobaczyć jak wyglądają ich kuchnie, ich dzieci, mężowie.*

– Powiedziałam, że do Puri.

– Tak nie wolno, to zmyłka, babciu!

– Żadna zmyłka, co znów za zmyłka... Chyba mam prawo decydować, do kogo wyślę list, i zdecydowałam, że do Puri.

– Ale przecież ona jest twoją przyjaciółką i wie o wszystkim, o czym tu mówisz...

– Nigdy jej nie mówiłam, że kuchnia jest dla mnie jak malarstwo. Ani że mam wielkie szczęście, że jest moją przyjaciółką. Tego też nigdy jej nie mówiłam.

I teraz chcę to powiedzieć.

– No to zadzwoń do niej i powiedz jej to przez telefon.

Hypatia popatrzyła z powagą na chłopca. Ten szurnął krzesłem i się nabzdyczył. Nie chciał wziąć notesu, który mu podsuwała, położyła go więc na stole, obok zaklejonej koperty z przyklejonym już znaczkiem.

– Purificación Caparrós. Poszukaj jej adresu.

Tom odmówił, ale już jakoś słabiej. Wiedział, że o ile nie nastąpi cud, jest na straconej pozycji.

Dokładnie w tym momencie usłyszeli brzęk kluczy. Drzwi od ulicy otworzyły się i głos dziadka przyszedł mu w sukurs.

– Wróciłem! Kupiłem chleb – zawołał Tomás z przedpokoju.

W kuchni zapadło milczenie. Babcia z wnuczką spojrzeli na siebie.

– Zanieś list i notes do pokoju, pośpiesz się! Potem napiszesz adres.

Tom kiwnął głową na znak zgody i wymknął się z kuchni. W korytarzu nadział się na dziadka z gazetą w ręku.

– Kawaler, zrób dla dziadka szpaler! Trzymaj gazetę i zanieś ją do dużego pokoju. Ja pomogę babci nakryć stół.

Tomás przysypiał przed telewizorem, a Hypatia sprzątała w kuchni.

Niczym złodziej w białych rękawiczkach, Tom sposobił się do działania w swoim pokoju. Na łóżku leżały narzędzia zbrodni: niezaadresowana koperta, długopis i gazeta otwarta na stronie z ogłoszeniami towarzyskimi. Babciny notes spoczywał na nocnym stoliku.

Przyszedł mu do głowy genialny, jak mniemał, pomysł. Przeczytał jeszcze raz ogłoszenie:

*Mam na imię Sarai. 90–60–90. Czuję się bardzo samotna. Chcesz ze mną pofiglować? Napisz do mnie na adres skrytki pocztowej nr 080771 (Porvenir), wyślę Ci moje zdjęcie. Lub zadzwoń: 902 69 69. Nie każ mi czekać.*

W ślepym zaułku

*Najpiękniejsze listy miłosne pisane przez kobietę to zawsze listy do mężczyzny, którego zamierza zdradzić.*

LAWRENCE DURRELL

SARA: Dzień dobry.

CASTAWAY 65: Jaki z Ciebie ranny ptaszek dzisiaj!

SARA: Jest dziesiąta. Trudno to uznać za wczesną porę.

CASTAWAY 65: Dla nas tak, jesteśmy południową parą...

Sara zaniemówiła. Parą? Co chce przez to powiedzieć?

To prawda, z głupia frant minęły już cztery miesiące od pierwszego maila Fernanda, w którym prosił ją o pomoc w sprawie tego zaświadczenia. Ale żeby zaraz parą... przecież nawet się nie widzieli. Ani nie słyszeli!

Jak on teraz wygląda, po dziesięciu latach? Dołeczek z brody pewnie mu nie wyparował. Ale czy przytył? Wyłysiał? Tyle lat ciężkiej pracy pod gołym niebem, na pełnym morzu – niechybnie wiatry musiały mu nieźle wygarbować skórę.

CASTAWAY 65: ...para czatowa, miałem na myśli.

Sara zachodziła w głowę, czemu się tłumaczy, przecież o nic go nie pytała.

SARA: Dzisiaj w południe mnie nie będzie.

CASTAWAY 65: Znowu przyjdzie mi jeść obiad w samotności... Całe szczęście, że jeden delfin chce ze mną rozmawiać, bo gdybym liczył na kolegę Rosjanina czy Tajlandczyka, mógłbym się srodze zawieść. I ty też nawalasz... Tylko mój delfin stoi przy mnie murem.

SARA: Piszę do Ciebie teraz, bo zawsze jesteś dostępny...

CASTAWAY 65: A czy mogę nie być? Przecież wiesz, że cały dzień ślęcę przed radarem, pilnując, żeby nie lupnęła w nas jakaś góra lodowa czy potwór z Loch Ness.

SARA: Są tam góry lodowe?

CASTAWAY 65: Widzę, że czytasz uważnie. Ten points! Nie. Nie ma też potwora z Loch Ness...

SARA: Tak na marginesie, mam już w sumie cztery sztuki.

CASTAWAY 65: Cztery sztuki? Nie wiem, o czym mówisz... Atos, Portos i Aramis spotkali wreszcie d'Artagnana?

SARA: Mam czwarty list!

CASTAWAY 65: Świetnie! Gdzie tym razem zawiedzie Cię koperta? Znowu do jakiegoś pustego domiszcza? Do chatki na kurzej łapce zamieszkałej przez ubzdryngoloną Babę- --Jagę?

SARA: O dwa kroki stąd.

CASTAWAY 65: O dwa kroki? Do domu naprzeciwno?

SARA: O dwa kroki, dosłownie. Do skrytki pocztowej, którą ktoś wynajął kilka lat temu i do dziś zarastała pajęczyną.

CASTAWAY 65: Coś Ty?!

SARA: Dam Ci znać, kto ją odbierze. Szczerze mówiąc, nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

CASTAWAY 65: Tajemnicy ciągnij dalej... Zrób te dwa kroki, wrzuć list i wróć do mnie.

SARA: Nie mogę. Muszę iść z małym do lekarza.

CASTAWAY 65: Coś poważnego?

SARA: Ostre zapalenie głupoty. Do czego to podobne, żeby przez dwie godziny bawić się na śniegu bez kurtki?

CASTAWAY 65: Na śniegu? Czy dobrze zrozumiałem: na śniegu?

SARA: Tak! Od dwóch dni sypie bez przerwy.

CASTAWAY 65: Ile bym dał, żeby zaczerpnąć garść bielutkiego śniegu.

SARA: Przecież tam jest pewnie o wiele zimniej niż tutaj...

CASTAWAY 65: Saro! Śnieżyca na środku morza i do tego w nocy jest tak nieprawdopodobna jak to, że mógłbym zobaczyć, choćby przez sekundę, burzę Twoich płomiennych włosów.

Pamięta, pamięta, pamięta...

Przez cały dzień Sara unosiła się w powietrzu, powtarzając tę mantrę, odkąd rano Fernando wtrącił mimochodem to o jej włosach. Przeczytawszy te słowa, popędziła do łazienki, by zerknąć do lustra. Była nieco przy kości i niezbyt wysoka. Nie była ani ładna, ani brzydka. Od młodości wyróżniała się jedynie kolorem włosów. Z wiekiem straciły swój intensywny, złocisty połysk, ale i tak są ładne, myślała, dotykając pukli.

To głupstwo wprawiło ją w dobry nastrój. Kiedy Fernando napisał do niej po

raz pierwszy z prośbą o przysługę, pomyślała, że po prostu nie ma do kogo się zwrócić. Z jakiego niby powodu miałyby się interesować nudną, zamężną listonoszką z trojgiem dzieci?

Brakowało pięciu minut do dwudziestej. Ulica była pusta i wiało dojmującym chłodem. Ołowiane, ciemne niebo kontrastowało z białym dywanem przykrywającym ziemię, nadając Porvenir nierzeczywisty wygląd.

Trzeba zamykać.

Poszła do magazynu po palto i czapkę. Ubierając się, usłyszała dzwoneczek przy drzwiach od ulicy.

– Dobry wieczór – powiedziała zaskoczona Sara. – Nie sądziłam, że ktoś może jeszcze przyjść. W taką pogodę!

Kobieta w średnim wieku, objuczona reklamówkami z supermarketu, szamotała się z drzwiczkami jednej ze skrytek. Nie ściągnęła rękawiczek ani kapelusza. Wyglądała jak kowbojski, pomyślała listonoszka.

Zjawa odwróciła głowę i spod ronda kapelusza wyłoniło się jej oblicze, jakby chciała ustalić, skąd dochodzi głos.

– Może pomóc?

Kobieta najwyraźniej biła się z myślami. Nic nie powiedziała, ale wyciągnęła wymownie rękę z kluczem. Każdy palec jej wełnianych rękawiczek był innego koloru.

Dzieci noszą takie rękawiczki, przemknęło Sarze przez myśl.

– Ale ziąb! – Sara podeszła do kobiety i zderzyła się z ławką, na której zwykle siadali starsi ludzie czekający w kolejce. – Co za niezguła ze mnie. – Posłała nieznajomej uśmiech w nadziei, że może doczeka się jakiegoś odzewu.

Lecz w odpowiedzi usłyszała jedynie gniewny, półdziki pomruk. Dziwna kobieta! Twarz wydawała się znajoma. Pewnie mignęła jej kiedyś w aptece albo na ulicy. Nie mogła jej nigdzie przypasować.

– Może mnie się poszczęści – rzuciła Sara, biorąc kluczyk.

Kobieta wskazała drzwiczki, które usiłowała otworzyć.

Sara drgnęła nieznacznie, ale starała się to zamaskować. Opanowała ją, trwająca ułamek sekundy, dziecinna satysfakcja.

– Skrytka numer 080771. Chyba po raz pierwszy przychodzi do pani list. – Jeszcze zanim skończyła to zdanie, wiedziała, że strzeliła niewybaczalną gafę.

Klientka spiorunowała ją wzrokiem. I jakby plując jej w twarz, syknęła:

– Szpiegowanie klientów też wchodzi w zakres obowiązków pracownika poczty?

– Co ona sobie myślała? Wścibska baba! Nudzi się na morgi swoim życiem i zabiera się do szpiclowania innych – syknęła Sarai Manuela, upijając łyk białego

wina.

Wyszędłszy z poczty, popadła w wisielczy nastrój. Stwierdziła, że najlepiej będzie, jeśli przed pracą weźmie gorącą kąpiel. Spojrzała na zaparowane do połowy lustro. Tylko głowa wystawała jej z piany.

– Wyglądam, jakbym była pogrzebana za życia – skomentowała ten widok.

Lubiła dyskrecję. To dlatego wynajęła to małe mieszkanko na obrzeżach Porvenir, w jego nowej części.

– Tutejsi mieszkańcy nie są tak zaściankowi jak ci ze starego miasta, obgadujący wszystkich jak leci – mruknęła. – Jak ta bezwstydną ruda – dodała z pogardą.

Poczuła, że na nowo wstępuje w nią otucha.

Ona nie czepia się nikogo. Znała przelotnie może z dwójkę sąsiadów. Kto pozwolił tej listonoszce wściubiać nos do jej korespondencji? To jej pierwszy list, odkąd płaciła za skrytkę, ale nikomu nic do tego.

– Złożę skargę. Co ona sobie wyobraża? – zawołała groźnie do swojego odbicia w lustrze.

Teraz jednak skupi się na tym, co najważniejsze – na liście, zdecydowała, jakby w tej decyzji miała odnaleźć spokój.

Wreszcie napisał do niej jakiś klient.

Od dwóch lat opłaca skrytkę pocztową i ogłoszenie w gazecie o oferowanych przez siebie usługach. W ostatnich tygodniach wiele razy myślała, żeby zrezygnować ze skrytki, bo dzięki linii telefonicznej dziewięćset dwa miała wystarczającą ilość klientów, żeby interes jakoś się kręcił. Ale jedno, hołubione od lat marzenie uniemożliwiało ten krok. Jej siostra mieszkała od dawna w Kanadzie. Miała dwoje dzieci, których Manuela nie znała. Tęskniła za siostrą i bardzo pragnęła ich odwiedzić.

Potrzebowała więcej pieniędzy.

– Bądźcie pozdrowione euruski na moją podróż do Montrealu – zamruczała leniwie, wyciągając rękę ku kopercie leżącej na podłodze.

Gdy zmieniała pozycję w wannie, do nosa dostało się jej nieco piany. Kichnęła siarczyście, wznecając myd-łaną mgłę. Roześmiała się.

Kiedy ja się śmiałam ostatni raz? – pomyślała.

Nie miała ku temu zbyt wielu powodów.

Mieszkała sama w miasteczku, w którym się urodziła i z którego wyjechała w wieku dziesięciu lat. Nie miała tu nikogo i niczego, z czym mogłaby być związana. Wróciła tylko dlatego, że było to idealne miejsce do zniknięcia z powierzchni życia, jakie sama sobie zgotowała.

Miała już czterdzieści pięć lat, kiedy pewnego ranka setki kilometrów od Porvenir ujrzała siebie w lustrze łazienki. Nie spodobało się jej to, co zobaczyła – gospodyni domowa przykuta do dobrego, lecz nudnego mężczyzny i dwojga



nieznośnych nastolatków.

Zanim domownicy wrócili z pracy i ze szkoły, spakowała dwie walizki. Starła się zabrać tylko to, co należało wyłącznie do niej. Dlatego zostawiła obrączkę ślubną wraz z krótką pożegnalną notką:

*Nic do Was nie mam, ale muszę odejść.  
Nie szukajcie mnie. Życzę Wam z całego serca,  
abyście byli szczęśliwi. Ja muszę tego spróbować.*

Ale szczęście okazało się bardziej ulotne, niż mogła to sobie wyobrazić. Bezwiednie przyszedł jej do głowy tekst piosenki zespołu Cabra Mecánica: „Szczęście, jakże słodkie twoje imię, Szczęście, gdzie cię niesie, dokąd płyniesz? Szczęście, gdy w upojny idziesz tan, tracisz głowę, dajesz w gaz, no i znikasz, choć twa miłość miała wieki trwać”. Ścieżka dźwiękowa jak ulał pasująca do jej aktualnego życia.

Zaraz stuknie jej pół wieku, a żyje jak pustelnica.

W pierwszym, pełnym euforii okresie ucieczki czerpała z życia pełnymi garściami, po części dzięki spadkowi po matce. Wyjechała na miesiąc do Indii w poszukiwaniu siebie i... spotkała młodego guru, którego przywiozła ze sobą w drodze powrotnej. Wynajęła mały uroczy loft dla dwojga. Dopóty były pieniądze, była „miłość”.

Dlaczego ludzie nazywają miłością pospolite wyrachowanie? – zastanawiała się, rozdzierając kopertę.

Po tym, jak guru zniknął z inną, bogatszą kobietą, pozbierała swoje manatki i kawałki potrzaskanego serca. Przypomniała sobie wówczas o rodzinnym miasteczku. Wyjechawszy z Porvenir w dzieciństwie, przez te wszystkie lata do niego nie wróciła, ale z pewnością życie tam musiało być bardzo tanie. Wydało się jej miejscem tak dobrym lub tak złym jak każde inne. Zresztą było tylko przerwą w podróży.

Pewna znajoma pomogła jej znaleźć odpowiednią dla niej pracę. Nie miała wykształcenia ani doświadczenia zawodowego, ale dzięki jednorocznej indyjskiej pasji wyzbyła się uczucia wstydu, jakie zwykle nęka kobiety w jej wieku.

Sarai Manuela nie stroniła od cielesnych rozkoszy i nie miała żadnych oporów, aby o nich rozmawiać. Znała słowa o wschodniej melodyce, a także pozycje, które budziły odwieczne zwierzę, jakie wielu ukrywa w swoim wnętrzu. I postanowiła to wykorzystać.

Praca na gorącej linii nie była taka zła, jak pewnie wielu myślało. Niekiedy nawet okazywała się zabawna.

– To jakiś żart? – wykrzyknęła głośno.

Zaczęła czytać list, nie wierząc własnym oczom.

Sprawdziła ponownie adres na kopercie: Sarai, skrytka pocztowa 080771. Ewidentnie był to list skierowany do niej. Nadawcy ani śladu, ale to, zamiast zdziwić, wzbudziło w niej ufność. Kto by się odważył napisać swoje imię i nazwisko na kopercie wysłanej na „gorący” adres.

Znowu przyjrzała się kartce papieru, która na krawędziach zaczynała już nasiąkać wodą. Okrągłe i dzieciennie poprawne litery kontrastowały z treścią listu opowiadającego o mężu, dzieciach, kuchni... Przez chwilę pomyślała, że to szyderstwo losu.

– Dla mnie gotowanie jest jak malowanie obrazów – przeczytała na głos. – A dla mnie jak tłuczenie kamieni w czterdziestopięciostopniowym upale na głodniaka – sarknęła.

*Rozmawiam z produktami, z których gotuje obiad.*

– Przeklinam produkty, z których gotuję obiad – zawołała, dotykając odruchowo drugiego podbródka.

Próbowała wyobrazić sobie, kto mógł napisać ten list, i w jej głowie powoli zaczynał się kształtować obraz autorki.

– Jesteś zgorzkniałą kobietą usidloną w rzeczywistości, do której wepchnięto cię na siłę, nie pytając o zdanie; rzeczywistości, której nakazała ci pragnąć twoja matka. Twoim obowiązkiem było iść za jej przykładem. Wyjść szybko za mąż za dobrego człowieka. Urodzić i wychować dzieci. I patrzeć, jak przemija życie. Wszystkie jesteście takie same! – krzyknęła do pary kłębiącej się w łazience. Przez krótki moment pomyślała o swojej matce. Dobra kobieta, nie inaczej. – Mam po dziurki w nosie dobrych kobiet i dobrych mężczyzn! – uniosła się. Ale czytała dalej.

*Jeśli masz dzieci to wiesz co chcę przez to powiedzieć. Matka choćby się pszed tym wzbraniała zawsze najbardziej kocha najmłodsze dziecko i wszystko mu wybacza.*

Zamknęła oczy. Tak, miała dwóch synów. Pewnie już bardzo urosli. Być może studiują na uniwersytecie. Czy poznałaby ich, gdyby spotkali się na ulicy? Na pewno. Starszy miał charakterystyczne pasemko białych włosów na potylicy, a młodszy wielkie, odstające uszy. „Dumbo, Dumbo!”, wołały za nim dzieciaki.

Żal jej było syna, ale nie tak znowu bardzo. Winny był ojciec. To po nim syn odziedziczył uszy. Zastanowiła się, czy kochała go bardziej niż starszego, i doszła do tego samego wniosku co zawsze. Kochała ich dokładnie tak samo, to znaczy tyle, co kot napłakał.

*Tak bardzo się nimi przejmowałam przez całe życie, że zapomniałam pomyśleć o sobie.*

– Widzisz, stara idiotko? I zostawili cię samą. Wszyscy dali nogę. I ten

Tomás, gdyby był młodszy, też by cię wystawił do wiatru! Kto by chciał żyć pod jednym dachem z wariatką rozmawiającą z papryką? Ale nie przejmuj się, tak prywatnie to ja do ciebie nic nie mam. One wszystkie nas zostawiają. Dlatego zwałam, żeby nie dać im tej satysfakcji – odpowiedziała duchowi gospodyni domowej.

*A mnie ciekawi czy w krajach, o których mowa w liście w Persji czy w Patagonii kogoś może interesować mój dżem.*

Sarai Manuela parsknęła śmiechem. A to dobre! – pomyślała. Nie łudź się, ani w Patagonii, ani w Persji, ani tutaj nikt nie tęskni za twoimi dżemami.

Nie wiedzieć czemu po przeczytaniu listu i wymoczeniu się w wannie była bardzo odprężona. Umalowała się, włożyła satynową halkę z dodatkami czarnej koronki oraz szpilki. W służbowym uniformie czuła się o wiele ładniejsza.

Pomyślała, że wyładowanie gniewu na kimś niewidzialnym, skierowanie zmasowanego ognia przeciwko wszystkim cnotom, których tak nienawidziła, przynosi jej ulgę, neutralizuje napięcie.

Jeszcze będę musiała jej podziękować, uśmiechnęła się ironicznie, odbierając pierwszy telefon. Wybiła północ.

Gorączkowe sapanie po drugiej stronie telefonu przypominało, że zaczęła się jej nocna zmiana.

Sześć godzin później poszła umyć zęby przed snem. W łazience na podłodze ujrzała kopertę i list. Zanim je podniosła, rzuciła im pogardliwe spojrzenie.

Razem z pastą wypluła wściekłość:

– A jeśli myślisz, że będę się bawić w pisanie listów, to chyba Pan Bóg odebrał ci rozum, babciu. Niech każdy się martwi o siebie. A listonoszka niech dźwiga swój krzyż sama.

## Kosmiczne wirowanie

Mężczyzna nie sprawuje kontroli nad własnym losem, zajmują się tym kobiety jego życia.

GROUCHO MARX

Alma otworzyła drzwi strychu, nie zdając sobie sprawy, że otwiera puszkę Pandory.

Myszkując po zakamarkach domu, czuła się jak archeolog. Stopniowo odkrywała ruiny swojej rodziny, od lat pokryte grubą warstwą kurzu i monstualnymi sieciami pajęczyn. Poczła coś w rodzaju tęsknoty za życiem, którego nie przeżyła, ale które należało również do niej. Ukrywali się tam niemi świadkowie dzieciństwa babci Luisy, pradziadków, a nawet prapradziadków.

Od ponad godziny buszowała w walizkach i pudłach pełnych rodzinnych skarbów, zaskakiwana coraz to nowymi odkryciami. Ucałowała zakurzony policzek Édith Piaf, spoglądającej na nią z okładki winylowej płyty.

Na dworze lało jak z cebra, ale tutaj czuła się bezpiecznie.

Odkąd w początkach listopada przybyła do miasteczka, codziennie świeciło słońce. Mimo to prawie nie wychodziła z domu.

Przed kilkoma dniami poszła do Mastán zrobić zakupy. Po drodze zajrzała do kapliczki w nadziei, że może spotka tajemniczego chłopaka o zielonych oczach. Za pierwszą wizytą zostawiła mu *Listy do młodego poety* Rilkego. Po kilku dniach poszła tam znowu – książka wyparowała, ale nie znalazła nic zamiast niej.

Potknęła się o parasol i stare radio. Żaden antykwariusz nie dałby za nie złamanego centa. Komu to mogło służyć? Uśmiechnęła się na myśl, że to pewnie kłamoty z początków zeszłego wieku. Ile rzeczy gromadzi człowiek w ciągu swojego życia!

Przypomniała sobie wersy, które Neruda napisał tak, jakby myślał właśnie o niej: „To nieprawda: wiele rzeczy powiedziało mi wszystko. Nie tylko dotknęły mnie czy dotknęła ich moja dłoń, lecz w taki sposób towarzyszyły mojej egzystencji, że istniały wraz ze mną i były dla mnie tak realne, że przeżyły ze mną pół życia, i będą ze mną połowę śmierci”.

Piękny, nieco podniszczony kufer wydał się jej dziwnie znajomy. Z zamkniętymi oczami przesunęła po nim dłońmi, jakby mogła w ten sposób

odczytać ukryte znaki wyjawiające jego przeszłość. Na dwóch głównych ścianach wyczuła grawerunek: splątane kwiaty i liście. Na jednej z bocznych ścian natknęła się na skórzany uchwyt. Co się stało z drugim? Poglądziła pokrywę i odkryła odosobnione wytłoczone litery: „L”, „I” oraz „S”.

Znienacka scena z przeszłości poraziła ją z taką siłą, że aż klapnęła na podłogę.

Siedziała w ogrodzie, lepiąc ciastka z gliny dla swojej lalki. Usłyszała przeciągły dźwięk klaksonu, który pociągnął za sobą całą serię krótkich trąbnięć. Drogą zbliżał się samochód dostawczy, który po krótkiej chwili zatrzymał się przed bramą. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn. Babcia wyszła im na powitanie. Długo wypakowywano z furgonetki najprzeróżniejsze bambetle. Zajęta zabawą, mała Alma zwróciła uwagę na jedną rzecz: kufer obity ciemnobrązową skórą. Kufer, który miała teraz przed sobą, kufer, który Luisa kupiła na podróż do Paryża.

W tamte letnie dni, które spędziły tylko we dwie, Luisa sprowadziła do domu niektóre ze swoich rzeczy. Przeżyła w Mieście Światła wiele lat i gdy owdowiała po raz drugi, postanowiła wrócić w rodzinne strony. Jej jedyny syn przyjechał tu na studia, ożenił się i urodziła mu się córka, wnuczka Luisy. Nic już nie wiązało jej z krajem, który ją przygarnął, kiedy była zaledwie dwudziestoletnią dziewczyną.

Alma nagle zrozumiała, dlaczego babka uciekła do Paryża – miłosny zawód.

Niedługo po przyjeździe Luisa zapisała się do szkoły kucharskiej. Wspecjalizowała się w wyrobach cukierniczych i po roku, z dyplomem w ręce, znalazła pracę w pewnej cukierni.

Któregoś dnia zaszedł tam Manuel, jej rodak. Po tygodniu zaczęli się spotykać, a dwa lata później wzięli ślub. Mieli syna, ojca Almy. Ale ich szczęście legło w gruzach, gdy trzydziestoparoletni Manuel zachorował na raka i zmarł.

Po dwóch latach żałoby wdowiec Pierre, szef Luisy i właściciel kilku paryskich cukierni, poprosił ją o rękę. Luisa zwykła mawiać, że wtedy zaczęło się dla niej trzecie życie. Pełne podróży, teatrów, oper... Jej drugie małżeństwo otworzyło przed nią tysiące drzwi do światów, których istnienia dziewczyna z Porvenir nawet nie była sobie w stanie wyobrazić. Pierre zmarł w podeszłym wieku i zostawił o kilka lat młodszą małżonkę w bardzo dobrej sytuacji finansowej. Luisa zarządzała interesem niemal do śmierci.

Sprzedawszy wszystko, postanowiła stawić czoło temu, co nazywała swoim czwartym i ostatnim życiem. Ażeby tego dokonać, nie chciała zadręczać się wspomnieniami z przeszłości. Babcia Luisa lubiła podróżować bez obciążenia, mówił Almie ojciec.

Podjęła decyzję, że najlepiej będzie wysłać wszystko do domu rodzinnego, w którym miejsca było pod dostatkiem. „Któregoś dnia – zwykła mawiać – wszystko to stanie się własnością moich potomnych, podobnie jak ziemia i dom”.

Wszystko powinno być zgromadzone w jednym miejscu, w oczekiwaniu na zamknięcie się koła.

Siedząc na podłodze poddasza, Alma poczuła się królową rozległego terytorium rodzącego się w sercu porvenirskich lasów, lecz rozciągającego się na ponad tysiąc kilometrów, sięgającego gabinetu jej ojca i paryskiej cukierni, w której poznali się dziadkowie.

Królestwo marzeń, nadziei i planów, a także, czego dowiedziała się pierwszego dnia pobytu z listu, rozczarowań i bólu.

– Jeśli jestem wszechwładną właścicielką, rozkazuję sobie otworzyć magiczny kufer! – zawołała.

Babcia była wielką miłośniczką fularów i w skrzyni skrywało się ich tuzin, złożonych w idealną kosteczkę. Spośród całej kolekcji wyróżniał się jeden – zawinięty w jedwabny papier. Była to mozaika liści bluszczu skrzących się niezliczonymi odcieniami zieleni. Alma skonstatowała, że mimo upływu wielu lat tkanina była delikatna i lśniąca. Założyła ją sobie na szyję i powróciła do buszowania pośród sukienek, spódnic i palt. Choć ktoś zadał sobie wiele trudu, aby zabezpieczyć te wszystkie skarby, mole nie próżnowały: niektóre części garderoby były gdzieś podziurawione, jakby puste już trumienki woreczków naftaliny i lawendy, powtykane to tu, to tam, nie robiły na szkodnikach najmniejszego wrażenia.

Ewidentnie babcia sądziła, że kufer zostanie otwarty o wiele wcześniej. W przeciwnym razie zabezpieczyłaby to wszystko całkiem inaczej, pomyślała.

Wpadły jej w ręce bezpretensjonalne akwarelki. Na jednej z nich rozpoznała kapliczkę Matki Boskiej Rozmaryńskiej. Druga przedstawiała leśny pejzaż, któremu za wzór mogły z powodzeniem posłużyć dookolne lasy. Zdumiała się, że Luisa przechowywała te bezwartościowe obrazki przez całe życie.

Wyszperała dwa dziecięce zeszyty zapisane po francusku i w niezręcznych, pośpiesznych gryzmołach rozpoznała pismo ojca. Jej serce przeszył żal. Spędziła w Porvenir już ponad dwadzieścia dni i chociaż dzwoniła do domu, ich rozmowy były krótkie i pełne napięcia. Uznany prawnik czuł się zdradzony przez córkę, bo ta wyjechała bez słowa wyjaśnienia, ale również przez własną matkę, która wyznaczyła spadkobierczynię za jego plecami.

Dzisiaj wieczorem zadzwoni do domu i opowie ojcu o tym znalezisku, o jego szkolnych zeszytach, z taką troskliwością przechowywanych przez dziesięciolecia.

Ale główna nagroda za niestrudzoną kwerendę dostała się jej, gdy już miała dać za wygraną. Zapoznawszy się z mszałem, wywieszka z godzinami otwarcia sklepu i sandałami na obcasie, natrafiła na pudełko po butach, które ktoś obwiązał wstążką, zapewne żeby nie otworzyło się podczas transportu kufra.

W środku musiało być coś, co babcia bardzo ceniła.

– Moje rysunki! – wykrzyknęła wzruszona Alma zaraz po zdjęciu pokrywki.

Rozpoznała je natychmiast. Na jednym z nich siedzi z babcią pod śliwą w ogrodzie. Jak bardzo ucieszyłaby się staruszka, wiedząc, że drzewo przeżyło wszystkie te lata bez opieki. Ileż dobrych chwil spędziła w jego cieniu! Zestawienie kolorów było okropne, ale – przyznała to nie bez dumy – kreska niczego sobie jak na pięcioletnią artystkę.

Drugi rysunek zachwycił ją jeszcze bardziej. Przedstawiał dom, nad którym czuwało cudne słońce. Z komina, na tle nieba, sączył się dym. W górnej części rysunku widniał napis: „Dom babci i Almy po wieczne czasy”.

– Dom babci i Almy po wieczne czasy – powtórzyła głośno. Rozczuliła się na myśl, że w dzieciństwie mog-ła marzyć o zamieszkaniu tutaj. Babcia z pewnością o tym pamiętała i dlatego zrobiła jej ten bezcenny prezent. Jak mogła go nie przyjąć?

Potrząsnęła głową, jakby chciała przepłoszyć myśli.

Nie była to jedyna niespodzianka, jaka spotkała ją na tym strychu. Pod rysunkami znalazła kilkanaście miłosnych listów dwóch mężów babci i kilka zdjęć przewiązanych gumką. Uwolniła je z wieloletniej niewoli i rozłożyła na podłodze.

Rozpoznała niektóre osoby: wujka José, swoich rodziców czy drugiego męża babci. Było też kilka zdjęć z Paryża, ze stolicy, z domu w Porvenir.

Dwie czarno-białe fotografie przykuły jej uwagę. Z jednej patrzyli na nią pradziadkowie z babcią stojący w ogrodzie. Na drugiej uśmiechały się dwie niespełna dwudziestoletnie dziewczyny. Pozowały do zdjęcia z rowerami. Jedną z nich była jej babcia, drugiej Alma nie znała. Wyglądały na szczęśliwe.

Na odwrocie przeczytała częściowo zamazany podpis: „Luisa i Rosa na moście. Porvenir, 19...”.

Rosa? Zaledwie kilka sekund wystarczyło jej, żeby skojarzyła to imię.

A więc Rosa i Luisa rzeczywiście były przyjaciółkami, pomyślała, siadając na łóżku w błękitnym pokoju. Włożyła stare zdjęcie do koperty z listem, który dotarł do jej rąk w tak tajemniczych okolicznościach. Alma czuła podświadomie, że powinny być razem.

Sprawdziła godzinę w telefonie komórkowym: była dwunasta w południe. Przez cały ranek bobrowała na poddaszu. Odkąd tu przyjechała, czas przeciekał jej przez palce. Miała wrażenie, że godziny przesuwają się niezwykle powoli, a jednak, gdy późnym wieczorem myślała o tym, co zrobiła w ciągu całego dnia, ze zdumieniem stwierdzała, że nie zrobiła prawie nic.

Dzieliła swój czas między ogród i pisanie. Ku jej zaskoczeniu wena atakowała ją tu o każdej porze i w każdym miejscu. Porozkładała notatniki z niedokończonymi wierszami w kuchni, w salonie i w błękitnym pokoju, bo gdy spadało na nią natchnienie, nie mogła czekać ani sekundy. Odczuwała palącą potrzebę pisania.

Z zamyślenia wyrwał ją jakiś metaliczny łoskot. Usłyszała krzyki

dochodzące z zewnątrz i wystraszyła się. Wyrzwała przez wielkie okno w salonie. Wciąż padało.

Na drodze naprzeciwko domu wytworzył się mały zator. Rozpoznała od razu niebiesko-żółtą furgonetkę poczty. Stała obok bordowego samochodu osobowego, którego drzwi od strony kierowcy były otwarte. Kilka metrów od maski samochodu leżał rower. Dwóm mężczyznom, których z powodu ulewy nie widziała zbyt wyraźnie, najwyraźniej zebrało się na ostrą sprzeczkę. Trzecia osoba próbowała ich rozdzielić.

Czy to przypadkiem nie ruda listonoszka? – pomyślała Alma.

– Wygląda na to, że na szczęście nic się nie stało – powiedziała Sara pojednawczo, próbując sprawiedliwie obdzielić uśmiechem obu mężczyzn.

– Dzisiaj nie, a jutro? – warknął zdenerwowany Tomás. – Te szczeniaki nie mają za grosz szacunku dla nikogo i dla niczego.

Sara przyjrzała mu się z życzliwością. Oj, starzał się, starzał się mąż Hypatii. Odkąd przeszedł na emeryturę, często widywała go, jak szedł z żoną na targ albo grał w barze w domino. Był człowiekiem niezwykle aktywnym i lubianym w tutejszej społeczności. Nie ma co, zaczynały mu ciążyć lata i nie znosił tego najlepiej.

– Nie trzeba zaraz popadać w skrajność. To się więcej nie powtórzy – starała się, jak mogła, patrząc na rowerzystę, który podnosił swój wehikuł z ziemi.

Álex nie odpowiedział. Od uderzenia bolała go głowa. Tego ranka, kiedy wyjeżdżał na rowerze do kapliczki, nic nie zapowiadało deszczu. Dlatego nie wziął ani kasku, ani płaszcza i teraz bardzo tego żałował.

– Ten chłopak ma coś z głową albo udaje głupiego – nie odpuszczał Tomás. – Gdybym nie znał jego rodziców, pomyślałbym, że nie przyłożyli się do jego wychowania. Mógłby przynajmniej przeprosić.

Sara spojrzała na zegarek. Za pięć minut Fernando będzie na czacie. Nie miała najmniejszej ochoty dyskutować w nieskończoność na tym deszczu.

– Chodźmy, Tomás, wracajmy do domu – nakłaniała życzliwie, biorąc mężczyznę za ramię. – W przeciwnym razie oprócz strachu, któregośmy się najedli, nabawimy się zapalenia płuc.

W końcu Tomás przekręcił kluczyk w stacyjce auta. Sara, zanim wsiadła do furgonetki, zawołała:

– Álex, może chcesz się zabrać do miasta?

Chłopak wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Pięć minut później listonoszka siedziała przed monitorem.



SARA: Smacznego, Norwegu.

CASTAWAY 65: Wielkie dzięki. Dzisiaj na obiad ryż po marynarsku.

SARA: Brzmi nieźle.

CASTAWAY 65: Gdybyś to Ty ugotowała, to byłaby zupełnie inna sprawa...

SARA: Ryż nie jest moją mocną stroną.

CASTAWAY 65: A co jest Twoją mocną stroną?

SARA: Chodzą słuchy, że moje lasagne z warzyw są poza wszelką konkurencją.

CASTAWAY 65: Leci mi ślinka na samą myśl.

SARA: Wymyśliłam swoją odmianę, żeby w końcu dzieci jad-ły warzywa, bo kijem nie można ich było zagonić.

CASTAWAY 65: W najbliższym czasie pukam do Twoich drzwi. O której jecie kolację?

Sara uśmiechnęła się.

– Gdyby to było możliwe... – szepnęła, świadoma, że fale Morza Północnego zagłuszą jej westchnienie.

Alma obserwowała, jak Sara i starszy mężczyzna wsiadają do swoich pojazdów i odjeżdżają.

Zafrapowana patrzyła z oddali na rowerzystę. Kręcił się w kółko, jakby nie mógł się zdecydować, w którą stronę iść. Płot oddzielający ogród od drogi zasłaniał go częściowo i nie mogła dojrzeć, co on tam wyprawia.

Nagle wydało się jej, że upadł.

Niewiele myśląc, wybiegła z domu – w samych skarpetkach i koszulce z krótkim rękawem.

– To ty?! – zawołała zdziwiona.

Álex siedział z opuszczoną głową obok leżącego roweru. Trzymał twarz w dłoniach. Usłyszawszy głos, uniósł wzrok.

Alma miała już coś dodać, kiedy spostrzegła strumyczek krwi spływający ze skroni chłopaka w kierunku brody.

– Skaleczyłeś się...

Álex spojrział na swoje ręce. Wystraszony wytarł je o dzinsy. Spróbował się podnieść, ale z jego ust wyrwała się ledwie słyszalna skarga.

Popatrzył na dziewczynę o miodowych oczach. Onieśmiała go. Spuścił

wzrok i wtedy ujrzał jej stopy, odziane w skarpetki z motywem Hello Kitty. Zachichotał bezwiednie, ale śmiech momentalnie przerodził się w stłumiony jęk. Chciał ją poprosić o pomoc, lecz nie wiedział jak. Niespodzianie przyszły mu na myśl słowa brata: „Álex nie jest gburem ani ponurakiem. Po prostu nie nawykł do kontaktu z ludźmi”.

Alma doszła do wniosku, że ten chłopak prędzej wykrwawi się na śmierć, niż poprosi o pomoc.

Zasługujesz na to, żeby cię tu zostawić. Twój współplemieńcy dobrze wiedzieli, co robią, pomyślała z irytacją.

Mimo to wyciągnęła do niego rękę.

– Lepiej wejdźmy do domu. Obejrzę te skaleczenia na głowie i nodze. Masz kogoś, kto mógłby cię zawieźć do miasteczka?

Álex ujął jej dłoń, nie odrywając wzroku od drzwi.

– To twój dom? – zapytał.

Coś podobnego! – zdumiała się Alma. W końcu udało mi się rozbudzić jego ciekawość.

– Tak jakby. – Czekala, aż zapyta ją, co ma na myśli, tymczasem Álex tylko wsparł się na jej ramieniu, spiekł raka, po czym dał jej do zrozumienia, że może już pokuśtykać do środka. – Nie jesteś zbyt rozmowny... Jaka szkoda!

Nawet jeśli usłyszał jej słowa, nie dał tego po sobie znać. Wpatrywał się w uchylone drzwi domu, jakby za nimi czekał na niego eden.

Imiona odciskają się na charakterze

Kocham Cię, mój smutny aniele, dobrze o tym wiesz, a jednak pragniesz, bym Ci to napisał. Masz słuszność, trzeba kochać, ale trzeba też o tym mówić i pisać.

LIST WIKTORA HUGO DO UKOCHANEJ

Jak mam na imię? – powtórzyła psotnie Alma.

Álex przytaknął.

Od dziesięciu minut siedział w łazience bez koszuli, z podwiniętymi nogawkami spodni. Byli sami. W tych okolicznościach pytanie było chyba jak najbardziej naturalne. Jednak dziewczynie o oczach koloru miodu wydało się zabawne.

– Jeśli wyznam ci moje imię, zdradzę ci moją tajemnicę.

Spojrzał na nią zmieszany.

Alma zdezynfekowała alkoholem ranę na jego skroni.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał, krzywiąc się z bólu.

Widząc grymas na jego twarzy, Alma podmuchała w skaleczenie. Umoczoną w ciepłej wodzie ręcznikiem wytarła ślady krwi z twarzy i szyi chłopaka. Dotarłszy do barku, zawahała się. Podała ręcznik Álexowi, żeby sam wytarł sobie pierś.

– Jeśli wyjawię ci moje imię, powiem ci, kim jestem. Imiona odciskają się na charakterze. Nie wiedziałeś o tym? Rodzice wybrali mi imię w czasie, gdy moje przyjscie na świat było wyłącznie w sferze marzeń dwojga zakochanych ludzi.

Nagle Álexowi przypomniał się list Mary Polsky. Poetka wyjaśniała w nim historię swojego imienia: jej dziadkowie pragnęli, żeby było rdzennie żydowskie, ale matka, ze strachu przed nazistami, zdecydowała się na inne, bardziej neutralne. To skłoniło go do zastanowienia się nad własnym imieniem.

– Moi staruszkowie też długo myśleli nad moim imieniem. Jestem Álex, od Aleksandra Macedońskiego. – Zarumienił się. Na szczęście dziewczyna tego nie zauważyła, właśnie odwróciła się plecami, żeby rozwiesić jego koszulkę i sweter.

– Nie chciałam być natrętna, dlatego nie pytałam. Ale dziękuję, to piękny gest z twojej strony.

Wyszła z łazienki, śledzona wzrokiem chłopaka siedzącego na taborecie. Po chwili dało się słyszeć skrzypienie drzwi szafy. Po kilku sekundach Alma wróciła z zielonym golfem w rękach.

– To mój sweter, ale myślę, że się nada. Jest dość rozciągnięty. Nie po to wyłowiliśmy cię z deszczu, ratując od zapalenia płuc, żebyś mi się teraz przeziębził w domu.

Chłopak wciągnął sweter z uśmiechem wdzięczności. Zamknął oczy, gdy poczuł na czole i czubku nosa delikatny dotyk wysokiego kołnierza. Subtelny zapach wanilii odurzył go.

– Spójrzmy na tę nogę. Masz krew na kolanie! Eee, nie... to tylko zadrapanie.

– Jesteś pielęgniarką? – Álex pierwszy raz od wielu lat odczuwał nieprzewartą potrzebę mówienia.

– Co za bystre oko... Skąd! Jestem byłą ekspedientką w sklepie odzieżowym z tytułem magistra filologii w kieszeni. – Zapadła cisza. Nawykły do czytania z twarzy ojca tego, czego ten nie mógł już wyrazić słowami, Álex wyczuł, że w głowie dziewczyny kłębi się mnóstwo myśli. Zaczekał cierpliwie, aż któraś z nich wymknie się jej przez usta. – Prawdę powiedziawszy, chciałabym leczyć ludzi. Ale leczyć ich serca za pomocą słów. Chcę być poetką. Istotnie, rodzice pragnęli przesądzić o moim losie, wybierając mi imię. Ale czarnoksiężnik od przyszłości był nieco rozkojarzony i pomylił się co do mnie.

Álex wpatrywał się w nią, zafascynowany. Znał ją zaledwie od pół godziny, a przez ten czas wyrzuciła z siebie więcej słów niż on przez ostatnich kilka dni.

– Dalej nic nie rozumiem... To jak masz w końcu na imię?

– Rodzice chcieli, żebym nosiła imię pewnej pianistki i kompozytorki. Ale ja nie mam poczucia rytmu i poruszam się z wdziękiem miotły. W szkole na bożonarodzeniowych występach wciskali mi w ręce tamburyn z bezwzględny zakazem robienia z niego użytku. Na próbach przy mojej skromnej pomocy gubiła rytm sama dyrygentka. – Alma wybuchnęła śmiechem. – Ale słowa lubię bardzo. Jakiś okrucz zainteresowania sztuką przekazała mi ta moja imienniczka.

Jej gromki śmiech odbijał się od glazury na ścianach, od podłogi i zasłony nad wanną. Álex zerknął na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i zobaczył, że ta wesołość przenika i jego. Łaskotała go w najczulsze miejsca. Roześmiał się głośno, sam nie wiedząc, z jakiego powodu.

– Masz drewno do palenia w kominku? – spytał Álex.

– Tam są takie małe drzwi, na prawo od kominka! – odkrzyknęła Alma ze spiżarni. – Otwórz je i wejdź do schowka z różnymi narzędziami i gratami. Pod plandeką znajdziesz duże szczapy, ale nie wiem, od kiedy tam leżą i czy się nadają... – Nie zdążyła dokończyć zdania, kiedy usłyszała hałas otwieranych drzwi.

No, no! Nie jest może zbyt wygadany, ale za to zdecydowania mu nie

brakuje, pomyślała. A może chce mnie wziąć pod włos? Ciekawe, czy uda mu się obudzić ten kominek, kima już pewnie ze dwadzieścia lat!

Weszli do domu przed godziną i od razu udali się na górę, do łazienki.

Ale ze mnie supergospodini! – zaśmiała się w duchu. Nie pokazałam mu ani salonu, ani reszty pomieszczeń.

„Przede wszystkim ściągaj ubranie!”, zarządziła od progu tonem nieznoszącym sprzeciwu. Pomyślała, że pod ciężarem tych słów biedak osunie się na łazienkowy dywanik. Przed oczami jak żywa stanęła jej matka żegnająca się trzy razy – „Czyś ty zwariowała? Zapraszasz nieznajomego mężczyznę do domu, w którym mieszkasz sama, i to w środku lasu? Wiesz, kim on jest, znasz jego rodziców?”.

Głuchy łoskot przerwał ten wewnętrzny dialog.

– Rozbierasz dom na części?

– Polana zleciały mi na podłogę. Przepraszam.

– Nie przejmuj się... Co najwyżej wybiłeś ze snu jakąś rodzinę myszy hibernującą między ceglami.

Ogień trząskał już wesoło w kominku, kiedy Alma wróciła do jadalni. Alex rozdmuchiwał go jeszcze miechem, z którego wylatywało więcej kurzu niż powietrza.

– A więc to nie była podpucha...

– Co niby?

– Rozpalenie ognia w kominku – powiedziała Alma, wpatrując się w płomień. – Gdy zapytałeś o drewno, myślałam, że nie masz o tym pojęcia i że tylko tak mówisz, żeby mi zaimponować.

– Mój dom jest bardzo stary i zbudowany z kamienia, jak ten. Czy ktoś mógłby mieszkać w takim miejscu, nie potrafiąc rozpalić w kominku? – Alex spojrzał na nią.

– Ja? – odparła kokieteryjnie.

– Jeśli mówię, że na czymś się znam, to tak jest.

Naturalna prostota chłopaka zaskoczyła Alnę.

Usiedli na kanapie i zapatrzyli się w tańczące płomień. Dzieliła ich naturalna bariera złożona z tacy z czajniczką z herbatą, dwoma filiżankami i czekoladowymi ciasteczkami.

Ubranie Alexa suszyło się w pobliżu kominka. Alma zaczęła wzrokiem o stary granatowy sweter i koszulkę ze spranym wizerunkiem Rolling Stonesów.

Chłopak zerknął do filiżanki.

– Co to jest?

– Czarna herbata.

– Herbata? Często piję herbatę, ale nigdy...

– Czarna herbata z wanilią.

Oderwał wzrok od kominka i mimowolnie zawiesił go na ustach Almy.

– Smakuje jak ty – powiedział. – To smak twojego zapachu.

Nie to, żeby Alma chciała się pozbyć gościa, ale dziwiło ją, że nie zawiadomił o wypadku swoich bliskich. Deszcz lał, jakby się oberwała chmura. Dom wydawał się suchą wyspą pośród rozlewającego się wokół leśnego oceanu.

– Może chcesz zadzwonić do kogoś, żeby cię zabrał do miasteczka? – zasugerowała.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym zaczekać, aż trochę się przejaśni, i wrócić samemu.

– Nie ma sprawy. Siedzę tu sama już tyle dni, że stęskniłam się za towarzystwem. Ty też mieszkasz sam?

Álex zaprzeczył, kręcąc głową.

– Jesteś z Porvenir? Mieszkasz z rodziną?

Przytaknął dwa razy. I zaraz odbił pytanie:

– Ty nie jesteś stąd. Co robisz w tym domu? Nie wyglądasz na squatterkę...

– Ja squatterką? – spytała zdziwiona i rozbawiona.

– Ten dom stoi pusty, odkąd sięgam pamięcią. Raz w miesiącu przyjeżdża tu takie jedno małżeństwo, zajmują się ogrodem, robią porządki, ale nie są właścicielami. Ktoś ich opłaca regularnie przez kancelarię adwokacką w stolicy. – To na pewno ojciec, pomyślała. – Wyłamałaś zamek, żeby tu wejść? – Álex próbował ciągnąć ją za język. – Dla dziewczyny z miasta to musi być świetna zabawa: włamać się do czyjogoś domu w lesie i udawać alternatywną poetkę.

– Nie wymądrzaj się, jak nie wiesz, chłopcze.

Álex się nie obraził. Za bardzo paliła go ciekawość, żeby się obrażać. Intrygowało go, co robi ta nieznajoma w starym wiejskim domu.

– W takim razie sprzedali dom. Ale jesteś chyba za młoda, żeby mieć tyle kasy...

– Dlaczego myślisz, że go sprzedali?

– Był własnością dwojga starszków, którzy zniknęli stąd wiele lat temu i słuch po nich zaginął. Przypuszczam, że spadkobiercy wystawili posiadłość na sprzedaż po śmierci starych.

Alma podkuliła nogi na kanapie, wpatrując się w filiżankę z herbatą.

– Wiesz, kto tu mieszkał?

Álex pomyślał chwilę, zanim odpowiedział:

– Matka opowiadała mi, że ten dom należał do rodzeństwa, siostry i brata. Dziewczyna jeszcze za młodu wyjechała z powodu nieodwzajemnionej miłości. Jej brat wyemigrował do Argentyny. Już tu nie wrócił i chyba nie miał dzieci.

A niech mnie, zdziwiła się Alma. Wszyscy znają smutną historię mojej

babki, tylko ja nie.

Pograżyli się w milczeniu, dryfując na falach wspomnień i nasłuchując monotonnej muzyki deszczu uderzającego o dach.

– Zawsze myślałem, że to wielka szkoda... – odezwał się niespodziewanie Alex.

– Co takiego?

– Że taki dom z ogrodem i sadem stoi pusty...

– Skąd wiesz, że tu jest sad?

– Od czasu do czasu przychodzę przyciąć gałęzie śliwy. Zawsze wpadnie parę groszy na bieżące wydatki.

– Czym się zajmujesz?

– Łapię, co się nawinie, to tu, to tam. Nic stałego.

Alex przyssał się do herbaty w takim skupieniu, że Alma była pewna, iż wciągnie całą zawartość razem z filiżanką. Patrząc na niego uważnie, w głębi jego oczu dostrzegła mgiełkę smutku, na widok którego ścisnęło ją w sercu.

– Śliwa jeszcze dycha. – Wstała i skierowała się ku drzwiom wychodzącym na ogród za domem. – Chcesz ją zobaczyć?

Chłopak przytaknął i poszedł za nią. Przestało padać i ziemia pachniała wilgocią. Niezwykły spokój zapanował w sadzie i w sercu dziewczyny. Dotknęła mokrego pnia drzewa i powiedziała:

– Zagrajmy w grę.

– Zgoda – przystał Alex z ulgą, szczęśliwy, że nie musi już mówić o sobie.

Na dworze wyraz jego twarzy zmienił się całkowicie. Wyglądał teraz jak nastolatek. Alma próbowała odgadnąć jego wiek, ale w końcu dała za wygraną – dezorientowało ją to bolesne spojrzenie. Stojąc twarzą w twarz, byli równi wzrostem i jednakowo szczupli. Jasne włosy chłopaka kontrastowały z jego lekko śniadą skórą.

– Wciąż chcesz poznać moje imię?

– Jasne!

– Dobrze, proponuję ci zgadywanke.

Alex chłonał ją oczami. Zdumiewała go pewność tej dziewczyny. Jej miodowe oczy migotały, jakby wciąż wpatrywały się w ogień. Od tak dawna nie zadawał się z kimś, kto byłby jego rówieśnikiem, że nie potrafił pojąć, dlaczego uśmiech nie schodzi mu z ust.

– Moja imienniczka żyła na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

– Była znana?

– W swojej epoce tak, ponoć była niezwykle piękna i inteligentna.

– I tym zarabiała na życie?

– Ha, ha, ha... Była kompozytorką, ale można powiedzieć, że zarabiała na

życie swoją urodą.

– Pracowała jako modelka?

– Nie! Ale dobrze wychodziła za męża, a więc można przypuszczać, że obie te cnoty musiały odgrywać w jej życiu niepoślednią rolę. Bardziej była znana dzięki sławie swoich rodziców, a później mężów niż z racji własnego talentu. Jej pierwszym wybrankiem był muzyk pochodzenia żydowskiego, starszy od niej o dwadzieścia lat. To jemu zawdzięcza swoje nazwisko. Zakochała się w nim, ale w umowie małżeńskiej popeliła zobowiązanie, zgodnie z którym miała się wyrzec własnej kariery i pasji. Coś, z czym nigdy nie mogła się pogodzić.

– Pewnie kiedyś to było normalne!

– Oj, nie tylko kiedyś – odparła Alma poważnym głosem. – Mało to teraz podobnych przypadków? Na początku była bardzo zakochana, więc jakoś to przelknęła, ale później strasznie się tym gryzła. Znalazła sobie innego męża: młodego i słynnego później architekta. Mówi ci coś nazwisko Walter Gropius? Był twórcą Bauhausu. Ale to bynajmniej nie ostatni podbój naszej bohaterki – zastąpiła go pisarzem, Franzem Wer-flem.

– Gdzie się urodziła twoja imienniczka? – spytał chłopak, wyraźnie zainteresowany.

– W Wiedniu, ale zmarła w Nowym Jorku.

Álex uśmiechnął się. Co roku pierwszego stycznia oglądał w telewizji Koncert Noworoczny transmitowany z Wiednia. Wiedeńskie walce działały nad wyraz uspokajająco na jego ojca. Nieraz marzył, że któregoś dnia obaj zasiądą w fotelach tej wspaniałej sali koncertowej. Marzenia, wciąż tylko marzenia, westchnął w duchu.

– Czemu się śmiejesz? – spytała Alma, trącając go łokciem. – Już wiesz, kim ona jest?

– Chciałbym zobaczyć Wiedeń.

– Nie jest znów tak daleko. Możesz tam pojechać w każdej chwili.

Skoro tak mówisz, pomyślał, wyobrażając sobie ojca i pielęgniarkę przez kilka dni samych w domu.

– Dodam go do mojej listy.

– Jakiej listy? Tej, która się zaczyna od Patagonii?

Mrugnęła do niego porozumiewawczo, przypominając sobie książkę, która ich połączyła. Álex poczerwieniał. Okrążył śliwę pod pretekstem przyjrzenia się jednej z gałęzi. Dotknął jej, po czym pociągnął lekko w dół, aby sprawdzić jej giętkość. Alma zrobiła to samo.

– À propos, przeczytałeś *Listy do młodego poety*? – Spojrzał na nią z przejęciem, kiwając głową. Alma oparła czoło o pień – jej krótkie kasztanowe włosy miały ten sam kolor, co ciemna kora drzewa. – Podobało ci się?

Chłopak odtworzył w pamięci uczucie, którego doznał, kiedy na podłodze



kapliczki znalazł książkę, a także to późniejsze, towarzyszące mu podczas lektury. Stały mu przed oczami doskonale, pełne elegancji litery notki, którą między kartkami zostawiła dziewczyna: „Jeszcze się spotkamy, uciekinierze”.

Było to o poranku, pierwszego dnia zimy. W tym samym dniu otrzymał list od Mary Polsky. Nagle inna myśl przyplątała się nieproszona: czy łańcuch listów kontynuuje swoją peregrynację? Czy Hypatia napisała do kolejnej osoby?

Ile bym dał, żeby się tego dowiedzieć, pomyślał.

– Ziemia do Alexa. – Alma delikatnie trąciła go w ramię.

– Przepraszam... – Ocknął się z zamyślenia, odruchowo odstępując na krok.

– Szczerze mówiąc, to nie jest książka z mojej bajki.

– Co ty nie powiesz! A jaka jest ta twoja bajka?

– Poezja mnie nie pociąga. Bardziej lubię...

– Zaczekaj, nie mów. Fantastyka naukowa?

Na twarzy chłopaka pojawił się lekki uśmiech.

– Gdzie tam! Nigdy nie pociągały mnie inne światy. Ten jest wystarczająco wielki i tajemniczy, nie sądzisz? Choćbyśmy mogli mieć nie wiem ile żyć, i tak nie dalibyśmy rady przedeptać go całego. Nie interesują mnie Marsjanie ani futurystyczne technologie. Ani horrory.

Alma nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Rety! Jeśli chcesz, potrafisz powiedzieć kilka zdań naraz! W takim razie jeśli nie podoba ci się poezja, fantastyka naukowa ani... Wiem! Lubujesz się w romansach! – zażartowała, nie odrywając od niego wzroku.

– Lubię książki podróżnicze i biografie – odparł z poważną miną. – Nie marzę, by zostać pisarzem. Chciałbym tylko podróżować.

– Co więc robisz całymi dniami w tej kapliczce, tak daleko od lotniska?

Alex milczał przez kilka chwil. Pełen zadumy, ruszył w stronę drzwi kuchni. Było już późno, pielęgniarka zaraz skończy swój dyżur.

Uparta jak zwykle, Alma nie chciała pozwolić mu odejść, nie uzyskawszy odpowiedzi.

– Pytam poważnie, co robi taki chłopak jak ty w takim miasteczku?

Alex otworzył białe drewniane drzwi. Zaskrzypiały zawiasy. Wszedł do środka i rzucił przez ramię:

– Czekam na odpowiedni moment.

– Więc co, poddajesz się? – Alma szła za nim. – Odejdiesz, nie dowiedziawszy się, jak mam na imię?

Alex włożył swój sweter, który zdążył już wyschnąć. Zgadywanki nigdy nie były jego mocną stroną, chociaż bez wątplenia chciał poznać jej imię. Czy może będzie do niej krzyżeć: „Ej, dziewczyno o miodowych oczach!”, kiedy spotka ją

w miasteczku? Albo: „Cześć, szczupleńka!”?

– Ostatnia wskazówka: podobno pierwszym mężczyzną, który ją pocałował, był Gustav Klimt, malarz. Przyjaciel jej ojczyma...

Odwrociwszy się nagle, Alex przyłapał ją na wyciąganiu po dziecinnemu rękawów kardigana, co w żaden sposób nie pasowało do jej sposobu bycia, nacechowanego niezwykłą pewnością siebie. Patrząc na nią, czuł, jak topnieje w nim chłód kilku ostatnich zim. Ni stąd, ni zowąd ogarnęła go złość, że musi już iść. W tej samej chwili wiedział, że pragnie ujrzeć ją znowu. Musiał znać jej imię.

Kierując się ku wyjściu, wbrew sobie, zawołał:

– Poddaję się! Wygrałaś.

Nie mogąc się powstrzymać, zanim otworzyła mu drzwi, Alma uniosła ramiona w geście zwycięstwa.

– Nazywam się Alma, na cześć Almy Mahler.

Álex aż się wzdrygnął. Bezgłośnie błyskawica przecięła jego ciało i poczuł, jak w jego mózgu łączą się styki i przepływa prąd. Iskra radości rozświetliła mu twarz: Alma, dziewczyna marząca o pisaniu poezji, o której mówiła mu w swoim liście Mara Polsky. A więc wróciła do gry.

Niewiele brakowało, a popełniłby niewybaczalny błąd – na szczęście w porę przypomniał sobie o zasadach obowiązujących wszystkich uczestników: treść listów to sprawa między nadawcą i odbiorcą. Nie mógł się przyznać, że poznał już jej imię z listu i że stali się ogniwami tego samego łańcucha, zanim zamienili ze sobą słowo.

– Dlaczego tak się uśmiechasz? – spytała. – Jakbyś co najmniej ujrzał anioła w skarpetkach!

Najlepszą obroną jest atak, zaśmiał się w duchu Álex. Nie wiedzieć skąd wykrzesał z siebie odrobinę odwagi i zapytał:

– Chciałabyś zobaczyć ze mną zaćmienie księżyca?

15

Sarai Manuela

*31 października*

*Valium*

*1 raz dziennie przez dwa tygodnie*

*Lekarz: Megías*

*Przychodnia zdrowia w Porvenir*

*24 grudnia*

*Boże Narodzenie. Dochodzi północ. W taki dzień nawet zboczeńcy nie czują się samotni. Wszyscy wydzwanają na wszystkie strony, ale nikt nie wykręca 902. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy, którzy do mnie dzwonią, to zboczeńcy. Może jeden na dziesięciu. Na ogół rozmawiam z kawalerami, którzy mają problemy z nawiązywaniem znajomości, ze znudzonymi mężusiami i ojcami małych dzieci, pogrążonymi w depresji starszami. Zwyczajni faceci. Może mijam się z nimi w piekarni. Albo stoimy obok siebie przed przejściem dla pieszych, czekając na zielone światło. Oni nie wiedzą, że to ja, Sarai. A ja nie wiem, że ten obok to może „napalony miś”, „x67” czy jakiś inny gość, ukrywający się pod pseudonimem gwarantującym bezpieczeństwo i anonimowość. Dopiero zrobiliby oczy, gdyby się dowiedzieli, że Mata Hari ich monotonnego życia to ni mniej, ni więcej, tylko gospodyni domowa w średnim wieku, nieco puszysta, która co trochę musi farbować włosy u fryzjera. Żaden już by do mnie nie zadzwonił. A może przeciwnie. Może kręciłoby to ich jeszcze bardziej. Nigdy nie wiadomo. Jeśli czegoś nauczyłam się w tej pracy, to tego, że nic nie jest takie, na jakie wygląda, a ludzie nie są tymi, za jakich się podają.*

*Ale nie piszę po to, żeby wdawać się w filozoficzne dywagacje. Piszę, bo zżera mnie nuda. A to, w taki dzień jak dzisiejszy, jest niebezpieczne. No więc jestem tu, leżę na kanapie, jak co noc. Ubrałam się jak do pracy. Włożyłam czarne pończochy kabaretki, czerwoną satynową halkę z jednym ramiączkiem i czerwone*

szpilki. Pomyślałam, że czerwony będzie w sam raz na Gwiazdkę. Ale czekam od czterech godzin i telefon milczy jak zaklęty. Zjadłam kolację. Obejrzałam film. Rozwiązałam parę krzyżówek. Zacerowałam rajstopy. I nic. Ani jednego połączenia. Nawet z tych, co to ktoś dzwoni i zaraz się rozłącza. Co noc mam jedno, dwa, z sapaniem lub bez. Zdarza się też, że rozmyślają się i rozłączają, jeszcze zanim wyduszą z siebie słowo. Dzisiaj głucha cisza. I nie mając nic lepszego do roboty, zaczęłam rozmyślać. Jak zawsze przychodzą mi do głowy same złe rzeczy. A w taki dzień jeszcze gorsze. Nie ma chyba ludzi, którzy nie biją się z myślami w Boże Narodzenie. Zwłaszcza gdy jesteś sama jak palec, daleko albo w ogóle cię nie ma. Czy moi synowie o mnie myślą? Takimi właśnie pytaniami się zadręczałam, wstając po butelkę białego wina.

Korkociąg leży w jednej z szuflad regału w dużym pokoju. Trzymam tam też rachunki, recepty lekarskie, książeczkę oszczędnościową i świece, na wypadek gdyby zgasło światło. Nie rządzi tym żadna logika, ale tak to tam wszystko jest wymieszane jak groch z kapustą. Otworzyłam szufladę i pierwsze, co wpadło mi w oczy, to ten przeklęty list, który dostałam kilka dni temu. W pierwszym odruchu chciałam go wyrzucić, ale później poczułam jakiś głupi żal. Prawdę mówiąc, na początku, kiedy go czytałam, wkurzyłam się, jednak potem mi przeszło i wydał mi się nawet zabawny. Uśmieiałam się co niemiara z kobity, która go spłodziła w bólach, i z tego ktosia, kto pomógł jej go napisać. Bo pismo było dziecięce. Okrągłutkie, akuratne. Z zatrzęsieniem błędów ortograficznych. To pewnie robota jej wnuczka. No i schowałam ten list, bo nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać, kiedy będę potrzebować trochę rozrywki. Po paru dniach zapomniałam o jego istnieniu.

Natknąwszy się na niego dzisiaj, pomyślałam, że to znak. Faktycznie, tej nocy wskazane było pośmiać się trochę. Wróciłam z nim na kanapę. Odkorkowałam wino i wzięłam się do ponownej lektury. Nie był wcale zabawny. Przeklęta baba ze swoim mężem i bachorami: żywot doskonałej i szczęśliwej gospodyni domowej. Bo ta osoba sprawia wrażenie szczęśliwej, pomimo wszystko i nade wszystko. Ja też byłam szczęśliwa, nie zdając sobie z tego sprawy. Pojmujemy to dopiero wówczas, kiedy zostają nam już tylko płacz i zgrzytanie zębów. Albo gdy jesteśmy zerem, jak ja. Dlatego zaczęłam pisać – bo ja też byłam kiedyś szczęśliwa i chciałam sobie o tym przypomnieć. Nie potrafiłabym roztrąbić tego na cały świat, bo stąd do szaleństwa już tylko krok. Ale napisać to co innego. Tak więc siedzę tu i piszę na kartce papieru znalezionej gdzieś w tym bałaganie.

Owe dobre chwile zdają się być bardzo odległe, a jednak wydarzyły się o trzysta metrów stąd, w tym samym miasteczku, w którym teraz mieszkam.

Byłam szczęśliwa na ulicy wybrukowanej kocimi łbami, w domu z zasłonkami z kretonu, w dużym pokoju, gdzie wiecznie grało radio. W pokoju pełnym lalek i poduszek w poszewkach zrobionych szydełkiem. Byłam szczęśliwa z matką, ojcem

*i jednookim kotem. Ale jak ktoś ma dwa, pięć czy dziewięć lat, nie wie, że to wszystko to właśnie szczęście: zapach wody kolońskiej, czyste i wyprasowane sukienki, pocałunki na dobranoc. Mój ojciec był robotnikiem, pracował na budowach i w poszukiwaniu pracy dotarł w te okolice. Budowano tu nowe osiedla. Matka była jedynaczką, miejscową. Zawsze mi mówili, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. Poznali się w niedzielę w parku. I wkrótce wzięli ślub. Nie mieli nic prócz siebie i tego, co najważniejsze: swojej miłości. Niebawem pojawiłam się ja. Matka lubiła powtarzać, że byłam jej najcenniejszym skarbem, a ojciec, choć wtedy jeszcze nic o tym nie wiedział, że przybył piechotą do tej doliny, szukając mnie. Śmiałam się. Rosłam. Żebym tak mogła opisać w najdrobniejszych szczegółach wszystkie te dni, miesiące i lata. Ale w pamięci zachowały mi się tylko poszarpane fragmenty. Są niczym patchwork – oddzielnie są nic niewarte, lecz jeśli je pozszywać, tworzą kołdrę chroniącą przed zimmem.*

*Matka zawsze słuchała muzyki z radia albo z adap-teru. Uwielbiała bolero. Po domu przechadzali się Lucho Gatica, Antonio Machín, Benny Moré... czasem zaplątał się nawet Nat King Cole. Wychowałam się na tych piosenkach opowiadających o miłości i miłosnych rozczarowaniach. Matka śpiewała je na okrągło. Wciąż ją pamiętam – w różowym szlafroku, tańczącą z miotłą. I ciągle powtarzała: „Manuela, musisz się tego dobrze nauczyć, bo któregoś dnia przyjdzie ci zatańczyć po raz pierwszy i...”. Od tego ciągłego śpiewania zaczęłam wierzyć we wszystko, o czym te piosenki mówiły. Kiedy jeszcze żyła moja babka, śpiewałam z nią drugim głosem. Babcia zawsze pachniała ryżem na mleku. Mówiła, że to dlatego, że w dzieciństwie bardzo się nim objadła. Zaklinała się nawet, że wpadła do sagana wypełnionego ryżem z mlekiem. Pękałam ze śmiechu, wyobrażając sobie, jak się w nim tapla. I co niedzielę molestowałam ją o ten ryż na mleku. Nikt nie potrafił ugotować go lepiej niż ona. Żeby mnie pocieszyć po jej śmierci, matka próbowała raz i drugi zrobić mi ten przysmak po babcinemu. Ale nie smakował już tak samo. W matce ten ryż wywoływał tak wielką tęsknotę za swoją mamą, że w końcu dała sobie z nim spokój. Nigdy więcej nie jadłam tak dobrego ryżu na mleku. Smak cynamonu wybuchał w ustach, a ziarna ryżu były delikatne jak jedwab.*

*Do szkoły odprowadzał mnie ojciec. Był jednym z nielicznych mężczyzn, którzy to robili. Po moje koleżanki przychodziły po lekcjach ich matki lub babki. Ja czułam się tak wyróżniona, że zdawało mi się, iż unoszę się w powietrzu. Chwytałam się z wszystkich sił jego szorstkiej, spracowanej dłoni. Jeden dzień wrył mi się w pamięć najbardziej: to dzień, w którym spotkaliśmy Pirata, mojego jednookiego kota. Było bardzo zimno i żalosne miauczenie dochodzące spod jakiegoś samochodu przykuło moją uwagę. Przykucnęłam i ujrzałam malutki kłębuszek. Mieścił się w mojej dłoni. Nie chciałam się ruszyć dopóty, dopóki ojciec nie zgodził się go zabrać. Włożył go do kieszeni kurtki i obiecał mi, że po powrocie*

do domu ze szkoły będzie na mnie czekał. Lekcje tego dnia trwały w nieskończoność. Myślałam tylko o tym, aby go zobaczyć. Ojciec dotrzymał słowa, jak zawsze. Mój kiciuś czekał na mnie w kartonowym pudełku. Wydało mi się, że uśmiechał się do mnie z zadowoleniem. To było tak, jakbyśmy zawarli układ: od pierwszej chwili przyznawał, że zawdzięcza mi życie, i na swój sposób zawsze był mi wdzięczny. Kiedy szłam spać, przychodził lizać mnie, jakbym była jego małym kociakiem. Płoszył mi nawet komary latem! Byliśmy zawsze razem, aż do dnia, w którym umarł ze starości. Stało się to wiele lat później, gdy od dawna już nie mieszkaliśmy w Porvenir. Kiedy tata już nie żył. Kiedy wszystko zaczęło się rozpadać, a rozpacz drążyła na dobre duszę matki. Wszystko jej go przypominało.

Wyjechaliśmy do stolicy w czwórkę: babcia, mama, ja i kot. Nie patrząc za siebie. Udawałyśmy, że w naszym życiu nigdy nie było szczęścia, żeby nie rozpaczać po jego stracie. Mama wytrzymała we wdowieństwie dwa lata. Zawsze powtarzała, że nie jest kobietą stworzoną do samotnego życia. Nie rozumiałam, co miała na myśli. Przecież miała mnie! Ale to jej nie wystarczało i pewnego dnia pojawił się ten łysy, obleśny grubas, który ubzdurał sobie, że zostanie moim drugim ojcem. Na początku był słodziutki jak cukiereczek i chodził wokół nas na palcach. Kiedy już udało mu się wpakować nas do worka, zawiązał go. Stałyśmy się z matką jego niewolnicami. Nie mogłyśmy zrobić nic bez jego pozwolenia. Chciał wszystko wiedzieć, wszędzie z nami chodzić, kontrolować każdy szczegół naszego życia. Obserwowałam, jak matka gaśnie powoli, nie stawiając oporu. Nawet o mnie przestała się troszczyć. Byłam przekonana, że znikniemy, że wtopimy się w cień tego wielkoluda.

Odeszłam z domu, zanim to się stało. Miałam dziewiętnaście lat. Co mi pozostawało? Wyjść za mąż za pierwszego, który się nawinie. Tym pierwszym okazał się dobry człowiek, kolega z biura. Mężczyzna, który był mi całkowicie obojętny. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, miałam już dwoje dzieci, pracowałam i zajmowałam się domem. Byłam o włos od powtórzenia losu mojej matki, która jakoś wtedy umarła. Miesiąc wcześniej. Myślę, że zabił ją marazm albo smutek. Ostatnim słowem, jakie wypowiedziała, było imię ojca. To była jej prawdziwa miłość, nie ten substytut, którym usiłowała ją zastąpić. Nie chciałam doświadczyć tego samego na własnej skórze i chwyciłam za walizkę. Ale co z dziećmi, całkiem o nich zapomniałam! Wolność ma swoją cenę. To była cena, jaką zapłaciłam ja: porzuciłam synów. Staram się myśleć, że tak czy siak, nie kochaliby mnie, znęcaliby się nade mną. Ale pewności mieć nie mogę. Nie dałam im żadnej szansy.

Wybrałam tułaczy los, nie zagrzewając nigdzie miejsca na dłużej. Wylądowałam tutaj. I znów trzeba zaczynać wszystko od początku. Znowu jestem w miasteczku. To tak, jakbym w poszukiwaniu domowego ogniska, które dawało mi ciepło, natknęła się na pogorzeliśko dawnego szczęścia. Ale nie znalazłam nawet popiołu.

*Może dlatego, że nie odważyłam się wrócić na uliczkę wybrukowaną kocimi łbami i pobawić się przez chwilę. Na tej ulicy był dom, który wydawał mi się zawsze niezwykły, niesamowity. Babcia mówiła, że to takie coś ni w pięć, ni w dziewięć, mama, że pretensjonalny. Miał przepiękną bramę między dwiema olbrzymimi kolumnami. Cała posiadłość otoczona była parkanem i gęstym żywopłotem chroniącym jej mieszkańców przed spojrzeciami ciekawskich przechodniów. Krążyłam w pobliżu tak wiele razy, że z czasem odkryłam kilka prześwitów. Przez jeden z nich widać było sadzawkę z fontanną, z której, czy to zimą, czy latem, nieprzerwanie tryskała woda. Ojciec mówił, że pływały tam ryby wielkie jak psy. Nigdy nie dane mi było ich zobaczyć. Widziałam za to samotną palmę, pod którą stało kilka leżaków. Nikt nie potrafił sobie wytłumaczyć, jak mogła przetrwać w tym surowym klimacie, na tej wysokości. Ja wierzyłam, że trzyma ją przy życiu marzenie jej właściciela. Tylko dzięki jego silnemu pragnieniu zapuściła korzenie. Ludzie mówili, że dorobił się fortuny w dalekim kraju i na starość wrócił tu z częścią rodziny. Można ich było zobaczyć w wielkiej, sunącej przez miasto limuzynie, z której nigdy nie wysiadali. Sprawiali wrażenie, jakby byli tu tylko przejazdem. Oprócz palmy skradły mi również serce wielkie okna willi. Były przepiękne. Okalały je ozdoby złożone z geometrycznych figur, mieniących się tysiącami barw. W porównaniu z nimi okna mojego domu były lilipucie. Zawsze myślałam, że mieszkańcy willi musieli być szczęśliwi. Ktoś, kto na przekór wszystkiemu upierał się przy swoich palmach i leżakach w miejscu, gdzie zimą sypał gęsty śnieg, a rzekę ścinał lód, musiał być szczęśliwym człowiekiem.*

*Ileż razy śniłam, że nagle brama się otwiera i zapraszają mnie do środka! Mam na sobie piękną sukienkę i włosy splecione w warkocze. Razem ze mną są moi rodzice i babcia, wszyscy wystrojeni w świąteczne ubrania. Matka wzięła z domu kilka ulubionych płyt. Lubiałam wyobrażać sobie, że w progu oczekuje nas majordomus we fraku i każe iść za sobą do biblioteki, jak na filmach, których tyle się naoglądałam. Tam czekamy na przyjście państwa i ich córki. Są takimi samymi ludźmi jak my, tylko bardziej dystygowanymi i mówiącymi z cudzoziemskim akcentem. Obaj mężczyźni przechadzają się wzdłuż regałów, wymieniając spostrzeżenia na temat wyeksponowanych tam klejnotów. My, kobiety, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami, spędzamy popołudnie w ogromnym salonie, popijając herbatę, jedząc ciastka i słuchając bolero. To było, jak myślę, wyobrażenie szczęścia i luksusu w oczach dziewczynki mieszkającej w domu z kretonowymi zasłonami.*

*Brama nigdy się nie otworzyła. Nigdy nie weszłam do tego domu. Ale gdy teraz odgrzewam w pamięci te obrazy, przyszła mi do głowy diabelska myśl. Może wypiliśmy zbyt dużo wina.*

*Ten monolog równie dobrze mógłby mieć formę listu. I list ten mógłby zostać wysłany na adres mojego domu z marzeń. Tym sposobem i ja mogłabym wślizgnąć*

*się do niego. Nie wiem, kim jesteś, ale moje szczęście przypadło gdzieś, w jakimś zakamarku Twojej ulicy lub Twojego ogrodu. Możesz przeczytać te słowa, nic więcej.*

*I przy okazji, dlaczego by nie stać się częścią tego absurdalnego łańcucha, za sprawą którego piszę do Ciebie tej nocy. Jest Boże Narodzenie. Ty masz wszystko. Może mogłabyś podzielić się czym bądź z tymi, którzy nie mają nic lub są o krok od utraty tych resztek, jakie im jeszcze pozostały.*

*Nie myślę o sobie: ja, odpukać, jakoś daję sobie radę, z wyjątkiem takich dni jak ten, i niepotrzebne jest mi Twoje współczucie, współczucie bogatej dziewczyny czy chłopaka. Kilka dni temu dostałam list bez nadawcy, w którym jest mowa o Sarze. Może spotkałaś ją kiedyś na ulicy – jest listonoszką. Ja zetknęłam się z nią i mogę Cię zapewnić, że choć upierdliwa i wścibska z niej baba, nie jest zła. Szefowie wysłali jej maila z informacją, że zostanie przeniesiona daleko od domu. Po ponad stu latach w Porvenir nie będzie listonosza. Nie opowiadałabym o tym, gdybyś nie mogła pomóc Sarze i temu miasteczku. Jak możesz to zrobić? To bardzo proste: tak jak ja. Napisz list. Nieważne, czy będzie długi, czy krótki, z błędami czy bez. I wyślij go do innego mieszkańca Porvenir. Nawet jeśli go nie znasz, podziel się z nim kilkoma chwilami Twojego życia. Wspólnymi siłami zbudujmy łańcuch ze słów tak długi, aby dosięgnął stolicy, i tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać.*



## Upolowany myśliwy

Szczęście jest jak motyl: kiedy usiłujesz je złapać, zawsze wymyka ci się z rąk. Ale jeśli cichutko usiądziesz, to może samo do ciebie przyleci.

NATHANIEL HAWTHORNE

SARA: CASTAWAY... jesteś tam? A kuku...

Czekała na odpowiedź, nie odrywając wzroku od ekranu.

Sekundy ciągnęły się całą wieczność, zanim zmieniły się w minuty. Spojrzała na zegar w kuchni: piętnasta dwadzieścia siedem. Dzieci miały ferie. Po obiedzie pozwoliła im wyjść na rower. Dzień był słoneczny i ciepły – od dziesięcioleci nie pamiętano w Porvenir takiego ostatniego dnia roku.

To było dobre posunięcie – czekało ją przygotowanie kolacji sylwestrowej i wolała zrobić to na spokojnie, bez zagląających jej przez ramię i kręcących się w pobliżu piekarnika kibiców. Kuchnia była malutka, chociaż nowoczesna i funkcjonalna. Sarę rozpierała duma – to efekt niedawnego remontu. Zlew z nierdzewnej stali wciąż lśnił nowością.

SARA: Halo0000...

Była już piętnasta trzydzieści trzy, a czat milczał. Z Norwegii nie docierała ani jedna literka.

– I to akurat dzisiaj, kiedy miałam ci coś ważnego do powiedzenia – szepnęła rozżalona Sara.

Postanowiła poświęcić mu kilka minut ekstra, zanim się rozłączy. Zaczynał wzbierać w niej niepokój: właściwie już najwyższy czas, żeby wziąć się do „uczty”. Między innymi od tego, co upichci, zależało przecież samopoczucie gości. Nie chciała, żeby weszli w nowy rok ze zgagą. Tej nocy, oprócz synów, przy jej stole zasiądą sąsiadka Rosa, chrzestny Mauricio i jego syn Álex.

Po śmierci rodziców najlepsi przyjaciele Sary stali się częścią jej rodziny. W miarę możliwości zajmowała się nimi. Biedny Álex, pomyślała ze ściśniętym sercem. Pamiętała, jaki był żywy i dowcipny, jaki pogodny, zawsze otoczony

przyjaciółmi. Gdy alzheimer zaczął toczyć mózg Mauricia, chłopak się załamał. Zrobił się z niego samotnik i milczek, który czuł się dobrze jedynie pośród swoich map i książek. Nie ruszał się na krok z Porvenir i zawsze gdy spotykała go na ulicy, był sam, zatopiony w myślach. Choć, gwoli prawdy, ostatnio wydaje się jakby nieco weselszy, przyznała w duchu.

Włączyła piekarnik. Na blasze ułożyła przyprawioną ziołami i skropioną cytryną rybę z bukietem jarzyn. Przyrządzała ją według przepisu swojej matki i wiedziała, że Rosa za nią przepada. Stało się już tradycją, że przygotowywała ją na sylwestra.

Wstawiła do gotowania dziki ryż i znów wróciła myślami do Álexa. Po tym incydencie z mężem Hypatii była zmartwiona i zaniepokojona. Zostawiła chłopaka na deszczu, bo nie chciała zaprzepaścić codziennego czatu z Norwegią.

Wieczorem, dręczona wyrzutami sumienia, zadzwoniła do niego, żeby się pokajać i zaprosić go razem z ojcem na sylwestrową kolację. Myślała, że pewnie będzie zły z powodu całego zajścia lub co najmniej zgaszony, jak zwykle, tymczasem Álex okazał się nad wyraz rozmowny. Kilka razy powtórzył, żeby się nie przejmowała, a potem podziękował za pamięć i zaproszenie.

Zanim się rozłączył, jakby od niechcienia spytał, czy wie, kim jest dziewczyna, która mieszka w opuszczonym domu. Podobno owego dnia opatrzyła mu rany. Sara postawiła oczy w ślup – w tamtym domu od dwudziestu lat nikt nie mieszkał. I dopiero wówczas skojarzyła tajemniczą dziewczynę, o którą pytał Álex, z pierwszym listem doręczonym przed kilkoma tygodniami. Zaadresowany był na nazwisko Luisy Meillás, właścicielki domu. Czy miał jakiś związek z nową lokatorką?

Obiecała sobie, że wieczorem zapyta Álexa, jak wygląda ta młoda przyjezdna.

Nagle usłyszała charakterystyczny świst oznajmiający nadejście wiadomości na czacie.

Akurat teraz musiałeś się obudzić... Na twarzy Sary pojawił się uśmiech.

Ręce miała ubabrane w mące. Wytarła je o fartuch i podbiegła do stołu, przy którym synowie zwykle jedli śniadanie.

CASTAWAY 65: Czeeeeść!!!

CASTAWAY 65: Czy ta cisza jest zemstą za to niewielkie spóźnienie?

Sara rzuciła okiem na zegarek. Była siedemnasta dwanaście.

SARA: Już jestem, panie Pośpieszalski.

CASTAWAY 65: Nie gniewaj się. Skończyłem zmianę o piątej i od razu popędziłem do komputera.

Uśmiechnęła się. Nie zmyśla aby? Ale po co miałby kłamać?

SARA: Wybacz, że piszę.

CASTAWAY 65: Wybacz? Nie rozumiem...

SARA: Wiem, że rozmawialiśmy rano, jak zwykle, ale...

CASTAWAY 65: Zaraz, zaraz! A kto powiedział, że możemy rozmawiać tylko raz dziennie? Taki ze mnie nudziarz, że chcesz tylko kilka minut mojego życia?

Sara zarumieniła się.

CASTAWAY 65: Tak traktujesz biednego rozbitka, który nie może się doprosić kilku dni wolnego na Boże Narodzenie? Przy Tobie mister Scrooge to święty człowiek!

SARA: Ja wcale nie to chciałam powiedzieć... Jaki Ty jesteś!

CASTAWAY 65: Przystojny, sympatyczny, elegancki... i romantyczny!

SARA: ???

CASTAWAY 65: No przecież pytałaś, jaki jestem.

SARA: Słuchaj mnie uważnie, mam mało czasu i ważną rzecz do powiedzenia.

CASTAWAY 65: Zamieniam się w słuch. To znaczy we wzrok.

– Temu facetowi zawsze udaje się mnie rozbawić – szepnęła. Sprawiał, że zapominała o wszystkim, nawet o bombowej wiadomości, jak ta, którą już miała na opuszkach palców.

CASTAWAY 65: Niech zgadnę... Czy to ma coś wspólnego z tajemniczymi listami?

SARA: Tak! Skąd wiesz?

CASTAWAY 65: Halo, roztargniona! W południe na do widzenia

powiedziałaś, że jedziesz w teren. A zatem dedukuję, że pośród typowej korespondencji z końca miesiąca znalazła się nowa perełka bez nadawcy.

Nabrała powietrza. Zaczekała kilka minut, jakby chciała nadać tej chwili uroczysty charakter. Od tamtego poranka, kiedy stała przed pałacową bramą starego indiańskiego domu, wciąż rozmyślała, jakie wrażenie wywrze na Fernandzie „tajemnica”.

SARA: Piszą z myślą o mnie.

CASTAWAY 65: Dostałaś list bez nadawcy? Nie mów nic więcej. Wielbiciel! Właśnie w tej chwili rozbiłaś na tysiąc kawałków moje serce z norweskiego lodu. Ktoś mnie ubiegł.

SARA: Fernandito...

CASTAWAY 65: O rany, to poważna sprawa. Tak nazywała mnie mama na chwilę przed zmyciem mi głowy.

SARA: Dasz sobie w końcu opowiedzieć czy nie? Co za człowiek!

Była już siedemnasta trzydzieści pięć. Za chwilę trzech ananasów wpadnie do domu. Przed siódmą przyjdzie Rosa z deserem. A o ósmej do drzwi zapuka kolejnych dwóch gości.

– Rozkład jazdy dla starców i dzieci – westchnęła.

CASTAWAY 65: Przepraszam. Ty jedna potrafisz mnie słuchać! Nie jak te morlesze z Morza Północnego, które w ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Opowiadaj!

SARA: Rzeczywiście, przyszedł nowy list bez nadawcy. Jak zwykle cokolwiek dziwny. Jeden list doręczyłam osobie, która wyprowadziła się z miasteczka przed pół wiekiem. Zaadresowany był na niezamieszkały dom. Następny list otrzymała babcia, która ledwie potrafi czytać, a trzeci – ekscentryczna cudzoziemka, która nie chciała go przyjąć i na dodatek...

CASTAWAY 65: Na śmierć zapomniałem! Ale ze mnie osioł!

SARA: O czym? Do Ciebie też przyszedł list bez nadawcy, na platformę na Morzu Północnym? To nie ja go doręczyłam.

CASTAWAY 65: Rzucę się w morze.

SARA: No co Ty! Tak bardzo nie lubisz czytać?

CASTAWAY 65: Rzucę się w morze, jeśli się dowiem, że byłeś tu i do mnie

nie zaszłaś...

Ekran zaniemówił. Tymczasem Sarze wydawało się, że setki niewypowiedzianych słów uwięzły w tej podróży liczącej tysiące kilometrów między platformą i kuchnią w Porvenir: *tęsknię za Tobą... kiedy znowu Cię zobaczę... pięknie dziś wyglądasz...*

SARA: Chciałeś mi coś powiedzieć o tej cudzoziemce, wiedźmowatej, zalanej poetce...

CASTAWAY 65: Gdybyś wiedziała, kim jest, nie mówiłabyś tak o niej.

SARA: Słucham?

CASTAWAY 65: Na platformie pracuje jeden gość z Chicago. Jedliśmy kolację i z ciekawości spytałem go, czy wie, kim jest Mara Polsky. Spojrzał na mnie, jakby zobaczył kosmitę. Wstał od stołu i zostawił mnie z zawieszoną w powietrzu łyżką i otwartymi ustami. Myślałem, że czymś go obraziłem albo diabli wiedzą co...

SARA: I?

CASTAWAY 65: Wrócił z jej książką zatytułowaną „O brzas-ku”. Wiesz, co to znaczy na platformie wiertniczej?

SARA: Nie...

Zamknęła oczy. Usiłowała sobie wyobrazić, jak wygląda Norwegia i platforma na środku Morza Północnego. Jej wysiłki spełzły na niczym. Jak w takim razie mogła zrozumieć, co oznacza zbiór poezji w tamtym miejscu?

CASTAWAY 65: Pamiętasz to klasyczne pytanie, jakie trzy rzeczy uratowałbyś z powodzi? Zadaje się je ludziom zatrudnionym na platformie przed zamustrowaniem. Fakt, że John ma tu tę książkę, oznacza, że dla niego jest ona bezcennym skarbem, czymś, co zabrałby ze sobą do łodzi ratunkowej, gdyby platforma się rozpadła... I wcale mu się nie dziwię.

SARA: Przeczytałeś ją?

CASTAWAY 65: Jest piękna. Emanują z niej niewiarygodny blask i tkliwość. Każda linijka pachnie nadzieją.

Sarę zdumiały słowa Fernanda. Tamta kobieta spowita w czerń i ukrywająca się przed światem w pustym domu byłaby zdolna napisać coś takiego?

SARA: Nigdy nie przysłoby mi to do głowy...

CASTAWAY 65: Cóż, chyba każdy z nas może mieć słabszy dzień? Ten zbiór wierszy jest sprzed trzydziestu lat. Wiadomo, co mogło się przydarzyć tej kobiecie od tamtego czasu? Ile zwrotów nastąpiło w jej życiu, zanim trafiła z Manhattanu do Porvenir?

Poczuła, jak jej serce przeszywają ostre szpilki wyrzutów sumienia. Osądziła Marę Polsky zbyt powierzchownie, niemal od pierwszego wejrzenia. I co gorsza, widząc, jak bardzo ta dziwaczna kobieta potrzebuje przyjaznej duszy, zapomniała o niej zupełnie. Czy tkwi tam jeszcze, na tym pustkowiu, w willi ze spuszczoneymi żaluzjami? Przetrwiała tyle tygodni w samotności? A wróbel, czy udało się mu przeżyć?

CASTAWAY 65: Ty i ja jesteśmy ekspertami, nie ma co.

SARA: Ekspertami od czego?

CASTAWAY 65: Od owijania w wodorosty.

SARA: Słucham?

CASTAWAY 65: Tutaj nie ma bawełny, jak w tym powiedzonku. Więc zamiast owijać w bawełnę, kiedy odbiegam od tematu...

SARA: Wiedziałam, że nie będę mogła doręczyć tego listu. Był zaadresowany na niegdyś piękną willę, w której...

CASTAWAY 65: Nikt nie mieszka?

SARA: Gorzej. Jest opuszczona i zdewastowana.

CASTAWAY 65: Masz ci los!

SARA: Okna i drzwi zamurowane, elewacja zapaskudzona graffiti, dach częściowo zawalony.

Sara wiedziała to wszystko, ale i tak pojechała tam z listem.

Gdy zaglądała przez pręty ogrodzenia, serce jej zamarło: było gorzej, niż sobie wyobrażała. Pusta, zniszczona i zarośnięta zielkiem sadzawka zdawała się błagać o ratunek. Oparła się o zardzewiałą bramę, a ta ustąpiła pod jej ciężarem. Była zaskoczona, ale nie zawahała się ani sekundy – weszła do środka.

Od czegoś w końcu jest uniform urzędnika publicznego! – pomyślała, idąc w stronę głównego wejścia czymś, co niegdyś zapewne było piękną alejką z chrzęszczącymi pod stopami białymi kamyczkami. Po obu stronach walały się rupiecie, wyraziste znaki upływu czasu: puste butelki po piwie, lalka bez głowy,

jeden sandał z oberwanym na pięcie rzemieniem. Ale najbardziej ze wszystkiego uderzyła ją ogromna ilość najprzeróżniejszych papierów: papierków po cukierkach, gazet, folii aluminiowej, papieru do owijania prezentów, papieru pakowego, torebek z logo miejscowej apteki... istne cmentarzysko papierów!

Usiadła na schodach wejściowych i omiotła wzrokiem ogród. Zatrzymała się na wciąż trwającej przy życiu palmie, wyprostowanej dumnie niczym królowa sprawująca władzę nad tą niepojętą ruiną. Ogarnęło ją trudne do wytłumaczenia uczucie nostalgii. Nigdy tu przecież nie mieszkała, nigdy nie poznała mieszkańców willi. Przez lata pracy na poczcie nie doręczyła na ten adres ani jednego listu. Dlaczego zatem było jej tak strasznie żal tego upadku?

Ten sam impuls, który popchnął ją do wejścia na teren posiadłości, kazał jej otworzyć torbę. Wydobyła z niej list i przyglądała mu się przez dobrą chwilę. Koperta różniła się od tych poprzednich: gołym okiem było widać, że nadawca nie zastanawiał się nad jej wyborem ani sekundy, złapał pierwszą lepszą z brzegu. Była pospolita, beżowa, lekko prześwitująca. Jedyłą cechą godną wyróżnienia były dwie tłuste plamy. Zaadresowano ją ładnym, choć nieco zimnym pismem: „Ulica del Rosal 2”. Ani nazwiska nadawcy, ani adresata. W jakimś sensie z koperty emanował ten sam smutek, który teraz przepełniał Sarę.

Nadawca listu rozpaczliwie wołał o czytelnika lub czytelniczkę. Los wskazał ją jako pośredniczkę, która może temu zaradzić: otworzy list, aby znaleźć jakieś imię, jakiś trop, który umożliwiłby jej odnalezienie rzeczywistego adresata.

Zaczęła czytać uważnie, tak jak chirurg szuka oznak infekcji, aby dowiedzieć się, gdzie operować, na zimno, bez emocji. Ale szybko uświadomiła sobie, że nie będzie mogła zachować zawodowej bezstronności. Stopniowo historia spowijała ją, usidlała i ciągnęła jak wir rzeki w stronę finału. Uniosła wzrok znad kartki. Czy tak właśnie czuły się osoby, którym doręczyła listy? Tak czuła się Mara Polski, Álex, Hypatia, kobieta od skrytki pocztowej...?

SARA: Ale prawdziwa niespodzianka czekała na mnie dopiero w dwóch ostatnich akapitach.

CASTAWAY 65: To znaczy? Jakieś nazwisko, adres?

SARA: Nic z tych rzeczy! Zaczekaj, przepiszę ten fragment i wyślę Ci go. Sam zobaczysz.

CASTAWAY 65: OK. Ciekawość zżera mnie żywcem!

Sara wyjęła z kieszeni spodni list. Nosila go tam przez cały dzień, złożony na pół, w oczekiwaniu na wyrok, którego nie potrafiła wydać: wyrzucić go do kosza, wysłać do centrali, gdzie przechowają go przez jakiś czas, a potem spalą?

SARA: „I przy okazji, dlaczegóż by nie stać się częścią tego absurdalnego łańcucha, za sprawą którego piszę do Ciebie tej nocy. Jest Boże Narodzenie. Ty masz wszystko. Może mogłabyś podzielić się czym bądź z tymi, którzy nie mają nic lub są o krok od utraty tych resztek, jakie im jeszcze pozostały...”

CASTAWAY 65: Niesamowite! Łańcuch listów... to genialne!

– To nie tylko genialne... – szepnęła Sara, chociaż wiedziała, że nikt nie może jej usłyszeć. Jej oczy znów napełniły się łzami, jak tamtego ranka, kiedy siedziała na schodach portyku z listem w dłoni.

SARA: „Nie myślę o sobie: ja, odpukać, jakoś daję sobie radę, z wyjątkiem takich dni jak ten, i niepotrzebne jest mi Twoje współczucie, współczucie bogatej dziewczyny czy chłopaka. Kilka dni temu dostałam list bez nadawcy, w którym jest mowa o Sarze. Może spotkałaś ją kiedyś na ulicy – jest listonoszką. Ja zetknęłam się z nią i mogę Cię zapewnić, że choć upierdliwa i wścibska z niej baba, nie jest zła. Szefowie wysłali jej maila z informacją, że zostanie przeniesiona daleko od domu. Po ponad stu latach w Porvenir nie będzie listonosza. Nie opowiadałabym o tym, gdybyś nie mogła pomóc Sarze i temu miasteczku. Jak możesz to zrobić? To bardzo proste: tak jak ja. Napisz list. Nieważne, czy będzie długi, czy krótki, z błędami czy bez. I wyślij go do innego mieszkańca Porvenir. Nawet jeśli go nie znasz, podziel się z nim kilkoma chwilami Twojego życia. Wspólnymi siłami zbudujmy łańcuch ze słów tak długi, aby dosięgnął stolicy, i tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać”.

Twarz siedzącej u szczytu stołu Sary rozjaśnił uśmiech. Jej starszy syn wyklócał się z Álexem o to, który piłkarz powinien dostać w tym roku Złotą Piłkę.

Rosa pokazywała dwóm młodszym, jak obierać winogrona, i robiła to z tą samą anielską cierpliwością, z jaką przez tyle lat pomagała Sarze, kiedy była dzieckiem.

Mauricio, ojciec Álexa, w wielkim skupieniu przetaczał jedno winogrono po białej płaszczyźnie talerza.

Jeszcze tylko dwie minuty i zacznie się nowy rok, pomyślała Sara, odnosząc wrażenie, że tylko ona zdaje sobie z tego sprawę. Otwierając okno dużego pokoju, czuła, że przepelnia ją szczęście. Tej nocy jej bliscy zdawali się nie pamiętać o czarnych chmurach gromadzących się nad ich głowami: alzheimer ojca,



samotność i brak rodziny, przymusowe przeniesienie do wielkiego miasta... Ale mimo wszystko – tłumaczyła sobie – kończę ten rok, wiedząc, że zarówno tutaj, jak i w Norwegii jest wiele osób, którym na mnie zależy.

Rosie nie umknął uśmiech Sary. Sięgnęła po nóż i jako najstarsza ze wszystkich uderzyła nim ostrożnie w lampkę szampana.

– Szanowni panowie, szanowna pani... Wstańcie, proszę. Weźcie pierwsze winogrono i unieście prawą nogę, aby wejść w ten nowy rok, jak Bóg przykazał. Do biegu, gotowi...

Rozległo się pierwsze uderzenie dzwonu kościoła.

Jedenaście uderzeń później Sara ścisnęła w ramionach Rosę, gdy zadzwonił telefon. Instynktownie spojrzała na zegarek na przegubie dłoni: pięć po dwunastej. Kto to mógł być?

– Mamo, do ciebie! – krzyknął starszy syn.

Wzięła od niego słuchawkę. Po drugiej stronie usłyszała jakieś szmery.

A potem:

– *Godt nytt år!*

Głos wydał się jej znajomy.

– Słucham? Nie rozumiem. Kto mówi?

– Szczęśliwego Nowego Roku z Morza Północnego, Sara...

– Fernando! – krzyknęła, nie posiadając się z radości.

– Tutaj wszyscy już śpią. Muszę się streszczać i mówić cicho, żeby nikogo nie obudzić.

– Fernando... – powtórzyła ze śmiechem.

– Położyłem się o dziesiątej, razem z innymi. Ale nie mogłem zasnąć, bo cały czas myślałem o tym, żeby z tobą porozmawiać... – Sara czuła się jak nastolatka. Opierała się czołem o ścianę. Patrzyła na czubki swoich kapci i nie zdając sobie z tego sprawy, palcami prawej ręki skręcała telefoniczny kabel. – Chciałem rozpocząć ten nowy rok... – Fernando zamilkł.

– Tak?

– ...słuchając twojego głosu – wyszeptał powoli, jakby wymówienie każdej litery wymagało od niego ogromnego wysiłku.

Pod Sarą ugięły się nogi. Serce zaczęło jej walić w piersi. Zamknęła oczy.

– Cieszę się, że nie mogłeś zasnąć...

– Zanim się rozłączymy, chcę ci coś powiedzieć – przez cały dzień myślałem tylko o tym. – Sarę ogarnęło wzruszenie. Czy proponuje jej spotkanie? Czy – jak już marzyć, to na całego – oświadczy się i poprosi, żeby została jego narzeczoną, z tych dawnych, korespondencyjnych czasów? Uśmiechnęła się. – Teraz ty musisz napisać.

Słowa zmroziły ją jak kubek zimnej wody, ale nie chciała, żeby Fernando odczuł, że doznała zawodu.

– Co masz na myśli?  
– Musisz napisać list bez adresata. Nie pozwól, żeby łańcuch urwał się na tobie.

– Mam napisać list, żeby ratować moją posadę?

– Nie, napisz przez wzgląd na osobę, która pomyślała o tobie i zapoczątkowała całą tę historię, kimkolwiek by ona nie była. Napisz przez wzgląd na te wszystkie kobiety, które wysyłają listy z myślą o tobie, aby ich wysiłek nie spełził na niczym z winy zamurowanych okien.

8 *Indiano* – indianin, potoczne określenie emigranta hiszpańskiego, który dorobił się majątku w Ameryce i wrócił do Hiszpanii. Tutaj: dom zbudowany przez indianina (przyp. tłum.).

9 Zgodnie z hiszpańskim zwyczajem w sylwestrową noc, w ciągu dwunastu ostatnich sekund dzielących stary rok od nowego, należy zjeść, w rytm bicia dzwonu, dwanaście winogron (przyp. tłum.).

## Początki

Co stanie się z pocałunkami, które nigdy nie musną drugich ust, jaki los czeka uścisk, którym nikogo nie obejmujemy?

VÍCTOR MANUEL

Usiądź sobie wygodnie – powiedział Álex.

Alma rozejrzała się dokoła. Gdyby nie знаła już nieco tego jasnowłosego chłopaka, byłaby święcie przekonana, że się z niej nabija. Była noc, stali we wnętrzu opuszczonej kapliczki, a ona nie miała pojęcia, czego dotykają jej stopy! Przez okienko bez szyb ujrzeni księżyc w pełni, w pobliżu którego kłębiły się złowrogie chmury, jakby szykowały się do wchłonięcia jego wyniosłego blasku.

Przez ułamek sekundy pożałowała, że zgodziła się na tę pierwszą dziwną randkę, podczas której, w samym środku zimy, mieli zobaczyć zaćmienie księżyca.

W dniu, w którym wyciągnęła Álexa z ulewy i opatrzyła mu rany, chłopak zaproponował jej tę romantyczną przygodę, a ona, niewiele myśląc, zgodziła się. Ale od tamtego momentu minęło już piętnaście dni i teraz patrzyła na wszystko innymi oczami.

Spędziła Boże Narodzenie z rodzicami, którzy nie ustawali w wysiłkach – każde na swój sposób – aby wybić jej z głowy marzenia. Matka była śmiertelnie obrażona, że córka przysparza im tylu cierpień. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego woli mieszkać w samotnym domu na odludziu niż z rodzicami w obszernym i luksusowym mieszkaniu na poddaszu w dobrej dzielnicy. Podczas sylwestrowej kolacji ojciec nie odezwał się do niej słowem, ale jego milczenie było bardzo wymowne – w zachowaniu córki widział jedynie fochy rozpieszczonej i rozpuszczonej smarkuli.

Alma zbyt dobrze знаła dumny charakter Meillásów. Ojciec byłby skłonny jej wybaczyć tylko wówczas, gdyby się opamiętała, porzuciła – jak to nazywał – mrzonki o poezji i skupiła całą swoją energię na przygotowaniach do egzaminów konkursowych na ciepłą posadkę.

Zaraz pierwszego stycznia wsiadła do pociągu, który zabrał ją z powrotem do Porvenir.

Przez cały ten tydzień spędzony w asfaltowej dżungli bardzo tęskniła za ogrodem i domem. Tęskniła nawet za chłopakiem, który teraz, u jej boku, usiłował wydobyć coś z plecaka.

Usłyszawszy jakiś podejrzany szmer na podłodze, zaświeciła komórką, żeby

zobaczyć, co to takiego.

– Myszy!!! – wrzasnęła i podskoczyła, tak że telefon wypadł jej na podłogę i na nowo pograżyli się w ciemności. Już chciała się zerwać do ucieczki, kiedy poczuła dłoń Alexa na swoim ramieniu. Ścisnął je delikatnie.

– Spokojnie, myszy bardziej boją się ciebie niż ty ich – tłumaczył bez cienia ironii. – Ale nie martw się, mam wprawę w walce z tymi bestiami. Znamy się nie od dziś. – Słowa te podziałały na nią kojąco. Wyciągnęła ze swojego plecaka mały kocyk, rozłożyła go na podłodze i usiadła. Anemiczne światło zachwiało się na kamiennych ścianach. To Alex zapalił świeczkę. – Dopóki znów nie wyjdzie księżyc – powiedział. Alma posłała mu uśmiech. Była pewna, że zrobił to wyłącznie dla niej. On sam sprawiał wrażenie nawykłego do mroku i ciszy. – Coś mi mówi, że sprawy w domu nie poszły najlepiej – zagał.

– A mnie coś mówi, że kochająca się i szczęśliwa rodzina w Boże Narodzenie to obrazek wyjęty żywcem z hollywoodzkiej produkcji. – Chłopak wzruszył ramionami, więc Alma poszła za ciosem: – Boże Narodzenie jest strasznie przereklamowane. I żyli długo i szczęśliwie, co? To zdarza się tylko w historiach Disneya i w starych baśniach. – Zaczerpnęła powietrza. – Nie wiem, dlaczego myślałam, że po miesięcznej nieobecności w domu rzucimy się sobie na szyję. Ale moi rodzice są, jacy są, i nigdy się nie zmieniają.

Alex zatopił się w swoich myślach, gdy Alma rozwodziła się na temat nadopiekuńczej i przejmującej się opinią innych matki oraz autorytarnego, materialistycznie nastawionego do życia ojca.

Gdybym mógł powiedzieć to samo o moich, pomyślał gorzko chłopak. Jego ojciec zmienił się nie do poznania, odkąd zaatakowała go choroba. Wspomnienie o matce stawało się coraz bardziej odległe i mgliste. Nie pamiętał już ani jej głosu, ani zapachu. Czasami nawet odnosił wrażenie, że nigdy jej nie miał.

– Dam jedno euro za twoje myśli.

– Słucham?

– O czym myślisz? – powtórzyła Alma.

– O moich rodzicach – odparł bez wahania.

– Mieszkacie razem?

– Matka umarła, kiedy byłem dzieckiem. – Alex zauważył zmieszanie dziewczyny i posłał jej uspokajający uśmiech. – Właśnie uzmysłowiłem sobie, że prawie jej nie pamiętam. Nigdy nie pragnęłaś z całych sił czegoś bardzo błędnego? Ja tak: chciałbym znów usłyszeć głos wołającej mnie matki – powiedział ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Zapadła kłopotliwa cisza. Oboje wsłuchiwali się w swoje oddechy.

– Mieszkasz z ojcem? – spytała Alma, żeby o cokolwiek zapytać.

- Powiedziałbym, że to raczej on mieszka ze mną.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Ojciec ma alzheimera.

Rzuciła chłopakowi spłoszone spojrzenie – dzięki temu krótkiemu zdaniu zrozumiała co najmniej połowę tajemnic, jakie wydawał się skrywać. To dlatego tkwisz tutaj, czekając na odpowiedni moment, pomyślała. Poczuła, że jakimś dziwnym zrzędzeniem losu było im do siebie bardzo blisko. Siedząc ramię w ramię, czekali na zaćmienie księżyca, ale też na jakiś znak, za sprawą którego nastąpiłby zwrot w życiu obojga. Ona szukała odpowiedniego pretekstu, aby być poetką, on zaś – żeby stąd wyjechać.

– Gdyby ktoś ci powiedział, że jutro możesz wsiąść do samolotu... – zagadnęła – gdzie byś poleciał?

Álex zbierał się do odpowiedzi przez kilka sekund, które jego towarzysze dłużyły się w nieskończoność. Całą swoją uwagę skoncentrował na murach kapliczki. Alma była przekonana, że odczytuje niewidzialną mapę.

Wykorzystała tę nieobecność chłopaka, aby przyjrzeć się jego delikatnym, choć wyrazistym rysom. W ciepłym świetle świeczki połowa jego twarzy należała do marzyciela, podróżnika i kochającego syna. Druga, pozostająca w głębokim cieniu połówka cechowała się twardością i tajemniczością. Jaki ból i strach wyrzeźbiły bruzdy pod jego oczami?

– Wybrałbym się do Puerto Williams w Chile. Liczy zaledwie dwa tysiące mieszkańców.

– Dlaczego właśnie tam?

– Bo jest najdalej na południe wysuniętym miastem na świecie. Stamtąd już tylko jeden sus do bieguna południowego. Położone jest nad kanałem Beagle. Oddałbym nie wiem co, żeby móc popatrzeć na góry, które je otaczają.

– Dlaczego? – Álex się zaśmiał. – Wciąż tylko pytam „dlaczego”, zupełnie jak małe dziecko – jęknęła Alma. – Ale mnie to wkurza!

– To zabawne, że poetce brakuje słów...

Chciała zaprotestować, lecz Álex mrugnął do niej pojednawczo. Gest ten rozbroił dziewczynę. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko ponowić pytanie:

– Dlaczego właśnie góry w Puerto Williams?

– Bo nikt tam nie mieszka. Tego, na co patrzyłyby moje oczy, nie widziałby nikt inny. I cisza... Wyobrażasz sobie tę ciszę?

– Nie lubisz za bardzo ludzi, co?

– To nie to. – Álex oblał się rumieńcem. – Chociaż raz chciałbym być tym, który wyjeżdża, a nie wiecznym frajerem, którego wszyscy zostawiają na lodzie.

Alma pojęła ból kryjący się w tych słowach. Próbowwała sobie wyobrazić, czym może być utrata matki w dzieciństwie, choroba, jak ta Mauricia, albo to, że wszyscy twoi przyjaciele, jeden po drugim, wyjeżdżają w poszukiwaniu

przyszłości, która dla ciebie jest niedostępna.

Niewiele myśląc, wyciągnęła rękę w poszukiwaniu dłoni Alexa. Dotknąwszy jego skóry, zawahała się przez sekundę. Lecz nie cofnęła ręki – wsparła ją na kocu, tak aby jej mały palec dotknął palca chłopaka. Kątem oka dostrzegła, że jego plecy naprężyły się, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego smagnięcia.

Od jak dawna nikt nie okazuje ci czułości? – zastanawiała się, bacząc, by jej myśli nie zerwały się z uwięzi i nie wyfrunęły przez usta.

– Ale, ale, jeśli już mowa o Puerto Williams – przypomniało się Alexowi – kiedy dostanę z powrotem książkę Chatwina?

– No wiesz co! Prezent to prezent! – odparowała przekornie. – Dałeś mi ją w dniu, w którym się poznaliśmy, a jeśli nasza przyjaźń ma być wieczna, czego bym sobie życzyła, to czy ładnie tak odbierać pierwszy prezent?

Spojrzał na nią zmieszany.

– To nie jest moja książka. Wypożyczyłem ją z biblioteki.

– Houston, mamy problem. Parę dni temu skończyło mi się drewno na opał, był taki ziąb... Chciałam rozpalić w kominku, a pod ręką miałam tylko...

– Co? – Oczy chłopaka zaokrągliły się z przerażenia. – Spaliłaś książkę?

– Połknąłeś haczyk! Dałeś się nabrać jak małe dziecko...

Alex prychnął. Ta dziewczyna bez przerwy deprymowała go, lecz mimo to czuł się dobrze u jej boku.

– Jaka jest ta wasza biblioteka?

– Dla mnie wspaniała. Znajduje się w budynku zbudowanym z kamienia, jest parterowa i sąsiaduje przez ścianę z kościołem. – Uśmiechnął się.

– To jej główny atut?

– W czytelnicy wisi wielki napis: „Prosimy zachować ciszę”, ale co chwilę słychać dzwon wybijający godziny i kwadransy... A do dyskretnych nie należy, możesz mi wierzyć. Oprócz tej sali jest jeszcze jedno pomieszczenie, w piwnicy, przeznaczone na zebrania, spotkania, ale...

– Ale?

– Odkąd sięgam pamięcią, nigdy nie widziałem, żeby ktoś tam się spotykał czy robił cokolwiek. Stoi pusta, a szkoda, bo to piękne miejsce! Na ścianach umieszczone są cytaty z *Don Kichota*, *Zbrodni i kary*, *Czerwonego i czarnego*... nawet z Biblii!

– Musimy to zmienić.

– Co, nie uważasz Biblii za literackie dzieło?

– Matko! – Zaśmiała się czule. – Chodzi mi o to, że należałoby zrobić coś, co tchnęłoby odrobinę życia w to pomieszczenie. Ja też uwielbiam biblioteki. Przynajmniej raz w tygodniu chodzę do takiej jednej, niedaleko mojego domu.

– Wypożyczać książki?

Chłopak patrzył na nią szczęśliwy, że znaleźli jeszcze jedno wspólne

zamiłowanie.

– Nie tylko. Masz zaszczyt rozmawiać z założycielką koła literackiego Czarodziejska Góra. Żeby nie było niedomówień, do ostatniej sekundy walczyłam, żeby nazwa nie pochodziła z powieści, ale... poezja to niszowa sztuka!

– Gdyby można było założyć takie koło w Porvenir... – westchnął Álex.

– „Bądź zmianą, którą pragniesz ujrzeć w świecie”, powiedział Gandhi. Chcesz mieć koło literackie w Por-venir? Załóż je! – Widząc przestrach w oczach Álexa, dodała szybko, by nie dać mu czasu na szukanie wykrętów: – Ja ci pomogę.

Alma czuła, że ten blef jest dość ryzykowny. Była tu tylko przejazdem. Nie wiedziała jeszcze nawet, czy zatrzyma dom babki. Tymczasem siedziała w półmroku w starej kapliczce, obiecując pomoc chłopakowi, który z każdym uderzeniem serca stawał się jej coraz bliższy.

Pal licha! – pomyślała. Jutro będę się przejmować.

– Ślęczymy tu od godziny i nic się nie dzieje – jęknęła Alma. – Długo jeszcze?

Wypowiedziawszy te słowa, zaraz ich pożałowała. Nie chciała, żeby Álex pomyślał, że się przy nim nudzi. Spowity półmrokiem, w bezpiecznych murach kapliczki, sprawiał wrażenie zadowolonego i pełnego entuzjazmu. Jak nakręcony opowiadał o podróżach, o życiu w Porvenir, o swoim dzieciństwie. Wspomniał też, że zaczął nowy rok w gościach u Sary.

Usłyszawszy imię listonoszki, Alma wzdrygnęła się nieznacznie, co nie uszło uwagi Álexa. Przez kilka sekund patrzyli na siebie, zastygli w kłopotliwym milczeniu – oboje skrywali tajemnicę, której nie mogli wyjawić.

– „...rok nic tu nie znaczy i dziesięć lat jest niczym...”<sup>10</sup> – szepnęła tajemniczo chłopak w odpowiedzi na pytanie sprzed paru chwil.

Zaskoczona Alma wpatrywała się w jego usta, jakby usiłowała znaleźć niezbity dowód, że to właśnie z nich uleciało zdanie, które zaraz dokończyła:

– „...być artystą znaczy: nie rachować, nie liczyć, wzrastać jak drzewo, które nie ponagla swoich soków i stoi ufnie wśród wiosennych burz, bez obawy, że mogłoby nie nadejść lato”<sup>11</sup>.

– „Ale przychodzi tylko dla cierpliwych, którzy istnieją tak, jakby mieli przed sobą wieczność...” – dopowiedział cicho Álex.

– Zacytowałeś z pamięci fragment z *Listów do młodego poety* Rilkego! – wykrzyknęła entuzjastycznie. – Jak na książkę, która ci się nie podoba... zadałeś sobie sporo trudu!

– Mówiłem, że nie przepadam specjalnie za poezją... ale podoba mi się idea, że należy żyć tak, jakby przed nami była wieczność, a nie wciąż zadręczać się upływem czasu. Czytając to, miałem wrażenie, że Rilke pisał te słowa z myślą

o mnie.

– Taka właśnie jest poezja: wieczna i uniwersalna.

Mimowolnie odnalazła jego dłoń, uścisnęła ją i dodała:

– Jak miłość.

W tej samej chwili luna księżycy wpłynęła do wnętrza kapliczki.

Wzrok obojga powędrował za księżycową smugą – spływała na ich splecione dłonie.

Alma zawstydziała się i już chciała cofnąć rękę, lecz Alex przytrzymał ją, nie patrząc na dziewczynę. Westchnęła, tak było dobrze. Wsparła głowę na ramieniu chłopaka, który nie drgnął na milimetr. Uczucie błogości ogarnęło ich serca i myśli.

Álex dmuchnięciem zgasił świeczkę. Nie była już potrzebna. W przeciągu kilku sekund księżyc zaczął zasnuwać się głębokim cieniem i gęsta cisza spowiła ich świat.

– Teraz Ziemia wchodzi między Księżyc i Słońce... – rzekła Alma, jakby zapominając, że ekspertem w zaćmieniach jest jej towarzysz.

– Nie lubisz ciszy, co? – Zaśmiała się. Ten nieśmiały chłopak znał ją już niepokojąco dobrze. – Czy to nie wspaniałe pomyśleć, że wszędzie tam, gdzie jest teraz noc, najrozmaitsi ludzie oglądają to samo zaćmienie, co my?

Alma zamknęła oczy.

– Tak, to wspaniałe, poeto.

Trąciła go łokciem w żebro. W odpowiedzi Álex uwolnił dłoń z jej ręki, objął ją za szyję i przyciągnął do siebie.

– Mierz dobrze swoje siły, zanim mnie sprowokujesz, bo...

– Bo co? Grozisz mi? – rzuciła buńczucznie.

– Kontratakiem regularnych łaskotek – odparł, dmuchając w jej krótką, zbuntowaną grzywkę.

Godzinę później Alma spytała ze zdumieniem:

– Ile może trwać zaćmienie?

– Czasem nawet całą noc... – Álex ujął delikatnie jej podbródek. – Masz gdzieś lepszą metę? Ktoś czeka na ciebie w domu, Almo Mahler?

Gdy usłyszała te dwa pytania, serce zatrzepotało jej w piersi, ale nic nie odpowiedziała.

Álex wstał.

– Zabrałem ze sobą termos z gorącą kawą i dwa śpiwory.

– Wiedziałaś! – Alma skoczyła na równe nogi, udając obrażoną.

– Co?

– Że spędzimy tu całą noc.

– To była jedna z możliwości – odparł, podając jej śpiwór.



Alma otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale nie znalazła słów.

– Zimno ci jeszcze? – spytał Alex, kiedy już ułożyli się w śpiworach.

– Troszeczkę...

– Przysuń się do mnie – zaproponował.

Objął ją ramionami. Dziewczyna ułożyła głowę na jego piersi. Usłyszawszy przyspieszone bicie jego serca, zadrżała.

Alex z wolna się odprężył. Po kilku minutach mieli wrażenie, że obejmują się tak od bardzo dawna. Dwa serca dostroiły się do siebie i po raz kolejny tej nocy spłynął na nich nieoczekiwany spokój.

Pocałuje mnie czy nie? W głowie Almy myśli krążyły jak listki akacji na wietrze. Słońce zaczynało zaglądać przez okienko i szanse topniały wraz z ostatnimi skrawkami mroku. Alex miał zamknięte oczy.

Ile bym dała, żeby wiedzieć, w jakim zakamarku mapy znajduje się w tej chwili! Natarczywe pytanie drażyło jej umysł: Czy znajdzie się dla mnie miejsce w tej podróży?

Świt nie przyniósł jej upragnionej odpowiedzi.

Godzinę później, schodząc w dolinę, Alma rozpoznała w oddali zarys swojego nowego domu. Zatrzymała się i patrzyła w ciszy. Majestatyczne domostwo wznosiło się z jednej strony drogi. Jego dach rozdzierał lekką poranną mgłę. Uchylone okiennice obwieszczały, że ktoś tam mieszka. Ja, pomyślała szczęśliwa. To ja tu mieszkam. Zastanawiała się, ile razy jej babka, jej pradziadkowie i prapradziadkowie kontemplowali ten sam widok i ile razy pomyśleli tak samo jak ona.

– Wszystko dobrze? – spytał Alex.

– Lepiej być nie może.

10 R.M. Rilke, dz. cyt.

11 Tamże.

Po drugiej stronie oceanu

Pablo, najdroższy, chciałabym, abyś otrzymał ten list 12 lipca, w dniu Twoich urodzin. Najmilszy, życzę Ci, abyś był szczęśliwy. O każdej godzinie dnia i nocy, gdziekolwiek i z kimkolwiek będziesz, bądź szczęśliwy, będę o Tobie pamiętać, będę o Tobie myśleć, miłości moja.

List ALICII, kochanki PABLA NERUDY

Miota się pani dzisiaj jak tygrys w klatce, pani Saro.

Znieruchomiała. Odwróciwszy się, wpadła na drobną kobietę z mopem w rękach, która patrzyła na nią z uśmiechem. Dziecinna twarz i ciemne, figlarne oczy sprawiały, że nie wyglądała na swoje niewiele ponad trzydzieści lat.

– Co masz na myśli, Karol? – spytała.

– Krąży pani bez przerwy po biurze. Jestem tu od godziny i przez ten czas wstawała pani od stołu co najmniej pięć razy. Twardy orzech do zgryzienia ten raport kwartalny! No, ale trudno się dziwić, z taką ilością listów... – ciągnęła kobieta.

Sara przytaknęła, podczas gdy tamta wyszła na zaplecze, gdzie przechowywano worki pocztowe, paczki przygotowane do wysłania i zwrócone listy. Biały fartuch powiewał na wszystkie strony, upodabniając ją do zjawy, chociaż słodki głos i ciągły chichot były jak najbardziej realne.

Żeby to tylko raport, a nie ten przeklęty list! – gryzła się, zasiadając ponownie przed komputerem.

Telefon Fernanda w sylwestrową noc przewrócił do góry nogami jej uporządkowane, jak dotąd myślała, życie. Gdy usłyszała jego głos po tylu latach, obudziły się w niej uczucia, o których sądziła, że są martwe lub, w najlepszym razie, w stanie głębokiego uśpienia.

Do czego to podobne, żeby serce waliło jak zwariowane? – zadawała sobie raz po raz pytanie.

Efektom tej niespełna dwuminutowej, noworocznej rozmowy było stado motyli fruujące w jej brzuchu i kłopotliwe zlecenie: napisać list, który zapobiegnie przerwaniu łańcucha.

– Aleś wymyślił, Fernando... – mruknęła pod nosem.

On upierał się, że powinna to zrobić dla osoby, która anonimowo rozpoczęła całą akcję, mającą na celu uratowanie jej pracy.

Kto to może być? – zastanawiała się, stukając nerwowo palcem w myszkę,

jakby mogła od niej wydębić upragnioną odpowiedź. Ale od kiedy zgodziła się napisać list, nie to pytanie dręczyło ją najbardziej. Od kilku dni zachodziła w głowę, do kogo mogłaby napisać i o czym mogłaby opowiedzieć.

*Byś nie zapomniała mnie*

*i nosiła w sercu, gdy znikniesz we mgle –*

*stąd mych pieszczot moc,*

*naszych pocałunków i uścisków w noc.*

*Byś nie zapomniała mnie,*

*by żyć w Twoich snach*

*miłość dałem Ci, najdroższe,*

*co mam!*

Z zaplecza słyhać było głęboko niesłuszny głos Karol.

Sara uśmiechnęła się. Mimo żarliwości swej interpretacji dziewczyna nie potrafiła trafić we właściwy ton. Znowu spojrzała na otwarty dokument Worda: utknęła na dacie i nazwie miejscowości, *Porvenir, 7 stycznia*, i nie wiedziała, co dalej.

– W takim tempie przeniosą mnie do stolicy, zanim zdolam sklecić pierwsze zdanie. Łańcuch skończy się na mnie... i to z mojej winy – szepnęła.

*Byś nie zapomniała mnie,*

*nawet na sekundy dwie,*

*we mnie Ty, w Tobie ja, we wspomnieniach miłość trwa.*

*Byś nie zapomniała mnie, nawet na sekundy dwie,*

*bądźmy razem wciąż, razem aż po kres13.*

Głos jeszcze donośniej rozbrzmiewał z pocztowej łazienki. Wiadro od mopa pełne wody przytrzymało uchylone drzwi.

– Kto ma o tobie nie zapomnieć, Karol? – spytała rozbawiona Sara.

Głos ucichł. Przenikliwa cisza zapanowała we wszystkich zakamarkach biura.

– Każdy ma kogoś takiego – odparła dziewczyna po kilku długich sekundach. Sara nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czekwała w milczeniu, sama nie wiedząc, na co. – Jak pani myśli? – Zza drzwi wyłoniła się głowa.

– Tak – potwierdziła Sara.

– Matkę, chłopaka, dzieci, przyjaciół... czy nawet psa. Albo kraj. Albo wszystko to razem! – dodała Karol. – Ale śpiewam też, żebym i ja o nich nie zapomniała.

Sara uświadomiła sobie, jak mało wie o kobiecie, która sprząta na poczcie od jakichś dwóch lat.

Wiem tylko tyle, co widzę, co najbardziej rzuca się w oczy, pomyślała. Że ma śniadą cerę i jest niskiego wzrostu. Że ma słodki głos i zaraźliwy śmiech, pierzchający tylko w deszczowe dni. Wówczas zdaje się być nieobecna duchem i patrzy niewidzącym, tęsknym wzrokiem za okno.

Akcent Karol zdradzał, że przyjechała z bardzo daleka, z kraju znajdującego się po drugiej stronie oceanu.

Nagle na usta Sary zaczęło się cisnąć mnóstwo pytań: Gdzie się urodziłaś? Dlaczego tu przyjechałaś? Czy u siebie też zarabiałaś na życie sprzątaniami? Oprócz poczty pracowała jeszcze w bibliotece i w jakimś prywatnym domu.

Zanim Sara zdążyła się zreflektować, niektóre z pytań nabrały takiego rozpędu, że wyfrunęły jej przez usta.

– Jestem z Peru – odpowiedziała dziewczyna. – Mój ojciec zawsze powtarzał, że urodziliśmy się w samym sercu Andów, w wysokich górach. Może nie w tych naprawdę wysokich, ale prawie. To mała miejscowość, której nie ma na żadnej mapie, jak więc może ją pani znać? – Sarę ujmował naturalny i prosty sposób, w jaki Karol wyrażała swoje myśli. – Było nas pięcioro rodzeństwa. Czterech chłopców i ja. Jestem silna. Musiałam być, inaczej nie dałabym sobie rady z tymi wariatami. Najstarszy zginął w wypadku samochodowym. Ojciec zmarł w podeszłym wieku, serce pękło mu ze złości. Bo, nie powiem, charakterek to on miał. Ale z drugiej strony nie było uczciwszego i lepszego człowieka.

Listonoszka poczuła się jak reporterka i poszła za ciosem, zadając kolejne pytania.

– No pewnie, że chodziłam do szkoły, a niby dlaczego miałam nie chodzić! – oburzyła się łagodnie Karol. – Umiem czytać i pisać. Ale zbyt wcześnie zostałam matką. Szesnaście lat miałam. Tutaj wydaje się, że to nie wiadomo co, ale tam to zwyczajna kolej rzeczy. Kiedy nauczysz się czytać i pisać, chłopcy idą do pracy w polu albo do kopalni, a kobiety zajmują się domem.

– Chcesz kawy? – zaproponowała Sara. – Idę kupić dla siebie do tego baru naprzeciwno.

– A mogłabym herbatę?

Sara skinęła głową, a Karol wróciła do wycierania segregatorów.

Pięć minut później kontynuowały rozmowę w biurze Sary. Karol upiła trochę herbaty. Siedziała na krześle naprzeciw stołu listonoszki i zastanawiała się nad odpowiedzią na nowe pytanie.

– Gdy wychodziłam za mąż, byłam bardzo zakochana. I nic się nie zmieniło. Zostawiałam tam troje dzieci.

– Kto się nimi opiekuje? Ich ojciec?

– Najstarszą córką zajmuje się moja matka. Dwóch chłopców zostało z teściami. – Jej głos był jakby przygaszony. Sara poczuła się winna, choć nie widziała po temu wyraźnego powodu.

– Mieszkają w twojej rodzinnej miejscowości? Ile mają lat? Czy to ładne miejsce? – wyrzuciła z siebie grad pytań, aż Karol parsknęła śmiechem.

– Tak. Piętnaście, dziesięć i siedem. To piękne i spokojne miejsce. Dookoła wznoszą się olbrzymie góry o zaśnieżonych szczytach. Jest cudowne, ale biedne. Gdyby nie bieda, nie byłoby mnie tutaj! To już trzy lata, jak wyjechałam. Reszta rodziny została w domu. – Westchnęła ciężko. – Żywi i umarli. – Opuściła wzrok, zanim podjęła: – Nie chcę, żeby moje dzieci mnie zapomniały. Ani moja matka, ani bracia, ani ich dzieci, ani przyjaciółki, ani... – Sara wyciągnęła rękę i uściśliła jej dłoń. – Ale wiem, że myśląc o mnie, bardzo cierpią – dodała ze smutkiem Karol. –

To dziwne. Dzwonię do nich codziennie, śmiejemy się, wypytuję ich o najdrobniejsze sprawy. Tak bardzo chcę wiedzieć, czy chłopcy wygrali mecz albo czy któremuś wypadł ząb! Brak takich drobnostek to jest to, co ciąży mi najbardziej. A kiedy odkładałam słuchawkę, czuję się o wiele bardziej samotna i winna niż przed rozmową. Rozumie to pani, Saro? Bo ja nie. Może w takim razie lepiej nie dzwonić? Może nie pisać? Nie wysyłać im zdjęć? Co jest lepsze? Co jest słuszne? Nie przyjechałam tu z własnej woli. Wygnała mnie potrzeba zdobycia pieniędzy i wysłania ich najbliższym. Mimo to czuję się winna, że nie mogę patrzeć, jak rosną moje dzieci, i że to inni są na moim miejscu. Chociaż przecież wiem, że dziadkowie bardzo je kochają. Czuję się okropnie, bo za każdym razem, kiedy odkładałam słuchawkę, to jest tak, jakbym je opuszczała na nowo.

Karol wbiła wzrok w okno. Sara miała niezbitą pewność, że w tej właśnie chwili przemierza ocean i podróżuje do wioski z domami z suszonej cegły i pokrytymi kurzem nieasfaltowanymi ulicami. Próbowwała, za pomocą własnej wyobraźni, w roli niemego świadka dotrzymać jej towarzystwa w tej wyprawie. Raptem zdała sobie sprawę, że jeśli ją przeniosą, jeśli zamkną pocztę, sprzątaczką straci pracę i jej poświęcenie napotka nowy mur.

– Skończyła się herbata – powiedziała Karol. – Koniec wymówek. Trzeba wracać do roboty!

Wyszła z biura, ale po kilku sekundach, zanim Sara zdążyła wrócić do komputera, wsunęła do środka głowę.

– Dziękuję. Od wielu tygodni nie czułam się tak dobrze jak przez te parę chwil. Choć może pani trudno w to uwierzyć.

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie, zanim wrócisz do pracy?

– Za tę smaczną herbatę wszystko, czego tylko pani zażąda – odparła z uśmiechem.

– Co się stało z ojcem twoich dzieci?

– Zginął. Kopalnia to niedobre miejsce. Gdyby Bóg chciał, abyśmy żyli pod ziemią, stworzyłby nas na podobieństwo kretów, a nie ludzi. Był zawał... Powiedziałam pani wcześniej, że śpiewam też po to, żeby nie zapomnieć.

Sara wracała do domu ze słuchawkami na uszach.

Od rana chodziło za nią bolero, które śpiewała Karol.

*Byś nie zapomniła mnie*

*i ofiarowała mi swej myśli cień,*

*za listem list będę Ci słać,*

*ze słowa „kocham” uścielę trakt,*

*byś mogła przybiec do mnie co dnia.*

*I nasza miłość na wieki wiek już będzie trwać,*

*Twój tkliwy z moim zejdzie się brzeg*

*i już na zawsze zatrzymam czas<sup>14</sup>.*

Wtem pewna myśl błysnęła jej w głowie niczym błyskawica.

– Karol, czy ktoś kiedyś napisał do ciebie? W takim razie miej oczy otwarte, bo wkrótce dostaniesz list, w którym będzie dużo o małych, codziennych sprawach. O tych sprawach, za którymi, jak mówisz, tęskni się najbardziej – powiedziała do siebie, uszczęśliwiona, zanim ośmioletni chłopiec rzucił się jej na szyję z radosnym okrzykiem: „Mama wróciła!”.

12 *Para que no me olvides* – piosenka hiszpańskiego piosenkarza Lorenza Santamaríi (wł. Lorenzo Rosselló Horrach), święcącego największe triumfy w latach 70. XX w. (przyp. tłum.).

13 Tamże.

14 Tamże.

Sara

*Porvenir, 7 stycznia*

*Droga Karol,*

*wierzę, że dziś, to znaczy kiedy otworzyłaś ten list, miałaś dobry dzień.*

*Wiem, że przede wszystkim powinnam się przedstawić. Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. Wyobraź sobie, że jestem Twoją dawno niewidzianą przyjaciółką. Proszę Cię, abyś przeczytała ten list, tak jakbyśmy się znały od wielu lat, jakbyśmy razem się wychowały. Zamknij oczy na kilka sekund i pomyśl, że jestem kimś, kogo kochasz, aby moje słowa były dla Ciebie miłym towarzystwem i przyniosły Ci ulgę.*

*Wiem, że to niezwykle trudne nie zadawać sobie pytań i zaakceptować ten list, ot tak, jak gdyby nigdy nic. Dlatego powiem Ci, że Ty i ja jesteśmy ogniwami łańcucha złożonego z listów.*

*Kiedy byłam mała, wzięłam udział w akcji pisania kart pocztowych wysyłanych przez dzieci pracowników poczty z całego świata. Mój tata był listonoszem. To była bardzo zabawna przygoda – ja dostałam kartkę z małej miejscowości z Finlandii. Na kartce był Święty Mikołaj w swoich saniach. Napisałam, ni mniej, ni więcej, do... Berlina! Razem z mamą długie godziny wybierałyśmy w kiosku kartkę z Porvenir. Spoczywała na mnie, jak mi się wtedy wydawało, wielka odpowiedzialność: sądziłam, że niemiecka rodzina i jej sąsiedzi będą mieli wyobrażenie o moim mieście na podstawie otrzymanej kartki. Chciałam, żeby zobaczyli, że mieszkamy w starym, liczącym setki lat, ale zarazem nowoczesnym miasteczku, małym, ale zapewniającym swoim mieszkańcom wszystko, czego im trzeba. Chciałam, żeby zobaczyli kościół, ale również otaczające nas góry i kapliczkę na peryferiach. Zawsze myślałam, jakie to wielkie szczęście mi się przytrafiło, że mogłam się urodzić i mieszkać właśnie tutaj.*

*I powiem Ci zabawną rzecz: jako że nie byłam w stanie wybrać jednej widokówki, w końcu wysłałam trzy. Niemiecka rodzina pewnie zdębiała!*

*A czy w Twoim kraju organizuje się takie łańcuchy? Mam nadzieję, że tak, bo myślę, że to wspaniały pomysł. Chciałabym, aby moje dzieci też kiedyś mogły wziąć udział w podobnej akcji! Może należysz do ludzi, którzy myślą, że to to samo, co te łańcuszki mailowe, w których żądają od ciebie rozesłania otrzymanej wiadomości do wszystkich twoich kontaktów. Nie, nie, to zupełnie inna para*



kaloszy.

*„Ten łańcuch, którego jesteśmy ogniwami, to bardzo poważna sprawa. Kilka dni temu dostałam list bez nadawcy, w którym jest mowa o Sarze. Może spotkałaś ją kiedyś na ulicy – jest listonoszką. Ja zetknęłam się z nią i mogę Cię zapewnić, że choć upierdliwa i wścibska z niej baba, nie jest zła. Szefowie wysłali jej maila z informacją, że zostanie przeniesiona daleko od domu. Po ponad stu latach w Porvenir nie będzie listonosza. Nie opowiadałabym o tym, gdybyś nie mogła pomóc Sarze i temu miasteczku. Jak możesz to zrobić? To bardzo proste: tak jak ja. Napisz list. Nieważne, czy będzie długi, czy krótki, z błędami czy bez. I wyślij go do innego mieszkańca Porvenir. Nawet jeśli go nie znasz, podziel się z nim kilkoma chwilami Twojego życia. Wspólnymi siłami zbudujemy łańcuch ze słów tak długi, aby dosięgnął stolicy, i tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać”.*

*Muszę Ci jeszcze powiedzieć dwie rzeczy dotyczące naszego łańcucha. Po pierwsze, list wysyła się bez nadawcy, bo nie oczekujesz odpowiedzi. Listy są anonimowe i chodzi o to, aby zaangażować w ich wysyłanie jak najwięcej osób. Po drugie, biorąc udział w tej inicjatywie, stajesz się częścią paktu między damami: słowa, które teraz czytasz, należą wyłącznie do ich autora i do Ciebie. Nie można o tym mówić nikomu.*

*Teraz już wiesz, dlaczego do Ciebie piszę. Mam przeświadczenie, że prędzej czy później Ty też napiszesz list do kogoś w tym miasteczku. Jeśli chcesz, możesz to nazwać szóstym zmysłem.*

*Wybierz, kogo chcesz, i opowiedz mu o czymkolwiek. Na pozór łatwizna, ale zapewniam Cię, że to nie takie proste. Znalezienie Ciebie kosztowało mnie dużo zachodu. Ale gdy już Cię znalazłam, wiedziałam od razu, o czym chcę Ci opowiedzieć: o drobiazgach wypełniających nasze życie. Czy może być coś piękniejszego od podzielenia się naszą codziennością z kimś, dla kogo jesteśmy ważni i kto jest ważny dla nas?*

*Jestem zwykłą kobietą. Kobietą, jakich wiele. Jestem na półmetku życia: nie jestem ani młoda, ani stara, ani bogata, ani biedna, ani ładna, ani brzydka, ani świetnie wykształcona, ani niedouczona. Ale proszę, nie myl tego z przeciętnością!*

*Jestem względnie szczęśliwa. Czy może na tyle szczęśliwa, na ile może być szczęśliwa samotna kobieta wychowująca dzieci, kobieta, której grozi utrata pracy. Los nie oszczędził mi nieszczęść: śmierć rodziców i odejście męża. Przewyciężyłam trudne chwile, ale nie chcę o tym teraz mówić. Jestem przekonana, że i Ty pragniesz, aby zabiłszy się Twoje rany, być może o wiele głębsze i bardziej bolesne. Nie chodzi o to, aby zamienić ten kawałek papieru w korespondencyjny katalog cierpień! Byłaby to niewybaczalna rozrzutność danego nam czasu!*

*Zawsze wierzyłam, że w jakimś momencie sprawy mogą ulec zmianie. Czasem życie wywraca się podstępnie na drugą stronę i wówczas możemy ujrzeć jego szwy. Ale tak samo, niespodziewanie, po jakimś czasie wraca na swoją właściwą stronę i znów wygląda jak nowe.*

*W ostatnich miesiącach odkryłam, że... jestem ważna dla ludzi!*

*Na pewno uznasz to spostrzeżenie za dziecinne. Może i tak jest, ale ostatnio czuję się, jakby mi ubyło lat. Kilka dni temu, żeby nie szukać daleko, szłam ulicą z moim najmłodszym synem. W pewnej chwili pociągnął mnie za rękaw, spojrzał na mnie wystraszonego wzrokiem i zapytał: „Co ci jest?”.*

*A ja szłam i śpiewałam, nie zdając sobie z tego sprawy! Syn twierdzi, że nawet podskakiwałam. Trudno mi w to uwierzyć... ale kto wie, może to i prawda!*

*Przez całe życie mogłam liczyć na bezwarunkową miłość Rosy, mojej sąsiadki, która jest dla mnie jak ciotka albo babka, oraz na miłość moich synów. Rosa była najlepszą przyjaciółką mojej matki. Zawsze mi o niej opowiada, to ona pomogła mi przyjść na świat w tym samym domu, w którym mieszkamy do dziś: ona na pierwszym piętrze, ja na drugim. Ma ponad osiemdziesiąt lat i jest bardzo krucha, niczym drobna gałązka, którą, zdawałoby się, może złamać byle podmuch wiatru, ale to tylko pozory: trzeba by wielu tsunami, żeby ujarzmić jej wolę! Jeśli coś sobie umyśli, nie ma takiej siły, która mogłaby ją odwieść od raz powziętego zamiaru! Ci, którzy znają Rosę z czasów jej młodości, mówią, że zawsze taka była, obrotna i zdecydowana. Odkąd zabrakło mojej matki, codziennie dziękuję opatrności za to, że Rosa czuwa nade mną. A to już ładnych parę lat...*

*Nie jest łatwo samotnej kobiecie wychowywać dzieci, nawet gdy są tak dobre jak moje. Jeśli napawa mnie dumą życie w Porvenir, to co powiedzieć o moich synach! Najstarszy jest najlepszym uczniem w całej klasie. Uwielbia wszelkiego rodzaju stworzenia. A ile było przez to kłopotów! Któregoś razu w pokoiku do zabawy założył przychodnię weterynaryjną. Gdy tylko spotkał na swojej drodze jakiegoś rannego czy chorego zwierzątko, pacjent zaraz lądował na oddziale intensywnej terapii w naszym domu. Na pierwszy ogień poszedł ślepy kot, którego ochrzciliśmy „szczudelkiem”, i jaszczurka bez ogona, która pewnego dnia dała drapakę ze swojej izolatki w pudełku po butach. Mam nadzieję, że udało się jej wymknąć przez balkon, bo w przeciwnym razie któregoś dnia odsuniemy jakiś mebel i natkniemy się na jej z mumifikowane zwłoki. Problemy zaczęły się, gdy syn przytaszczył jednookiego skunksa. Nie pytaj, jak mu się to udało, faktem jest, że skunks został hospitalizowany w naszym domu. Czy znalazłaś się kiedyś w pobliżu tego rozszlószonego stworzenia? Pewnie nie – i radzę Ci, trzymaj się od czegoś takiego z daleka. Wydałam chyba całą miesięczną pensję na dezodoranty i wszelkiej maści odświeżacze. Na szczęście Rosa przemówiła mojemu synowi do rozumu. Wydaje się, że poskutkowało, przynajmniej na razie. Wiem, że po cichu marzy o tym, żeby zostać weterynarzem, ale tymczasem ogranicza się do zbierania*

zwierząt... na obrazkach, którymi wymienia się z kolegami.

Średni jest bardzo zabawny. I jak to bywa ze średnimi, do perfekcji opanował sztukę wtapiania się w tło. Zawsze korzysta z okazji, żeby się od czegoś wymigać, gdy jest mu to na rękę. I tak z jednej strony obdarzony talentem do znikania z pierwszego planu, a z drugiej – wrodzonym wdziękiem, ma w kieszeni glejt, który pozwoli mu zająć, dokąd tylko zechce. I jeśli to możliwe, hołdując zasadzie minimalnego wysiłku. Gdybyś miała okazję go poznać, zobaczyłabyś, jaki z niego wesolek. Rozśmieszyłby Cię w mgnieniu oka. Zawsze taki był. W najgorszym dla nas czasie, kiedy jego ojciec ulotnił się z domu, nagle ujawnił swój dar do rozweselania mnie. Nie miałam ochoty wstawać z łóżka. Świat zwałił mi się na głowę. I wiesz, co robił wtedy ten łobuz? Codziennie rano wślizgiwał się do mojego pokoju i łaskotał mnie w stopy. Czasem jakimś piórkiem, znalezionym nie wiadomo gdzie. Innym razem ołówkiem albo po prostu swoimi paluszkami. I nie przestawał, dopóki nie dopiął swego i nie sprowokował mnie do śmiechu, choćby przez łzy.

No i wreszcie trzeci, mój aniołek! Aniołek z różkami. Jest najmłodszy i musi walczyć o swoje terytorium. Kiedy się złości, jego bracia chowają się po kątach. Możesz sobie wyobrazić, co z niego za gagatek! Ale to na szczęście zdarza mu się stosunkowo rzadko, dlatego mówię, że jest moim aniołkiem. I też dlatego, że ma jasne włosy i niebieskie oczy.

Ale Ciebie, Karol, nie będę oszukiwać. To, że mogę liczyć na Rosę i innych przyjaciół, że patrzę, jak ros-ną moi synowie, i że mieszkam w Porvenir, w domu z kamienia krytym łupkiem, to nie wszystko, dzięki czemu ostatnio czuję się szczęśliwa. A przecież moje lasy i moja dolina to cud natury... zwłaszcza wiosną! Czy zwróciłaś uwagę, jakimi barwami mieni się tu wiosna? A święto patronki naszego miasta? Najpiękniejsze w całej okolicy! Nie przepuściłam ani jednej nocy świętojańskiej, odkąd byłam w brzuchu matki.

Zapytasz, co w takim razie sprawia, że czuję się szczęśliwa. Wstyd mi o tym pisać. To takie głupie! Nie wiesz, kim jestem, nie widzisz mojej twarzy, a i tak umieram ze wstydu. I kto by powiedział, że za kilka tygodni skończę czterdzieści lat!

Ale do rzeczy: myślę, że się zakochałam. Nie sądziłam, że mogłoby mi się to jeszcze kiedykolwiek przytrafić, ale... stało się! Najlepsze w tym wszystkim jest to, że myślę, że on zakochał się również. Mówię: „myślę”, bo... po raz ostatni widzieliśmy się dziesięć lat temu! Nie do wiary!

CASTAWAY 65 – to jego pseudonim – urodził się niedaleko stąd. Poznaliśmy się dawno temu, powiedzmy, że w pracy. Przypadliśmy sobie do gustu, to wszystko. Szczerze mówiąc, nie pamiętam nic szczególnego: ani iskrzenia, ani tego rozedrgania, ani... Skłamałabym, gdybym powiedziała, że od razu wiedziałam, że to mężczyzna mojego życia czy coś w tym rodzaju. Za to z całą pewnością mogę powiedzieć, że już wówczas wprawiał mnie w dobry nastrój. I to mu zostało do dzisiaj. CASTAWAY 65 jest wesoły i zabawny, nawet przez chat. Wyobrazasz sobie,

*jaka to musi być przyjemność obudzić się u boku kogoś takiego?*

*Kiedy go poznałam, byłam mężatką. Teraz już nie jestem. Jestem wolna. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, przeżywszy rozstanie i podźwignąwszy się z kolan, czuję się wolna, czuję, że znów mogę kochać. I wówczas – jak niezbadane są wyroki niebios – na firmamencie pojawia się on! Brzmi niesamowicie, prawda? Nie wiem, jak Tobie, ale mnie nic nigdy nie przychodzi łatwo. Pojawił się po raz kolejny, ale gdzieś na Morzu Północnym, tysiące kilometrów od Porvenir i setki od stałego lądu. Jego głos dociera do mnie pod postacią liter przez satelitę. W dniu, w którym CASTAWAY 65 skontaktował się ze mną, Kupidyn był ani chybi w nastroju do żartów.*

*Po raz pierwszy napisał do mnie, aby poprosić o pomoc w załatwieniu jakichś papierów. Błogosławiona niech będzie biurokracja, chociaż raz w życiu! Nie wiem, dlaczego wszyscy tak na nią psioczą... Żartuję oczywiście. Od tej pory codziennie rozmawiamy przez czat i wysyłamy do siebie maile. Na początku, pod byle jakim pretekstem, żeby rozmawiać o pogodzie. Ale z biegiem czasu nasze rozmowy nabrały bardziej osobistego i intymnego charakteru. Jadę na przykład drogą i mignie mi jakiś ptak, którego nigdy przedtem nie widziałam, i z miejsca myślę: Muszę mu o tym opowiedzieć! Dostaję od moich synów rysunek w prezencie, Rosa opowiada mi jakąś anegdotę z czasów młodości albo wydarza się coś w pracy... I zawsze to samo – nie mogę się doczekać, żeby wejść na czat i mu o tym opowiedzieć!*

*On mówi, że z nim dzieje się podobnie. Podobnie – bo nie jeździ po drogach, nie ma dzieci, od których mógłby dostawać rysunki, ani przyjaciół opowiadających mu o swojej codzienności. Pracuje na platformie wiertniczej z ludźmi pochodzącymi z najróżniejszych stron świata i połowy z nich nie rozumie. Tam zawsze jest noc. Możesz to sobie wyobrazić, Karol? Sześć miesięcy ciemności! On mówi, że z czasem można nauczyć się znaków, na podstawie których daje się zauważyć, że jednak dni mijają... ale przyzwyczać się do tego nie można. No bo jak? Wiesz, co mi opowiedział któregoś dnia? Że gdy zaczyna ze mną rozmawiać w porze obiadowej, dla niego wychodzi słońce. Przynoszę mu światło w środku nocy! On też rozświetla moje dni, ale ja mu tego nie powiedziałam.*

*Z 31 grudnia na 1 stycznia, pięć minut po północy, zadzwonił telefon. Świętowaliśmy koniec roku z moimi dziećmi i sąsiadami, kiedy on wkręcił się na przyjęcie. Wymyślił sobie, że mój głos będzie pierwszym dźwiękiem usłyszanym w Nowym Roku. Ja mu się do tego nie przyznałam, ale, uwierzysz czy nie, dokładnie w chwili, w której zadzwonił, myślałam o nim.*

*Czuję przez skórę, że on chce ode mnie więcej. Domyślam się, że pod powierzchnią jego słów kryje się całe mnóstwo głębokich znaczeń. Ale boję się, Karol. Nie jestem już młodą dziewczyną. Mówiłam, że niedługo skończę czterdzieści lat? Mam troje dzieci, rachunki do zapłacenia co miesiąc i kilka*

zbędnych kilogramów. I nie chcę zostawić mojego miasteczka za nic w świecie.

On jakiś czas temu poznał dziewczynę, ale jej już nie ma. Rosa mówi, że to nieprawda, że ona jest, tylko ukrywa się pod zmarszczkami i warstwą problemów. Że jeśli trochę poskrobie, ta dziewczyna wróci. Ale muszę się postarać, żeby pomóc jej wydostać się na światło dzienne. Kochana Rosa! Jaką mogę mieć pewność, że CASTAWAY 65 pokocha kobietę, na którą ja patrzę codziennie rano w lustrze?

Mówi, że jest już zmęczony i że chce wrócić do naszej doliny. Czy nie pożałuje i nie rozmyśli się za rok albo dwa? Kto mi zagwarantuje, że nie zechce znów wyjechać? Kto mi zaręczy, że mnie nie zostawi, jak zrobił to tamten?

Skąd mogę wiedzieć, że po raz kolejny się nie sparzę?

Karol, jest tyle rzeczy, które spędzają mi sen z powiek... że nie potrafię podjąć decyzji! Boję się, że on zrozumie opacznie to moje milczenie i pomyśli, że go nie kocham. A to nie tak. Tobie jednej mogę to powiedzieć: nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie go zobaczę! Kiedy będę mogła wyjść z nim na spacer po naszej okolicy, trzymając go za rękę, kiedy zjemy romantyczną kolację... kiedy mnie pocałuje!

Miałam pisać o moim codziennym życiu, a opowiadam Ci o odwiecznym dylemacie człowieka – o miłości. Mam nadzieję, że mój list wypełnił przynajmniej swoją cichą misję: dotrzymał Ci przez chwilę towarzystwa, wyrwał Cię z codziennej rutyny i dał Ci odczuć, że blisko Ciebie jest ktoś, kto pragnie podzielić się z Tobą swoimi małymi sprawami.

Teraz długopis jest w Twojej ręce. Czy napiszesz do następnej kobiety? Zrób to, ale nie tylko z powodu łańcucha listów, które mają ocalić pocztę w Porvenir. Zrób to przede wszystkim po to, by podzielić się z kimś swoją radością, czułością i siłą tętniącą w Twych żyłach.

Masz wiele do ofiarowania, Karol! Dlaczego nie podarować jakiejś części nieznannej kobiecie, która właśnie tego potrzebuje?

Czekając na Margot

Najtrudniejszy nie jest pierwszy pocałunek, ale ostatni.

PAUL GERALDY

Alma i Álex od piętnastu minut tkwili na ulicy przed zamkniętymi drzwiami biblioteki. Alma zaczynała już się irytować. Álex patrzył na nią, wyraźnie wesoły, i w końcu powiedział, że w takim miejscu jak Porvenir czas mierzy się inną miarą niż w stolicy.

– Cierpliwości, może bibliotekarka zagadała się z rodziną przy kawie albo przysnęła przed telewizorem.

– Może i czas mierzy się inaczej, ale... temperaturę? Zaraz tu uświerknę – burknęła gniewnie dziewczyna.

Aby nie dopuścić do rozlewu krwi, Álex zaproponował, że pójdzie po klucz do baru El Círculo, gdzie przechowywano jeden zapasowy egzemplarz „w razie czego”.

– Zaczekamy na kierowniczkę w bibliotece, w wygodnych fotelach.

– Ja cię chyba zamorduję...

– Za co?

– Masz klucz, a mimo to sterczymy na mrozie, na ulicy, czekając na jakąś prukwę, która...

– Wolnego, tylko nie prukwę. Margot jest miłą i sympatyczną kobietą. Znam ją od dziecka i...

– I co? Trzyma się dobrze? Na pewno tak, w ciepełku swojego dużego pokoju, okutana w koc, podczas gdy my tutaj, z jej winy, szcękamy na mrozie zębami. Już ją widzę: z filiżanką gorącej czekolady w rękach – sarknęła Alma.

– Przesadzasz. Nie powiesz mi, że nigdy nie spóźniłaś się piętnaście minut na spotkanie.

– Dwadzieścia.

– Co „dwadzieścia”?

– Jest pięta dwadzieścia – zachnęła się. – Umówiliśmy się w niedzielę o piątą zero zero, a zatem jest spóźniona już dwadzieścia minut... Ale nie wiem, po co my tu bijemy pianę, skoro masz iść po te klucze.

Álex przyglądał się jej z uwagą. Odkąd się poznali, nigdy nie widział jej rozgniewanej. Miodowe oczy Almy miały błyskawice, a mały nos marszczył się zabawnie jak u małej dziewczynki.

Chłopak wzruszył ramionami. Zanim skręcił za róg, rzucił:

– Zaczekaj tutaj. Żeby nie było, że w tym czasie Margot się zjawia, zobaczy, że nas nie ma, zawinie się i sobie pójdzie.

– Udusiłabym ją gołymi rękami – odpowiedziała Alma, ale tego już nie usłyszała.

Wszelka złość wyparowała z serca dziewczyny, gdy tylko przekroczyła próg biblioteki. Ten rodzaj przestrzeni wywoływał w niej tylko dobre wspomnienia. To było tak, jakby wejść do domu starego znajomego – nieważne, czy w Porvenir, czy w Ułan Bator. Wrażenie zawsze było jednakowe. Cervantes, Szekspir, Virginia Woolf, Neruda, Saint-Exupéry, Czechow czy Kafka zdawali się żyć w harmonii z Borgesem, Charlotte Brontë, Louisą May Alcott i innymi – niezależnie od wieku, kraju pochodzenia czy gatunku literackiego.

Oby świat mógł być jedną wielką biblioteką, w której ludzie Zachodu i Wschodu, młodzi i starzy, żyliby w zgodzie i tolerancji, pomyślała Alma.

Kiedy pięć minut później Álex poszedł oddać klucz do baru, nie miała żadnych obiekcji. Nic o tym nie wiedząc, chłopak ziścił jedno z jej największych marzeń: cała biblioteka była tylko dla niej. Byli tacy, którzy marzyli, by zamknąć się w mitycznej Bibliotece Aleksandryjskiej czy w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych, ale dla Almy nawet biblioteka w Porvenir była małym rajem.

Przeciągnęła opuszką wskazującego palca po tytule wytłoczonym na grzbiecie pierwszej książki na półce: *Duma i uprzedzenie*. Do powieści Jane Austen tuliła się nowiutka *Muzyka przypadku* Paula Austera, czekająca na spóźnionego czytelnika. A że nie ma dwóch bez trzech, oto i następna perełka, pomyślała dziewczyna. Usiłowała odczytać niewyraźny tytuł następnego woluminu podniszczonego przechodzeniem z rąk do rąk: *La voluntad* Azorína.

– Egzotyczna kombinacja, dzieło porządku alfabetycznego – szepnęła, cofając się, aby uzyskać szerszą perspektywę krajobrazu złożonego z kurzu i książek.

Zafascynowana, obróciła się na pięcie o sto osiemdziesiąt stopni. Porvenirska biblioteka biła na głowę wszelkie wyobrażenia, jakie Alma snuła na jej temat, odkąd kilka dni temu Álex zaproponował spotkanie z bibliotekarką, żeby przedstawić jej pomysł założenia koła literackiego. Potrzebna im była zgoda Margot – nieco zrzędlivej nauczycielki na wcześniejszej emeryturze – na wykorzystanie piwnicy na spotkania koła.

Alma stała na środku sali przepelnionej książkami i czasopismami. Stare drewniane regały nie były w stanie pomieścić wszystkiego, za to tworzyły miniaturowy labirynt wąskich korytarzyków, którymi mógł kluczyć czytelnik. Na którymś rogu albo w połowie korytarza wyrastał nagle stos książek wyglądających

na opuszczone. Ktoś strategicznie ulokował obok nich fotel obity bordowym aksamitem i taboret na jednej nodze, jakich używają pianiści.

Na pierwszy rzut oka panował tu niekontrolowany chaos. Ale jeśli się przyjrzeć nieco wnikliwiej, można było dostrzec, że ktoś zadbał o małe szczegóły: wszystkie książki ściśle przestrzegały porządku alfabetycznego, były starannie obłożone i opatrzone etykietą. Z niektórych półek wyzierały małe pudełka bez pokrywy. Alma zajrzała do jednego z nich i wyciągnęła małą fiszkę.

Kaligraficznym, pedantycznym pismem ktoś napisał:

*Charles Baudelaire (ur. 9 IV 1821, Paryż, zm. 31 VIII 1867, tamże)*

*Gatunek: poezja.*

*Prądy literackie i artystyczne: romantyzm i symbolizm.*

*Nazywany poetą przeklętym z racji przynależności do paryskiej bohemy i zdrożnego trybu życia.*

*Najważniejsze dzieła: „Kwiaty zła”, „Sztuczne raje” i „Drobne poezje prozą”.*

Włożyła karteczkę na swoje miejsce i zerknęła na kolejne litery alfabetu. Natknęła się na Dantego. Tuż przy starym egzemplarzu *Boskiej komedii* ktoś zostawił złożony papier, który zachęcająco wyzierał zza grzbietu książki. Nie mogła się oprzeć. Wyciągnęła go i ujrzała tekst skreślony tym samym charakterem pisma co poprzednio:

*Pamiętaj, że zanim średniowieczny poeta Dante dotarł do Raju, najpierw odbył wędrówkę po Piekło i Czyśćcu. Jedynie poznawszy grzeszników, pokutników oraz dobrych i sprawiedliwych, może się nam objawić życie we wszystkich swoich wymiarach.*

Bibliotekarka filozofka! – pomyślała Alma. Filozofka i wielka nieobecna. Czekają na nią już od pół godziny.

Zostawiła za sobą Dantego i ruszyła w kierunku Kafki. Urodzonego w Pradze autora reprezentowały cztery utwory: *Proces*, *Zamek*, *Listy do Mileny* i *Przemiana*, jedyna pozycja, jaką Alma miała na swoim czytelnicznym koncie. Obok tej ostatniej książki znajdowało się małe kartonowe pudełko. Otworzyła je i ku swemu zdziwieniu znalazła tam małego plastikowego chrząszcza. Wzięła go w palce i odwróciła; ujrzała przyklejony do tułowia pasek papieru, na którym wykaligrafowano imię i nazwisko: Gregor Samsa. Włożyła figurkę z powrotem do pudełka i wysunęła spomiędzy innych woluminów cieniutką książeczkę



opowiadającą historię nieszczęsnego bohatera:

*Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka*<sup>15</sup>.

Ta biblioteka jest pełna niespodzianek! – pomyślała Alma.

Zaintrygowana, postanowiła, że postara się wytropić wszystkie, gdy nagle usłyszała za plecami jakiś głuchy odgłos. Wstrzymała oddech. Nikt oprócz Álexa, który jeszcze nie wrócił, nie wiedział, że tu jest. Nikt oprócz Álexa i Margot, poprawiła się. Czyżby wreszcie raczyła się zjawić? Rozległ się grzmot kościelnego dzwonu: za piętnaście szósta.

– Pani Margot? – rzuciła w pustkę sali.

Jedyną odpowiedzią był nowy łoskot.

W komicznym geście samoobrony wyciągnęła rękę, usiłując pochwycić coś, czym mogłaby odeprzeć ewentualny atak. Dookoła niej były tylko książki. Chwyciła dwie najbliższe, po jednej w każdą dłoń, i w przelocie, powodowana bezwarunkowym odruchem mola książkowego, rzuciła okiem na tytuły: *Cantos iberos* Gabriela Celayi, którą ktoś włożył nie na swoje miejsce, i *Czarny kot* Edgara Allana Poeego.

Hałas otwieranych drzwi wejściowych zmroził ją ponownie.

Niczym oszczepniczka cofnęła za siebie obie ręce, aby nadać temu literackiemu rzutowi należyty impet. Kim by nie był ów intruz, mylił się głęboko, jeśli myślał, że podda się bez walki.

– Słuchaj...

Zanim Álex zdołał dokończyć zdanie, ujrzał lecące w jego kierunku dwie książki. Dzięki refleksowi uniknął pierwszej, druga musnęła mu ramię.

– Co robisz?!

– Nie wiedziałam, że to ty... – wykrzyknęła wzburzona.

– Pociągnęłaś za spust, nim zdążyłem otworzyć usta – bronił się chłopak, schyliwszy się, żeby podnieść z podłogi oba tomy.

– To kara za to, że zebrało ci się na żarty. Stuk-puk, stuk-puk... udało ci się mnie wystraszyć! O to ci chodziło? Myślałam, że to pani Margot zjawiła się w końcu łaskawie, ale zawołałam i mi nie odpowiedziała, no i...

– Zadowolilibyś się miauknięciem? – Podszedł do niej, potrząsając w powietrzu książkami.

– Miauknięciem?

– Właśnie miałem ci powiedzieć, że do biblioteki wślizg-nął się jakiś dachowiec, kiedy kropnęłaś we mnie tymi trzystoma stronami – zaśmiał się Álex. –

Nie widziałas go? Gdy otworzyłem drzwi, czmychnął, jakby mu kto soli pod ogon nasypał. – Chłopak przekartkował obie książki, zanim odstawił je na półkę. – No, no, niezły wybór. Wiesz, jaki wiersz znajduje się w *Cantos iberos*? – Alma zaprzeczyła ruchem głowy. – *Poezja jest pistoletem...*

Teraz już dokończyła zdanie:

– ...nabitym przyszłością.

– Znasz przypadek, żeby ktoś kiedyś zginął od ciosu przyszłości? – zapytał Álex, szczypiąc ją w policzek.

– Zaczynam myśleć, że to zasadzka.

– Czyja? Margot?

– Nie, twoja. – Alma znacząco zmrużyła oko.

– Moja?

– Żeby być tu ze mną sam na sam, w cztery oczy. Jedyne świadkami mieli być pisarze. – Okrążyła jeden z regałów. Niemal w całości zawłaszczył go Szekspir: *Otello, Hamlet, Sen nocy letniej...* – I na dodatek większość z nich już nie żyje. Żaden nie sypnie – dorzuciła z uśmiechem.

Po drugiej stronie, między książkami, zobaczyła pąsową twarz Álexa.

Jak tamtej nocy spędzonej w kapliczce, Alma zastanawiała się, kiedy w końcu ją pocałuje. Rzeczywiście, przyznała w duchu, tutaj wszystko dzieje się w innym tempie.

Gdy biblioteką wstrząsnęło siedem uderzeń kościelnego dzwonu, oboje siedzieli w fotelach w końcu sali, w przytulnym kąciku lektury. Álex pisał, a Alma proponowała tematy na spotkania koła.

– Z doświadczenia wiem, że nie można zajmować się wszystkim. Efekt byłby taki, że przez cały boży dzień klóciłibyśmy się o to, jaką przeczytać książkę albo którego autora wziąć na warsztat – zauważyła i żeby nie być gołosłowną, opowiedziała mu o sporach, jakie toczyli założyciele pierwszego koła powstałego na wydziale.

Pod koniec roku utworzyły się dwie frakcje: członkowie jednej opowiadali się za analizą dzieł autorów żyjących, uważali bowiem, że w ten sposób mogliby stwierdzić, czy ich ostateczne konkluzje były właściwe, członkowie drugiej zaś upierali się, aby wziąć pod lupę pisarzy nieżyjących, zważywszy na to, że lepiej studiować twórczość zamkniętą, niepodlegającą już żadnej rewizji. Przedstawiciele drugiej opcji nazwali pierwszych kanibalami, ci zaś odgryźli się potwarcom epitetem „nekrofagi”.

– Uważam, że to dobry pomysł, żeby się nie rozdrabniać, tylko skupić – powiedział Álex. – Ale na tylko jednym autorze? To chyba trochę nudne.

– Na jednym kraju? Kontynencie? – Alma przypuściła kontratak.

– No nie wiem. Zaraz ktoś zaproponowałby jakiś egzotyczny kraj, bo w przeciwnym razie nikt by się nie pisał, no a to przecież byłoby nie do strawienia.

Czy może myślisz, że zdołalibyśmy skaptować w Porvenir nieprzebrane tłumy wielbicieli poezji malajskiej czy afgańskiego teatru?

Obydwoje parsknęli śmiechem.

– Obawiam się, że ani w Porvenir, ani w Mastán, ani... trudno jest znaleźć chętnych na dobrą sztukę alternatywną.

– Najlepiej będzie, jeśli się skoncentrujemy na jednym gatunku – zaproponował chłopak. – Co ty na to?

– Kapitalny pomysł.

– Tak po prostu?

– Co masz na myśli?

Mrugnął do niej i odparł:

– Nie wyglądasz na osobę, która łatwo przyznaje rację.

Jakaś książka przecięła lotem koszącym przestrzeń powietrzną biblioteki: *Czekając na Godota* Samuela Becketta. Álex otworzył ją na chybił trafił. Czytał w milczeniu przez dobrą minutę.

– Ja też już zaczynam czuć się trochę jak Estragon i Vladimir. – Alma spojrzała na niego pytającym wzrokiem. – Posłuchaj tego: „Nic się nie dzieje, nikt nie przychodzi, nikt nie odchodzi, okropność!”<sup>16</sup>.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Jesteś pewny, że bibliotekarka przyjdzie? Już po siódmej.

– Na sto procent. Margot jest poważną osobą. – Ostatnie zdanie Álex wypowiedział o wiele ciszej.

– Tutaj przynajmniej można wygodnie spędzić noc i jest cieplej niż w kapliczce, nie sądzisz? – Alma próbowała sprowokować go, aby ją objął, jak wtedy, ale jej wysiłki spełzły na niczym.

Jakby nie odgadł jej intencji, chłopak odrzekł:

– Fakt, nie jest tak zimno. I możemy podgonić temat koła... Po to tu przecież przyszliśmy.

– Dobra, podzielmy obszar poszukiwań. Za dziesięć minut widzimy się tu znowu. Każdy ma za zadanie przynieść kilka propozycji gatunku i lektur. – Alma, rozczerowana, dźwignęła się wolno z fotela.

Oboje skupili się na zadaniu. Po kilku minutach Álexa strwożył krzyk dziewczyny.

– Nie!

– Co się stało? – zawołał ze szczytu drabiny w sekcji literatury podróżniczej.

– Chodź tu i sam zobacz.

Alma natknęła się na metalową szafkę na akta w pobliżu drzwi prowadzących na schody do piwnicy. Podobne szafki widziała w czarno-białych filmach. Detektywi przechowywali w nich najbardziej makabryczne przypadki albo niezbite dowody. Co też mogła trzymać wiejska bibliotekarka w takiej

półtorametrowej, żelaznej trumnie?

Po kilkusekundowym wahaniu wysunęła dolną szufladę. I od razu pomyślała, że ktoś inny zajrzałby najpierw do górnej. Wyglądało na to, że od dawna nikt się tym nie interesował: papiery, rachunki, wycinki z gazet, książki rachunkowe... Pośród całego tego mętliku jej uwagę przykuła koperta wyklejona rzędem kolorowych znaczków. Odbiorca był bardzo oryginalny: *Miasto Por-venir (Hiszpania, Europa)*. Gdy wzięła w palce kopertę, jeszcze bardziej zdziwił ją adres nadawcy: *Miasto Porvenir (Chile, Ameryka Południowa)*.

– Coś ty zrobiła? Margot nas zamorduje... – zawołał Álex, ujrawszy kipsisz w papierach.

– Jeśli sławetna Margot w ogóle istnieje – rzuciła kąś-liwie Alma, siedząc po turecku na podłodze.

– Teraz poważnie: co to ma znaczyć? Co to jest?

– Zamiast tyle biadolić, lepiej usiądź i zobacz, co znalazłam. Wyciągnęłam to z tej wielkiej koperty. Nie przejmuj się, później wszystko poskładam i schowam w tej szafie, tak jak było, na wypadek gdyby ktoś za półtora wieku znowu zechciał zrobić remanent...

Alma oderwała wzrok od starej mapy, widząc kątem oka podchodzącego do niej chłopaka. Álex oparł dłoń na jej ramieniu, lecz zaraz ją cofnął, rażony iskrą od naelektryzowanego swetra dziewczyny.

– Spójrz na te listy: są sprzed stu lat.

Álex otworzył ze zdumienia usta – Alma podsunęła mu niewyraźną mapę, którą natychmiast rozpoznał. Z lewej strony wielki ocean. Z prawej długi górski ścieg. Pośrodku zwężający się język ziemi, zakończony małym koniuszkiem. Wiele nazw mignęło mu przed oczami: Patagonia, Ziemia Ognista, Andy, kanał Beagle, wyspa Navarino, Antarktyda... Naniesione były jedynie dwie miejscowości: Punta Arenas i w niewielkiej odległości druga, o wiele mniejsza, na widok której wstrzymał oddech.

– Porvenir? Tu jest napisane Porvenir?

– Aha! Taki z ciebie miłośnik Patagonii, a nie wiedziałeś, że po drugiej stronie oceanu istnieje drugie Por-venir?

Álex pokręcił głową, wodząc palcami po mapie. Jego zielone oczy skrzyły się. Alma zrozumiała, że opuścił swoje ciało i podróżuje hen, hen, daleko stąd. Była pewna, że dokładnie w tym momencie przemierza ulice chilijskiego Porvenir, wdychając pełną piersią jego morskie powietrze i czując na policzkach ukąszenia lodowatego wiatru. Uszanowała ten moment – czekała w milczeniu, aż wróci przez ocean do biblioteki.

Jest taki ładny, kiedy podróżuje! – skonstatowała w myślach. Poczowała nieprzeparowane pragnienie, żeby go objąć i poprosić, aby zabrał ją ze sobą, dokądkolwiek się uda. Ale kolejny raz z rzędu nieśmiałość chłopaka udaremniła jej

zamiary. Westchnęła tylko i powiedziała:

– W tym dokumencie znajduje się wyjaśnienie, dlaczego tutejsza biblioteka przechowuje tę kopertę w swoim archiwum. – Wyciągnęła w jego stronę certyfikat opatrzony mnóstwem znaczków.

Álex przeczytał go w milczeniu. Skończywszy, podniósł wzrok i wpatrując się w oczy dziewczyny, oznajmił:

– Porvenir ma bliźniacze miasto. – Almę rozśmieszyła uroczysta powaga, z jaką wypowiedział te słowa. – Bliźniacze miasto – powtórzył chłopak, przeglądając czarno-białe zdjęcia rozsypane na podłodze.

Majestatyczne góry, drewniane domy, ulice bez śladu asfaltu. I w tym krajobrazie nie brak było psów, dzieci i staruszków, nieróżniących się zbytnio od tych zamieszkujących jego rodzime Porvenir. Jeśli już szukać jakichś różnic, pomyślał chłopak, to byli niżsi i mieli ciemniejszą karnację.

– Wygląda na to, że załążkiem amerykańskiego Porvenir był posterunek policji założony około roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego, w epoce gorączki złota. Na samym początku koczowali tam europejscy emigranci, przybyli w odpowiedzi na zew najcenniejszego z kruszców. I... – Alma tajemniczo zawiesiła głos.

– I?

– Zdaje się, że nie jesteś jedynym mieszkańcem tego miasteczka, który marzył o tak dalekiej podróży!

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wśród Europejczyków, którzy dotarli do tego surowego i niełaskawego zakątka ziemi, był przodek jednego z twoich ziomków. Dlatego oba miasta nawiązały współpracę. Facet znalazł złoto i chociaż już nigdy tu nie wrócił, przez całe życie wspominał swój rodzinny dom ze łzami w oczach. Po latach jego spadkobiercy podjęli działania, które doprowadziły do ustanowienia oficjalnych relacji.

Alma zamilkła. Jedna myśl kołatała się w jej głowie: mimo ewidentnych różnic historia babki Luisy i wspomnianego przed chwilą porvenirczyka wydawały się podobne. Oboje byli zmuszeni do emigracji: jej babka w wyniku nieszczęśliwej miłości, tamten człowiek zaś – z powodu chorobliwej miłości do bogactwa, i oboje myśleli o Porvenir do końca swoich dni. Coś musiały w sobie mieć tutejsze lasy i ten kamienny labirynt, że przenikały do serc i pozostawały w nich na zawsze. Alma też zaczynała to odczuwać.

– Dobry wieczór! Jest tam kto?

– Tak, Saro, jesteśmy tutaj! – zawołał entuzjastycznie Álex, zrywając się na równe nogi.

Alma stężała. Sara? Listonoszka Sara? Ile Sar może mieszkać w takim miasteczku? – zastanawiała się, gdy przed nią stanęła ruda, znajomo wyglądająca

kobieta w średnim wieku. Z bliska wydawała się niższa niż wówczas, kiedy widziała ją z okna babcinego domu.

– Cześć, Alex i spółka – rzuciła wesoło kobieta.

– Czekamy tu na Margot, umówiliśmy się z nią, ale... – Chłopak próbował się tłumaczyć, pokazując na bałagan, który w ciągu dwóch godzin opanował bibliotekę.

– Ja właśnie w tej sprawie, żeby wam przekazać wieści od biednej Margot. Pokręciło ją lumbago i nie może się ruszyć. Chciała do mnie zadzwonić wcześniej, ale bierze silne lekarstwo i zasnęła tak mocno, że dopiero co się obudziła! Błagała, co najmniej dwa tysiące razy, żebyście jej wybaczyli! – Nagle zamilkła, jakby o czymś sobie przypominała. Zerknęła na Almę, która wciąż siedziała na podłodze. No, no, no, pomyślała, to dlatego mój drogi Alex wydaje się ostatnio taki szczęśliwy. – Chyba nikt nas sobie nie przedstawił... Jestem Sara.

Dziewczyna przełknęła ślinę. Doskonale wiedziała, kim jest ta radosna kobieta: urodziła się w Porvenir, ma trzech synów i jest listonoszką, której praca wisi na włosku.

Gdybyś tylko wiedziała... – chciałaby się odezwać, ale pamiętała, że łańcuch listów był poufny i anonimowy.

– A ja Alma.

Alex wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Przez krótką chwilę Almie wydawało się, że chłopak bawi się tą sytuacją. Co w niej było takiego zabawnego? Nie przeszło jej przez myśl, że i on wie o istnieniu łańcucha, a nawet o tym, że Alma Meillás jest jego ogniwiem.

– Nie zobaczyliśmy jeszcze sali na spotkania koła... – zaczął niepewnie Alex. Naraz ucichł. Spojrzał na rudą listonoszkę i bąknął: – Margot nie powiedziała ci, po co tu przyszliśmy?

– Nie, dziecko, ale przypuszczam, że ma to jakiś związek z książkami. Prosiła tylko, żeby wam powiedzieć: „tak”. Podobno wy już będziecie wiedzieć, o co chodzi.

– Chcemy założyć koło literackie – pochwalił się Alex, na co Alma z zapałem pokiwała głową.

– Świetny pomysł!

Młodzi popatrzyli na siebie. Zrozumieli się bez słów.

W niespełna dziesięć minut przekonali listonoszkę do swojego pomysłu.

– A więc formalnie jestem pierwszym członkiem koła literackiego w Porvenir – powiedziała z dumą Sara, zanim zamknęła za sobą drzwi biblioteki. – Fajnie brzmi, podoba mi się! Teraz jednak muszę was zostawić, młodzieży.

Alma i Alex uśmiechnęli się: ich zamysł stał się rzeczywistością! Mieli już salę na spotkania i pierwszą członkinię koła. Teraz musieli tylko znaleźć temat. Ni z tego, ni z owego dziewczyna trąciła Alexa łokciem i zniknęła między regałami –

przypomniała sobie tytuł, który widziała wcześniej na jednej z półek.

– Mam! – zawołała, podając chłopakowi książkę. – To będzie idealne rozwiązanie.

– *Listy do Mileny*?

– Koło literatury zajmujące się twórczością epistolarną.

Álex spojrział na nią uważnie. Zaczekał kilka sekund, przekonany, że Alma opowie teraz o łańcuchu listów, o historii Sary i Mary Polsky. Wszystkich uczestników przedsięwzięcia obowiązywała tajemnica, to fakt, ale nie ulegało wątpliwości, że między obojgiem wytworzył się jakiś szczególny rodzaj więzi, pozwalający dzielić się sekretami. Lecz na przekór oczekiwaniom Álexa dziewczyna oświadczyła po prostu:

– Pomysł podsunęła mi Sara. To listonoszka, prawda? Osobiście uwielbiam gatunek epistolarny. Na studiach zapisałam się na zajęcia fakultatywne z tego tematu, materiałów mam na pęczki. To pomoże nam przygotować pierwsze spotkania.

Zanim się spostrzegli, zrobiło się późno. Musieli wracać do domu. Gdy starannie zamknęli drzwi biblioteki, Álex spytał:

– Zabierasz *Listy do Mileny*, żeby przygotować pierwsze spotkanie?

– Znam to prawie na pamięć. Lepiej będzie, jeśli ty je przeczytasz.

– Chwalipięta... na pamięć...

Otworzył książkę, powątpiewając w przechwałki dziewczyny. Odchrząknął, zanim zatopił się w korespondencji sprzed wieku.

– „Ludzie oszukali mnie tylko czasem, ale listy zawsze, a i to nie cudze, tylko moje własne. (...) Łatwa możliwość pisania listów musiała – z teoretycznego punktu widzenia sądząc – wnieść do świata straszliwe rozbitcie dusz. Toż to jest obcowanie z upiorami i to nie tylko z upiorem adresata, ale też i własnym, który człowiekowi niemal spod pióra wyrasta w liście, jaki sam pisze, albo nawet w całym szeregu listów, gdzie jeden list umacnia drugi i może powołać się nań jak na świadka. Jakim sposobem przyszło ludziom na myśl, że mogą obcować ze sobą za pomocą listów. O dalekim człowieku można myśleć, a bliskiego człowieka można schwytać, wszystko inne przekracza siły człowieka”<sup>17</sup>.

– „Ale pisać listy znaczy tyle, co obnażać się przed upiorami, na co one chciwie czekają”<sup>18</sup> – wyrecytowała z pamięci Alma. Wpatrywała się badawczo w chłopaka, szukając w jego zielonym spojrzeniu krzyku zachęty, pewności, która zaoszczędziłaby jej ślepego kroku, jaki miała właśnie uczynić. – „Pisane pocałunki nie docierają do miejsca przeznaczenia, tylko wypite zostają po drodze przez upiory”<sup>19</sup> – dodała bojaźliwie.

Podeszła do niego powoli. Czowała, jak jego oddech przyśpiesza. Zatonęli w sobie spojrzeniami i zanim Álex zdążył cokolwiek pomyśleć, Alma dotknęła swoimi ustami jego warg.

Kilka sekund później biegła w górę ulicy, zostawiwszy chłopaka pod drzwiami biblioteki w stanie absolutnego osłupienia.

– Tego nie wypły! Ten dotarł do miejsca przeznaczenia!

15 F. Kafka, *Przemiana*, [w:] *Z dzieł Franza Kafki*, t. V: s. 22–84, tłum. J. Kydryński, Puls, Londyn 1993.

16 S. Beckett, *Czekając na Godota*, tłum. A. Libera, PIW, Warszawa 1988.

17 F. Kafka, *Listy do Mileny*, tłum. F. Konopka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1959.

18 Tamże.

19 Tamże.



Zgadnij, kto przyjeżdża do Porvenir

Lepiej wędrować z nadzieją, niż dotrzeć do celu.

## PRZYSŁOWIE JAPOŃSKIE

Sara uniosła prawą dłoń.

Przyglądała się jej z uwagą: obgryzła wszystkie paznokcie. Nie czuła wyrzutów sumienia, tylko gniew, że nie zdołała zapanować nad nerwami. Już miała się wziąć do paznokci lewej ręki, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

Kogo niesie w poniedziałek o jedenastej w nocy? Jej synowie spali. Pewnie całe Porvenir pogrążone już było we śnie.

Kolejna bombowa nowina? – zachodziła w głowę, podnosząc się z łóżka, żeby otworzyć drzwi. Nie, dziękuję, jedna na dzień wystarczy jak na moje sterane serce.

– Rosa? Stało się coś? Wejdz, proszę! Co ty tu robisz na schodach, w szlafroku i w kapciach?

– To ja się ciebie pytam, czy coś się stało – odparowała staruszka i podreptała żwawo do kuchni z pewnością siebie, którą dają lata bliskiej zażyłości.

– Mnie? – spytała Sara, zdziwiona.

Pewnie, że coś się stało, zwłaszcza jedna rzecz, za to poważna, ale jak na to wpadła jej sąsiadka?

– Saro, dziecko, codziennie koło dziewiątej przychodzisz do mnie na górę... Dzisiaj o wpół do dziesiątej mówię sobie: eeeh, na pewno te twoje ananasy są niesforne i nie możesz ich zagonić do spania. O dziesiątej pomyślałam, że może masz tę swoją rozmowę, jak to ostatnio, ale o jedenastej doszłam do wniosku, że... coś musiało się stać! No i jestem.

Sara przyglądała się Rosie, która siedziała już przy kuchennym stole i wyczekiwała z uwagą jej odpowiedzi. Rozczuliła się, patrząc na jej różowy, pikowany szlafrok. Co ona by zrobiła bez tej kobiety, darzącej ją bezwarunkową miłością? – zastanawiała się, podgrzewając w mikrofalówce kubek mleka z łyżką miodu, tak jak lubiła jej przyjaciółka.

– Ale przecież to wspaniała wiadomość! Czemu mówisz to z taką miną, jakbyś składała kogoś do grobu? – Rosa przypominała małą dziewczynkę, która zaraz zacznie klaskać frenetycznie w dłonie.

– Nie sędzę, że... – wyszeptwała trwożliwie Sara.

– Nie sądzisz, że co? – Starsza pani upiła łyk mleka z kubka. – Jak by nie patrzeć, to wspaniała nowina.

Sara jej zazdrościła. Gdyby tak sama mogła patrzeć na to w ten sam sposób. Odkąd otrzymała tego maila, nie mogła przestać o nim myśleć. Teraz, gdy łyknęła już trzy proszki przeciwbólowe, kręciło się jej w głowie.

Ból dał o sobie znać o wiele wcześniej. Około czwartej przyszedł do niej mail od nieznanego nadawcy. Była właśnie w biurze, pilnie bacząc na Karol. Martwiła się, bo już ponad tydzień temu wysłała do niej list, a sprzątaczką nie dołączyła do łańcucha. Dlaczego? Nie mogła tego zrozumieć. Nie mogło być mowy o pomyłce: dziewczyna musiała otrzymać list, bo osobiście zostawiła go u niej w domu, a ponieważ Sara własnoręcznie opróżniała skrzynkę pocztową w Porvenir, wiedziała doskonale, że Karol nie wrzuciła do niej żadnej koperty.

Łamała sobie tym wszystkim głowę, gdy w skrzynce odbiorczej pojawił się podejrzany mail. Niewiele brakowało, a usunęłaby go, bo temat był po angielsku. Już nieraz wirusy robiły jej brzydkie kawały! Ale w ostatniej chwili ciekawość wzięła górę. Nie rozumiała zbyt dobrze treści, ale było jasne jak słońce, że miała przed oczami potwierdzenie rezerwacji biletu na samolot. Nie było daty, a tylko miejsce wylotu i przylotu: „From Bergen to Madrid”.

Chociaż nigdy przedtem nie słyszała tej nazwy, wiedziała doskonale, że to miasto w Norwegii. Bo jeśli nie w Norwegii, to gdzie?

Aż do siódmej wieczorem CASTAWAY 65 nie pojawił się na czacie. Wy tłumaczył Sarze, że przyjechali „nowi”, którzy mają zastąpić stałą załogę na czas urlopu, i z tego względu cały grafik wywrócony jest do góry nogami. Starzy wyjadacze muszą przeskoczyć przybyłych i chodzą za nimi wszędzie jak cienie.

CASTAWAY 65: Ale, jak to mówią, przecierp swoje w cierpliwości, a doczekasz się radości, w końcu więc uwolniłem się od tego żółtodzioba.

SARA: Żółtodzioba?

CASTAWAY 65: To tak po ojcowsku, z dobrego serca. Lepiej, jeśli mu porządnie pokażę, co i jak, bo to on będzie mnie zastępował przez kilka tygodni... Musi wiedzieć to i owo, żeby dał sobie radę, ale nie tyle, żeby robił to lepiej i wysłizgał mnie z interesu.

Jeszcze przed chwilą Sara nie była całkiem pewna, co ma myśleć o tym porannym mailu. A może to pomyłka: nie pierwszy raz przychodziła do niej poczta wysłana do innej osoby. Może nie była od Fernanda, tylko od jakiegoś Norwega wybierającego się na urlop. Tylu Skandynawów przyjeżdża tu w poszukiwaniu plaż i słońca... Tak właśnie biła się z myślami aż do siódmej pięć wieczorem, kiedy CASTAWAY 65 potwierdził jej podejrzenia, których nie chciała ubrać w słowa...

CASTAWAY 65: Hej? Jesteś tam? Nabrałaś wody w usta? Schowałaś głowę w piasek?

CASTAWAY 65: Już wiem! Pozazdrościłaś mi. Sama składasz zapotrzebowanie do centrali na żółtodzioba.

SARA: Nie masz mi nic do powiedzenia?

Postanowiła zagrać w otwarte karty. Nie miała ochoty bawić się w żadne gierki. Nie teraz, z czterdziestką na karku.

CASTAWAY 65: Ty mi powiedz.

SARA: Słucham?

CASTAWAY 65: Czy dziś rano nie czekała na Ciebie niespodzianka? Ucieszyłbym się bardzo, gdybym wiedział, że traktujesz to jak prezent. Z Twojego tonu wnioskuję, że...

SARA: Nie wyciągaj przedwczesnych wniosków.

CASTAWAY 65: Uff... to znaczy, że...

SARA: Nie wiem, nie wiem. To nic nie znaczy. Na razie.

CASTAWAY 65: Aha...

SARA: Dostałam maila z potwierdzeniem rezerwacji biletu lotniczego z Bergen do Madrytu.

CASTAWAY 65: Tak. Zgadza się.

SARA: Ale nie wiem, co to ma znaczyć.

CASTAWAY 65: Znaczy to tylko tyle, że ja, Fernando, wsiądę na statek, który przetransportuje mnie do wybrzeży Norwegii. Stamtąd autobus zabierze mnie do Bergen. W Bergen wskoczę do samolotu, takiego dużego ptaka z duraluminium, którym pofrunę do Madrytu.

Na ekranie zapanowała biała cisza. Sarze drżały palce, nie była w stanie pisać. Nie chciała, żeby wyczuł jej niepokój, ale prześladowało ją jedno pytanie: Czy podróż Fernanda zakończy się w stolicy?

CASTAWAY 65: I jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu, jeśli chcesz...

SARA: Tak.

Z miejsca pożałowała pochopnej odpowiedzi. Patrzyła, jak komputer wchłonął nieodwołalnie te trzy litery, i w myślach karciała niecierpliwe palce za tę karygodną samowolę.

CASTAWAY 65: W takim razie temat zamknięty.

SARA: Temat zamknięty?

CASTAWAY 65: W końcu umówiliśmy się na spotkanie.

SARA: Jak to?

CASTAWAY 65: Przecież przed sekundą powiedziałaś, że tak.

SARA: W związku z czym?

CASTAWAY 65: Nie dałaś mi dokończyć zdania. Chciałem powiedzieć, że jeśli chcesz, możemy umówić się na kolację. Jeśli mnie pamięć nie myli, jakiś czas temu obiecałaś, że zaprosisz mnie na romantyczną kolację.

SARA: Ja nie...

CASTAWAY 65: Proszę, proszę... Cóż, niech będzie, ja płacę. Ale miejsce wybierasz Ty. Od lat nie odwiedzam Porvenir i obawiam się, że... nie znam modnych lokali.

SARA: W Porvenir nie ma modnych lokali.

CASTAWAY 65: Dla kogoś, kto spędza sześć miesięcy na platformie wiertniczej, między maszynami i umorusanymi kolegami, każda knajpa będzie szykowna. Możesz mi wierzyć!

Sara poczuła, jak ścisną ją w żołądku.

Wstała od stołu bez pożegnania. Poszła do łazienki i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Znienacka spadły na nią te wszystkie lata, do których nie chciała się przed sobą przyznać. Ujrzała odrosty farbowanych włosów i podkowy pod oczami. Poczula coś w rodzaju strachu. Mimo to, przyjrząwszy się uważnie swoim ciemnym oczom, rozpoznała tańczące w nich iskierki nadziei.

Minęły całe wieki, zanim znów umówiła się na randkę. I to z mężczyzną przybywającym specjalnie z bieguna północnego, żeby zjeść z nią kolację. Ni mniej, ni więcej. Cóż, będzie miała dość czasu, żeby tego żałować. Teraz spróbuje nacieszyć się tą miłą niespodzianką.

Gdy wróciła do stołu, czekało na nią to samo zdanie, przy którym wyszła do łazienki:

SARA: Kiedy się spotkamy?

Cisza.

SARA: Kiedy mam się Ciebie spodziewać?

Ani jednej literki. Najwyraźniej żółtodziób upomniał się o CASTAWAYA  
65.

Ale na krótko, panie żółtodziobie. Może już pan powoli oswajać się z myślą, że za kilka dni to ja będę dla niego ważniejsza, nie pan, ostrzegła w myślach nieznanego czeladnika nafcjarza.

## Lista

Najlepsze listy miłosne powstają, kiedy z góry nie wie się, co się będzie pisało, i potem też się nie pamięta, co się pisało.

JEAN-JACQUES ROUSSEAU

Lista to twoja działka.

– Jak to?! Powiedziałaś, że mi pomożesz przy zakładaniu koła...

– Ale z ciebie matolek! A co ja niby robię w twojej kuchni? Znam tysiące lepszych miejsc na zabicie czasu...

– Almo, naprawdę, jestem ci bardzo wdzięczny.

Dziewczyna prychnęła, zdesperowana.

Od dnia pamiętnej wizyty w bibliotece, kiedy czekali na Margot, Alex był wyjątkowo drażliwy. Nie rozumiała, z jakiego powodu: czyżby wytrącił go z równowagi tamten pocałunek? Przecież to było coś absolutnie niewinnego! Kogo mogłaby zdeprymować taka oznaka czułości?

Gdyby to ode mnie zależało, powiedziałabym ci do słuchu, zagroziła mu w myślach. Ale on był taki nieśmiały, a ona za nic w świecie nie chciała go zranić.

Gołym okiem było widać, że chłopak nie miał zbyt wiele praktyki w kontaktach z dziewczynami. Gdyby nie te jego oczy, którymi zdaje się mnie pożerać, pomyślałabym, że w ogóle mu się nie podobam, skonkludowała.

– Słuchaj, cała przyjemność po mojej stronie, powiedziałam ci to przecież. Kiedy do mnie zadzwoniłeś, że pielęgniarka zajmująca się twoim ojcem musi iść do lekarza, nie miałam nic przeciwko temu, żeby przyjść do ciebie i dogadywać szczegóły dotyczące koła, tak czy nie? Dla mnie to żaden problem.

– Żaden problem.

– Słucham?

Patrzyła uważnie na Alexa, który odwrócony do niej plecami, borykał się z makinetką.

Nic nie wskazywało na to, żeby coś mówił, ale wyraźnie usłyszała, jak powtarza jej ostatnie dwa słowa.

– Żaden problem.

Znowu ten sam głos.

Alex odwrócił się raptownie i na jego twarzy odmalował się taki przestach, że Alma obejrzała się za siebie. Z jej ust dobył się krzyk. Tuż nad jej ramieniem wznosiła się twarz starego mężczyzny. Wąchał jej włosy?

– Tato! – wrzasnął Álex, rzucając się w stronę staruszka odzianego w kraciastą piżamę. Chwycił go za rękę i usiłował wyprowadzić z pokoju, ale bez powodzenia.

Mauricio był wyższy i roślejszy od syna. Choć jego oczy błędziły gdzieś bez celu, a zmarszczki pokrywały całą twarz, nie stracił jeszcze wszystkich sił. Oparł się plecami o ścianę, jakby chciał zamanifestować, że nie ruszy się stąd na krok.

Widząc przestraszonego Álexa, Alma wtrącała się, żeby jakoś rozładować napięcie:

– Dzień dobry, mam na imię Alma.

– Dzień dobry... – odpowiedział mężczyzna.

Uśmiechnęła się – wyglądało na to, że Mauricio zrozumiał.

– Mam na imię Alma – powtórzył niskim głosem.

– Nie, nie. Pan ma na imię Mauricio.

– Nie, nie. Pan ma na imię Mauricio – powtórzył znowu mężczyzna, pokazując na swojego syna.

– Nie, nie. To jest pański syn, Álex.

Chłopak uśmiechnął się – zmieszanie, jakie malowało się na twarzy Almy, przywróciło mu dobry humor. Istotnie ta dziewczyna pełna jest dobrych intencji i najpierw działa, a dopiero później myśli. Jak w dniu, w którym radośnie zgodziła się zobaczyć zaćmienie księżyca, nie podejrzewając, że przyjdzie jej spać w ruinach, albo kiedy pod drzwiami biblioteki pocałowała go, a potem dała dyla.

Zanim coś zrobisz, najpierw się zastanów, Almo Mahler, albo licz się z konsekwencjami, pomyślał, prowadząc zdezorientowanego ojca do jego pokoju.

Alma zniosła filiżanki i makinetkę do dużego pokoju. Czekała, aż Álex położy ojca do łóżka i dołączy do niej, zaczęła się rozglądać.

Nie mam złudzeń, że jeśli chcę się czegoś o tobie dowiedzieć, muszę to zrobić na własną rękę, bo na ciebie nie ma co liczyć, zawyrokowała w myślach.

Kilka pejzaży w ramach zdobiło główną ścianę. Z łatwością je rozpoznała: minęły już dwa miesiące od jej przyjazdu do Porvenir i zaczynała kojarzyć różne elementy krajobrazu. Jednym z motywów była kapliczka Matki Boskiej Rozmaryńskiej. Innym – główna ulica miasta.

Jej uwagę przykuł wielki stół z mozaiką suchych kwiatów na środku. Dosunięty do ściany sprawiał wrażenie rzadko używanego. W tym domu czuło się brak kobiecej ręki. Było czysto i wszędzie panował porządek, co oznaczało, że ktoś musiał tu sprzątać, ale wyraźnie wyczuwało się deficyt uczucia, jakim gospodyni zwykle obdarza swoje gniazdko.

Na pewno od śmierci pani domu nigdy już nie przyjmowano tu na obiadach czy kolacjach przyjaciół i krewnych, pomyślała.

Naprzeciwko kanapy stała niska ława, a na niej kilka fotografii w ramkach. Na pierwszej widać było dwóch chłopców w krótkich spodenkach i z wędkami

w rękach. Alexa rozpoznała natychmiast: jasne włosy, zielone oczy, szczuplutki. Obok zapewne jego starszy brat – tęższa wersja Alexa.

Na drugim, czarno-białym zdjęciu wielka grupa ludzi tłoczyła się wokół młodej pary. Alma przyjrzała się wnikliwie twarzy młodego Mauricia, dziarsko trzymającego pod ramię poślubioną przed chwilą małżonkę. Patrzył przed siebie pewnie, z bezgraniczną ufnością, jakby mówił światu: „No, szykuj się, bracie, mam na ciebie wielką ochotę”.

Uśmiechnęła się melancholijnie: cóż zostało z buńczucznych deklaracji w tych zagubionych oczach, które patrzyły na nią dzisiejszego wieczoru? Co zostało z owego młodego Mauricia, zakochanego, kipiącego tężyzną fizyczną, w tej jego głowie stoczonej chorobą?

– Była bardzo ładna, prawda? – Alma wzdrygnęła się. Pograżona w myślach, zapatrzona w beztrosko uśmiechniętą kobietę o długich, jasnych włosach, nie zauważyła, że Alex wszedł do pokoju. – To ulubione zdjęcie taty. Kiedy mama umarła, pozdejmował wszystkie fotografie, żeby mu jej ciągle nie przypominały. Część rozdał rodzinie, resztę wyrzucił. A to schował w pawlaczu, w pudełku po butach, razem z jakimiś urzędowymi papierami. – Delikatnie wyjął ramkę z dłoni Almy. Przyglądał się fotografii, jakby patrzył na nią po raz pierwszy od bardzo dawna. – Byłem na niego tak wkurzony, że nic mu nie mówiąc, ukryłem je. Po jakimś czasie zaczął go szukać. Powtarzał, że to jedyne zdjęcie zachował i że musiało tu gdzieś być. Ja się nie odzywałem. – Oderwał wzrok od fotografii i spojrzał na Almę. – Byłem na niego wkurzony bardzo długo, wiesz? – Dziewczyna skinęła głową. Dobrze wiedziała, o czym mówi. Ona też była wkurzona na swojego ojca bardzo długo. W istocie była na niego wkurzona chyba przez całe życie: bo nie zachowywał się tak, jak by sobie życzyła, bo oczekiwał od niej nie tego, czego pragnęła ona. Poczula ukłucie wyrzutów sumienia. Odkąd zainstalowała się w Porvenir, odwiedziła rodziców jedynie na święta Bożego Narodzenia i dzwoniła do nich raz w tygodniu. To wszystko. – Lecz pewnego dnia, gdy tata zachorował, zrobiło mi się strasznie smutno. Nawoływał matkę, szukał jej po całym mieszkaniu. Próbowałem go przekonać, żeby się zdrzemnął po obiedzie, ale on mówił, że nie może, że czeka na nią, żeby jej pomóc rozpakować zakupy. A kiedy siadaliśmy do obiadu, opieprzał mnie, że znów zapomniałem nakryć dla mamy... Później wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej. Dlatego postanowiłem, że zwrócę mu ją w jakimś stopniu. Wyciągnąłem z ukrycia to zdjęcie i postawiłem tam, gdzie je znalazłaś. Nie wspomniał o nim słowem. Na pewno nie jest już świadom zmian zachodzących wokół niego. Ale...

Alex odstawił zdjęcie na swoje miejsce i usiadł obok Almy na kanapie.

– Ale co?

– Codziennie siada tu na chwilę. Patrzy na matkę i rozmawia z nią. Wcześniej opowiadał jej o tym, co robił w ciągu dnia, co jadł albo jak się mają



kwiaty. Ale ostatnio wszystko, co mówi, jest pozbawione sensu. To znaczy tak przynajmniej wydaje się nam, z zewnątrz. Jednak można też odnieść wrażenie, że kiedy z nią rozmawia, słuchając własnego głosu, na krótko odzyskuje wewnętrzny spokój.

Chłopak zatopił wzrok w filiżance z parującą kawą. Alma wzięła jego rękę, a on jej nie cofnął. Oparł się plecami o kanapę i spojrzał na dziewczynę. Wydawało się, że chce mu coś powiedzieć, tylko nie może znaleźć słów.

Ty też, w pewnym sensie, jesteś zagubiony i bezradny, pomyślała.

Opadła na oparcie kanapy. Przytuliła głowę do jego ramienia i zamknęła oczy. W ciszy, ze splecionymi dłońmi, trwali tak kilka dobrych minut, ciesząc się swoją bliskością.

– Tato! Znowu?

Alma aż podskoczyła. Otworzyła oczy i ponownie ujrzała przed sobą mężczyznę w piżamie, który wskazywał ręką na jakiś nieokreślony punkt na kanapie, między nią i synem. Chciał tu usiąść? Żarty się go trzymają? Słyszała opowieści o ojcach robiących za przyzwoitki swoich synów, ale nie w piżamie i ze zmierzwionymi włosami.

– Zdjęcie – powiedział Mauricio powoli.

Przekształcić myśl czy emocję w zrozumiałe dla otoczenia zdanie było dla niego wielkim wyzwaniem. Większość razy w połowie drogi ponosił porażkę i z jego ust dobywał się jedynie nieczytelny bełkot.

– Chce rozmawiać ze zdjęciem. Mówiłem ci, że robi to codziennie.

Masz ci los, pomyślała Alma. Nie mógł sobie wybrać lepszego momentu.

– Co robimy?

Mauricio uparcie celował palcem w ten sam punkt na kanapie. Alex wziął zdjęcie i podszedł do ojca. Podprowadził go do fotela i usadził na nim.

– Tutaj będzie ci wygodniej – powiedział. – Przyniosę ci koc, jesteś w samej piżamie...

Alma chciała go poprosić, żeby nie zostawiał jej samej z tym starcem, który wciąż wpijał w nią oskarżycielski wzrok, jakby chciał ją zganić za to, że zajęła jego miejsce, ale zamiast tego zapytała tylko:

– Ile tak może się wpatrywać w to zdjęcie?

– Zależy.

– Aha. – Pokiwała głową, nie wiedząc, co innego odpowiedzieć.

Nie da się ukryć, skonstatowała, że perspektywy mam marne. Kiedy nabierała przekonania, że Alex jest o krok od tego, by skoczyć na głęboką wodę, zawsze coś mieszało im szyki. Obecność siedzącego naprzeciwko ojca onieśmieliła chłopaka, który wprawdzie wrócił na kanapę, ale odsunął się o kilka centymetrów.

– Wróćmy do sprawy... – powiedział.

Spojrzała na niego wystraszona. Co on sobie wyobraża? Że znowu się do

niego przytuli, weźmie go za rękę i nie wiadomo co jeszcze?

– Do sprawy?

– No tak, do listy. Stańło na tym, że mi pomożesz, tak czy nie?

– No dobrze, już dobrze... Ale może mi powiesz jak. Nie znam tu nikogo...

To znaczy ci, których znam, już należą do koła: Sara i Alex. To mój wkład do listy.

– Jesteś pewna, że o kimś nie zapomniałaś?

Od spotkania w bibliotece był zły. Alma nie przyznała się, że wzięła udział w akcji pisania listów. Ukryła przed nim, że napisała do Mary Polsky i że ona również dostała list od nieznanego osoby. Dlaczego mu nie ufa?

– Nie wiem, o co ci chodzi... Mogę pomyśleć, ale nie kojarzę nikogo innego. Mówiłam ci, że po zakupy chodzę do Mastán, a w domu jestem sama jak palec.

– W porządku. Nie ma co się obrażać.

– Nie wiem... Ten facet, który cię potrącił i zostawił samopas z rowerem przed bramą mojego domu?

– Tomás? Oj, on raczej nie! Wołami byśmy go nie zaciągnęli. Powiedziałyby, że to dobre dla bab. – Nagle nowa myśl zaświtała w głowie Alexa. – On nie, ale mog-libyśmy zaprosić jego żonę, Hypatię.

– Jest tak sympatyczna jak jej mąż? Bo szczerze mówiąc...

– To dobrzy ludzie. Są rodzicami jednego z moich najlepszych kumpli.

Znowu zapadła cisza. Alma zaczynała już wyczuwać, kiedy serce Alexa doznawało bolesnego skurczu. Nigdy nie mówił o dawnych czy obecnych przyjaciółach, było więc jasne, że to kolejny temat tabu.

Obrzuciła spojrzeniem Mauricia, ściskającego kurczowo zdjęcie w obu dłoniach. Nie miała złudzeń, że Alex wyrzekł się wielu rzeczy, aby móc opiekować się ojcem. Na pewno zasługuje na to wielkie poświęcenie, pomyślała wzruszona.

– Poza tym świetnie gotuje. Najlepiej w całym miasteczku – zawołał uradowany chłopak, jakby znalazł niepodważalny argument.

– I co w związku z tym?

– W związku z tym, nawet jeśli nie umie biegle czytać i pisać...

– W przypadku koła literackiego to dość ważne umiejętności, nie sądzisz?

Wiem, że tutaj sprawy mają się nieco inaczej, ale...

– Hypatia zawsze może przynieść coś do jedzenia. Ponadto zna się na listach – zauważył enigmatycznie Alex. – Otrzymuje je i wysyła.

– W porządku. Jeśli lubi listy, to diametralnie zmienia postać rzeczy, może być nawet świetną kucharką.

– Skoro tak uważasz. – Chłopak dopisał imię Hypatii do pozostałych.

– Mara Polsky – powiedziała niespodziewanie Alma, klepiąc się otwartą dłonią w czoło. – Że też wcześniej nie przyszła mi do głowy!

– Kto? – Alex próbował zrobić taką minę, jakby usłyszał to imię po raz pierwszy w życiu.

– Ale jej nie możemy wciągnąć do koła ot tak. Mara Polsky jest kimś szczególnym... Moglibyśmy ją natomiast poprosić, żeby została naszą patronką! Jeśli przyszłaby na pierwsze spotkanie... – myślała na głos Alma.

Naraz zerwała się z kanapy na równe nogi. Zaczęła krążyć po pokoju.

– Kapitalny pomysł! To byłby pierwszorzędny impuls! Jak to możliwe, że wcześniej na to nie wpadłam? Co prawda jej specjalnością jest poezja, ale jestem pewna, że człowiek tego formatu będzie w stanie... Co o tym myślisz?

– A co mam niby myśleć? Kim jest Mara Polsky? Nie znam nikogo takiego.

Westchnąwszy, Alma streściła w kilka minut wszystko, co wiedziała o sławnej poetce: opowiedziała o jej życiu, twórczości, ile dla niej znaczyła i co robi w Por-venir.

– Nie musisz przysięgać na wszystkie świętości – powiedział Alex, odrobinę zazdrosny, że ktoś może wzbudzać w Almie taką pasję.

– Słucham?

– No że jesteś zakochana w tej całej Marze.

– Głupi, co ty pleciesz! – odparła dziewczyna, udając obrażoną i próbując trzepnąć go jaśkiem.

– Platonicznie czy poetycznie, jak zwał, tak zwał, ale jest jasne jak słońce, że masz na jej punkcie bzika. Przyznaj się, że sprawiłoby ci niesamowitą frajdę, gdyby zgodziła się otworzyć nasze koło.

Alma opuściła powieki.

– To moje marzenie.

Dziesięć minut później wciąż wpatrywali się w imiona zapisane na kartce papieru. Alma skrzywiła się, niezadowolona.

– Coś krótka ta lista: Sara, Hypatia, Alma, Alex...

– Rosa – powiedział Mauricio, nie odrywając wzroku od fotografii.

– Co powiedziałaś, tato?

– Rosa – powtórzył mężczyzna.

Alex spojrzał oszołomiony na Almę. Dziewczyna wzduszyła ramionami i popukała palcem w kartkę papieru.

– To chyba jasne, prosi cię, żebyś wpisał na listę Rosę. – Podniosła wzrok na mężczyznę o nieobecny wyrazie twarzy. Czy Mauricio wiedział, że ona, w jakimś sensie, też zna Rosę? Nie, to przecież niemożliwe.

– To logiczne! – wykrzyknął Alex.

– Logiczne?

– Moi rodzice, rodzice Sary i Rosy byli przyjaciółmi jeszcze z czasów młodości. Usłyszał imię listonoszki i skojarzył je z Rosą. Są sąsiadkami i przyjaciółkami, pomagają sobie nawzajem. Obie wspierają nas na różne sposoby. Tworzymy nietypową rodzinę.

Alma spuściła głowę. Czy Mauricio znał także jej babkę? Czy znał od

podszewki historię Luisy i Rosy? Niewątpliwie coś musiał wiedzieć. Pytanie: jak dużo?

Poczuła, że brakuje jej powietrza. Wstała i podeszła do okna. To miasteczko było bardzo małe i wszystkie ulice zdawały się prowadzić na rynek. Jeśli Rosa przyłączy się do ich koła, prędzej czy później się spotkają. A wówczas pozna kobietę, która przed sześćdziesięciu laty zdradziła jej babkę.

- Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony Álex.
- W głowie mi się zakręciło, ale to nic, nie przejmuj się.
- Jesteś pewna?
- Tak... nie wiem, jakoś gorąco tu bardzo.
- To kaloryfery. Grzeję na maksa z uwagi na ojca.

Alma kiwnęła głową ze zrozumieniem. Chwiejąc się nieznacznie, zapytała, czy może skorzystać z łazienki. Chciała przemyć twarz zimną wodą.

Álex zbliżył się do staruszka, pomógł mu wstać z fotela i poprowadził do jego pokoju. W międzyczasie skinął na dziewczynę, żeby poszła za nimi.

Ni stąd, ni zowąd zrobiło się późno, pomyślała Alma. I znów udało ci się wymigać od całowania, wciąż mi się wyślizgujesz. Otworzyła drzwi, które Álex wskazał głową.

Ochlapała twarz i spojrzała w lustro. Krople wody ściekały jej z czoła do brody. Niechcący zmoczyła sobie grzywkę. Sięgnęła po ręcznik. Zanim zdążyła się wytrzeć, za jej plecami skrzypnęły drzwi.

W lustrze zobaczyła rozplómienny wzrok Álexa. Słodki prąd przepłynął przez jej nogi i musiała oprzeć się rękami o umywalkę, aby utrzymać równowagę.

Chłopak zamknął za sobą drzwi, starając się nie hałasować. Zrobił dwa kroki i już był za jej plecami. Czowała jego oddech na karku, ale nie była w stanie oderwać oczu od lustra. Álex wyciągnął dłoń po ręcznik wiszący na wieszaku i objął ją w tali. Odwróciła się do niego, opuszczając jednocześnie wzrok. Nie miała odwagi wytrzymać jego spojrzenia, bo oczy uporczywie uciekały jej w stronę jego ust. Nie chciała odkryć się przed nim ze swoimi pragnieniami w sposób tak jednoznaczny.

Poczuła, jak tkliwie podnosi jej podbródek.

Ujrzała jego uśmiech. Zdmuchnął na bok jej mokrą grzywkę.

Delikatnie wytarł ręcznikiem krople wody z jej twarzy. Zaczął od prawego policzka. Osuszywszy, pocałował go czule, jakby chciał przypieczętować dobrze wykonaną pracę. Potem wziął się do drugiego policzka. Do czoła. Nosa. Zawsze wieńcząc swoje dzieło pocałunkiem.

Zostały już tylko usta. Patrzył na nie w skupieniu przez kilka sekund. Następnie przetarł subtelnie ręcznikiem ich kontury. Gdy zbliżył do niej swoją twarz, Alma zamknęła oczy, dygocząc.

Wtem gwałtowne uderzenie zbudziło ją z tego snu.

Ktoś stał po drugiej stronie drzwi.

– Nie... – wydała z siebie cichy jęk.

Jak mogli po raz kolejny skraść jej pocałunek?

Álex uśmiechnął się. Położył jej palec na ustach, prosząc, aby zachowała ciszę. Potem upewnił się, że drzwi są zamknięte, i spojrzał na nią tak intensywnie, jakby odkrywał jej obecność po raz pierwszy.

Pocałował ją namiętnie.

Z pewnością nie trwało to dłużej niż kilkanaście sekund, może minutę, lecz Almie zdało się, że w pocałunku tym zawarła się cała wieczność.

Kiedy w końcu oderwali się od siebie, chłopak cofnął się o krok, nie spuszczać z niej wzroku.

– Tego pocałunku też nie wypłył upiory – powiedział. Rozedrgany uśmiech wypłynął na usta Almy. Ujęła jego dłonie, aby ponownie przyciągnąć go do siebie. Nie potrafiła ścierpieć dzielącej ich odległości, choćby jednego centymetra. Powietrze między nimi wręcz ją raniło. Jej ciało było gotowe na wszystko. – Almo Mahler, ty już zostaniesz w moim Porvenir.

Westchnęła, czując, jak dłonie Álexa błędzą po mapie jej pleców.

Karol

*15 stycznia, Porvenir*

*Witaj,*

*to jest łańcuch listów.*

*Kilka dni temu otrzymałam list bez nadawcy. List ten mówił o Sarze. Może kiedyś ją spotkałaś, jest listonoszką. Przełożeni wysłali do niej maila z informacją, że zostanie przeniesiona daleko od domu. Po ponad stu latach Porvenir zostanie bez listonosza i tutejszy urząd pocztowy przestanie istnieć. Nie mówiłabym Ci tego wszystkiego, gdybyś nie mogła pomóc Sarze i naszemu miasteczku. Jak to zrobić? To bardzo proste. Tak jak ja. Napisz list. Nie ma znaczenia, czy będzie długi, czy krótki, z błędami czy bez. I wyślij go do innej kobiety, mieszkanki tego miasteczka. Nawet jeśli jej nie znasz, podziel się z nią kilkoma minutami swojego życia. Zbudujmy wspólnie łańcuch listów tak długi, aby dosięgnął stolicy, i tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać.*

*Znam Sarę. To dobra kobieta. Tak jak Ty, jestem tego pewna. Sara zawsze ma dla wszystkich dobre słowo. Jest niezwykle życzliwa. Dlatego piszę. No i dlatego, że pisząc, nie czuję się taka samotna.*

*Piszę dużo listów. Bardzo lubię pisać listy. Piszę do moich dzieci, do mamy, do braci, do przyjaciół. Czasem wchodzę do jakiejś eleganckiej kawiarni i proszę kogoś, żeby mi zrobił zdjęcie. To po to, żeby później je wysłać. Chcę, żeby moi bliscy myśleli, że czuję się dobrze. Że u mnie wszystko w porządku.*

*Innym razem przynoszę do domu katalogi z eleganckich sklepów. Wycinam najpiękniejszy ze wszystkich ciuszek dla dziewczynki i razem z jakimś upominkiem wysyłam go mojej Valentinie. I mówię, że kiedy mama wróci, to przywiezie jej tę koszulkę bez rękawów albo tamtą odświętną sukieneczkę. Wiem, że zanim do niej pojedę, ona w międzyczasie już o tym zapomni. Taką mam przynajmniej nadzieję.*

*Bardzo dużo opowiadam mojej mamie. Ona nie lubi zdjęć, nawet tych wywołanych na papierze. Mówi, że zdjęcia kłamią, choć wyglądają prawdziwie, i że to ją peszy. Nie chce całować zdjęć, jak to robi tyle starych matek w mojej miejscowości, których dzieci wyemigrowały, i udawać, że całuje mnie. Obiecuje, że przechowuje te wszystkie pocałunki i że odda mi je, kiedy się zobaczymy. Zapewnia,*

że je liczy. Że codziennie odkłada jeden pocałunek rano i jeden wieczorem, jak wówczas, kiedy byłam mała. I że w moje urodziny odkłada dwa. I na Boże Narodzenie.

Podliczyłam je wszystkie, a jestem poza domem już trzy lata. Dwa pocałunki dziennie dają nam siedemset trzydzieści na rok, plus dwa na Boże Narodzenie i dwa na urodziny – w sumie siedemset trzydzieści cztery rocznie. Razy trzy lata: dwa tysiące dwieście dwa pocałunki na moim koncie. Kocham moją mamę tak bardzo, że mam dla niej odłożone co najmniej tyle samo całusów. Zwariujemy chyba, kiedy się zobaczymy! Nie będziemy się mogły od siebie oderwać przez kilka dni. Obym nie musiała na to długo czekać.

Opowiadam mamie o górach w Porvenir. Nie są podobne do naszych. Ona nie wierzy, że tu nawet ziemia jest zielona. Tam wszystko jest rdzawe albo czerwone, w zależności od pory dnia i roku. Prawdę mówiąc, bardziej podobają mi się tutejsze góry – tyle tu różnych odcieni zieleni!

W niedzielę nie pracuję i wychodzę na spacer. Jeśli idzie ze mną jakaś sąsiadka, wybieramy się do lasu. A jak nie, jeśli jestem sama, to idę nie dalej jak do nowych osiedli. Ludzie lubią tam chodzić na spacer. Zimą te puste domy przypominają mi cmentarz. Na ulicach żywej duszy. Mojej mamie też by się nie spodobały te osiedla.

Ale ten list jest inny.

Nie znam Pani. Chociaż tak naprawdę nie wiem tego, ponieważ nie zdecydowałam jeszcze, do kogo wyślę ten list. I nie wiem, o czym mogłabym Pani opowiedzieć. Gdybym pisała do moich synów, opowiedziałabym im o piłce nożnej. Oglądam dzienniki w telewizji, zanim do nich napiszę. Zauważyła Pani, że przez połowę wiadomości rozprawiają o meczach, drużynach i ligach? Potem piszę im to, co usłyszałam i zobaczyłam. Czasem nawet opowiadam, tak jakbym sama była na stadionie. A jaka to różnica? Widziałam sprawozdanie w telewizji i mogę opisać wszystko w najdrobniejszych szczegółach. A oni mają frajdę, jakby mama była na trybunach i na własne oczy widziała Messiego. Bo co jak co, ale nawet tam, nawet w tej mojej wiosce zagubionej w Andach, wiedzą, kim jest Messi czy Ronaldo. Gdybym im powiedziała, że zwiedziłam kościół Sagrada Familia albo że byłam we Florencji, nie wiedzieliby, co to takiego. Nie chcę wcale powiedzieć, że to źle czy dobrze. Ja tylko pragnę rozmawiać z moimi dziećmi o tym, co im się podoba, co lubią.

Nie wiem, co Pani lubi, i dlatego nie za bardzo wiem, o czym pisać. Może mogłabym opowiedzieć o tym, co podoba się mnie. Ale tutaj niewiele jest rzeczy, które mogłyby mi przypaść do gustu. Jeśli zamknę oczy i pomyślę o mojej rodzinnej miejscowości, wówczas przychodzi mi do głowy mnóstwo rzeczy, o których mogłabym mówić.

Tutaj wszystkie dni są takie same. Wstaję bardzo wcześnie i sprzątam

*u innych ludzi. I to wszystko, poniedziałek czy czwartek, praca zawsze jest taka sama.*

*Po pracy zakupy i powrót do domu. Najlepszą chwilą w ciągu całego dnia jest wizyta w kafejce internetowej i wysłanie maila do rodziny. Albo gdy wchodzę na Facebooka i oglądam zdjęcia moich znajomych, ich pociech, ostatnie urodziny. Co drugi dzień dzwonię do moich dzieci. Rozmawiam z nimi przez chwilę, wypytuję je o szkołę, czy są zdrowe, albo słucham tego, co mają mi do powiedzenia...*

*I tyle. Wszystkie moje dni są niemal jednakowe.*

*W mojej wiosce każdy dzień był inny. Kiedyś wszystko było inne. Zawsze trzeba było kogoś odwiedzić, czy to starą ciotkę, chorą przyjaciółkę czy brata, któremu właśnie urodziło się dziecko. Kiedy indziej pomagałam w parafii przygotowywać obchody jakiegoś święta, szylałam stroje karnawałowe dla chłopców albo pracowałam w zagrodzie moich rodziców. Czy ja wiem, co jeszcze? Człowiek wstawał o świcie, nie wiedząc, co przyniesie mu los. Przeważnie przynosił zwykłe życie. Czasami coś szczególnego, dobrego. Innym razem miał w zanadrzu nieszczęścia. Jak wówczas, gdy pewnego dnia o świcie obudziłam się u boku męża, zaś kilkanaście godzin później, w nocy, czekało na mnie puste łóżko, bo mąż, to znaczy jego zwłoki leżały w pokoju obok i czuwali przy nich teściowie. To przecież było tak niedawno. Doskonale pamiętam tamten poranek: robiłam dzieciom śniadanie do szkoły. Mąż się kąpał. Potem musiał pędzić do pracy. Od drzwi upomniałam się o mojego całusa. Już był spóźniony do kopalni, więc posłał mi buziaka w locie i zniknął za rogiem. A ja pomyślałam – pamiętam, że tak pomyślałam – że wieczorem odbiorę go sobie z nawiązką.*

*Ale nie o tym chciałam mówić. Chciałam opowiedzieć o rzeczach pięknych w moich rodzinnych stronach. Tutaj nikt nie ma cierpliwości, żeby o nich słuchać. Pytają mnie, skąd jestem, a kiedy odpowiadam, że z Peru, to im wystarcza. Gdyby wiedzieli, jak wielki jest mój kraj! Jak różni są ludzie mieszkający po jednej i po drugiej stronie ulicy, zrozumieliby, że z samej nazwy niewiele można się dowiedzieć. Mieszkańcy gór to nie ci sami ludzie, którzy żyją na wybrzeżu czy w puszczy. Czy w stolicy. Są tak różni jak noc i dzień. Ale żeby to zrozumieć, potrzeba czasu. A czas jest tym, czego tutejsi bogaci ludzie nie mają.*

*Tam nie ma pór roku, jak tutaj. Nie, nie. Tam albo pada deszcz, albo nie pada. Ja najbardziej lubię porę deszczową. Dlaczego? Bo wówczas wszyscy wydają się szczęśliwi. Kiedy przestanie padać, będzie można zrobić bardzo wiele rzeczy. Uprawiać ziemię, spacerować, grać w piłkę nożną, naprawić dom, pojechać do miasta... A potem, po kilku miesiącach bez kropli deszczu, przestaje to być zabawne. Ludzie się martwią, bo brakuje wody dla bydła, bo wysychają pola...*

*Deszcz może być bardzo nudny. Tamten w niczym nie przypomina tutejszego. Uwielbiam burze z błyskawicami i grzmotami. Niebo pęka. Zapada mrok. Kilka piorunów i nagle zaczyna się przejaśniać. To niesamowite widowisko. W moich*



*stronach jest zupełnie inaczej. Zaczyna padać i pada jednakowo całymi dniami. Zastłona cienkich kropelek. Pada bezus-tannie. Nie przestaje. Ale życie nie zamiera. Trzeba pracować na tym deszczu, lejącym się za kołnierz, zbierać kartofle, iść do szkoły, sprzedawać na targu. Spać. Krople jednostajnie uderzają o dach. Trochę to męczące. Bardziej podoba mi się tutejszy deszcz.*

*Ale w słoneczne dni wolę moje strony! Niebo jest wtedy tak intensywnie błękitne. Mieszkamy na dużej wysokości. Może to dlatego. Wędrujący tam obcokrajowcy cierpią na soroche. Wy to nazywacie chorobą wysokościową. Całymi dniami chodzą, kiwając się jak kaczki, kręci im się w głowie, opadają z sił, zanim jeszcze otworzą usta, a czasem z nosa leci im krew. I przez cały dzień towarzyszą im cukierki z koki, herbatki z koki, guma do żucia z koki... Jestem pewna, że po powrocie do domu cierpią na „chorobę niskościową” – tęsknią za koką. (Wyjaśnię tylko, że koka to ziele, nie narkotyk. Bardzo dużo ludzi myli te dwie rzeczy. Mam nadzieję, że Pani nie. W moim domu wszyscy, od babci do mojego młodszego brata, pijemy od czasu do czasu mate z liści koki. To między innymi na lepsze trawienie).*

*Inne jest jedzenie. Wiem, że wygląda podobnie. Niektórzy mi mówią: kartofel to kartofel! Czy Pani wie, że ziemniaki pochodzą z Ameryki? Tak, tak. Były pewnie pierwszymi imigrantami zza oceanu. Jeszcze zanim przyjechały tutaj sprzątaczkki, wcześniej pojawiły się ziemniaki. Ale nie smakują tak samo. Poza tym u nas są ich setki rodzajów! Tutaj nie ma z tym bólu głowy: kiedy idę na targ, widzę tylko dwie, trzy odmiany. Tam każdy tubylec próbuje w ciągu całego życia co najmniej dwadzieścia pięć odmian ziemniaków i potrafi je odróżnić. Kukurydza też jest rodem stamtąd. Czasem kupuję tutaj kolby, ale ziarna są tak małe i smak jest taki jakiś mdły... W moim kraju mamy kukurydzę fioletową, czarną, a są takie, które mają ziarna wielkie jak dwueurowa moneta.*

*Raz w miesiącu spotykamy się w gronie rodaków. Wówczas niedziela jest dla nas małym świętem. Gotujemy swojskie potrawy, pijemy pisco i słuchamy naszej muzyki. I jeszcze bardziej odczuwamy samotność, choć jesteśmy między swymi. Trudno to wyjaśnić. Kiedy jesteśmy razem, opowiadamy o wszystkim, co tam zostawiliśmy, i zdajemy sobie sprawę, jak wiele tego jest.*

*Mam nadzieję, że wrócę. Wiem, że wrócę. Tam są moje dzieci. Tutaj przyjechałam na krótko. Za pieniędzmi. Ale niektórzy z moich rodaków wiedzą, że już nie wrócę. Zostaną na zawsze w Nibylandii, krainie z bajki, którą w zeszłym roku wysłałam na Boże Narodzenie mojemu młodszemu synkowi. „Piotruś Pan”, tak się nazywała ta bajka. Nibylandia – pojedziesz i nie wrócisz. Oni nie są już ani stamtąd, ani stąd. Na szczęście mnie się to nie przydarzy. Ale nie mogę czekać zbyt długo, bo zapomnę drogi do domu.*

*Późno się zrobiło. Muszę się już z Panią pożegnać. List już napisany. Proszę mi wybaczyć, że tak chaotycznie. Dziękuję, że spędziła Pani ze mną tych kilka chwil. Teraz pozostaje mi tylko Panią znaleźć. Nie wiem, kim Pani jest, ale wierzę*

*w jej istnienie, wierzę, że spodziewa się Pani mojego listu.*

*Będę czekać na znak. Będę miała szeroko otwarte oczy, aby go rozpoznać.*

*Ściskam bardzo mocno.*

## Stowarzyszenie żywych poetów

Młodość nie jest okresem w życiu człowieka, lecz stanem ducha.

MATEO ALEMÁN

Alma od dziesięciu minut czekała na Álexa na ostatniej przecznicy oddzielającej Porvenir od nowych osiedli. Witryna biura luksusowych nieruchomości służyła jej za schronienie – burza rozpętała się zniemacka.

Potężna błyskawica przecięła niebo niczym groźba. A jeśli Mara Polsky nie zechce ich przyjąć? Koniec końców przybyła tu, żeby uciec przed światem. Zaczynała żałować, że zaproponowała ją na patronkę koła.

W takie miejsce przyjeżdżamy tylko po to, żeby się ukryć, pomyślała o sobie.

Wiedziała, że tak uznana poetka jak Mara Polsky nie nawiewałaby od swoich rodziców ani od egzaminów na stanowisko nauczyciela w jakiejś szkole, ale coś przecież musiało sprawić, że wyłądowna w tych lasach.

– Od czego ona ucieka? – spytała jedno z brunatnych chmurzysk, bezlitośnie chlustających wodą.

Spojrzała na swoje balerinki. Komu przysłoby do głowy włożyć minispódniczkę, bluzkę i pantofelki grzecznej dziewczynki w górskim miasteczku w środku zimy? Tylko jej, pozbawionej wyobraźni miastowej dziewczynie.

Odkąd umówili się z Álexem, że tego wieczoru o szóstej pójda odwiedzić jej uwielbianą pisarkę, nie mogła przestać o tym myśleć. Nie mogła nic jeść i teraz gorzko tego żałowała. Zaczynało jej kruczeć w żołądku, który nie znał się ani na muzach, ani na sztuce, a jedynie na spaghetti i soczewicy.

Całe przedpołudnie spędziła przed lustrem w swoim pokoju. Najpierw przymierzała kreacje. Ku swej rozpaczy przywiozła ze sobą tak mało ciuchów! Zateśkniła za swoją szafą w mieście i na myśl przyszły jej wszystkie sukienki, które matka, z uporem godnym lepszej sprawy, chciała jej ciągle kupować pomimo całkowitej obojętności córki. To właśnie na wspomnienie matki i jej usilnych perswazji, że w spódnicach bardzo jej do twarzy, Alma zdecydowała się na tę minispódniczkę.

A minispódniczka dopuszczała jedną jedyną opcję: właśnie te lakierowane pantofelki, których ziemską wędrownica, nawiasem mówiąc, dobiegała końca. Jak będzie ubrana Mara Polsky? Z pewnością taka światowa kobieta jest niezwykle

elegancka i nosi wykwintne stroje. Alma nie wątpiła, że jej garderobę wypełniają kreacje Caroliny Herrery i Valentina. A może gustowała w stylu bardziej swobodnym, sportowym, skłaniała się raczej w stronę Dony Karan czy Toma Forda.

Ale wybór toalety, w jakiej miała zaprezentować się przed swoją idolką, nie był najtwardszym orzechem do zgryzienia. Odkąd dowiedziała się o istnieniu Mary Polsky, myślała o tym, jak by się do niej zwróciła, gdyby jakimś cudem dane jej było z nią porozmawiać. Wyobrażała to sobie tysiące razy, a jednak teraz, gdy była o krok od spełnienia marzenia, wszystkie genialne zdania wyparowały jej z pamięci. Odezwać się do niej jak do pierwszej lepszej wierszokletki? A gdyby tak już na wstępie wyznać, jak bardzo ją podziwia? Wyrecytować jeden z jej najsłynniejszych wierszy czy może przeciwnie – zacytować klasyków? A może nie robić z siebie idiotki i rozmawiać z nią o praktycznych aspektach sprawy? W jaki sposób zmierzyć swoją wiedzę i wrażliwość z wiedzą i wrażliwością jednego z najbardziej osobistych głosów ostatnich czterech dekad?

Poczuła wibracje w kieszeni kurtki. Wyjęła komórkę i przeklęła swojego pecha. „Sytuacja awaryjna. Burza. Ojciec wpadł w panikę i schował się pod łóżko. Nie chce wyjść. Zostaję w domu. Powodzenia. Zadzwoń do mnie”.

– Co ty nie powiesz, Alex, a więc w Porvenir też pada? A ja myślałam, że to tylko ktoś zbyt zamazyście podlewa ogródek – mruknęła z irytacją, czując, jak lodowate strumyki wody ściekają jej po szyi. – Ja też powinnam była wleźć pod łóżko – westchnęła zrezygnowana.

Ale jak mogła złościć się na tego chłopaka. Wystarczyło tylko wyobrazić sobie, jak bardzo musiało mu być ciężko opiekować się chorym ojcem. Jeśli chce dać im szansę, musi się przyzwyczaić do takich niespodzianek.

Wyobraziła sobie Alexa leżącego na podłodze, wyciągającego rękę i usiłującego przekonać ojca, żeby wyszedł spod łóżka. Wyobraziła sobie przerażonego Mauricia, wpatrującego się wytrzeszczonymi oczami w ciemność. Miała wyrzuty sumienia z powodu tego nagłego przyływu irytacji.

Od dnia, w którym w końcu ją pocałował, w łazience jego domu, byli niemal nierozłączni. Alex sprawiał wrażenie, jakby czekał na tę chwilę całe życie. Przywołała w myślach gorączkowość, z jaką jej dotykał, jakby próbował powiedzieć swoimi dłońmi to, czego nie potrafiły wymówić usta.

Może nie ma nic złego w tym, żeby spędzić jeden dzień bez niego, inaczej szybko się sobą znużą. Ale dlaczego życzył jej powodzenia? Ukartował to, żeby sama poszła do Mary Polsky?

– Jutro też jest dzień – mruknęła. Ojciec Alexa nie będzie przecież tkwił pod łóżkiem przez cały tydzień, mogli więc iść do poetki kiedy indziej.

Ustalili, że pierwsze spotkanie koła literackiego w Porvenir odbędzie się czternastego lutego, w walentynki. „Chyba mi nie powiesz, że wierzysz w te bzdury!”, zawołał z niedowierzaniem, kiedy zaproponowała mu to dwadzieścia cztery godziny temu. Alma obruszyła się. To prawda, że tego typu świętom przyświecał tylko jeden cel – zbić kasę, ale zabolął ją ton, z jakim ten ponoć zakochany chłopak przekreślił jednym słowem jej pomysł.

„Szczerze mówiąc, gwizdzę na to”, usiłowała kłamać najlepiej, jak umiała. „Ale jestem pewna, że Mara byłaby nam wdzięczna za ten gest. Współcześnie to święto związane jest głównie ze Stanami Zjednoczonymi. No wiesz, kartki wysłane do chłopców, którzy ci się podobają, serduszka pełne czekoladek, kwiaty... A poza tym pomyśl, któż nie napisał kiedyś, choćby raz, miłosnego listu? To bardzo łatwy temat do debaty”.

Jeszcze cały miesiąc przed nami, po co się tak przejmować? – przekonywała się.

Spojrzała ponownie w niebo i stwierdziła, że nie przestaje padać. Przeciwnie – lało jak z cebra. Rzuciła okiem na most i na drogę, którą musiała pokonać, aby dotrzeć do La Rosa de los Vientos – taka eskapada, i to w taką pogodę, nie była dobrym pomysłem. Postanowiła opuścić azyl agencji nieruchomości, kiedy znowu poczuła wibracje telefonu. Ki diabeł?

„Ani mi się waż – nie zostawiaj na jutro tego, co możesz zrobić dzisiaj. Mało Ci 23 lat czekania? Znam Cię lepiej, niż myślisz”.

Skąd on mógł wiedzieć, że postanowiła wrócić do domu, rezygnując z wizyty u Mary? Rozejrzała się. Ulica była pusta. Czyżby szpiegował mnie z jakiegoś okna? Omiotła spojrzeniem budynek naprzeciwko – we wszystkich oknach żaluzje były spuszczone i nie sposób było odgadnąć, czy ktoś nie obserwuje jej spoza nich.

– Co on sobie wyobraża, ten szczeniak... – uniosła się gniewem, stawiając na sztorc kołnierz kurtki, aby osłonić się przed deszczem.

Po raz kolejny spojrzała w niebo i pomyślała, że jeśli puści się biegiem, może zdoła dotrzeć do domu, zanim przeistoczy się w zmokłą kurę.

– Znam cię lepiej, niż myślisz – mruknęła, imitując głos Alexa. – Tak sądzisz? Zobaczymy jutro, jakie zrobisz oczy, kiedy ci opowiem, jaka to przesympatyczna i miła osoba z mojej poetki.

– Mara Polsky? – Alma spojrzała na cudaczną kobietę, która otworzyła drzwi.

Pomyślała, że to pewnie sekretarka: miała na sobie długą do kostek, czarną tunikę, spod której wylaniały się dwie skarpetki, każda innego koloru. Z szyi kobiety zwisał cały pęk naszyjników i wisiorów, niektóre bardzo dziwaczne, jak

płaska, srebrna dłoń albo coś, co wyglądało jak fikuśny dzwoneczek. Ze zmierzwionych szarych włosów, którym bliżej było do bieli niż czerni, sterczały dwa ołówki, patyk przypominający chińską pałeczkę, a nawet ptasie pióro. Co to miało być? Bal przebierańców?

Minęło trzydzieści, czterdzieści sekund i nie otrzymała odpowiedzi. Zaczęła przestępować nerwowo z nogi na nogę. Stała przed obcym domem w strumieniach deszczu, a kobieta wspierająca się nonszalancko o framugę drzwi wbijała w nią przenikliwy wzrok, jakby była jakimś rzadkim okazem motyla w insektarium.

Postanowiła zapytać ponownie:

– Mara Polsky?

Jej głos miał najwidoczniej moc zdejmowania klątw, kobieta bowiem drgnęła. Uniosła nieznacznie podbródek i zmrużyła oczy, jakby próbowała nastawić ostrość.

– Kto pyta?

Alma postanowiła nie przedstawiać się swoim imieniem. Przed dwoma miesiącami wysłała do niej list, w którym obiecała milczeć na temat pobytu poetki w Porvenir, i oto stoi u jej drzwi, aby błagać ją o udział w publicznym zgromadzeniu. Co by o niej pomyślała, stwierdziwszy, że nie dotrzymuje słowa?

Przyszło jej na myśl imię, które chodziło za nią od wieczoru spędzonego w bibliotece.

– Milena. Pani Mara mnie nie zna, ale...

– W takim razie dlaczego chciałaby z tobą rozmawiać?

– Nie, nie, ona mnie nie oczekuje. To ja pragnę się z nią zobaczyć i... – Alma zaczynała wpadać w panikę.

Stwierdziła, że można się pocić nawet na lodowatym deszczu. Nie brała pod uwagę możliwości, że inna osoba otworzy jej drzwi i że będzie mogła co najwyżej zostawić wiadomość.

Poczuła na ramionach ogromny ciężar i nie panując nad swoim ciałem, nieznacznie się pochyliła.

Wobec tego gestu wyrażającego bezbronność surowy grymas na twarzy Mary Polsky złagodniał. Otworzyła szeroko drzwi i odsunęła się na bok, zapraszając do środka tę niewątpliwie ludzką istotę, która w tej chwili przypominała raczej zmokłą kurę. Mimo to postanowiła mieć się na baczności.

– Milena? Jak mam cię zaanonsować? Jaki jest powód twojej wizyty?

Alma wsunęła się do domu ostrożnie, bojąc się pokalać tę wieżę z kości słoniowej ubóstwianej pisarki. Jednakże wszedłszy do środka, odkryła, że dom ten przypominał bardziej magazyn starej księgarni niż pałac. Dywan zaścielony pokreślonymi kartkami papieru prowadził do wielkiego salonu, gdzie najwyraźniej pracowała autorka. Otwarte, walające się po kątach książki, papiery pełne różnokolorowych słów przyszpilone do ściany pinezkami oraz pudełka po pizzy

i ciastkach. Na stole stała niedopita butelka whisky.

– Mieszkam w Porvenir. Piszę pracę doktorską z jej twórczości i... – kłamała nieudolnie, co wprawiało ją w jeszcze większe zakłopotanie. Ta kobieta o przenikliwym i ironicznym spojrzeniu zbijała ją z tropu. Błagam! Gdzie jest jej uroczna Mara Polsky? Niech już w końcu przyjdzie, bo jeśli nie, trzeba będzie stąd wiać. Serce galopowało jej w piersi jak szalone.

– Rozumiem. Proszę w takim razie spocząć na kanapie. Zobaczę, czy mistrzyni jest w stanie panią przyjąć. Mam nadzieję, że pani rozumie, że jeśli nie była umówiona...

– Rozumiem, oczywiście – powiedziała skwapliwie Alma, modląc się, aby kobieta zniknęła jak najszybciej.

Czas ciągnął się jak guma do żucia. Od zniknięcia na schodach ekstrawaganckiej sekretarki minęły zaledwie dwie, może trzy minuty, które Almie dłużyły się niemiłosiernie.

Gdy pokonała pierwszy lęk wywołany panującym w domu chaosem i przeszywającym spojrzeniem kobiety, uspokoiła się nieco. W żaden sposób nie mogła się powstrzymać, by nie podejść do ściany z przyczepionymi kartkami. Z niemal mistyczną nabożnością prześledziła bezładnie nagryzmołone słowa. Zamknęła oczy, starając się poczuć pasję poruszającą ręką, która je zapisywała.

Ze szczytu schodów, w kucki, w absolutnej ciszy Mara obserwowała tę mokrą kurkę. Przyglądała się, jak krąży po salonie, pochylając się nad każdą rzuconą na podłogę fiszką. Podnosiła je, wygładzała i układała na stole. Skończywszy z papierami, zabrała się do książki – i z taką samą czułością zamykała je, ratując przed zagładą. Było w niej coś, co budziło tkliwość, i postanowiła dać jej szansę. Ktoś, kto z takim szacunkiem traktuje słowa, chyba na to zasługuje.

– Bardzo proszę, proszę się rozgościć. Może kawy, herbaty, wody?

– Odrobinę wody, jeśli można – pośpieszyła z odpowiedzią Alma, nie mając śmiałości usiąść na eleganckiej kanapie. Była cała mokra i bała się, że ją zniszczy.

Jakby czytała w jej myślach, kobieta podeszła z pstrą narzutą, przypominającą kolorystyką jej skarpetki. Rozłożyła ją na skraju kanapy i jednym gestem pokazała, żeby na niej usiadła.

– Odrobinę wody – powtórzyła Alma, dygocząc.

Nie ma co, obecność tej kobiety onieśmiała ją niewymownie. Wciąż nie wiedziała, kim ona może być, ale jedno nie budziło wątpliwości: zważywszy na to, z jaką pewnością się poruszała i mówiła, musiały łączyć ją z Marą bardzo bliskie więzy. Przyjaciółka? Sekretarka? Wydawca?

Mara Polsky zauważyła, że dziewczynie drży głos. Wiedziała doskonale, że

już sam jej wygląd wzbudzał respekt, że jej oczy mogły ciąć stal, a język dokończyć dzieła. Była ciekawa i postanowiła rozładować napiętą atmosferę, aby nieco poznać swoją rywalkę.

Bez słowa poszła do kuchni. Wróciła z tacą, na której przyniosła pustą szklankę i małą łyżeczkę. Postawiła tacę na ławie stojącej przed gościem. Kurtuazyjnie pochyliła się nad dziewczyną, jakby definitywnie chciała potwierdzić zamówienie.

– Wody?

Alma skinęła głową, nie odrywając wzroku od ręki kobiety, podnoszącej pomalą szklankę i podchodzącej z nią do jednego z okien. Otworzywszy je, wyciągnęła na zewnątrz ramię. Wróciła do ławy z kamiennym obliczem. Dziewczyna patrzyła na nią wychodzącymi z orbit oczami. Gospodyni postawiła na tacy szklankę napelnioną po brzegi deszczówką.

– Sugeruję nie pić od razu. Woda w czasie burzy jest nieco wzburzona i dobrze jest odczekać chwilę, aż ferment się ustoi, inaczej można się nim zarazić – powiedziała, podając jej łyżeczkę.

Dopiero w tym momencie na twarzy Mary Polsky zamajaczył ledwie dostrzegalny uśmiech. Tak krótki, że Almie wydał się jedynie cieniem, lecz na tyle silnym, by ją nim zarazić. Dziewczyna zasłoniła usta, żeby nie spuścić z uwięzi wyrwijącego się na wolność chichotu. Mara popatrzyła na nią i wybuchnęła niczym nieskrępowanym śmiechem.

Zaraz też wstała z kanapy i zniknęła z tacą. Tym razem wróciła z butelką, korkociągiem i jeszcze jedną szklanką.

– Mam na imię Dulcynea, jestem sekretarką Mary. Bardzo jej przykro, ale jest niedysponowana. Mimo to znajduje niezwykle interesującą pani wizytę. Proszę wyjaśnić mi, co panią tu sprowadza, a ja jej wszystko przekażę.

Głębokie rozczarowanie odmalowało się na twarzy dziewczyny. Poetka poczuła przypływ błogiej radości i pomyślała, że to był jednak dobry pomysł zaprosić do środka Milenę i posłuchać, co ma jej do powiedzenia. I nie tylko po to, żeby zabawić się jej kosztem. Już od tylu dni z nikim nie rozmawiała, że zaczęła się obawiać o swoją równowagę umysłową! Opuszczała, co prawda, swój matecznik celem uzupełnienia zapasów, a nawet zajrzała do kilku barów w różnych miejscowościach w dolinie w poszukiwaniu natchnienia, ale rozmowy, które nawiązała, można było zaklasyfikować do kategorii czystych transakcji handlowych. Nie wykraczały poza pięć zdań, a dwie z nich traktowały o walucie euro.

Przez cały listopad towarzystwa dotrzymywał jej wróbel. Prowadziła z nim długie rozmowy o tym, co ludzkie i co boskie! Był to raczej monolog, któremu kres położyło wypuszczenie biedaka na wolność. I tak zakrawało na cud, że przeżył pod jednym dachem z kimś, kto nie potrafił się opiekować żywymi istotami żadnego



gatunku.

Wróbel przypomniał jej o rudej listonoszce, którą wyrzuciła z domu na zbity pysk. Ta wielkodusznie zostawiła jej garść instrukcji, które bez wątpienia przyczyniły się do tego małego zwycięstwa nad śmiercią. Niech żyje listonoszka, hip, hip, hura, pomyślała Mara. To właśnie ona była ostatnią osobą, z którą przeprowadziła dłuższą rozmowę, chociaż niewiele z niej pamiętała z winy zaborczej whisky.

Jak kostki domina, ustawione w rzędki i upadające jedna na drugą, wspomnienie to pociągnęło za sobą następne: łańcuch listów. Ona wywiązała się ze swojej powinności, doczepiła swoje ogniwo. A kobieta, do której wysłała swoją spowiedź w formie listu?

Ku własnemu zdumieniu przez ostatnie dwa miesiące wiele razy wracała myślami do tej historii. Zainspirowała ona nawet wiersz, który postanowiła zadedykować Almie, poetyckiej terminatorce, która wciągnęła ją do gry. Była jej coś winna. Pod wpływem owej prośby i listu, będącego jej konsekwencją, paraliżująca ją blokada z wolna zaczęła ustępować. Odzyskiwała swoją kreatywność w żółwym tempie, ale najważniejsze było to, że drgnęła z miejsca.

Kiedy w Boże Narodzenie zadzwoniła do swojego wydawcy w Nowym Jorku, posłużyła się obrazem z filmu dokumentalnego National Geographic, który w bardzo plastyczny sposób opisywał jej położenie: posuwała się naprzód jak lodołamacz torujący sobie drogę w kierunku bieguna południowego – bardzo powoli, ale nieubłaganie. Ów list zaczął kruszyć ciszę, jaka zadomowiła się w jej umyśle i duszy.

– Założyliśmy koło literackie w tutejszej bibliotece – odezwała się dziewczyna. – Byłby to dla nas wielki zaszczyt, gdyby Mara Polsky zechciała wystąpić na jego inauguracji i zostać naszą patronką. I jak już śnić...

Jak już śnić, pomyślała Mara Polsky, jeszcze ci mało? Laureatka Nagrody Pulitzera, poetka nominowana do Nagrody Nobla, która siedzi między wsioowymi dziadkami, pryszczatą dziatwą bez matury i domowymi kurami i rozwodzi się na temat literatury. Czy to samo w sobie nie jest już baśniowym snem? – drwiła w myślach. Snem dla nich, a dla mnie senną marą, nomen omen.

– Proszę, proszę mówić dalej – zachęciła, udając żywe zainteresowanie.

– I jak już śnić... może zechciałaby dołączyć do naszego koła w czasie swojej bytności w Porvenir. – Alma zagrała va banque.

Tego tylko brakowało! Mara uśmiechnęła się w duchu. Być może dla antropologa czy pisarza dłubiącego w realiach społeczno-obyczajowych takie doświadczenie byłoby cenne. Ale ona była przecież wybitną poetką i jej intelektualne rozważania sytuowały się na antypodach tego miasteczka, zagubionego w zapadłej dolinie zapadłego kraju. Mimo to naiwność i śmiałość dziewczyny – z której w końcu przestała kapać woda – były takie urocze.

– Zreferuję Marze pani prośbę. A czy można wiedzieć, na który dzień została przewidziana inauguracja?

– Na czternastego lutego.

Mara zaczęła intensywnie kaszleć, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Zajrzę do agendy i sprawdzę, czy mistrzyni będzie tu jeszcze w tych dniach. – Sama się zdziwiła, że już po raz drugi używa tego samego słowa. – À propos, bardzo osobliwa data. Czy jest po temu jakiś szczególny powód? – Spojrzała pytającym wzrokiem na dziewczynę, usiłującą obciągnąć czarną minispódniczkę.

Alma nie spieszyła się wcale i odparła:

– To dlatego, że Mara Polsky jest Amerykanką, a jak wszystkim wiadomo, w jej kraju dzień świętego Walentego jest powszechnie obchodzony... Poza tym duża część literatury epistolarnej traktuje o miłości...

Mara puściła mimo uszu pierwszy argument. Pod względem niektórych spraw była Amerykanką, pod względem innych – nie. A ta konkretnie należała do tej drugiej kategorii. Ale Milena nie musiała tego wiedzieć. Skupiła się natomiast na drugiej części zdania: literatura epistolarna? O co chodzi tutejszym ludziom z tymi listami? Czy to jakaś obsesja, może genetyczna skaza?

– Literatura epistolarna?

– Och, przepraszam! Zapomniałam dodać, że koło będzie się zajmować właśnie tym gatunkiem. Pragniemy rozmawiać o listach i nadać im rangę, na jaką zasługują w historii literatury.

Alma nie wiedziała, jak ma interpretować nagły wyraz zdumienia na twarzy sekretarki. Miała lekko rozwarte usta i przechyloną na bok głowę, jakby w tej pozycji łatwiej jej było zrozumieć, co do niej mówią. W końcu zdołała wzbudzić jej zainteresowanie! Polechtana mile tą myślą, postanowiła zadać ostateczny cios:

– Jak wiadomo, list jest najlepszym wehikułem – docierasz wszędzie, nie poruszając niczym z wyjątkiem serca.

– To pani? – spytała poetka, wyraźnie zaintrygowana.

– Bardzo bym chciała! Nie, nie, to zdanie Phyllis Theroux.

– W takim razie jak je pani rozumie?

– Wszyscy pragniemy uciec od siebie samych, stać się kimś innym, poznać inne miejsca, być blisko ludzi, których kochamy, a których z nami nie ma, odwiedzać nasz dom, gdy jesteśmy daleko... A listy dla większości śmiertelników są środkiem, za pomocą którego można to wszystko osiągnąć. Nie każdy może kupić sobie bilet lotniczy czy uciec na drugi koniec świata, kiedy sprawy zaczynają się komplikować albo spleen zaciska się jak pętla na szyi... – Alma pożałowała ostatnich słów, gdy tylko ich głoski ześlizgnęły się z jej warg. Zobaczyła je, kłębiące się pomiędzy nią i Dulcyneą niczym gęsta, burzowa chmura. Gdyby mogła, przepędziłaby je na cztery wiatry. Zadrżała z obawy, że sekretarka Mary

może uznać, iż osądza artystkę za to, że uciekła z Nowego Jorku i schowała się tutaj. Zezłości się?

Ale miast ją rozgniewać, owe strzały niewinnej szczerości trafiły w czuły punkt wyschłego serca Mary.

– Nic nie mogę pani obiecać. Przytoczę Marze, w sposób najwierniejszy z możliwych, pani słowa. Zapytam, czy będzie mogła przyjąć zaproszenie na czternastego lutego i powiedzieć kilka słów o gatunku epistolarnym. Ale zanim się pożegnamy, chciałabym się dowiedzieć, jeśli to możliwe, jak dowiedziała się pani o naszym pobycie tutaj.

Alma zdrętwiała. Przez ostatnią dobę przerobiła całe mnóstwo pytań i odpowiedzi, ale akurat tego zabrakło w jej repertuarze.

Westchnęła głęboko. Przypomniała sobie słowa babki: „Prędzej da się złapać kłamca niż kulawy”. Naplotła już tyle kłamstw, poczynając od swojego imienia, że może dla odmiany lepiej byłoby powiedzieć coś zgodnego z prawdą. Nie pamiętając, że wspominała o tym w liście, ponownie przytoczyła historię koleżanki z wymiany międzyuczelnianej, która odkryła dla niej Marę Polsky. I o tym, że ta amerykańska przyjaciółka, pracująca obecnie w czasopiśmie literackim, wiedząc, jak wiele poetka dla niej znaczy, dała Almie znać, że Mara wyjechała na bliżej nieokreślony czas do rodzinnego miasteczka jej babki.

Mara zrobiła wielkie oczy. Zdaje się, że już słyszała tę historię, przeczytała o niej w liście. Alma? Milena? Do której z nich należała ta historia?

Na kilka sekund zaległo pełne napięcia milczenie. Alma była przerażona, że oto w jednej sekundzie zaprzepaściła wszystko. Może już lepiej było kłamać, lamentowała w duchu.

Mara postanowiła zagrać w otwarte karty.

– Alma? – Dziewczyna poczerwieniała. Czy sekretarka wymówiła jej imię? Może się przesłyszała? – Alma Meillás? – powtórzyła kobieta.

Alma przełknęła ślinę, bojąc się otworzyć usta. Pochyliła głowę z miną dziecka przyłapanego na podjadaniu czekolady. Jak skazaniec czekający w trwodze na topór kata usiłowała wymamrotać ostatnią prośbę o darowanie winy.

– Ja, my, nie wiedziałam, to znaczy...

Mara dosłownie zawlekła ją do drzwi wyjściowych. Zszokowana twarz Almy przypominała jej niektóre obrazy ekspresjonistyczne. Walczyła ze wszystkich sił, żeby zachować powagę, chociaż biliony jej komórek zarykiwały się ze śmiechu.

Na szczęście przestało padać. Gdy wystawiła dziewczynę za drzwi, zatrzasnęła je za sobą z hukiem. Oparła się plecami o framugę z westchnieniem ulgi – jak człowiek, który wykonał dobrą robotę. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie zdumienie malujące się na twarzy tego poetyckiego pisklaka, który ni stąd, ni zowąd znalazł się na ulicy. I to, jak zdumienie na tej twarzy ustępowało czarnej

rozpaczy. A jeszcze później – obezwładniającemu zwątpieniu.

– Raz, dwa, trzy – mruknęła.

Obróciła się na pięcie. Otworzyła drzwi, jakby właśnie przed chwilą ktoś zapukał. Jej oblicze rozświetlił piękny uśmiech, z tych, które towarzyszyły jej w czasach, kiedy jeszcze potrafiła czerpać satysfakcję z prezentacji nowego dzieła, i jak gdyby nigdy nic zaszczębiotała:

– Dzień dobry.

Twarz Almy wykrzywił grymas wyrażający skrajne rozdarcie duszy. Nie wiedziała, czy ma wątpić, cieszyć się, osłupieć... czy wpaść w panikę.

– Nazywam się Mara Polsky. A ty? – rzuciła radośnie poetka, wyciągając ku niej dłoń.

Zawdzięczała Almie powrót natchnienia, a porywcza i sarkastyczna Mara Polsky miała życzliwe serce.

Wyjaśniwszy sobie nieporozumienie, sławnej poetce i poetce marzycielce, niczym dwóm starym, oddanym przyjaciółkom, godziny mignęły jak jaskółki na niebie. Pierwsza zstąpiła z Olimpu, zapominając o swoich błyskotkach i tunikach, aby pić z pasji i radości kogoś, kto pała gorącym i czystym pragnieniem. Druga wyzbyła się swoich obaw, puszczać w niepamięć wszystkie za i przeciw, aby pić z doświadczenia i wiedzy spełnionego artysty.

Mara Polsky otworzyła swoje serce i zwierzyła się Almie – pewna, że dziewczyna ją zrozumie – z niemocy twórczej paraliżującej ją od wielu miesięcy. Dzieląc się z drugim człowiekiem wspomnieniem o dniach i nocach pustki i udręki, poczuła się lżejsza, jakby pozbywała się jakiegoś straszliwego ciężaru. W oczach dziewczyny wyczytała szczerzy podziw dla swojej twórczości. Ta ślepa wiara w siłę i autentyczność tej poezji poruszyły Marę do głębi.

Alma wyrecytowała z pamięci kilka jej wczesnych wierszy. Za sprawą tego młodego głosu stara poetka na nowo odkryła siebie sprzed lat. Czy istotnie spod jej ręki wyszły tamte obrazy? Czy to ona była zdolna penetrować w sposób tak przenikliwy krajobrazy duszy? – zadawała sobie pytanie, niewymownie zdziwiona.

Wyznała Almie, że w desperacji uciekła przed telefonami swojego wydawcy, przed dziennikarzami, przyjaciółmi, naglącymi o kolejne dzieło. Od trzech lat nie napisała ani jednego słowa i coraz trudniej było usprawiedliwić się przed otaczającym ją światem. Nie zastanawiała się ani minuty: bliscy jej ludzie zapewnili ją, że tu, w Porvenir, znajdzie coś na podobieństwo raj.

– Lecz, Almo, piekło i raj nosimy w sobie – powiedziała łagodnie. – Wylądowałam tutaj i te same demony szczerzyły do mnie kły z czystych kartek papieru. One żyją we mnie.

Z cierpliwością, zdumiewającą u kogoś w tak młodym wieku, Alma słuchała

w milczeniu jej płaczu, skarg i lęków. Od czasu do czasu, niczym wytrawny łucznik, wypuszczała pytanie, które zawsze trafiało w sedno.

Z początku Mara Polski odpowiadała jej z pewnym zaskoczeniem. Ale już po godzinie przestała patrzeć na nową przyjaciółkę przez pryzmat wieku i doświadczenia. Czuła, że tętni w nich ten sam poetycki puls, znoszący barierę wieku czy różnic kulturowych.

– Przeczytałam twój list jak człowiek zabłąkany na pustyni. Nie mogłam się od niego oderwać. Drzemie w nim olbrzymia siła. – Wyciągnęła kopertę z jakiejś książki. Alma zadrżała, rozpoznawszy swój list w rękach wspaniałomyślnej Mary. Choćbym żyła wiek cały, nigdy już nie będzie mi dane przeżyć drugiej takiej chwili, pomyślała. Przymknęła powieki, pragnąc utrwalić ten obraz w pamięci. Utrwalić słony smak łez na wargach. – Zdecydowałam już, co zrobisz z domem babki? I przy okazji ze swoim życiem? – zagadnęła ją Mara, częstując chlebem i serem. – Zdajesz sobie sprawę, że zarówno temu domowi, jak i tobie przyświeca ta sama gwiazda?

Almę zaskoczyło to pytanie. Minęło już kilka miesięcy od tamtej nocy, kiedy wysiadła z taksówki, wsunęła klucz w zamek i od razu poszła spać, żywiąc nadzieję, że rankiem wszystko będzie łatwiejsze. Dzień po dniu odkładała decyzję co do przyszłości własnej i tego domu. Zaraz na początku jej uwagę odwrócił łańcuch listów. Potem zaś ukochany Alex. Teraz koło literackie było na najlepszej drodze, żeby odsunąć w czasie pierwotne plany.

– Nigdy nie znajdujemy odpowiedniego momentu, aby rozstrzygnąć nasze dylematy – kontynuowała Mara, jakby odgadując myśli nurtujące dziewczynę. – Nie chcę przez to powiedzieć, że łańcuch listów, koło literackie i ten jasnowłosy chłopak mają drugorzędne znaczenie. Przeciwnie, jestem przekonana, że wszystko to jest dla ciebie naprawdę ważne. Ale nie zaangażujesz się całą duszą i sercem ani w jedno, ani w drugie, ani w trzecie dopóty, dopóki nie podejmiesz tej fundamentalnej decyzji: co chcesz zrobić ze swoim życiem.

Alma wbiła wzrok w parkiet. Ugryzła kawałek chleba i upiła łyk wina ze szklanki. Do licha! Ta babka niczego nie owija w bawełnę, pomyślała.

– Ułatwię ci zadanie. Gdyby to była powieść i twoja marząca o pisaniu bohaterka odziedziczyłaby dom na wsi... jak pokierowałabyś jej losem? Co stałoby się w ostatnim rozdziale? Bądź odważnym twórcą. Wyzbądź się konwencjonalizmów.

Kiedy po jakimś czasie Alma przypomniała sobie swoje słowa, wciąż nie wiedziała, skąd się one wzięły. Do tej pory nigdy nie miała świadomości, że ta idea drzemała w szufladzie pragnień jej serca.

– Moja bohaterka zostawiłaby w stolicy swoje wygodne życie i pracę, która nie daje jej satysfakcji. Spakowałaby się i wyjechała do Porvenir, aby poświęcić się pisarstwu. Po kilku tygodniach zdałaby sobie sprawę, że nie ma co włożyć do

garnka, i...

– I co? Tylko błagam cię, nie mów mi, że poszukałaby pracy kasjerki w jednym z miejscowych sklepów. Czy jeszcze gorzej, nie staraj się mnie przekonać, że spotkałaby księcia z bajki, wyszłaby za niego za mąż i żyła z dochodów kapitałowych. Bo skarb ukryty pod śliwą możemy włożyć między bajki, nieprawdaż? – rzuciła prowokacyjnie Mara. Chciała od niej usłyszeć, czego pragnie ponad wszystko w świecie.

– Może stworzyłaby w tym wielkim domu przystań dla początkujących pisarzy? Wówczas nie musiałaby go sprzedawać, bo koszty utrzymania rozłożyłyby się. Mogłoby tam mieszkać jednocześnie pięciu przyszłych autorów. Poeci, prozaicy, dramaturdzy... Gatunek literacki, wiek i narodowość nie miałyby znaczenia! Musieliby spełnić tylko jeden warunek: pracować nad swoim utworem. I nie posiadać żadnych wcześniejszych publikacji. – Alma zaczęła krążyć w kółko przed rozbawioną Marą. Poruszała rękami, jakby usiłowała zapisać w powietrzu wszystkie wypowiedane słowa. Nie zdążyła dokończyć jednej myśli, gdy następne cisnęły się jej na usta. – I wszystko nieodpłatnie. Rozliczaliby się swoją pracą, pomagając w utrzymaniu domu, przy uprawie warzyw i owoców na własne potrzeby, a jeśliby któregoś dnia stali się sławni, byłiby obowiązani ufundować stypendium dla jednego początkującego pisarza... Mogliby tam mieszkać i pracować do chwili uzyskania pierwszego brudnopisu, na tyle przyzwoitego, aby można go było wysłać do wydawnictwa. Jeśliby został przyjęty, wówczas: *bye, bye!* Wyfruwają z gniazdka.

– Podoba mi się ten pomysł! Bardzo mi się podoba! – zawołała Mara, przymykając oczy.

– Tym lepiej, bo w mojej powieści pewna sławna amerykańska poetka zostaje patronką tego literackiego przytuliska. No i, szczerze mówiąc, mając ciebie pod ręką, po co mi dalej szukać.

Mara Polsky uniosła powieki i popatrzyła na nią przeciągle. Uśmiechnęła się.

– Bardzo szybko się uczysz! Można wiedzieć, jak nazywałoby się to patronowane przeze mnie przedsięwzięcie?

– Zważywszy na jego międzynarodowy profil, coś po angielsku. Łatwe do wymówienia na pięciu kontynentach.

– Chytrze.

– Jeśli to ma być dom z wiktem i noclegiem, to może... Literacki Bed & Breakfast?

– Zmobilizuj się... stać cię na więcej!

Alma zapatrzyła się w okno. Na zewnątrz było ciemno. Noc zapadła już kilka godzin temu, a jednak miała wrażenie, że upłynęły zaledwie minuty, odkąd weszła do tego domu po raz drugi. A może całe życie?

– Bed & Breakbloc?

– Prawie, ale to jeszcze nie to... – zawyrokowała Mara. – Zrobię ci pierwszy prezent, jak przyjaciółka przyjaciółce. Ofiaruję ci nazwę: Bed & First Draft.

Alma nagrodziła ją entuzjastycznymi oklaskami. Nie mogąc powstrzymać emocji, zaczęła wirować po salonie. Zamknęła oczy i rąbnęła w stół, regał na książki i stojącą lampę. Nic jednak nie mogło jej powstrzymać. Poskromiły ją dopiero dwie dłonie, które spoczęły na jej ramionach.

Otworzyła oczy. Przed nią stała Mara i patrzyła na nią pytającym wzrokiem.

Alma wzruszyła ramionami, nie rozumiejąc.

Mara potrząsnęła nią.

– Na co czekasz? Jesteś autorką swojego życia. Dopisz ten finał.

Lepiej wcześniej niż później

Miłość to grom z jasnego nieba, poczucie humoru to  
nasz piorunochron.

BRYCE ECHENIQUE

Álex miał wyrzuty sumienia. Skłamał, mówiąc Almie, że nie może z nią iść do Mary Polsky, bo jego ojciec ze strachu schował się pod łóżkiem.

Modlił się, żeby go nie zobaczyła – pedałuującego na rowerze do Mastán w strugach deszczu. Całe szczęście, że osiedle La Rosa de los Vientos znajdowało się po przeciwnej stronie, chociaż weź tu traf za tą poetycką duszą – nigdy nie było wiadomo, czy nie wybierze przypadkiem okrężnej drogi, aby trafić do celu, czy nie wyruszy na poszukiwanie swojej muzy, za nic mając szalejącą burzę. Zaśmiał się i mocniej nacisnął na pedały.

Miał powód, którego nie mógł jej wyjawić. Przynajmniej na razie.

Nie martwił się rezultatem spotkania: wiedział, że Alma poradzi sobie o wiele lepiej w pojedynkę.

To sprawa między poetkami. Dam sobie rękę uciąć, że znalazły wspólny język, pocieszał się, próbując przepłoszyć resztki poczucia winy. Z oddali widział już pierwsze światła sąsiedniego miasteczka.

Jechał wymarłymi ulicami, zmierzając do baru, w którym umówił się na spotkanie. Otworzył drzwi i rozejrzał się po lokalu. Od stołu w głębi dobiegł go znajomy głos, który prosił o kawę z mlekiem i *churros*. Ten sam głos powiedział coś żartem do kelnera, który z niewzruszonym wyrazem twarzy wrócił za bufet.

Najwyraźniej nic się nie zmienił, chociaż minęło dziesięć lat. Brzmienie znajomego śmiechu przywołało w pamięci Álexa niedzielne popołudnia odległego dzieciństwa: zapach gorącej czekolady w kuchni jego matki, starsi chłopcy budujący ciężarówkę z klocków Lego i on, najmłodszy, próbujący za wszelką cenę je rozmontować. Brat wściekał się na niego, a jego najlepszy przyjaciel starał się pocieszyć pędraka: „Zobaczysz, Álex, któregoś dnia będziesz miał jeszcze lepsze zabawki, a my będziemy cię prosić, żebyś dał się nam pobawić”.

– Álex, Álex! – Ten sam głos ściągnął go z powrotem na ziemię. Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna pod czterdziestkę podszedł do niego i chwycił w objęcia. – Rozmarzony jak zwykle, co? Mówię do ciebie, a ty nic!

Słyszając najlepszego przyjaciela swojego starszego brata, Álex odniósł wrażenie, jakby rozstali się zaledwie przed chwilą.



To jedna z jego zalet, pomyślał, nie spuszczać z niego wzroku. Dwoma słowami i przyjaznym gestem potrafi sprawić, że czujesz się komfortowo, czujesz, że czeka na ciebie z otwartymi ramionami.

– Co cię tu sprowadza? Myślałem, że napychasz sobie skarpetę dolarami na platformie wiertniczej... Przyjechałeś prosić rodziców o błogosławieństwo przed ślubem z jakąś piękną wikińską wojowniczką? Wreszcie spoważniałeś! – zażartował Álex.

– Zimno, zimno...

– Niech zgadnę, Fernando. Wróciłeś po resztę rzeczy, których nie zdążyłeś zabrać z domu, żeby z powrotem prysnąć i zacząć nowe życie jeszcze dalej stąd?

– Lód, Álex.

– Poddaję się!

– Prawidłowa decyzja. Nie mam zamiaru nic zabierać. Co więcej, przyjechałem na przeszpiegi, czy aby nie sprowadzić całej mojej chudoby tutaj. Wszystko zależy od tego, jak rozwinie się pewien temacik. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli... – Álex patrzył na niego, nie wierząc własnym uszom. Był przyzwyczajony, że ludzie stąd wyjeżdżali, a nie odwrotnie. Z napomknięć brata wiedział, że Fernandowi wiodło się całkiem nieźle: miał dobrą pracę, zarobki, przyjaciół i nie usychał z tęsknoty za rodzinnym domem. Po diabła więc chce wracać? Nie mógł tego pojąć. – Miłość przyciągnęła mnie do Porvenir. Ot tak, znienacka. No co? Jak połkniesz bakcyła, mały, to zrozumiesz. – Mimo iż się starał, jak mógł, Álex spiekł raka. Modlił się, żeby Fernando nic nie zauważył, ale na próżno. – Co ja widzę? Wygląda na to, że już połknąłeś haczyk! Nie będę o nic pytał... na razie – powiedział Fernando. – Ale jak tylko uporam się z moim tematem, wezmę się za ciebie, możesz na mnie liczyć.

– Spokojnie! O nic cię nie prosiłem – bronił się zawstydzony Álex.

– W porządku. Ale za to ja mam do ciebie prośbę. Potrzebuję twojej pomocy, żeby sprawić niespodziankę mojej ukochanej i wydębic od niej sakramentalne „tak”. Albo przynajmniej „może”.

– I to z tego powodu cała ta konspiracja? Codziennie, we wszystkich zakątkach świata zakochani wyznają sobie miłość! Dzwonisz do mnie o północy, zabraniasz mi mówić komukolwiek o tym, że tu jesteś, umawiasz się ze mną w barze w sąsiedniej miejscowości. Ryzykowałem życie, przedzierając się przez burzę z piorunami. Czuję się bardziej członkiem francuskiego ruchu oporu niż pomocnikiem Kupidyna!

– To musi być uderzenie o porażającej sile rażenia – oświadczył Fernando. – Wszystko już obmyśliłem. Teraz musimy wziąć się do roboty i właśnie teraz jesteś mi potrzebny. Zgódź się. Jesteś mi to winien.

– Jestem ci to winien?

– Nie raz i nie dwa zasłoniłem cię własnym ciałem przed twoim bratem

żadnym krwawej zemsty, może nie? I szczerze mówiąc, godnie sobie na nią zasłużyłeś. – Mrugnął do niego porozumiewawczo.

Álex wiedział, że i tak mu pomoże – i wcale nie w ramach spłacenia jakiegoś długu. Zawsze lubił Fernanda. Był w porządku facetem.

– Czy ta twoja wybranka ma jakieś imię...? Czy mam nazywać przyszłą matkę twoich dzieci tematem?

– Nie wiedziałem, że taki z ciebie żartowniś! Siedzisz? Gdy usłyszysz jej imię, zrozumiesz, dlaczego muszę być taki ostrożny.

– Ostrożny? Chyba maruda! Wydusisz to z siebie wreszcie czy nie?

– Jej imię jest zwięzłe, ale kryje się w nim biblijna moc: Sara. – Álex otworzył tak szeroko usta, że po raz pierwszy zrozumiał sens powiedzenia, że szczeka komuś opada. Czyżby Fernando mówił o tej samej Sarze, o której on myślał? Nie, to niemożliwe... Błyskawicznie przewertował w pamięci książkę telefoniczną Por-venir, próbując wytropić inną Sarę. – Kilka miesięcy temu napisałem do niej, żeby poprosić o pomoc z wysłaniem listu poleconego. I tak jakoś poszło...

Nie było najmniejszych wątpliwości – mówił o Sarze, rudej listonoszce z trzema synami, sąsiadce Rosy, córce przyjaciół jego rodziców. Sara, słynna Sara, ta od łańcucha listów.

W kilka minut Fernando wtajemniczył go w swoje czatowanie z listonoszką podczas dyżuru na środku Morza Północnego. Opowiedział mu o rozmowie telefonicznej w sylwestra i o nostalgii, która go dopadła, gdy sobie uświadomił, że w takim dniu nie może być razem z nią.

– Leżąc na koi w kajucie, otoczony obcymi ludźmi, zdałem sobie sprawę, że następne Boże Narodzenie chcę spędzić tutaj, z bliskimi... i z nią. Wszystkie „ale” już znam: że jest nieco starsza ode mnie, że ma trzech synów, że może zaraz straci pracę... Więc nie wysilaj się.

Álex patrzył na niego w milczeniu. Wcale o tym nie myślał – miał ochotę mu wykrzyknąć. W duchu powtarzał z radością: „Hurra, Saro! Zasługujesz na to”. Ale odparł jak gdyby nigdy nic:

– Bardzo się ucieszę z powrotu przyjaciela. Co mam zrobić, żeby dała ci swoje „tak”?

Fernando wyjaśnił, że za trzy dni Sara ma czterdzieste urodziny. Chciałby zorganizować dla niej w Porvenir przyjęcie niespodziankę, w którym wzięliby udział jej najbliżsi. Dlatego tak bardzo zależało mu na dyskrecji: on, Fernando, chciał być częścią tej niespodzianki.

– Na początek potrzebuję jakiegoś lokum, w którym mógłbym się zamelinować i zorganizować całe przedsięwzięcie.

– Wiesz, że u mnie w domu jest dość miejsca – zaproponował Álex, nie przestając myśleć o ojcu.

– Dzięki, ale to nie jest najlepszy pomysł. Sara mogłaby niespodziewanie wpaść z wizytą do twojego ojca. Poza tym mieszkasz w centrum! Nie mógłbym wyjść na ulicę, chyba że bladym świtem, bo mógłbym się gdzieś na nią nadziać.

Jedyny w Porvenir hostel znajdował się tuż obok domu Rosy i Sary. Obaj zgodzili się, że to zbyt ryzykowna opcja.

– Jaka szkoda, że moda na wynajem domów na wsi nie dotarła w te lasy! To byłoby idealne rozwiązanie. Dom stojący gdzieś na uboczu, z dala od miasta, dyskretny, wystarczająco przestronny, aby można było się w nim spotkać i dopracować szczegóły naszej akcji. Ale ładny domek, nie byle co, człowiek w końcu nie wypadł sroce spod ogona.

Álex aż podskoczył z wrażenia. W Porvenir jest taki dom. Sęk w tym, że jego właścicielka nie nosiła się z myślą wynajmowania pokoi.

– Mam! Dom między Mastán i Porvenir. Teraz mieszka tam dziewczyna, moja znajoma. Mieszka sama i możemy ją zapytać. Jestem pewny, że dobre towarzystwo i trochę grosza zawsze jej się przyda.

– Znajoma czy... *ta znajoma*? – spytał z szelmowskim uśmiechem Fernando, mrugając do niego znacząco.

Była już dwudziesta trzecia, a on wciąż nie dostał od Almy SMS-a. Zaczął się niepokoić: poszła do Mary o osiemnastej. Jak to możliwe, że jeszcze nie wróciła? Jak nic wyłączyła telefon przed wejściem do środka i zapomniała go ponownie włączyć. A może się obraziła, że wystawił ją do wiatru?

Pożegnał się z Fernandem w barze w Mastán. Wskoczył na rower i wyruszył na poszukiwanie Almy. Uznał, że najlepiej będzie wysondować, co się wydarzyło, i wtajemniczyć ją w szczegóły planu w cztery oczy.

Od piętnastu minut siedział przy furtce domu Luisy Meillás, gdy ujrzał wylaniającą się z mroku taksówkę. Wysiadła z niej Alma. Z jej oblicza biła łuna radości. Podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję. Nie spodziewał się takiego entuzjastycznego powitania. Oboje runęli na ziemię. Alma obsypała go gradem pocałunków, wyrzucając z siebie chaotyczne zdania o blokadzie, raj, piekle, o byciu autorką własnego zakończenia oraz o powołaniu do życia czegoś, co miało się nazywać *bed and breakfast*.

Trzeba kuć żelazo, póki gorące, pomyślał Álex, gdy wchodzili do domu.

– À propos *bed and breakfast*... to mam dla ciebie pierwszego gościa. Nie jest, co prawda, pisarzem, ale...

Alma spojrzała na niego zaskoczona.

– Chwila, to na razie tylko pomysł... Nie wiedziałabym nawet, ile wziąć.

– Coś wymyślisz. Potraktuj to jak praktykę.

– Álex, co się stało dziś po południu? Bo mam wrażenie, że coś

przeoczyłam.

– Dowiesz się wkrótce... Rozpalić w kominku? Zimno tu jak w psiarni.

– Oj, oj, oj! Coś mi się zdaje, że zanosi się na dłuższe posiedzenie. – Alma usadowiła się wygodnie na kanapie.

Álex patrzył na nią rozradowany. Ta dziewczyna nie przestawała go zaskakiwać. Kiedy tylko opowiedział jej historię Fernanda i jego plan zdobycia serca Sary, wpadła w entuzjazm.

– Pomagierzy Kupidyna? Bosko! W imię miłości jestem gotowa na wszystko. Mogę nawet przyjąć pod swój dach obcego człowieka.

Czuła się jak anioł stróż listonoszki: najpierw pomagała jej w utrzymaniu pracy, a teraz – w znalezieniu miłości.

Całe szczęście, że gdy ją poznałam w bibliotece, wydała mi się przesympatyczna, pomyślała.

– Nie jest obcy – sprostował Álex. – Znam go od dzieciństwa. Gdyby nie był dobrym człowiekiem, nigdy nie przyszłoby mi do głowy proponować ci podobnego układu.

Dmuchnął w jej kasztanową grzywkę i objął opiekuńczym gestem.

Alma zamknęła oczy i pogrążyła się w myślach. O cóż jeszcze można było prosić? Poznała swoją ukochaną pisarkę i chociaż może za wcześnie, by o tym mówić, wydawało się, że zawiązała się między nimi nić przyjaźni. Dotknęła czubkami palców ewentualnego rozstrzygnięcia dylematu swojej przyszłości. A teraz najurodziwszy chłopak na świecie, jej chłopak, tulił ją do siebie.

Ostrze jednego niewinnego pytania, które zadał jej Álex, gdy czekali na przybycie Fernanda, przekłuło balon bezgranicznego szczęścia.

– W takim razie rozumiem, że Mara Polsky przyjęła zaproszenie na czternastego i zainauguruje nasze koło?

Dopiero wówczas Alma uświadomiła sobie, że poetka nie powiedziała jej ani „tak”, ani „nie”, ani „vice versa”.

## Stypendyści Kupidyna

Prawdziwa rozkosz ucztowania jest nie w obfitości wykwintnego jadła, lecz w sposobności spotkania się i rozmowy z przyjaciółmi.

CYCERON

Data: 25 stycznia

Od: palvarez@pocztaglowna.com

Do: snaval@pocztaporvenir.com

Temat: Re: Przeniesienie

*Witaj, Saro.*

*Przykro mi, że nie mam jeszcze żadnych informacji co do Twojej przyszłości. Wiem, że minęły już dwa miesiące, odkąd otrzymałaś wiadomość z centrali o spodziewanym zamknięciu urzędu pocztowego w Por-venir i Twoim przeniesieniu. Podjęcie takiej decyzji wymaga czasu, nie można tego zrobić z dnia na dzień. Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę, że w centrali rozpatrują wszystkie za i przeciw. Oczywiście, tak jak nas o to prosisz w ostatnim mailu, zwróciliśmy uwagę na systematyczny wzrost korespondencji w miasteczku. Tak jak Ty, my również jesteśmy zaskoczeni! Możesz być pewna, że przez szacunek dla Twojego ojca, jako listonosza i człowieka, oraz dla Ciebie zrobię, co w mojej mocy, aby możliwie jak najszybciej udzielić Ci odpowiedzi.*

*Pedro Álvarez*

*Kierownik rejonu*

*Poczta Główna*

Przez cały ranek Sara usiłowała przeniknąć zaszyfrowaną informację, jaką bez cienia wątpliwości zawierała wiadomość kierownika. Próbowала sobie

wyobrazić jego twarz w czasie pisania: ociekała potem, była zacięta i blada? To z pewnością byłby zły znak.

Pedro Álvarez był kolegą jej ojca. Różnica wieku między nimi nie była przeszkodą, aby od samego początku przypadli sobie do gustu. Chociaż minęło już tyle lat i był w wieku przedemerytalnym, Pedro wciąż bardzo ciepło wspominał mnóstwo anegdot z tamtych pierwszych lat. Wiedziała, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było przekazać jej złą wiadomość.

– „Podjęcie takiej decyzji wymaga czasu, nie można tego zrobić z dnia na dzień” – przeczytała głośno. Podniosła wzrok znad ekranu komputera. A co ten Ped-ro sobie wyobrażał? Że w ciągu kilku godzin można rozmontować, spakować i przenieść w obce miejsce życie czterdziestoletniej kobiety i trójki jej dzieci? Poczula, jak zaczyna wzbierać w niej wściekłość: od wielu tygodni żyła z tą niepewnością, którą nosiła w swojej torbie na listy, i nie mogła ścierpieć tej nadwagi.

Odetchnęła głęboko i na nowo skupiła się na mailu.

– Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę, że w centrali biorą pod uwagę wszystkie za i przeciw – powtórzyła, kreśląc w myślach wagę i kładąc na obu szalach wszystkie „za” i „przeciw”. Próbowała wyobrazić sobie, który argument może ważyć więcej dla menedżerów ze sztabu poczty: konieczność zapewnienia rentowności kadr i całej struktury? Znaczenie historii stuletniego urzędu pocztowego? Racjonalizacja wydatków i wpływów? Czy może indywidualny kontakt z klientem?

Po kręgosłupie spłynęła jej kropla zimnego potu: nigdy nie rozmawiała z superbosami, ale miała stuprocentową pewność co do ich priorytetów.

„Oczywiście, tak jak nas o to prosisz w ostatnim mailu, zwróciliśmy uwagę na systematyczny wzrost korespondencji w miasteczku. Tak jak Ty, my również jesteśmy zaskoczeni!”. Rzuciła smętne spojrzenie w kierunku magazynu. Była druga i Karol już jakiś czas temu wyszła do swojej następnej pracy, do domu samotnej kobiety w średnim wieku.

– Wiem, że masz dużo pracy, ale to nie jest usprawiedliwienie – rzuciła z przyganą w głosie za mglistym wspomnieniem sprzątaczk.

Od kilku dni martwiła się, że łańcuch ulegnie przerwaniu. Na początku bała się o swoją pracę. Ale teraz, prawdę mówiąc, trapiło ją co innego. Nie dawało jej spokoju, co pomyślały inne kobiety, które, podobnie jak ona, przelały na kartkę papieru skrawek swojego życia, dzieląc się nim z jakąś nieznaną.

Jak się czują? Czy są zawiedzione? Rozczarowane? Smutne?

Wielki ciężar spoczywał na jej barkach – na razie tylko ona wiedziała, że łańcuch jest śmiertelnie zagrożony. Czy miała prawo wziąć sprawy w swoje ręce i wysłać jeszcze jeden list, aby reanimować całe przedsięwzięcie? A może lepiej porozmawiać z Karol, opowiedzieć jej prawdę i poprosić, aby jednak napisała kilka

słów?

Rozmyślając, w jaki sposób ugryźć ten problem, w jak najmniejszym stopniu uchylając duchowi tej anonimowej inicjatywy, spojrzała przez okno biura. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Oho, kogóż to niesie? Rycerz smętnego oblicza, Alex, wraz z Almą, wybranką swego serca – szepnęła. Z miejsca wyczuła łączącą ich zażyłość, patrząc, jak ganiają się niczym dzieci między zaparkowanymi samochodami. Radość z nieskrywanego szczęścia chłopca uciszyła jej troski.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł, żeby prosić ją o przygotowanie cateringu? – spytała Alma.

Alex skinął głową. Zapukał w masywne, drewniane drzwi, żeby dziewczyna nie zdążyła wyskoczyć z jakimś nowym „ale”. Przygotowywali przyjęcie urodzinowe niespodziankę z okazji czterdziestki Sary i mieli na głowie mnóstwo spraw, między innymi catering dla kilkudziesięciu osób – dorosłych i dzieci.

W noc pojawienia się Fernanda w domu Almy gadali z nim do trzeciej nad ranem. „Musimy zrobić coś naprawdę wyjątkowego”, powtarzał niestrudzenie „Norweg”. „Nie przejmujcie się wydatkami, pokrywam wszelkie koszty, nie żałujmy sił”. I to właśnie oni mieli nie żałować sił. Kochanek przybyły z krainy chłodu, jak nazywała go Alma, nie mógł ryzykować, że ktoś zobaczy go na ulicy.

Alex i Alma stanę się jego stopami i dłońmi. „No i moim słuchem i wzrokiem, żeby mieć rozeznanie, jak się czuje Sara, czy przejmuje się swoimi urodzinami albo z kim chciałaby je spędzić”, powiedział bardzo poważnie.

Pierwsza decyzja – wybór miejsca – była łatwa. Entuzjastycznie nastawiona do roli stypendystki Kupidyna, Alma zaoferowała swój dom, zanim ktokolwiek ją o to poprosił. Razem z Alexem uznali to za wspaniały pomysł – to miejsce było cudowne i w pewnym sensie magiczne. Ale oprócz tego również praktyczne: Fernando mógł przygotowywać oprawę przyjęcia według własnego uznania, nie obawiając się, że ktoś odkryje jego obecność.

Kochanek przybyły z krainy chłodu wyściskał z wdzięczności Almę niezliczoną ilość razy. Nie wiedział jednak, czego aspirantka na poetkę mu nie wyznała – jej oferta nie była całkiem bezinteresowna.

– Jeśli uda się nam doprowadzić tę piękną miłość Sary i Fernanda, historię drugiej szansy, do szczęśliwego końca, uwolnimy od złej karmy mój dom, pamiętający przecież nieszczęśliwą miłość babki – wyznała zaskoczonemu Alexowi.

Alma z całego serca wierzyła, że Luisa Meillás, gdziekolwiek jest, wrzuciłaby się do głębi, widząc, jak tych dwoje kochanków, rozdzielonych czasem i przestrzenią, całuje się po raz pierwszy pod jej śliwą.

– O czym wy mówicie, dzieciaki?! Co też wam strzeliło do głowy? – zdziwiła się kobieta, krzątając się po kuchni, żeby przygotować coś do przegryzienia.

Alma spojrzała na Alexa i wysłała mu niemy komunikat: „A nie mówiłam?”. Nic sobie z tego nie robiąc, chłopak wpatrywał się w stojący na stole talerz z pokrojoną w grubą kostkę szynką serrano.

Z doświadczenia wiedział, że czas gra na jego korzyść. Od dziecka wiele razy jadał w tej kuchni obiady i podwieczorki i ta kucharka była pewniakiem, chociażby ona sama w to wątpiła.

Na kilka sekund zamknął oczy. Naprzeciwko niego, tam, gdzie teraz siedziała Alma, pojawiła się okrągła i pyzata twarz jego przyjaciela, Miguela, cała poznaczona bliznami. Uśmiechnął się na wspomnienie, jakimi gagatkami byli w dzieciństwie i ile razy Hypatia groziła im, że za karę nie dostaną gorącej czekolady.

Ta sama, która teraz gderała, krojąc chleb dla tych niespodziewanych, ale mile widzianych gości.

– Skąd ja mogę wiedzieć, co smakuje Norwegom?

Alma już miała sprostować, że na przyjęciu nie będzie żadnego Norwega, tylko facet, który pracuje na platformie wiertniczej w pobliżu Norwegii, kiedy Alex spojrzał na nią znacząco i uśmiechnął się.

– To mówicie, że ile ma być osób? Czterdzieści czy pięćdziesiąt? – Hypatia odwróciła się i spojrzała w zamyśleniu na Alexa. – Nie wiecie jeszcze na sto procent. No tak... Zostały ledwie trzy dni i jeszcze nie wiecie. – Wzruszyła ramionami. Otworzyła lodówkę, wyjęła puszkę coca-coli i podała ją Almie. – Mówicie, że pieniądze to nie problem. Za przeproszeniem, ale dla mnie to jest problem – powiedziała, jak im się wydało, z nutką wyrzutu. Sięgnęła do kredensu po trzy szklanki i podała je Alexowi. – Kucharze są niewolnikami słowa „ile”: ile osób, ile mięsa, ile soli, ile minut, ile widelców, ile pieniędzy. Tak to już jest, nie ja to wymyśliłam. W przeciwnym razie nie można nic zrobić. To jedna wielka udręka myśleć: „A może wydałaś za dużo” albo odwrotnie: „Taka już jestem, staromodna”. – Hypatia przystanęła na środku swojego królestwa, małej kuchni. Po raz pierwszy przyjrzała się młodym gościom z uwagą. Alma zawstydziała się, że odkrawa tłuszcz od szynki. Spuściła wzrok, jej palce zastygły w bezruchu. – Nigdy czegoś takiego nie robiłam... Mówisz, że jak to się nazywa, dziecinko?

Alex zakrztusił się colą, próbując zdusić śmiech.

– Catering, pani Hypatio. Chcieliśmy poprosić, żeby zajęła się pani cateringiem.

Niespodzianie Almie też zebrało się na śmiech: w tej porvenirskiej kuchni,



w obecności wytrawnej gospodyni domowej z kilkudziesięcioletnim stażem to obce słowo nie miało żadnego sensu. Soczewica, *cocido*, zupa, *rosquilla*, ryż, krokiety, filety wołowe... to było zrozumiałe. Chyba źle naświetlili jej sprawę, prosząc o kosztorys cateringu, w którym uwzględniłaby cenę na osobę z kilkoma wariantami menu.

Przyznać się do błędu to cnota mędrca, przekonywała się w duchu dziewczyna.

– Krokiety, sałatka warzywna, *chorizo* w cydrze, sałatki ryżowe... – powtarzała po raz trzeci Hypatia, starając się zapamiętać wszystko to, co uzgodniła z Alexem i Almą. Nagle umilkła, jakby zdała sobie sprawę, że nie jest w kuchni sama. Speszyła się bardzo – przyjaciółka Alexa, sądząc po ubraniu i sposobie bycia, musiała być miastową dziewczyną. Z pewnością jej babcie potrafiły czytać i pisać. Może nawet pracowały w biurze albo były nauczycielkami. Dziwne uczucie sprawiło, że jej deklaracja zaangażowania się w przyjęcie Sary zadrzała w posadach. Bardzo cenila listonoszkę i zrobiłaby wszystko dla takiej dobrej sąsiadki. Tym bardziej że wiedziała, iż jej praca wisi na włosku: na wypadek gdyby miały to być ostatnie urodziny obchodzone przez nią w miasteczku, chciała, żeby wszystko się udało. Tych dwoje pełnych dobrych intencji smarkaczy potrzebowało pomocy w przygotowaniu poczęstunku. Albo ja się do tego wezmę, albo wszyscy wyładujemy w szpitalu z salmonellą czy z czymś jeszcze gorszym, pomyślała doświadczona gospodyni. – Nie gniewajcie się, ale ja tak przygotowuję listę zakupów, w pamięci. – Uśmiechnęła się skromnie. – Wyliczyliście tyle rzeczy, że muszę powtórzyć wszystko kilka razy, inaczej wyleci mi z głowy.

– Dlaczego pani tego nie zapisze? – spytała niewinnie Alma, popijając ze szklanki.

Hypatia przyjrzała się jej uważnie: nie było w tym pytaniu śladu zarozumiałstwa czy złośliwości. Miodowe oczy dziewczyny zdawały się powtarzać słowa, które przed chwilą wypowiedziały usta. Dla niej umiejętność pisania i czytania była tak oczywista jak jedzenie lub kąpiel.

Kim była panienczka siedząca w jej kuchni? Alex powiedział, że to przyjaciółka, która pomaga mu w przygotowaniu przyjęcia niespodzianki. Alma nie była z Porvenir ani z okolic – tu wszyscy się znali i Hypatia była tego pewna. Karnacja jej skóry wskazywała na to, że przyjechała z miasta, chociaż te kilka tygodni spędzonych w dolinie zaczynało to maskować. Jednak coś szczególnego było w jej sposobie mówienia, w jej entuzjastycznym i radosnym tonie – coś, co starało się udowodnić, że jej związek z tutejszymi mieszkańcami jest o wiele dłuższy i głębszy, niż można by przypuszczać. Tak czy inaczej, sprawiasz, że Alex jest szczęśliwy! I już choćby tylko z tego względu masz moje błogosławieństwo,

pomyślała Hypatia.

– Mówiliście, że przyjęcie jest za trzy dni, prawda? Jeśli zaczęłabym notować teraz, może na trzeci dzień lista byłaby gotowa. Z błędami, ma się rozumieć. No a potem jeszcze druga część: przeczytać ją w supermarkecie. To idzie mi trochę lepiej, przy odrobinie szczęścia i mając do dyspozycji wolne przedpołudnie, dałabym radę rozczytać taki tasiecowy wykaz. – Álex skarcił spojrzeniem Almę, a ta, zrozumiawszy swoją gafę, zaczerwieniła się po same uszy. Zamknęła oczy, zastanawiając się usilnie, jak wybrnąć z tej niezręczności. Wyrzucała sobie to, że uznała za tak oczywiste, iż wszyscy muszą umieć czytać i pisać. Chciała przeprosić, kiedy głośny pocałunek odcisnięty na jej policzku wyrwał ją z intensywnych rozmyślań. Uniosła powieki. Drobną kobietą z czułym uśmiechem ujęła w pulchne dłonie jej twarz. – Dziecinko! Jesteś blada jak ściana. Álex, musisz ją zabrać w góry, na świeże powietrze... – Hypatia delikatnie głaskała jej włosy. – Czytam słabo i piszę jeszcze gorzej, ale...

– Ale jesteś najlepszą kucharką w Porvenir, w dolinie i w stolicy, tylko nikt o tym nie wie – przerwał jej uradowany chłopak.

– To prawda i będziecie mogli się o tym przekonać w dniu urodzin Sary. Kiedy wrócisz do domu, musisz opowiedzieć wszystkim, że najlepsze na świecie *torrijas* jadłaś w Porvenir.

– Może mnie pani trzymać za słowo! I sprowadzę nowych klientów – odparła z ulgą Alma.

– Klientów? – spytała zdziwiona gospodyni, zabierając się do obiadu dla męża.

– Tak! – zawołał Álex, jakby odkrył nowy horyzont. – Jak to możliwe, że nie wpadłem na to wcześniej?

– Na co, dziecko? – Kucharka postawiła patelnię na gazie. Nalała trochę oleju, a po chwili wrzuciła posiekany czosnek, cebulę i pomidory.

– Moglibyśmy założyć firmę. Gotujesz wspaniale! Sama zresztą mówiłaś, że teraz, bez dzieci, masz dużo czasu i nie wiesz, co z nim zrobić. Przecież lubisz gotować, zgadza się? – Hypatia potwierdziła, bardziej porwana entuzjazmem swoich gości niż przeświadczeniem o słuszności tego wyводу prowadzonego o dwunastej w południe. – Wyobraź sobie, że płacą ci za gotowanie! Zarabiasz pieniądze, robiąc to, co lubisz najbardziej – kontynuował podniecony Álex.

Kobieta oderwała wzrok od patelni i popatrzyła na przyjaciela swojego syna. Zaskoczona, na krótką chwilę odkryła marzycielskiego nastolatka, jakim był przed śmiercią matki i chorobą ojca. Jak mu teraz odmówić? Jak wytłumaczyć, że pieniądze jej nie interesują? Tomás miał sporą emeryturę i oszczędności i dzielił się z nią wszystkim. A jakby tego było mało, jej dzieciom powodziło się w życiu całkiem dobrze i często otrzymywała od nich prezenty.

Alma obserwowała gospodynię w milczeniu. W niejasny sposób

instynktownie odgadła jej myśli. Uśmiechnęła się i powiedziała ciepło:

– Niech tylko pani pomyśli, gdyby tak w stolicy ludzie poznali pani przepisy? Gdyby spróbowali *torrijas* pani mamy, duszonego królika przyrządzanego na sposób pani babki albo pasterskiego *cocido*, które już od wieków...

– Górski ryż to jest najlepsze ze wszystkiego. Czy duszone warzywa. Wiecie, co mówią lekarze? Że mają wszystkie witaminy, jakich potrzebuje dorosły człowiek na cały tydzień. – Hypatia usiadła obok dziewczyny.

– Nie wątpię, proszę pani...

– Mów do mnie „Hypatio” – odparła kobieta, głaszcząc Almę po policzku.

– Dziękuję. Zapewniam, Hypatio, że w stolicy odżywiamy się fatalnie. Wszystko mrożone, wstępnie przetworzone, zapakowane próżniowo w plastik...

– Aj, nie, nie... Nie mogę sobie wyobrazić, jak można nie kupować na targu, przecież to czysta przyjemność! Powąchać owoce, patrzeć na kolory warzyw, podziwiać jagnięcinę poćwiartowaną ze znajomością rzeczy...

– Ludzie w mieście żyją w pośpiechu, na nic nie mają czasu – przyznała ze smutkiem Alma.

Rozentuzjasmowana Hypatia mówiła do łyżki, którą mieszała podsmażoną na oliwie cebulę z czosnkiem i pomidorami.

– Aj, te szalone dzieciaki! Wyobrażają sobie, że Hypatia może mieć firmę! A rachunki? A papiery? Mówię im, że nie umiem ani pisać, ani czytać... a ci mi wyskakują z firmą!

– Ale to żaden kłopot, Hypatio! – wykrzyknął Alex.

– Czyżby?

– Ja zajmę się rachunkami, przygotowaniem ogłoszeń, przyjmowaniem zamówień, pomogę ci w zakupach...

– To niemożliwe.

– Nie? – spytała zaskoczona Alma, podekscytowana możliwością wzięcia udziału w narodzinach pierwszego cateringu w Porvenir.

– Na zakupy chodzę z Tomásem – stwierdziła kategorycznie Hypatia, kładąc żeberka na patelnię. – Zawsze mi towarzyszy. Rozumiemy się bez słów. – Alma uśmiechnęła się. To ci dopiero! Czy ona z Alexem osiągną kiedyś ten stopień wtajemniczenia? Mieli przed sobą jeszcze bardzo dużo czasu, ale zazdrościła Hypatii i jej mężowi tego wzajemnego dopasowania. – W każdym razie – podjęła praktyczna gospodyni – zacznijmy od początku, bo koniec i tak przyjdzie sam, jak mówiła moja matka. Uczta na pięćdziesiąt osób to moja pierwsza misja. Chcę, żeby Sara miała urodziny, na jakie zasługuje, i tak będzie. Macie moje słowo.

Żegnając się w drzwiach, Hypatia popatrzyła na Almę z uśmiechem.

– Dziecinko, ja wiem, że jesteś ze stolicy i mieszkasz w Porvenir dopiero od niedawna. Ale sprawiasz wrażenie, jakbyś była stąd, uwierz mi! Jesteś mi bliska. Może twoje miejsce jest tutaj, tylko o tym nie wiedziałaś.

Oczy dziewczyny rozświetlił jakiś szczególny blask. Pochyliła głowę i pocałowała Hypatię w policzek.

– Gdybyś wiedziała...

## Samotność

Nietrudno płakać w samotności, lecz  
niepodobna śmiać się w pojedynkę.

DULCE MARÍA LOYNAZ

„Zegarze, nie wybijaj godzin, bo w obłęd runę jak głąz. Ona odejdzie na zawsze, gdy świtu zapłonie brzask. Noc gaśnie, topnieją gwiazdy, miłości wysycha źródło, a twój tik-tak bezlitosny wgryza się w ranę jak sól. Zegarze, wstrzymaj swój pochód, bo kona już życie me. Och, ja nieszczęsny ślepiec, bez światła miłości jej”.

– Karol śpiewała na całe gardło, podciągając żaluzje.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego pani Manuela z taką determinacją żyła w tych egipskich ciemnościach. Zawsze gdy wchodziła do mieszkania, w pierwszej kolejności otwierała okna. Było skromne i nieduże, ale bardzo widne. Okna dużego pokoju wychodziły na plac zabaw. Głosy dokazujących dzieci dochodziły aż tutaj i były dla niej miłym towarzystwem.

Trzy tygodnie temu sprzątała na pocztce, kiedy jakaś kobieta zapukała do drzwi, prosząc, żeby ją wpuścić. Gestykulując, Karol dała jej do zrozumienia, że listonoszka wyszła i że nie ma nikogo, kto mógłby ją przyjąć. Ale kobieta nie dawała za wygraną.

– Muszę zajrzeć do mojej skrytki. To tylko moment.

– Przepraszam, ale Sary nie ma – powiedziała, przerywając zamiatanie.

– Nie wiem, kim jest Sara, za to dochodzę do wniosku, że nie ma nie tylko jej, ale w ogóle nie ma tu nikogo – rzuciła urągliwie Manuela Sarai, próbując wcisnąć się do środka.

Karol odsunęła się na bok. Nie lubiła się sprzeczać.

– Sara to listonoszka.

– Spokojna głowa. Jestem samowystarczalna: mam tu skrytkę pocztową. Zamiast się handryczyć, już dawno bym weszła, otworzyła skrytkę, wyjęła listy, zamknęła skrytkę i wyszła.

Karol wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Matka zawsze powtarzała, że uśmiech w odpowiednim momencie jest najskuteczniejszą bronią przeciwko wrogowi. Spostrzegła, jak twarz kobiety łagodnieje, i stwierdziła, że peruwiańska wieśniaczka znów miała rację.

– Robi mi pani wielką przysługę. Czekam na ważny list – powiedziała cicho Manuela Sarai tonem usprawiedliwienia.

Agresywne zachowanie zupełnie nie było w jej stylu, kiedyś nigdy się jej nie zdarzało. Ale ostatnio odnosiła wrażenie, że cały świat jest przeciwko niej. Odczuwała ogromną potrzebę samoobrony, choć nie wiedziała dokładnie, przed czym chce się bronić.

– Proszę sobie zajrzeć! – Karol wróciła do zamiatania, choć nie spuszczała z niej wzroku.

Zaskoczyły ją ślady grubego, ciemnego makijażu na twarzy kobiety. Ubrana była w kolorowy dres. Nie wyglądasz mi na sportsmenkę, zaśmiała się w duchu sprzątaczką. Raczej jakbyś wstała dobrze po dwunastej.

Mimowolnie zaczęła snuć domysły, kim mogła być kobieta wkładająca właśnie klucz w zamek skrytki 080771. Gospodyni domowa z trójką dzieci? Jej mąż musiał nieźle zarabiać, skoro mogła sobie pozwolić na modne ciuchy i spać przez pół dnia w środku tygodnia. Mieszkała pewnie w wielkim domu na peryferiach. A może w jednym z tych z kamienia, w centrum? Były takie piękne i zadbane! Ani chybi miała rodowe meble.

Karol przyklęknęła, żeby podnieść papier z podłogi. Wyprostowawszy się, natrafiła na przenikliwe spojrzenie kobiety.

– Przepraszam? Coś pani mówiła?

– Czy miałaby pani czas, żeby sprzątać u mnie dwa razy w tygodniu?

Mieszkanie Manueli Sarai zaczynało zarastać brudem, a ona nie miała siły, żeby temu zaradzić: pracowała całą noc i spała cały dzień. Kiedy wstawała po południu, wołała coś zjeść i pójść na spacer, zobaczyć słońce. Może oto znalazła rozwiązanie.

Ani nie był to dom na peryferiach, ani nie było w nim babcinych mebli. Przyszędłszy pierwszego dnia do pracy, Karol ujrzała małe i zabałaganione mieszkanie. Wyglądało na przejściowe lokum: ani jednego zdjęcia czy typowych, rodzinnych drobiazgów. Przypominało raczej tani hotelik niż ciepłe gniazdko. Nawet ona, dzieląca mieszkanie z innymi imigrantami, darzyła większym uczuciem przestrzeń, w której przyszło jej żyć. Miała obrazek ze swoją wioską, kalendarz ze zdjęciami słynnych inkaskich ruin i rysunki swoich dzieci. W dużym wspólnym pokoju wszyscy współmieszkańcy na jednej z półek postawili zdjęcia swoich rodzin, przy których nigdy nie brakowało wazonu ze świeżymi kwiatami.

U pani Manueli na regale w pokoju jadalnym tkwiły zapomniana książka telefoniczna i przewodnik po florze i faunie doliny. Sądząc po warstwie nagromadzonego kurzu, można było przypuszczać, że od dawna nikt do nich nie zaglądał.

– „Zatrzymaj czas w swoich dłoniach. Spraw, by ta noc wieki trwała. Bym pić mógł blask jej księżycy, by nigdy jutrenka nie wstała” – śpiewała, zbierając

resztki pizzy i starą gazetę z kanapy.

Dla Karol sprzątanie było jak taniec. W swoim kraju sprzątała tylko we własnym domu. Na obczyźnie sprzątanie w obcych domach stało się dla niej bardzo uciążliwym zajęciem. Była kobietą z gór, twardą kobietą, nie wybrzydzała i nie bała się żadnej pracy. Po pros-tu sprzątanie tu było bardzo nudne. Prasując koszulę męża, wiedziała, że otrzyma za swój trud rekompensatę, kiedy go w niej ujrzy. Sprzątanie zabawek dzieci czy zmywanie talerzy po jedzeniu było dla niej czymś normalnym i naturalnym. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, czy to lubi, czy nie. Ale kiedy zaczęła zmywać naczynia po dzieciach obcych ludzi, uświadomiła sobie, że to nie jest przyjemne.

„Musisz odpowiednio do tego podejść”, poinstruowała ją współlokatorka, pochodząca z Dominikany. A gdy Karol spytała, co ma na myśli, odparła: „To już zależy od każdej z osobna, skarbie”. Po czym wyznała, że sama wymyśla sobie różne postaci, nastawiając pranie albo smażąc ryby. Wyobraża sobie ich wygląd, ubranie i co mogłyby powiedzieć, gdyby nagle otworzyły drzwi i weszły do domu. „Nic na to nie poradzę, uwielbiam kino”, dodała.

Karol po raz pierwszy poszła do kina, kiedy była już dorosła. Podobało się jej, ale nie oszalała na jego punkcie. „Może nie zdążyłam się przyzwyczać, bo chodziłam zbyt rzadko”, śmiała się do Dominikanki. Ale przepadała za bolero, które też opowiada piękne historie. Tak więc postanowiła podejść do swojej pracy z piosenką na ustach. I nie pożałowała ani razu – zamiatała podłogę, śpiewając i kołysząc biodrami; zmywała naczynia, podrzucając ramionami, i słała łóżka, podążając stopami za rytmem. Rodzaj muzyki zależał od nastroju lub od stopnia niewdzięczności pracy, jaką musiała wykonać. Tego dnia odczuwała nostalgię. Jej ojciec skończyłby siedemdziesiąt lat i to na jego cześć wybrała jego ulubione bolero: *Zegarze, nie wybijaj godzin*.

– Duży pokój zrobiony. Teraz kuchnia. Zmieniamy płytę – zarządziła.

Stojąc przy kuchennym blacie, zamknęła oczy i poszukała w pamięci nowej piosenki. Po chwili jej usta rozciągnęły się w uśmiechu. Wciągnęła rękawiczki i zabrała się do zmywania talerzy w żywym rytmie, podśpiewując:

– „Kochamy się, kochamy się, bo miłość łączy taka nas, że więcej już nie trzeba nam. Kochamy się i całujemy, kochamy się i pragniemy, a nawet nieraz bez powodu, bez przyczyny, koty z sobą drzemmy”.

Sprzątała tu we wtorki i czwartki, od czternastej do piętnastej trzydzieści. „Proszę nie przychodzić ani minuty wcześniej i nie wychodzić ani minuty później”, ostrzegła pani Manuela, informując o warunkach pracy. „Kiedy jestem w domu, nie chcę tu widzieć nikogo”, krótko naświetliła sprawę.

Nie była to jedyna norma, jakiej musiała przestrzegać Karol. Pod żadnym pozorem nie mogła wchodzić do jednego z pokoi. Pani Manuela nie chciała też, żeby grzebano w jej szufladach czy szafach – swoją sypialnię sprzątała sama. Tym

lepiej dla mnie, pomyślała Karol. Mam dość roboty z kuchnią, łazienką czy dużym pokojem. Chociaż zakaz ten przypominał jej jako żywo bajki o macochach, uwięzionych w wysokich basztach księżniczek i Sinobrodym. Ale potrzebowała pracy i nie mogła kapryścić.

– „Szukamy wciąż cienistych chwil, by szeptem śpiewać słodki tryl i w gęstą noc czereśnie ust smakować, ech, bez zbędnych słów. Kochamy się, kochamy się” – śpiewała na cały głos, myjąc podłogę. Przecież trzeba korzystać z zalet tego, że jest sama w domu.

Spojrzała na zegarek. Została jej jeszcze łazienka. Całe szczęście, że jest nieduża, pocieszyła się.

Łazienka znajdowała się tuż obok „zakazanego pokoju”, jak nazywała go w myślach. Przechodząc obok drzwi, usłyszała ze środka głucho uderzenie poprzedzone kilkoma słabszymi. Coś, spadając na podłogę, uderzyło o półki i najpewniej rozbiło się w drobny mak.

Głos uwiązał jej w gardle. Po raz pierwszy, odkąd tu pracowała, usłyszała jakiś hałas. Ciekawość wyparła zaskoczenie. Przyłożyła ucho do drzwi. Ktoś lub coś zdawało się pełzać po drugiej stronie.

Jedną ręką ścisnęła szczotkę, drugą otworzyła drzwi, patrząc na podłogę. Była pewna, że zobaczy jakieś zwierzę. Tymczasem ujrzała panią Manuelę leżącą we własnych wymiocinach. Ubrana w górę od pizamy, usiłowała się podnieść, ale nie dawała rady. Trzęsła się jak osika. Ujrawszy jej znękaną, poszarzałą twarz i krople potu zraszające czoło, Karol od razu odgadła, że kobieta ma bardzo wysoką gorączkę.

Od dwóch godzin siedziała w fotelu w pokoju pani Manueli, przy opuszczonej do połowy żaluzji. W końcu gorączka u chorej zaczęła spadać. Z jej twarzy znikło bolesne napięcie.

Karol namordowała się okrutnie, żeby przenieść ją do łóżka. W malignie, choć czepiając się kurczowo jej ramion, chora nie mogła się utrzymać na nogach. Karol ściągnęła z niej bieliznę i natarła ręcznikiem namoczonym w alkoholu. Nałożyła jej świeżą pizamę, którą znalazła w szafie, odgarnęła włosy z twarzy i podłożyła pod głowę poduszkę.

Na szczęście tego popołudnia nie miała już więcej sprzątania, pomyślała więc, że lepiej będzie, jak zostanie, wypije kawę i przypilnuje pani Manueli. Skorzystała z okazji i napisała list do dzieci, przejrzała kolorowy magazyn i zdrzemnęła się chwilkę, co nigdy nie zaszkodzi.

– Co to było, co śpiewałaś wcześniej? – Karol otworzyła oczy. Zdało się jej, że słyszy słabiutki głos. Zaczekała w ciszy, na wdechu. – Mam wrażenie, że znam tę piosenkę... ale nie kojarzę, która to.



– Nie wiem... – odparła strąpiona sprzątaczką. – Nie chciałam pani przeszkadzać. Jak się pani czuje? Sprzątałam akurat w łazience i nagle usłyszałam hałas, no i zajrzałam. Bardzo się wystraszyłam, bo była pani w opłakanym stanie...

– Śpiewałaś: „szukamy wciąż cienistych chwil...”.

Karol popatrzyła na panią Manuele, próbując ocenić, czy to nie majaki wywołane gorączką.

– *Kochamy się, kochamy się*, ulubione bolero mojego ojca.

– No przecież... Antonio Manzanero – szepnęła Manuela Sarai z ulgą człowieka, który zapalił światło i znalazł drogę do drzwi.

– Mam nadzieję, że nie sprawiłam pani kłopotu. Jeśli czuje się pani trochę lepiej, to może przyniosę herbatki? Czy może chce pani zostać sama?

– Tak, tak... – wyrzuciła z siebie w pośpiechu Manuela.

Karol wstała.

– W takim razie do zobaczenia za dwa dni.

Zanim doszła do drzwi, usłyszała zdziwiony, upominający głos:

– Jak to za dwa dni? Przecież pytałaś, czy chcę herbaty! Nie rozumiesz hiszpańskiego czy jak? – zawołała gospodyni cierpkim jak zwykle głosem.

Dziewczyna poszła do kuchni, kipiąc oburzeniem. Przez ułamek sekundy była na siebie zła, że zadała sobie tyle trudu.

– Dziękuję, Karol.

– Wkroiłam plasterki cytryny. Pomyślałam, że na pewno dobrze pani zrobi – wyrwało się jej, może nazbyt gorliwie.

Patrzyła na swoją chlebobawczynię, która onieśmiała ją już samym tylko wyglądem. Nie wiedziała, czy sobie pójść, czy ponownie usiąść. Gdyby to od niej zależało, usiadłaby, ale ponieważ jej szefowa tak mało lubiła towarzystwo, nie chciała się jej naprzykrzać. I co się będziemy okłamywać, pomyślała. Za jakie grzechy mam się wystawiać na czyjeś humory?

– Dlaczego nie siadasz, tylko stoisz jak ta gapa? – spytała Manuela, jakby odgadła jej myśli. – Musisz już iść?

– Nie, mam jeszcze chwilę.

– No to podciągnij żaluzje i przysuń sobie fotel. Ciężko mi mówić, a nie mam zamiaru wrzeszczeć.

Karol posłusznie wykonała polecenie, myśląc o tym, że gospodyni, nawet gdy prosi o przysługę, robi to tak, jakby wydawała rozkaz.

Słońce skryło się już za horyzontem i drobne kropelki uderzały o szyby. Zanim zdążyła się odwrócić od okna, usłyszała słaby szept:

– Biegną ludzie? – Manuela zaniósła się kaszlem.

– Słucham?

– „Nastała noc i padał deszcz, i biegli ludzie, i wtedy tam nie było cię”.

Karol uśmiechnęła się, rozpoznając słowa bolero. Wyrzała na ulicę.

– Kot. Ale chyba nie zwiewa przed deszczem, tylko przed starszą panią z psem, która idzie chodnikiem – powiedziała i odwróciła się, nie podnosząc jednak wzroku na panią.

Ta przytaknęła ruchem głowy. A potem kiwnęła ręką, żeby Karol usiadła.

– Ten pies to pudel w paltociku w kratkę i w bucikach? – Karol otworzyła szeroko oczy. Skąd ona mogła to wiedzieć? Manuela Sarai spostrzegła jej zdumienie. – Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Ta babina mieszka naprzeciwko. Codziennie o tej samej godzinie wychodzi na spacer z psem. Ma wysoki kok, jak ta wredna starucha z komiksu<sup>20</sup>, zgadza się? – Karol skinęła głową. – W takim razie jest piąta z minutami. Za dziesięć minut, mniej więcej, zobaczysz starszych chłopców wychodzących ze szkoły. Przejdą przez plac zabaw. Idą grupkami. Dwaj z nich wyglądają jak bracia, mają rude włosy. Przypuszczam, że to synowie albo krewni listonoszki, bo odkąd tu mieszkam, nie widziałam innych rudzielców.

Po raz pierwszy zamieniły ze sobą tyle słów. W kwes-tii sprzątnia dogadały się szybko – w dwóch zdaniach ustaliły dni pracy i wynagrodzenie. Od tamtej pory minęły się na schodach może ze dwa razy. Karol zdumiała się, że ktoś tak mało towarzyski zajmuje się wnikliwą obserwacją sąsiadów.

Spojrzała na tę kobietę, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy w życiu. Jej twarz wydawała się teraz łagodniejsza, chociaż trudno byłoby nazwać ją miłą.

– Lubisz bolero?

Nowe pytanie wyrwało Karol z zamyślenia.

– Bardzo! Przypomina mi mojego ojca. Zawsze je śpiewał.

– Ty też robisz to całkiem nieźle...

– Skądże znowu! Gdyby posłuchała pani mojego tatę. To znaczy nie może go pani posłuchać, ale...

– Bo mieszka w Peru?

– Bo jest w niebie – odparła Karol melancholijnie.

– Aha.

– Życie.

– Moja matka też.

– Też jest w niebie?

– Też bardzo dobrze śpiewała bolero. – Manuela Sarai roześmiała się w głos.

– I tylko ona wie, czy jest w niebie, czy w piekle. Mogłabyś mi zaśpiewać *Nastała noc i padał deszcz*? Przyplątało mi się to nagle i chodzi za mną jak cień. Ale pamiętam tylko jakieś strzępy... – Karol zawahała się. Widząc to, gospodyni dodała, uśmiechając się ze smutkiem: – Tak bardzo chciałabym to usłyszeć!

Dziewczyna wstała, zdziwiona niemal błagalnym tonem tej prośby. Podeszła do okna i popatrzyła poza ten dom, poza ulicę. Wzbiła się spojrzeniem ponad lasy,

aż zagubiło się gdzieś w oddali. Wówczas zaśpiewała spokojnym głosem:

– „Nastała noc i padał deszcz, i biegli ludzie, i wtedy tam nie było cię. Pewnej nocy błękitny blask ujrzałem gwiazd i wtedy tam nie było cię. Całował raz srebrzysty ptak ptaszynę swą, miłośnie tak... nie było cię. Nastała noc i padał deszcz, i biegli ludzie, i wtedy tam nie było cię. Jesień się złoci w oczach mych i morskich fal za rymem rym, i wtedy tam nie było cię. Nie wiem, czy bardzo kochasz mnie, czy za mną tęsknisz, czy w oczy kpisz. Ja tylko wiem, że padał deszcz i biegli ludzie, i wtedy tam nie było cię”.

Łagodna cisza musnęła dwa serca przeorane bliznami, kojąc na kilka minut już niemal zapomniany ból.

– Kilka lat temu porzuciłam moje dzieci. Od tamtej pory nie wiem, co się z nimi dzieje.

– Musi pani za nimi bardzo tęsknić. Na pewno miała pani swoje powody.

Manuela Sarai przez krótką chwilę biła się z myślami. Czy za nimi tęskniła? Chyba nie za bardzo. Ale prawdę powiedziawszy, coraz częściej łapała się na tym, że myśli, co mogą robić. Widząc w sklepie ładny sweter w rozmiarze, jaki mógłby teraz nosić jej starszy syn, odczuwała pokusę, żeby mu go kupić i sprezentować. Ale nigdy się na to nie zdobyła. Nigdy nie uczyniła nic, żeby się z nimi skontaktować. Nie szukała ich. Bardziej ceniła swoją wolność.

– Tęsknię na swój sposób – odparła, nie rozmiijając się z prawdą. – Trudno to wyjaśnić.

Dziewczyna przełękła się, spostrzegłszy mroczną otchłań w brązowych oczach Manuli. Zrobiło się jej słabo. Kim ona jest, żeby osądzać grzechy innych? Nie dość jej własnych, dławiących ją win?

– Naprawdę spędziła pani tu dzieciństwo?

– Tak. Co w tym dziwnego?

– To wspaniałe! Musi być pani bardzo szczęśliwa z powrotu do swojego miasteczka. Jest takie piękne.

– Jak by ci to powiedzieć... Nie wróciłam na moją ulicę. Ponoć nie powinno się wracać tam, gdzie było się szczęśliwym. Tam był taki piękny dom... i tyle razy śniłam, że wchodzę do niego, wiesz? W ogrodzie rosła cudowna palma, była tam sadzawka i wejście z kolumnami. Całymi godzinami sterczałam pod płotem i wpatrywałam się w ten dom jak urzeczona.

– Serio nie odwiedziła pani miejsca, które wywołuje w pani tyle dobrych wspomnień? – Karol zawahała się, zanim dodała: – Jeśli pani chce, możemy pójść tam razem. Wracać w pojedynkę do miejsc, w których było się szczęśliwym, to błąd. Ale czym innym jest odwiedzić je w towarzystwie. Bardzo bym chciała zobaczyć coś nowego. Pokaże mi pani ten dom?

– Nie musisz tego dla mnie robić – mruknęła Manuela Sarai. Nie nawykła do tego, żeby ktoś się o nią martwił.

– Ależ ja to robię dla siebie! Bardzo lubię chodzić na spacer. W mojej wiosce co wieczór wychodziłam z moją mamą, szwagierkami, przyjaciółkami. Tutaj jestem sama jak palec i nic nie jest jak dawniej. – Karol spojrzała na swoje stopy, jakby przeprasząc za to, że skazuje je na tak długą bezczynność.

– Jaka jest twoja wioska?

– Może opowiem pani innym razem, późno się zrobiło.

Karol sięgnęła do okna, żeby spuścić żaluzje. Obserwując ją z łóżka, Manuela Sarai pomyślała, że jeden raz nic się przecież nie stanie. Krótki spacer, pół godziny, tam i z powrotem. Nie znaczyło to wcale, że odtąd będą wychodzić co tydzień, przyjaźnić się czy zwierzać. Znaczyło to tylko tyle, że przejdą się ulicą. Na to mogła sobie chyba pozwolić, żeby zobaczyć, co stało się z domem z jej marzeń i ulicą jej dzieciństwa.

Rozklejam się przez tę gorączkę, pomyślała, usprawiedliwiając się przed sobą.

– Myślę, że tak naprawdę przyjechałam tu, żeby odnaleźć kogoś, kogo już nie ma – rzuciła pośpiesznie, gdy zobaczyła dziewczynę przy drzwiach, gotową do wyjścia.

– Kogo? – spytała zaskoczona Karol.

– Pewną dziewczynkę.

– Dziewczynkę? Bratanicę, siostrzenicę?

Manuela Sarai potrząsnęła głową. Nagle znów poczuła lodowate zimno. Podciągnęła koc, żeby przykryć ramiona.

– Siebie.

Karol patrzyła na nią z niezmierną tkliwością, owijając sobie szyję szalikiem.

– Wystarczy, że spojrzysz pani w lustro.

Było już późno, ale Karol nie poszła do domu. Postanowiła jeszcze zajść do centrum. Idąc główną ulicą, w końcu natknęła się na to, czego szukała. Przystanęła i otworzyła torebkę. Wyjęła z niej długopis i kopertę. Zaadresowała ją i wrzuciła do skrzynki.

– Leć do pani Manueli, tak bardzo potrzebuje towarzystwa! Leć, leć prędko, bo choć ona tego nie wie, czeka na ciebie z utęsknieniem.

20 *La abuela Manuela* – babcia Manuela, postać komiksowa stworzona przez Rafaela P. (przyp. tłum.).

Jak powiedzieć kocham na trzydzieści dziewięć sposobów

Kocham, jak kocha miłość.

Nie znam innego powodu, żeby kochać, jak po prostu kochać Cię.

Cóż jeszcze mógłbym Ci powiedzieć prócz tego, że Cię kocham, jeśli właśnie pragnę Ci powiedzieć, że Cię kocham?

PESSOA

Sara upuściła na podłogę trzy identyczne kartki. Jej puste, zwrócone ku górze dłonie zdawały się prosić o więcej.

*„Kocham Cię nie po to, aby być kochaną, nie ma dla mnie większego szczęścia, niż widzieć Cię szczęśliwym”.* GEORGE SAND.

*„Z jednego pocałunku dowiesz się wszystkiego, o czym milczałem”.* PABLO NERUDA.

*„Kiedy po śmierci mój głos zamilknie, wciąż będzie mówiło do Ciebie moje serce”.* RABINDRANATH TAGORE.

Rozejrzała się dookoła, nic nie rozumiejąc: dywan białych kopert ścielił się u jej stóp, wypełniając niemal połowę małego biura. W ciszy wołały, by je otworzyć.

Była ósma trzydzieści trzy, dzień jak co dzień. Kiedy przed półtorej godziny zadzwonił budzik, nic nie zwiastowało, że wydarzy się coś niezwykłego. Jak co rano nie mogła dobudzić chłopców i wyszli do szkoły spóźnieni. Wypiła na chybcika kawę z mlekiem i schowała do torby magdalenkę, żeby zjeść ją na spokojnie w biurze.

Nie lubiła się spóźniać do pracy i kazać czekać klientom – zawsze otwierała punktualnie. Przybiegła z wywieszonym językiem. Podciągnęła zewnętrzną żaluzję i otworzyła drzwi dokładnie w chwili, gdy zegar na kościelnej wieży wskazał ósmą trzydzieści.

Udało się, pomyślała na ułamek sekundy przed tym, zanim jej oczy natrafiły na wysyp listów. Patrzyła na nie w osłupieniu, jak teraz. Nawet zanim odkryła, że wszystkie zaadresowane są na jej nazwisko, mają ten sam rozmiar i zostały ostemplowane w Mastán poprzedniego dnia.

Cofnęła się do drzwi wejściowych. Zawiesiła wywieszkę „Listonosz w rejonie”, przekręciła klucz w zamku i usiadła na podłodze. Drżącą ręką sięgnęła po kolejne dwie koperty. Nie było na nich nadawcy – w Por-venir zaczęła się szerzyć moda na anonimowość.

– „Człowiek jest zakochany, kiedy zdaje sobie sprawę, że ta druga osoba jest jedyna na świecie”. JORGE LUIS BORGES<sup>21</sup> – przeczytała na głos. Odetchnęła głęboko. – „Kochaj i czyń, co chcesz! Gdy milczysz, milcz z miłością; gdy mówisz, mów z miłości; gdy karcisz, karć z miłości; gdy przebaczasz, przebaczej z miłości”. ŚW. AUGUSTYN<sup>22</sup>.

Wyciągnęła kolejną kopertę. Zamknęła oczy i zaraz otworzyła je ponownie, jakby próbowała obudzić się ze snu, który nie mógł przecież należeć do niej. Ale tu również figurowało jej imię i nazwisko. Ktoś chciał jej coś powiedzieć. Ale co? I przede wszystkim – kto?

„Można kochać, nie będąc szczęśliwym; można być szczęśliwym, nie kochając; ale kochać i być szczęśliwym to coś wspaniałego”. HONORÉ DE BALZAC. Na czym jak na czym, ale na miłości Francuzi znają się jak nikt! – pomyślała i przeczytała następny cytat: „Kochać to nie znaczy patrzeć nawzajem na siebie, ale patrzeć w tym samym kierunku”. ANTOINE DE SAINT-EXUPÉRY<sup>23</sup>. Ileż racji miał ten pilot! – pomyślała. Nie jak mój mąż, który zmęczył się mną i zamiast skupić się na naszych dzieciach, zaczął patrzeć na inne kobiety.

Zaskoczyło ją to. Od ładnych paru lat w ogóle o tym nie myślała. To pewnie ta historia z Fernandem, która wszystko wywraca do góry nogami. Kilka dni temu rozmawiali o jego przyjeździe i więcej do tej sprawy nie wrócili.

Czatowali codziennie: on opowiadał o zimnie w Norwegii albo o chińskim kucharzu na platformie i jego monotonnym jadłospisie – na ryż czy delicje z puszki nie mógł już patrzeć.

Podzieliła się z nim nowiną, że Karol wreszcie napisała i wysłała list. Nie wierzyła własnym oczom, gdy zobaczyła, że zaadresowany był na tę samą skrytkę pocztową – 080771 – na której adres przed kilkoma tygodniami przyszedł poprzedni. Co łączyło dziewczynę sprzątającą na poczcie z tą opryskliwą kobietą? Jak do tej pory nikt nie przyszedł odebrać listu. Spał w białej metalowej trumience.

„Wątp, czy gwiazdy lśnią na niebie; Wątp o tym, czy słońce wschodzi; Wątp, czy prawdy blask nie zwodzi; Lecz nie wątp, że kocham ciebie”. WILLIAM SZEKSPIR<sup>24</sup>.

– Kochasz mnie? – wykrzyknęła bezwiednie listonoszka. – Jak to możliwe, skoro mnie nie znasz? – zgaśniła wyimaginowanego słuchacza.

„Należy słuchać rozumu, ale pozwolić mówić sercu”. MARGUERITE YOURCENAR. „Za jedno spojrzenie świat cały; za jeden uśmiech niebios; za jeden pocałunek... nie wiem, co dałbym za jeden pocałunek”. GUSTAVO ADOLFO BÉCQUER.

Oparła głowę o kontuar. Zamknęła oczy i powędrowała bardzo daleko, tak daleko, że natrafiła na wspomnienie swojej pierwszej miłości: kolegi ze szkoły – z lekkim zezem i króliczymi zębami, które jej, dwunastoletniej wówczas siusiumajtce, wydawały się przesympatyczne.

Któregoś dnia czekał na nią, gdy wracała do domu po lekcjach. Trzymał się z tyłu, w bezpiecznej odległości, i kiedy zostali sami, bez świadków, odważył się do niej podejść. Minęło już tyle lat, ale ona wciąż pamiętała, że drżał jak osika, wręczając jej złożoną na pół karteczkę. Niewymowna męka wyczerniona z jego oczu mówiła wszystko. Przeczytała zapisane na kartce słowa i parsknęła śmiechem. Po tylu latach strofka Bécquera wracała do jej rąk. Próbowwała sobie wyobrazić, jak potoczyły się losy tamtego chłopaka, którego wciąż miała przed oczami, uciekającego w rozpacz i czerwonego jak burak. Nie odezwał się do niej nigdy więcej. Kiedyś ktoś jej powiedział, że studiował prawo w stolicy. Od tamtej pory nic o nim nie słyszała.

Co by się stało, gdyby zgodziła się na pocałunek, o który tak rozbrajająco ją prosił? Zaczęliby ze sobą chodzić, a później wzięliby ślub? Czy byłaby z nim do tej pory?

Następny cytat był niejako uzupełnieniem poprzedniego: „*Urok pierwszej miłości bierze się z nieświadomości, że to się może kiedyś skończyć*”. BENJAMIN DISRAELI. Jakże odległa była ta jej pierwsza miłość!

Czy nie było dla niej za późno, żeby znów się zakochać?

Przepłoszyła tę myśl, wyciągając rękę po następną kopertę: „*Serce wielkie i niedające się opanować żadnej niewdzięczności, która mogłaby je zamknąć, żadnej obojętności, która mogłaby je znużyć i osłabić*”. O. LÉONCE DE GRANDMAISON. Rozerwała kolejną i pomyślała, że treść następnego cytatu pasowała do jej sytuacji jak ulał: „*Dopiero pod wpływem rozłąki czujemy i pojmujemy siłę naszej miłości*”. FIODOR DOSTOJEWSKI. Ona nigdy nie rozstawała się z Fernandem i być może to pierwsze spotkanie – jeśli naprawdę zdecyduje się przyjechać – a także późniejsze pożegnanie pokażą, jak silne są jej uczucia do niego. I jego uczucia do mnie, dodała w myślach.

– Nie chcę być fatamorganą pośród arktycznej nocy – stwierdziła stanowczo, potrząsając energicznie głową.

„*Żyjemy prawdziwie na tym świecie dopiero wówczas, kiedy kochamy. Tylko żyjąc dla innych, warto żyć*”. ALBERT EINSTEIN. Przemknęło jej przez głowę, że zgadza się w stu procentach z niemieckim fizykiem i swoim tajemniczym wielbicielem. Bo czy nie zasługiwał na to miano ktoś, kto z pewnością poświęcił masę czasu na wyszukanie tych wszystkich cudownych sentencji o miłości i na przelanie ich na papier pięknym, eleganckim charakterem pisma, i na umieszczenie ich jedna po drugiej w kopertach? I na przyklejenie znaczka na każdej z nich! Uśmiechnęła się, czując łaskotki w opuszkach palców. „*Pocałunki są jak okruchy*

*złota lub srebra znalezione w ziemi – nie mają wielkiej wartości, ale ujawniają bliskość złoza*”. GEORGE VILLIERS.

Od owego pierwszego pocałunku, który nie doszedł do skutku, do następnego minęły trzy lata. Było to na jej piętnaste urodziny. Teraz, siedząc na podłodze biura, w tej powodzi listów, próbowała przypomnieć sobie imię tamtego chłopaka. Ale na próżno. Pamiętała tylko, że pocałunek miał smak czekolady, pewnie dlatego, że przepadał za czekoladowym tortem.

Jaki smak mają pocałunki Fernanda? Na samą myśl oblała się rumieńcem. Rozejrzała się pośpiesznie w strachu, że ktoś mógł podsłuchać jej myśli.

*„Serce jest jak małe dziecko: oczekuje tego, czego pragnie”*. ROSYJSKIE PRZYSŁOWIE i *„Kochać kogoś to powiedzieć mu: nie umrzesz nigdy”*. GABRIEL MARCEL – to kolejne zdania, które nieznajomy szeptał jej do ucha.

– W porządku – powiedziała, jakby siedziała naprzeciwko niego. – Zrozumiałam, co chcesz mi powiedzieć: mówisz o miłości! – Czy raczej, zaśmiała się w duchu, wyręczasz się wielkimi tego świata, którzy mówią w twoim imieniu.

Przypomniała sobie spektakl *Cyrano de Bergerac*, który widziała w stolicy ze swoim pierwszym oficjalnym chłopakiem. Na imię mu było Miguel i podobnie jak bohater sztuki miał nos, który docierał na miejsce piętnaście minut przed nim.

– Dobry był z ciebie chłopak, Miguelu – szepnęła Sara. – Nudny jak flaki z olejem, ale dobry. Teraz, kiedy już mogę być szczerą, wyznam ci, że jako materiał na męża bardziej podobałaś się mojej matce niż mnie.

Spektakl do dziś pozostał w jej pamięci – jakże piękne i wzniosłe były wiersze Cyrana, zwłaszcza w scenie, w której szlachcic oświadcza się pod oknem ukochanej, tak by nie mogła go widzieć.

Sara zaczęła gromadzić obok siebie puste koperty, niemych świadków tego ogromu powściągananej namiętności. Kładła kartki na kolanach bez ładu i składu. Chciała je mieć blisko siebie, jakby w ten sposób mogła poczuć energię ręki, która je zapisywała.

– Jakie to prawdziwe! – westchnęła, czytając: *„Miłość pociesza jak słońce po deszczu”*. WILLIAM SZEKS-PIR.

Przejęta dziecięcą niemal radością, chwyciła tyle kopert, ile zmieściło się jej w obu dłoniach. Nie miała zielonego pojęcia, kto do niej pisał, ale miał dociekać źródeł tej magii, wołała się w niej zatracić. Czuła, jak każde z odczytywanych słów wnika w nią i wędruje prosto do jej serca. Z każdym słowem czuła jego delikatny łopot.

*„Mojemu sercu twoja pierś wystarczy, twojej wolności wystarczą skrzydła moje”*. PABLO NERUDA<sup>25</sup>. *„W sprawach miłości najwięcej doświadczenia mają obłąkani. Nigdy nie pytaj o miłość ludzi rozsądnych; rozsądni kochają rozsądnie, a znaczy to tyle, co nie kochać nigdy”*. JACINTO BENAVENTE. *„Tylko wobec kochającej cię osoby możesz ujawnić swoją słabość, nie obawiając się przemocy*



z jej strony”. THEODOR W. ADORNO.

Czyżby miała adoratora w Mastán? Jak to możliwe? Bywała tam rzadko, w zasadzie tylko wówczas, gdy z takich czy innych powodów musiała zastąpić tamtejszego listonosza.

Zrobiła w pamięci kwerendę wszystkich swoich znajomych, usiłując odgadnąć, kim mógł być człowiek, który zadał sobie tyle trudu. Aptekarz? Ale przecież jemu niedługo stuknie siedemdziesiątka! Odkąd por-venirski hydraulik poszedł na emeryturę, przyjeżdżał tu nowy facet z Mastán. Był sympatyczny, w średnim wieku i szczęśliwie żonaty z nauczycielką! Za nic nie mogła wpaść na trop tajemniczego autora listów.

W jednej z kopert musi się kryć klucz do tej zagadki, stwierdziła z przekonaniem, pewna, że ten ktoś będzie chciał w końcu wyjawić swoją tożsamość.

„*To tylko pewnego rodzaju przykrość nie być kochanym. Prawdziwym nieszczęściem jest nie kochać*”. ALBERT CAMUS. Odetchnęła z ulgą: ona potrafiła kochać. Kochała do szaleństwa swoich trzech synów, podobnie jak wcześniej ubóstwiała rodziców. Zawsze z wielką tkliwością myślała o Rosie, o Mauriciu i o jego synu Álexie. Miała kilka oddanych przyjaciółek. Niezawodnie wszyscy oni zaświadczyliby przed Camusem, że Sara umie kochać. Czy podpisałby się pod tym również Fernando? Czy go kochała? Poczula, jak w odpowiedzi jej serce przyśpiesza. Gdybyśmy tak zawierzili słowom Fraya Luisa de Leóna:

– „Prawdziwa miłość nie oczekuje zaproszenia, prawdziwa miłość ofiaruje się pierwsza” – przeczytała na głos.

Zatem to ona powinna zrobić ten pierwszy krok? Ale jak?

Słowa zachęty odkryła w następnej kopercie: „*Nie ma takiego tchórza, którego by sam Eros męstwem (...) nie natchnął, tak żeby dorównał najtęższemu z natury*”. PLATON<sup>26</sup>.

Zrobiło się jej trochę wstyd: czy aby nie zdradzała Fernanda, otwierając i czytając wszystkie te miłosne lis-ty? I co gorsza, doznając przy tym nieopisanej radości. Co powiedziała, gdyby się o tym dowiedział?

– Proszę, nie gniewaj się, od tak dawna nikt nie mówił mi takich pięknych rzeczy – wyszeptała, jakby norweski rozbitek mógł ją usłyszeć.

Czytała dalej: „*Lepiej kochać i zostać porzuconym, niż nigdy nie kochać*”. ALFRED TENNYSON; „*Godzina mojego serca: godzina nadziei i rozpacz*”. ANTONIO MACHADO; „*Człowiek nie potrafi zrozumieć niczego, chyba że to kocha*”. GOETHE; „*To, czego dokonywa się z miłości, dzieje się zawsze poza dobrem i złem*”. NIETZSCHE<sup>27</sup>; „*Pytasz, po co kupuję ryż i kwiaty. Kupuję ryż, żeby żyć, i kwiaty, żeby wiedzieć, po co żyć*”. KONFUCJUSZ.

Jej wielbiciel znalazł się na pięknych słowach. Próbowała go sobie wyobrazić – siedzącego w domu przy stole, w dużym pokoju. Był wieczór, więc zapalił światło.

Pochylony nad kartkami papieru, pisał i pisał. Przed nim piętrzyły się stosy słowników, antologii przysłów i cytatów. Od czasu do czasu unosił głowę, wpatrywał się tęsknie w przeciwległą ścianę i wzdychał. Myślał o niej.

Sara wzruszyła się, uświadomiwszy sobie, że nic o tym nie wiedząc, towarzyszyła komuś przez całą noc. Że wspomnienie o niej zainspirowało go do wyszukania tych pięknych sentencji.

– Czytam twoje listy. Kimkolwiek jesteś, nie jesteś sam – szepnęła, czując, jak oczy zachodzą jej łzami.

*„Najlepszych i najpiękniejszych rzeczy na świecie nie można ani zobaczyć, ani dotknąć. Trzeba je poczuć sercem”.* HELEN KELLER; *„Miłość nie ma wieku i wciąż się rodzi”.* PASCAL28. Oby nie było dla niej za późno. Ani dla wszystkich innych kobiet, które jak ona czekały na drugą szansę. Pod warunkiem, że nie zabraknie nam odwagi, pomyślała. *„Miłość jest rozkosznym kwiatem, ale trzeba mieć odwagę zerwać go na krawędzi przepaści”.* STENDHAL.

Dwie łzy spłynęły jej po policzkach. Nie od razu je otarła: jedna upadła na kolejne zdanie i rozmazała pierwsze słowo: *„Ci, którzy kochają się sercem, tylko sercem rozmawiają ze sobą”.* FRANCISCO DE QUE-VEDO.

*„Miłość jest wszystkim, co istnieje – to wszystko, co o niej wiemy”.* EMILY DICKINSON<sup>29</sup>; *„Z miłością jest jak z ogniem; wcześniej zauważają dym ci, którzy przyglądają się z boku, niż płomienie ci, którzy znajdują się w środku”.* JACINTO BENAVENTE; *„Miłość potrafi poczekać, kiedy rozum zaczyna wątpić”.* GEORGE W. LYTTTELTON.

Zostały już tylko trzy koperty. Zadrżała. Pragnęła przedłużyć tę chwilę szczęścia jeszcze odrobinę.

Zaczeka kilka minut, zanim je otworzy. Zebrała wszystkie kartki z cytatami spoczywające na jej kolanach i wstała. Na kontuarze położyła trzy ostatnie listy, resztę zaś włożyła do torby, próbując w międzyczasie wyobrazić sobie, gdzie mogłaby ukryć ten bezcenny skarb. Dobrze byłoby je mieć pod ręką i zaglądać do nich w szare i jednostajne dni, które ją czekają.

Poszła zaparzyć kawę. Dochodziła dziewiąta. Alibi, jakie zapewniała jej wywieszka z napisem „Listonosz w rejonie”, szybko rozwieje się jak dym. Będzie musiała otworzyć pocztę i – chcąc nie chcąc – wcielić się w rolę listonoszki.

*„Z jednego pocałunku dowiesz się wszystkiego, o czym milczałem”.* PABLO NERUDA.

Rozłożyła następną kartkę, nie wiedząc jeszcze, że w końcu znajdzie trop. Cytat pochodził od lorda Byrona: *„Jeżeli łzy moje, które widziałas (wiesz, że nie pojawiają się zbyt łatwo), jeśli podniecenie, w którym rozstałem się z Tobą, podniecenie, które (...) zaczęło się dopiero wtedy, gdy zbliżył się moment naszego rozstania – jeśli wszystko, co powiedziałem i uczyniłem, i co jestem aż nazbyt gotów powiedzieć i uczynić raz jeszcze, jeśli to wszystko nie przekonało Cię dostatecznie,*

*jakie są i zawsze będą moje uczucia do Ciebie, Ukochana, to już nie wiem, jak Cię przekonać. (...) Niech Bóg nad Tobą czuwa, niech da Ci przebaczenie i błogosławieństwo. Na zawsze – i więcej niż na zawsze*”<sup>30</sup>.

– A więc znam cię – wyszeptwała w zamyśleniu Sara. – „Widziałam cię, mówiłeś do mnie...” – wyrecytowała, całując kartkę. Przyłożyła ją sobie do policzka. „*Ja kocham, ty kochasz, on kocha, my kochamy, wy kochacie, oni kochają. Gdyby to była rzeczywistość, a nie koniugacja*”. MARIO BENEDETTI.

– Trzydzieści dziewięć karteczek z cytatami – policzyła głośno. Liczba, która potwierdziła jej podejrzenie: niezależnie od tego, kim był ów tajemniczy zakochany, znał jej wiek... choć za kilka godzin będzie już nieaktualny. Ofiarował jej jedno zdanie na każdy rok życia.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, że w pewnym sensie usiłował jej powiedzieć, iż kocha ją od dawna. Niewykluczone, że od zawsze, nawet zanim jeszcze to sobie uświadomił. A może była to swego rodzaju rekompensata za cały ten czas, kiedy nie mógł jej tego powiedzieć?

Rozplakała się, stojąc samotnie w czterech swoich ścianach urzędu pocztowego w Porvenir. Łzy szczęścia mieszały się ze łzami niegdysiejszego bólu, spowodowanego brakiem miłości, i łzami nostalgii za tymi wszystkimi, których kochała i których już z nią nie było.

Obróciła się na pięcie – być może wkrótce zapłacze znowu, bo ta przestrzeń pokryje się kurzem, zamknięta na cztery spusty, zapomniana. Wytężyła całą swoją energię, aby utrwalić tę chwilę w źrenicach i w duszy.

Gdyby nie była tak bardzo skoncentrowana na swoich myślach, zauważyłaby, że dwie osoby szpiegują ją z ulicy. Były tego samego wzrostu, miały niemal tak samo obcięte na krótko włosy, a ich twarze rozpromieniały prawie identyczne uśmiechy.

W zielonych oczach Álexa skrzyło się światło. Almie wydało się też, że spęczniała w nich nieśmiała łza. Ścisnęła jego dłoń. Kiwnęli do siebie głowami i jakby byli zrośnięci ze sobą, popędzili w dół ulicy.

Musieli przekazać Fernandowi, że jego miłosne listy dotarły prosto do celu, do serca Sary.

21 J.L. Borges, O. Ferrari, *W dialogu I*, Wydawnictwo Helion, Gliwice 2007.

22 Św. Augustyn, „*Istnieje tylko miłość*”. *Homilie na Pierwszy List św. Jana* (wybór), tłum. M. Romanek, Wydawnictwo Kairos, Kijów 1998.

23 *Od Seneki do Jana Pawła II*, wyboru dokonała A. Jędrzejko, Videograf Edukacja, Chorzów 2007.

24 W. Szekspir, *Hamlet*, tłum. J. Paszkowski, Wydawnictwo Ibis, Poznań 2012.

25 P. Neruda, *Poezje wybrane*, wybrał i przełożył oraz posłowiem opatrzył J. Zych, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

26 Platon, *Eutyfron. Obrona Sokratesa. Kriton. Fedon. Uczta*, przełożył oraz wstępami i objaśnieniami opatrzył W. Witwicki, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2007.

27 F. Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, tłum. G. Sowiński, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012.

28 *Leksykon złotych myśli*, wyboru dokonał K. Nowak, Książka i Wiedza, Warszawa 1998.

29 E. Dickinson, *100 wierszy*, wybór, przekład i wstęp S. Barańczak, Arka, Kraków 1990.

30 Byron, *Listy i pamiętniki*, tłum. Z. Kubiak, PIW, Warszawa 1960.

## Nikczemne ciosy

Jakże niesprawiedliwa,  
jaka złośliwa  
i przewrotna jest śmierć,  
co nie zabija nas,  
lecz tych, których kochamy.  
CARLOS FUENTES31

Alma zatrzasnęła książkę. Nie mogła się skupić.

Szybki, energiczny i zdecydowany stukot klawiatury dochodzący z pokoju obok sprawiał, że co chwila traciła wątek. Od czterech miesięcy mieszkała sama w tym domu i zaledwie od dwóch dni dzieliła go z Fernandem. Czyżby stała się odludkiem?

Prychnęła, patrząc w sufit. Mały pająk tkął tam swoje królestwo: biegał w tę i we w tę, upewniając się, że nikt nie wtargnął bez pozwolenia na jego terytorium odrywającej się płatami farby i popękanego tynku.

– Przydałoby się małe malowanko – westchnęła, wodząc wzrokiem po ścianach i podłodze noszących wyraźne ślady opuszczenia. Przypomniała sobie, że drzwi kuchenne wychodzące na ogród skrzypią przeraźliwie przy najmniejszym poruszeniu i że nie zamyka się jedna okiennica na piętrze, uderzając wściekle za każdym podmuchem wiatru.

Może Álex pomógłby mi z domem, pomyślała.

Odkąd poznała Marę Polsky, jedno ze zdań przez nią wypowiedzianych bez przerwy tłukło się jej po głowie: „Twój los i los domu twojej babki są nierozzerwalnie związane”. W obu przypadkach to ona musiała podjąć decyzję.

– Wpakowałaś mnie w niezłą kabałę, Luiso Meillás – mruknęła. – I nie mów mi, że to było niechcący. Już ja cię znam!

Pomysł stworzenia przystani dla początkujących pisarzy, który w pierwszej chwili wydawał się nieziszczalnym snem, z wolna zaczynał nabierać realnych kształtów. Opowiedziała o nim Álexowi, a ten zapalił się do niego natychmiast – nie z miłości do literatury, lecz dlatego, że po raz pierwszy Alma rozważała pozostanie w Porvenir na dłużej.

Przyjechałam tu na tydzień, ale bez przerwy szukam pretekstu, żeby zostać na całe życie... Uśmiechnęła się na myśl o łańcuchu listów, o swoim chłopcu, o kole literackim, które już wkrótce stanie się faktem...

Rany boskie! Co ten facet pisze z takim zacięciem? Wspomnienia? – zastanawiała się zdesperowana. Nie mogąc czytać, zgasiła światło i wtuliła głowę w poduszkę w nadziei, że może zaśnie. Wszystko na nic.

Wyciągnęła po omacku rękę. Na nocnym stoliku namacała telefon komórkowy i sprawdziła godzinę: druga w nocy.

Nie wyłączała telefonu przed snaniem. Wymusiła to na niej matka, która nie mogła zrozumieć, jak jej córka może mieszkać sama w takim wielkim domu, pośród łąk, o dwa kilometry od najbliższej siedziby ludzkiej. „Jeśli napadną cię złodzieje, wybuchnie pożar, dostaniesz zawału... musisz przecież natychmiast kogoś zawiadomić! Obiecuj mi, że przez cały czas będziesz miała przy sobie komórkę”, panikowała. Alma parsknęła na to śmiechem, że chyba ogląda za dużo filmów, ale w końcu, z oporami, się zgodziła. Ponieważ ostatnio dzieliła się wszystkim z Álexem, opowiedziała mu i o tym. Ku jej zdziwieniu chłopak przyznał jej matce rację. Kiedy wytknęła mu, że nigdy by jej nie przyszło do głowy, że młody marzyciel wychowany w górach i czterdziestoparoletnia gospodyni domowa mogliby myśleć tymi samymi kategoriami, chłopak zmierzył ją przenikliwym wzrokiem i odparł: „Możesz być spokojna, na pewno dzieli nas wiele rzeczy, ale łączy jedna niezwykle istotna: oboje cię kochamy i martwimy się o ciebie”. „Kochasz mnie?”, spytała kokieteryjnie. Ale nie otrzymała odpowiedzi. Álex szedł dalej jak gdyby nigdy nic, jak gdyby nie powiedział nic szczególnego czy budzącego emocje. Nie był zbyt rozmownym człowiekiem, za to wysławiał się precyzyjnie i zwięźle. Cóż, będzie musiała się do tego przyzwyczaić.

Nagle wyrwała się z półsnu, strwożona. Z zamkniętymi oczami próbowała rozpoznać dźwięk, który ją wybudził: klawiatura komputera Fernanda milczała. To nie ona była winna.

Dwie sekundy i dzwonek komórki ponownie zjeżył jej włosy na głowie.

Ręka zdawała się bronić przed odebraniem połączenia, jakby wiedziała, że telefon w środku nocy może oznaczać tylko złe wiadomości. Po czwartym dzwonku skapitulowała: nie było ucieczki przed tym, co ktoś usiłował jej powiedzieć.

– Álex... – Odpowiedziała jej cisza. – Álex, co się stało? Dlaczego dzwonisz do mnie o tej porze? – Po drugiej stronie usłyszała stłumiony szloch. Wyprostowała się na łóżku. Zapaliła lampkę. Zaczekała kilka sekund, ciągnących się w nieskończoność. – Jeśli nie powiesz mi, co się stało, nie będę mogła ci pomóc – powiedziała struchlała.

Ścisnęło ją w żołądku. Skuliła się w kłębek pod kocem. Wyczuwała ból Álexa i ogarnął ją strach. Widziała łzy spływające po jego policzkach i nie wiedziała, w jaki sposób je zatrzymać. Pomyślała, że utoną w nich oboje.

Odgadła to słowo, zanim je usłyszała:

– Ojciec...

Nie, nie, nie! – wszystko w niej darło się wniebogłosy. Brakowało jej powietrza, słów. Otworzyła usta jak rozbitek w czasie sztormu starający się oddychać i krzyczeć równocześnie, broniąc się przed dzikimi falami, które chcą zaciągnąć go na dno. Zaciśnęła dłoń na telefonie, jakby to było jej koło ratunkowe. Musiała zachować zimną krew, inaczej będzie po nich.

Chociaż ze zdumiewającą pewnością знаła odpowiedź, spytała:

– Jak to się stało? – Gdzieś w tle usłyszała obcy głos, który wypytywał o polisę ubezpieczeniową. Ktoś odpowiedział i ten głos wydał się jej znajomy – to chyba Sara, listonoszka. – Kto jest z tobą, Alex?

– Przyjedź. – Rozkazujący ton chyba zaskoczył jego samego, bo zaraz dodał o wiele łagodniej: – Zadzwoń po taksówkę. W Mastán są pod telefonem przez całą dobę... Albo obudź Fernanda, może on...

Alma nie słuchała już instrukcji chłopaka. Jakby jej serce całe życie czekało na tę chwilę, w której Alex powie: „Przyjdź”, wyskoczyła z łóżka, zapominając o telefonie, który został na kocu.

Nalozyla na siebie to, co miała pod ręką: sztruksy, gruby sweter i zimowe buty. O czwartej nad ranem na dworze musiał panować straszny ziąb. Wložyla ciepłą kurtkę, okutała się szalikiem i naciągnęła na głowę wełnianą czapkę. Dopiero wówczas przypomniała sobie o komórce.

– Alex? – spytała, wybiegając z pokoju. Lecz Alex już się rozłączył.

Nie odczuwała najmniejszego strachu, przemykając w całkowitej ciemności między sosnami – niebo okryło się żalobą, księżyc przepadł bez śladu. Tylko sobie oczy śledziły ją z wysokich gałęzi. Odnosiła wrażenie, że swoim pohukiwaniem ptaki ostrzegają resztę nocnych mieszkańców lasu, że ta dziewczyna o kasztanowych włosach i miodowym spojrzeniu jest nietykalna.

Nie miała pojęcia, skąd wykrzesala tyle sił, żeby pokonać biegiem te kilka kilometrów, ale nie bała się ani trochę. Miłość jest najlepszą tarczą przeciwko wszelkim niebezpieczeństwom. Przeskakiwała przez kamienie i nie przejmowała się odgłosami wypełniającymi las, gnana obrazem Alexa skapanego we łzach, których nigdy przedtem u niego nie widziała.

Czy można postarzyć się w ciągu kilku godzin? – zadała sobie pytanie, kiedy Alex otworzył drzwi. Zanim zdołała otrzymać na nie odpowiedź, poczuła, jak chłopak szuka schronienia w jej ramionach, wciągając ją do mieszkania. Bez płaczu, bez słów.

Sara i lekarz pożegnali się niebawem, obiecując wrócić rano, aby zająć się ciałem i formalnościami. W domu zapadła cisza. Pełzająca samotność kolonizowała tę przestrzeń, którą niegdyś zamieszkiwała rodzina pełna życia i marzeń. W pokoju na końcu korytarza ciało Mauricio czekało na pogrzeb – ostatni akt dramatu zwanego życiem.

Od dwóch godzin siedzieli na kanapie w dużym pokoju, przytuleni do siebie.

Dziewczyna respektowała jego milczenie, on zaś dotykał jej włosów, płacząc jej i rozczesując palcami, jakby w zajęciu tym znajdował uspokojenie.

Alma przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, zaraz po przyjeździe do Porvenir. W kapliczce z zamkniętymi oczami wyciągnęła rękę, aby dotknąć zezowatego aniołka z kołatki. Lecz zamiast niego musnęła twarz Alexa i przeraziła się. Gdyby wtedy, gdy patrzyła na uciekającego w popłochu chłopaka, ktoś jej powiedział, że w niedługim czasie staną się czymś więcej niż przyjaciółmi, nieźle by się uśmieła. Wciąż jeszcze nie zwróciła mu książki Bruce'a Chatwina i chłopak ma już pewnie u bibliotekarki jaskrawoczerwoną krechę długości drogi do Mastán.

Zdziwiła się, że myśli o trywialnych sprawach w tak smutnych okolicznościach, i dopadły ją wyrzuty sumienia. Dokładnie w tej właśnie chwili poczuła neodpartą potrzebę ponownego dotknięcia twarzy swojego chłopaka. Przeciągnęła delikatnie palcami po jego policzku, a on, chyba bardziej w odruchu bezwarunkowym niż świadomie, uśmiechnął się do niej. Wzrokiem błądził gdzieś w półmroku, zatracony w swoim świecie.

Przymknęła oczy. Przez ułamek sekundy pomyślała, że zaraz do pokoju wejdzie ojciec Alexa, domagając się fotografii swojej żony. Czekala na ten moment, choć wiedziała, że to przecież już niemożliwe. Była w tym mieszkaniu dopiero po raz drugi, ale nawet ona odczuwała ciężar nieobecności tego człowieka, którego niemal nie znała.

Próbowała sobie wyobrazić, jaki był, zanim choroba spustoszyła jego pamięć. Czy nawet wcześniej, jeszcze przed śmiercią żony. Pewnego dnia, kiedy już to wszystko minie, poprosi Alexa, żeby opowiedział jej o swoim ojcu. Chciała mu pomóc w ocaleniu wspomnień.

Do pokoju, przez szpary między zasłonami, zaczęły się przeciskać pierwsze promienie słońca. Najpierw oświetliły ściany, a potem, powoli, ześlizgnęły się ku meblom, obrazom i fotografii w ramce. Dotknęły ich stóp, aż w końcu oświetliły ich twarze.

Rozległo się bicie kościelnych dzwonów. Siedem razy.

Jakby to był umówiony znak, na który czekał przez całą noc, Alex spojrział na Almę, smutny i wystraszony.

– Nie ma go – powiedział słabym, pękniętym głosem. – Odszedł.

31 C. Fuentes, *W to wierzę*, tłum. Z. Wasitowa, Świat Książki, Warszawa 2003.



Gdziekolwiek jesteś

28 stycznia

Ojczy,

czy umarli wiedzą, że już nie żyją?

Gdzie jesteś?

*Tutaj, w domu, zostało tylko Twoje ciało. Ale to lodowate truchło pełne zmarszczek to nie Ty. Nie do Ciebie należą te stężałe ręce, które teraz podnosi Sara, ubierając Cię w Twój najlepszy garnitur, ani te białe jak śnieg stopy, stawiające opór skarpetkom. Dotknąłem Cię. Pocałowałem na pożegnanie w czoło – jesteś bardzo zimny. Ze złością otarłem usta, bo nie chcę Cię takim zapamiętać.*

*To nie jesteś Ty. Opuściłeś ten dom zaledwie przed chwilą. I za kilka godzin to obce ciało uda się w drogę na cmentarz. Nigdy przedtem nie widziałem umarłego. Gdy na chwilę zapominam, że jeszcze do wczoraj żyłeś w nim, jest dla mnie jedynie nic nieznaczącym truchłem. Marionetką, jak ta, którą w dzieciństwie podarowałaś mi na Gwiazdkę. Poruszałem nią, niby że tańczy, a wtedy brat, żeby zrobić mi na złość, przeciął jej nitki. Upadła jak ścięty kwiat, jak tłumok, kawałek szmaty wypchanej watą.*

*Kto przeciął nitki podtrzymujące przy życiu Twoje ciało?*

*Choć strasznie mi o tym mówić, sądzę, że Cię wyzwolił. Prawda? Ogarnia mnie bezsilna wściekłość na myśl o tym, że gdybyś mógł mnie poprosić, abym to ja je przeciął, zrobiłbyś to. Byłeś więźniem własnego ciała, które odmówiło Ci posłuszeństwa i które stało się łańcuchem przykuwającym Cię do wielkiego i obcego świata. Jestem pewien, że na początku moja obecność pozwalała Ci w jakimś stopniu zapomnieć o lęku, o bezsensownej śmierci mamy i o chorobie. Ale z biegiem czasu nawet ja nie byłem wystarczającą rekompensatą dla tej straszliwej tęsknoty i cierpienia.*

*I Ty nie byłeś przecież sobą.*

*Mężczyzna, którym opiekowałem się przez ostatnie lata, był obcym człowiekiem, którego poznawałem codziennie od nowa. Każdego dnia byłeś inny. Czasami myślałem, że oszaleję, bo zmieniałeś się co godzinę.*

*Może w to nie uwierzysz, ale niekiedy Cię rozpoznawałem. Chwilami bywałeś w domu z wizytą, cichy, milczący. Widziałem, jak patrzysz na mnie z żalem. Doprowadzało mnie to do białej gorączki. Miałem wtedy ochotę wykrzyknąć, żebyś*

*mi nie współczuł, bo postanowiłem zostać z Tobą z własnej woli, bo tak chciałem. Bo Cię kochałem. Przynajmniej wówczas, kiedy byłeś sobą. Lekarz mówił, że to tylko moje złudzenia – Ty nie mogłeś litować się nade mną. Bo przecież – powiedział – nie wiedziałeś, kim jestem i co znaczy żal.*

*Ja, tak jak mama, wierzę lekarzom, jeżeli jest mi to na rękę.*

*Chciałem zostać. Mogłem wyjechać, jak moi znajomi. Jak mój brat. Powiedzieliś mi, żebym wyjechał jak moi przyjaciele. Potem mówiłeś już tylko same niedorzeczności. Wiesz, że to gorsze od milczenia? Czasami modliłem się o to, żebyś zamilkł. Wybacz mi. Wolałbym słuchać milczenia niż w kółko tego samego, jakbyś się zaciął. Popadałeś w przygnębienie, bo zadawałeś mi absurdalne pytania, a ja nie wiedziałem, jak na nie odpowiedzieć. Ludzie myślą się, mówiąc, że milczenie jest czymś przerażającym. Słuchanie nieobecnego duchem ojca jest czymś o wiele gorszym. Podobnie jak mówienie do Ciebie ze świadomością, że słowa były dla Ciebie jedynie niezrozumiałymi dźwiękami. Czasami zatykałeś sobie uszy. W ten sposób chciałeś mi dać do zrozumienia, że masz dosyć hałasu.*

*Mój ojciec, który nauczył mnie tylu rzeczy, który tulił mnie i ocierał łzy, który tak wiele razy mnie rozśmieszał... teraz wypytywał bezustannie, o której godzinie wróci jego matka, żeby dać mu podwieczorek. Babcia, która nie żyje od trzydziestu lat!*

*Być może wszystko to, w jakimś sensie, przygotowało mnie na tę ostateczną chwilę, kiedy przyszło mi się zmierzyć z Twoją śmiercią. Żeby łatwiej mi było się z Tobą rozstać. Życie jest mądre, nawet w chorobie. To, co wydawało mi się tragiczną pomyłką czy ponurym żartem losu, Twoja choroba i jej niezliczone oblicza, tak naprawdę było treningiem, aby ostateczne po-żegnanie przebiegło mniej boleśnie.*

*Sklamałbym, gdybym wyznał, że pragnąłem, abyś odszedł. Ale wiedząc, jak bardzo chciałeś połączyć się z mamą, widząc, jak bardzo cierpiałeś każdego dnia, akceptuję to z mniejszym gniewem. Odszedłeś w środku nocy, z krzykiem. Obudziła mnie pielęgniarka, pobiegłem do Twojego pokoju i zdążyłem jeszcze chwycić Cię za rękę, zanim przestałeś oddychać. Czy poczułeś dotyk mojej dłoni? Chciałem być przy Tobie w tej ostatniej chwili, abyś nie myślał, że jesteś sam. Mam nadzieję, że to poczułeś.*

*Wczorajszy wieczór wydawał się taki jak zawsze. Gdybym wiedział, że dziś zjem śniadanie przy pustym stole, powiedziałbym Ci głośno, że Cię Kocham!*

*Odszedłeś, a ja zostałem tu z całym mnóstwem spraw, o które nie zdążyłem Cię zapytać. Rzeczy, o których chciałem Ci opowiedzieć, lecz których nie mogłeś już usłyszeć. Dlatego do Ciebie piszę. Aby je wypowiedzieć i aby powędrowały razem z Tobą. Weź je, są dla Ciebie.*

*Chciałem Ci powiedzieć, że mama nie umarła z Twojej winy. Nigdy Cię za to nie winiłem. Ale odczuwałem tak wielką potrzebę, tak bardzo pragnąłem ją*

*oplakiwać... a Twoja rozpacz odepchnęła w cień moje cierpienie. Nie mogłem płakać, bo Ty cierpiełaś bardziej. Musiałem połykać swoje łzy. I wiesz, co się stało? Alma mówi, że moje serce utonęło w żalu. Od razu widać, że jest poetką. Poznałeś ją kilka dni temu. Cieszę się, że tak się stało.*

*Kochałeś mamę. My również.*

*Już mówiłem, że kiedy spadła na Ciebie ta choroba, postanowiłem zostać. Bo Ciebie też kochałem. Było mi nieraz bardzo ciężko. Wyobraź sobie, że skazany sam sobie wyznacza karę: dziesięć lat i jeden dzień pracy przymusowej. Wygnania. To moje doświadczenie – z własnej woli zamknąłem się tutaj, nie wiedząc, na jak długo. Wszyscy wyjechali. Wiele razy rozważałem możliwość wyjazdu na jakiś czas.*

*Nigdy nie mogłem podzielić się z Tobą moim marzeniem o podróżach. Chcę podróżować, odwiedzić wszystkie zakątki świata. Pragnę dotknąć swoimi stopami ziemi krajów, które przemierzyłem palcem na moich mapach; zanurzyć się w morskiej wodzie na egzotycznych plażach, fotografować się na tle świątyń i pękać ze śmiechu ze szklanką rumu w dłoni. Rozmawiać z nieznanymi i wsiadać do pociągów jadących w nieznane. Będę pracować i oszczędzać i jak tylko zgromadzę wystarczające środki, udam się w podróż. Poproszę Alnę, żeby wyjechała ze mną, bo przyzwyczailem się chodzić z nią wszędzie. Lubię ją. Kiedy jest przy mnie, wszystko wydaje mi się o wiele łatwiejsze. Życie z Alną jest lekkie. Ale zawsze będziemy wracać do Porvenir. Lubię nasze lasy, kapliczkę i domy z kamienia. Ona jeszcze tego nie wie, ale to miejsce zawładnęło jej sercem. Widać to gołym okiem.*

*Kiedy byłem mały, lubiłem chodzić do szkoły. Jak już zmęczone podróżowaniem, może rozpocznę studia. Pasjonuję się geografią, historią, antropologią... jest tyle ciekawych rzeczy! Zresztą nie jestem jeszcze taki stary, żeby nie spróbować. Póki co, z pomocą Alny, Sary i innych, w bibliotece w Porvenir rozkręcimy koło literackie. Będziemy czytać książki złożone z listów. Takich jak ten, który teraz piszę do Ciebie. Bardzo się w to zaangażowałem.*

*Jeszcze kilka miesięcy temu moje życie zdawało się być zatwierdzonym do realizacji scenariuszem, ale ostatnio wiele się w nim zmieniło. Wydarzyło się tyle rzeczy, którymi chciałbym się z Tobą podzielić. Koło literackie, Alma i łańcuch anonimowych listów, za pomocą których mamy nadzieję uratować pracę Sary i porvenirską pocztę.*

*Pewnego dnia otrzymałem list od amerykańskiej poetki, która zaprosiła mnie do wzięcia udziału w tej akcji. Opowiadała mi o swoim fascynującym życiu, wyjawiała też niejeden sekret. I ja napisałem list. Wiesz, do kogo? Do matki mojego przyjaciela Migue-la, do Hypatii. Dodałem swoje ogniwo. Nie wiem, czy zdołamy uchronić Sarę przed przeniesieniem do stolicy, ale wiem, że te koperty mają magiczną moc i że w jakiś sposób zmieniły życie wszystkich, którzy je otrzymali.*

*Ciągle się zastanawiam, kto mógł wpaść na ten genialny pomysł. Gdybym się*

*dowiedział, z wdzięczności padłbym mu do nóg.*

*Przed chwilą Sara powiedziała, że już czas. Już przyjechali. Zabierają ciało. Mam chwilkę, żeby się z nim pożegnać. Po południu, podczas egzekwii, zobaczę tylko trumnę.*

*Gdziekolwiek jesteś, tato, pamiętaj o mnie. Ja wciąż jestem tutaj.*

*Álex*

Położył długopis na stole. Nie czytając tego, co napisał, złożył kartkę na cztery części. Łzy, z którymi zaczynał tę spowiedź, dawno już obeschły. Umieściwszy irrealny adres na kopercie, poczuł niezwykle spokój:

*Mauricio Salvan*

*Osiedle Sprawiedliwych*

*Miasto Nadziei*

*Rajskie Królestwo*

*PILNE*

Jak można się pożegnać

*Pożegnali się, a w słowie „żegnaj” było już powitanie.*

MARIO BENEDETTI

Nadszedł dzień D: dwudziesty ósmy stycznia, urodziny Sary.

Wszystko było napięte na ostatni guzik. Fernando się o to postarał. Zamówił nawet orkiestrę, ku rozpaczy Almy, która zachodziła w głowę, jak poprzestawiać meble w salonie, żeby zmieściły się perkusja, syntezator i trzy dziewczyny śpiewające w chórkach.

Hypatia od dwóch dni prawie nie spała, dwojąc się i trojąc w kuchni, by zdążyć na czas. Oprócz tego miała przekonać Rosę, żeby ta zgodziła się podjąć misji specjalnej. Staruszka z wielkim entuzjazmem przyjęła możliwość dołączenia do spiskowców i przekazała im mnóstwo zdjęć przedstawiających szczęśliwe chwile Sary i najważniejsze osoby w jej życiu. Alma dokonała selekcji i przygotowała prezentację, która miała być pokazana w trakcie przyjęcia. Na szczęście dziewczyna nie musiała poznać osobiście przyjaciółki swojej babki. Wiedziała, że prędzej czy później ich drogi się przetną. Ale wychodziła z założenia, że im później to się stanie, tym lepiej.

Jednak to tej właśnie nocy, o dwudziestej drugiej, Rosa miała odegrać kluczową rolę: musiała pod jakimś pretekstem zaprowadzić Sarę za miasto, do domu rodziny Meillás. Nie wiedzieli, jak zdoła tego dokonać, nie budząc podejrzeń, ale staruszka uspokoiła ich, żeby się nie przejmowali, żeby zdali się na nią. Znała listonoszkę, odkąd ta pojawiła się w brzuchu swojej matki, już ona coś wymyśli.

Alma obserwowała Hypatię i Fernanda pogrążonych w milczeniu. W czterdzieści osiem godzin ich świat wywrócił się do góry nogami. Cała trójka siedziała w salonie domu Luisy przy porannej kawie.

O dziewiątej, zaraz po wyjściu od Álexa, zebrała sztab kryzysowy: śmierć ojca chłopaka postawiła pod znakiem zapytania stosowność imprezy. Z jednej strony Alex był jednym z najbardziej aktywnych organizatorów tego przedsięwzięcia. Był stopami i dłońmi Fernanda – zaniósł na pocztę trzydzieści dziewięć lis-tów miłosnych i kupił wszystko, co kochankowi z krainy chłodu przyszło do głowy: czterdzieści białych róż, płytę kompaktową ulubionego piosenkarza Sary, koszulę, którą miał włożyć po raz pierwszy w dniu jej urodzin... A jakby tego było mało, rodzina listonoszki i rodzina Álexa przyjaźniły się od

wielu lat.

– Nie musimy jej całkiem odwoływać – odezwała się Alma, przerywając posępne milczenie ciężące nad zebranymi.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Hypatia.

– Moglibyśmy odłożyć ją w czasie, na jakieś dwa, trzy dni. Zaczekać, aż odbędzie się pogrzeb Mauricia. Sara ucieszy się tak samo i jestem pewna, że uda się mi przekonać Alexa, żeby przynajmniej zaszedł na chwilę i złożył jej życzenia...

– Nie – uciął stanowczo Fernando. Był niezwykle poważny. Obie kobiety spojrzały na siebie zaskoczone. Znały go raptem kilka dni, ale do tej pory nie wyglądał na człowieka władczego czy nieustępliwego. – Wyjeżdżam jutro po południu. O szóstej rano zadzwonił do mnie kierownik z platformy. Żółtodziób, który miał mnie zastępować, zapadł na mononukleozę i przewieziono go na brzeg. – Na twarzy mężczyzny pojawił się smutny grymas.

– Prawdę powiedziawszy, jedzenie nie wytrzyma tyle czasu – dodała Hypatia przeprasającym tonem. – Trzeba by było wszystko wyrzucić i zacząć od nowa. – Westchnęła z rezygnacją.

Cała trójka z powrotem pogrążyła się w milczeniu.

– A może wyprawimy urodziny typu *petit comité*? – zaproponowała Alma.

Na twarzach Fernanda i Hypatii odmalowała się niepewność.

– Co to znaczy? – spytała nieśmiało Hypatia. – Co to jest *petit comité*?

Fernando uprzedził dziewczynę, która już otwierała usta, odpowiadając kucharcze:

– To znaczy w małym gronie, dyskretnie, kilka najbliższych osób, bez pompy i raz-dwa... – Pokręcił głową. – Nie, to odpada. Przyjęcie ciche czy huczne to zawsze przyjęcie. A jeśli już mam wybierać, to Sara zasługuje na zabawę na cztery fajerki.

– Masz rację – westchnęła Alma, czując, że zasób jej pomysłów jest na wyczerpaniu.

– Poza tym – dodała Hypatia – wszyscy są już powiadomieni, kupili prezenty... Dzisiaj rano w piekarni spotkałam Karol, dziewczynę, która sprząta na poczcie. Cała w skowronkach, opowiedziała mi, że to pierwsze przyjęcie, na jakie została zaproszona, odkąd tu mieszka. Była taka szczęśliwa, że nawet umówiła się u fryzjera na zrobienie włosów.

Jak na komendę obie kobiety spojrzały jednocześnie na Fernanda. Jeśli Karol wiąże tak wielkie nadzieje z przyjęciem, jak poczułby się ten zakochany mężczyzna, gdyby je odwołać? Przejechał przecież całą Europę, żeby to wszystko zorganizować. Poczuli się winne w stosunku do nieobecnego duchem Fernanda, który nerwowo przekładał w palcach łyżeczkę do kawy.

Hypatia zadzwoniła do Rosy, żeby podzielić się z nią wątpliwościami.

Staruszka wysłuchiwała wszystkich argumentów, nie przerywając jej ani razu.

Alma i Fernando czekali w nerwowym napięciu. Wiedzieli od Alexa i Hypatii, że jeśli chodzi o Sarę, opinię Rosy należy traktować jak dogmat. Była przecież jej sąsiadką, ale również przyjaciółką i w jakimś sensie rodziną. Wiedziała doskonale, co czuje serce i myśli głowa jej „dziewczynki”, jak czule nazywała listonoszkę. Ale poza tym Rosa była niezwykle rozsądną kobietą cieszącą się w miasteczku nienaganną reputacją. Jej opinia mogła pomóc im rozstrzygnąć dylemat.

– Rosa? Jesteś tam? – spytała kucharka.

Alma i Fernando zawiesili na niej wzrok. Ta uspokoiła ich, kiwając głową.

– Włącz głośnik – rzucił nerwowo Fernando.

Hypatia spojrzała na niego, jakby mówił po chińsku. Alma wzięła od niej telefon i nacisnęła przycisk głośnika.

– Rozmawialiście z Alexem? Myślę, że on też ma tu coś do powiedzenia... I może usłyszycie rzeczy, których się nie spodziewacie.

Trójka spiskowców popatrzyła na siebie zdumionym wzrokiem – to prawda, byli o krok od podjęcia decyzji za niego, a nawet nie zapytali, co sądzi o tym wszystkim sam zainteresowany.

Alma od trzydziestu dwóch minut i dwudziestu sekund wpatrywała się uporczywie w telefon komórkowy, nie znajdując w sobie śmiałości, żeby zadzwonić do Alexa. Siedziała sama na kanapie naprzeciwko kominka. Wyjrzała za okno i wspomniała ów deszczowy dzień, w którym przyszła chłopakowi w sukurs po jego zderzeniu z samochodem Tomása. Z głupia frant przeżyliśmy już razem tyle rzeczy! – pomyślała. Poczwała, że mimo stosunkowo krótkiej znajomości wytworzyła się między nimi niezwykle silna więź, owoc przegadanych wspólnie długich godzin, podczas których dzielili się swoimi marzeniami i najgłębszymi sekretami.

– A teraz – westchnęła – przytrafiło się nam to.

To wielkie szczęście – doszła do wniosku – że w takiej chwili znalazłam się w Porvenir, w życiu Alexa.

Próbowała zebrać się na odwagę, żeby do niego zadzwonić. Zostawiła go w domu przed dwiema godzinami, czekającego na ludzi z zakładu pogrzebowego. Sprawiał wrażenie spokojnego, ale Alma nie miała wątpliwości, że pod jego zielonymi, pozornie spokojnymi oczami kryły się ból i strach.

Na ułamek sekundy pożałowała, że wzięła na siebie tę odpowiedzialność. Kiedy zastanawiała się nad tym w samotności, pomysł zapytania Alexa o to, czy powinni odwołać przyjęcie urodzinowe Sary, wydał się jej absurdalny. Jak może mu je zadać? Jak na nie zareaguje? W zdenerwowaniu zaczęła obgryzać paznokcie

i zrzędzić pod adresem kucharki, która wróciła już do domu, oraz Fernanda, zamkniętego w swoim pokoju i przygotowującego dla ukochanej finałową niespodziankę.

– Pięknie – rzuciła w ich stronę z wyrzutem. – Najlepiej zabrać dupę w troki i zostawić wszystko na mojej głowie.

Miała świadomość, że czas umyka. Może się uzalać, obgryźć do krwi paznokcie albo wyjść wszystko ze spiżarni. Ale co jej z tego przyjdzie? Zostało im niecałe dwanaście godzin i trzeba było zdecydować, czy dać zielone światło przyjęciu, czy je odwołać.

Nie wiedziała już, które wyjście było dla niej w tej chwili bardziej kłopotliwe. Decyzję podejmie Álex. Hypatia, Rosa, Fernando i ona, niczym zdyscyplinowani żołnierze, podporządkują się jego rozkazom.

– Pamiętam, jak ojciec obchodził sześćdziesiąte urodziny. – Głos Álexa rwał się ze wzruszenia. W tej samej chwili Alma przeklinała samą siebie, że zadała mu to pytanie. Wiedziała, że to był zły pomysł.

– Álex, nie...

Jakby jej nie słyszał, chłopak dalej snuł nić z kłębka wspomnień:

– Już kilka miesięcy wcześniej matka myślała, jak je uczcić. Chciała mu zrobić niespodziankę, w której wzięliby udział wszyscy przyjaciele i rodzina, żeby zapamiętał ten dzień na zawsze. – Zamilkł na chwilę, jakby nabierał powietrza. – I zapamiętał... dopóki miał pamięć, pamiętał go doskonale!

– I wszystko się udało? – odważyła się zapytać Alma najłagodniej, jak potrafiła.

– Feta nie doszła do skutku. Na kilka dni przed urodzinami taty mamę po raz pierwszy zabrali do szpitala. Później były następne razy i następne, ale wówczas jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Mama powiedziała, że nic nie szkodzi, że wyprawimy tacie urodziny kiedy indziej, żebyśmy się tym nie przejmowali. Schowaliśmy więc na później przygotowane rysunki, wiersze i prezenty. Czekaliśmy wszyscy, aż mama wyzdrowieje. – Zapadła cisza, ciężka od wybrzmiewających jeszcze słów. – Ten dzień nigdy nie nadszedł. – Zaszlochał. – Zawsze miałem nadzieję, że kiedy ojciec skończy siedemdziesiąt lat, razem z bratem zrealizujemy pomysł mamy i wyprawimy mu przyjęcie, którym nie dane mu było nacieszyć się dziesięć lat wcześniej. Ale wówczas był już chory. Ludzie działali mu na nerwy, spędziliśmy więc ten dzień w trójkę, poszliśmy na spacer w góry. – Niespodziewanie Alma wybuchnęła płaczem. Jakby widział łzy spływające po twarzy ukochanej dziewczyny, Álex starał się panować na sobą. – Najlepszy dzień, by radować się szczęściem, to dzień dzisiejszy. Całkiem możliwe, że tego, co zostawimy na później, nie będziemy mogli doświadczyć już nigdy. Któż



może wiedzieć, co się stanie z nami za tydzień! Mój ojciec... dwie doby temu myślałem, że dziś będzie toczył swoje boje z pielęgniarką, jak co dnia. I co?

– Alex, naprawdę...

– Chcę, żeby Sara miała swoje święto. Zasługuje na tę odrobinę szczęścia. Od dawna na to czeka. – Chłopak zdawał się uśmiechać. – I będzie to także święto mojego ojca. Święto, którego nie miał ani na sześćdziesiąte, ani na siedemdziesiąte urodziny.

Mile do pokonania

Nie przedsięwzięłem tej wyprawy i tej żeglugi  
dla honorów i bogactw.

KRZYSZTOF KOLUMB do KRÓLÓW KATOLICKICH, 1503

Stojąc na środku dużego pokoju, Alex rozejrzał się dokoła. Wszystko było na swoim miejscu, jak wówczas, kiedy był dzieckiem: pejzaże Porvenir, kanapa, niska ława. Ten sam kredens i krzesła, które matka kupiła w jednym z najlepszych sklepów w stolicy.

– Wszystko takie same, a jednak całkiem inne – wyszeptał.

Mimo że od dziesięciu minut patrzył na otaczające go sprzęty, nie potrafił wykryć zmian. Ta wygodna i swojska przestrzeń wydała mu się obca. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze wczoraj uważał ją za własną. Chciał rzucić się do ucieczki, znaleźć się w prawdziwym domu, bo tego nie uznawał już za swój. Ale nie mógł. Nogi nie słuchały rozpaczliwego krzyku serca.

Czuł się rozbitkiem na własnej ziemi, Robinsonem Crusoe zapomnianym przez wszystkich w górach. Samotność ukąsiła jego serce tak mocno, że aż skurczył się z bólu. Opadł na kanapę i jego myśli uleciały przez otwarte balkonowe drzwi.

Ludzie z zakładu pogrzebowego zabrali ciało ojca. Za kilka godzin Alex pójdzie do domu pogrzebowego na czuwanie. Sara upewniła się, że z chłopakiem wszystko w porządku, i poszła załatwić sprawy związane z ubezpieczeniem. Przed chwilą rozmawiał z Almą i w przyпіływie odwagi, czego po części żałował, zapewnił ją, żeby się o niego nie martwiła i kontynuowała przygotowania do przyjęcia na cześć listonoszki. Jego starszy brat przyjedzie ze stolicy dopiero za kilka godzin.

Po raz pierwszy w życiu był zupełnie sam.

Jak lunatyk błąkał się po mieszkaniu, które jeszcze przed kilkoma godzinami dzielił z ojcem. W kuchni na próżno szukałby jego śladów. Odkąd ojciec zaczął tracić pamięć, było to dla niego miejsce zakazane. Tak często ostrzegał go o zagrożeniach tam czyhających, że niejedną raz przyłapał starszka uczonego futryny drzwi, balansującego na granicy oddzielającej kuchnię od korytarza. Zaglądał do środka z przerażeniem i zaciekawieniem, jakby w każdej chwili

spodziewał się ataku krwiożerczych lwów albo nadciągającego huraganu.

Wszedł do pokoju rodziców. Otworzył na oścież drzwi szafy – woń Mauricia przylgnęła do jego koszul i spodni, wzbraniając się przed eksmisją. Odetchnął głęboko, aby napęlić płuca zapachem starego i zmęczonego człowieka, jak gdyby w ten sposób mógł go zatrzymać na dłużej. Przysiadł na łóżku i przeciągnął palcami po wgłębieniach, jakie pozostawiło po sobie udręczone ciało. W pośpiechu pracownicy zakładu pogrzebowego zapomnieli wygładzić kołdry. W płytkich zapadliskach Álex zdawał się rozpoznawać kształt karku ojca, ramion, nóg.

Zajrzał do łazienki i rzucił okiem na piankę do golenia i brzytwę. Te osierocone przedmioty wydały mu się smutniejsze i bardziej bezużyteczne niż kiedykolwiek. Álex używał elektrycznej golarki. Ojciec przez całe życie nie cierpiał tych ustrojstw, jak je nazywał, a syn prag-nął uszanować jego wolę, goląc go do ostatnich chwil na starą modłę. Wsparł dłonie na krawędzi umywalki i przyjrzał się swojej twarzy, usiłując zdemaskować jakiś rys odziedziczony po Mauriciu. Przypomniawszy sobie, jak matka powtarzała mu, że uszy ma po ojcu. Prześledził je uważnie, milimetr po milimetrze, i po raz pierwszy od długiego czasu uśmiechnął się, przypomniał sobie, jak ojciec kiedyś go za nie wytargał. Z dwoma szkolnymi kolegami wpadli na błyskotliwy pomysł, żeby zrobić z mrućka sąsiadki szkockiego kota: pomalowali go w czerwono-zieloną kratę, od czubka nosa po koniec ogona. Zwierzak już nigdy nie przewyciężył traumy przeżytej tamtego dnia i kiedy słyszał głos Álexa zza ściany, miauczał, jakby go obdzierali ze skóry.

Wyczerpany osunął się na kanapę, patrząc nieruchomo w sufit, jakby pokonał pieszo sto kilometrów, nie zaś niecałe siedemdziesiąt metrów kwadratowych mieszkania. Otulił się kocem, którym zwykle przykrywał nogi ojca, kiedy ten gapił się w telewizor. Był tak znużony po całej tej nocy, że nagle zmorzył go sen.

Przeraził się, usłyszawszy dzwonek u drzwi. Rzucił okiem na telefon: było już po czternastej. Spał prawie trzy godziny! Skoczył jak na sprężynie i potykając się, pobiegł do wejścia. Kto to może być?

Jeszcze nie czuł się na siłach, aby przyjmować pielgrzymki sąsiadów z wyrazami współczucia. Lepiej poczekać, aż przyjedzie jego starszy brat – on lepiej potrafi się znaleźć w takich sytuacjach. Wciąż jeszcze napęliło go trwogą wspomnienie czuwania przy zmarłej matce, kiedy był całkiem małym chłopcem. Wszystkie te kobiety, zawodzące boleściwie, ubrane na czarno, i ksiądz bezustannie poklepujący go po policzku zmienili się dla niego w koszmar na wiele miesięcy.

– Álex, Álex, otwórz, na miłość boską... – Wołaniu po drugiej stronie

towarzyszyło energiczne stukanie w drzwi.

Rozpoznał ten głos i przez kilka sekund zawahał się, czy otworzyć.

– Tomás – szepnął lękliwie, ujrawszy przed sobą męża Hypatii.

Mężczyzna wyciągnął ku niemu dłoń. Alex jak automat uniósł swoją rękę. Kiedy poczuł bliskość drugiego człowieka, podstępne łzy napłynęły mu do oczu. Wstydząc się ich wobec gościa, zanim zdążyły spłynąć po policzkach, odwrócił się i ruszył w kierunku dużego pokoju.

– Wejdz, proszę... – rzucił niepewnie przez ramię.

Usłyszał za sobą odgłos zamykanych drzwi i kroki zmierzające za nim do pokoju. Wrócił na kanapę, nie za bardzo wiedząc, co powiedzieć. Gość zajął miejsce na fotelu. Znał Tomása od zawsze. Był ojcem jednego z jego najlepszych przyjaciół, więc miał możliwość obserwować Alexa z bliska, gdy ten dorastał. Dlatego też bardziej niż ktokolwiek potrafił odgadnąć jego uczucia i myśli. Chłopak potrząsnął głową, jakby w ten sposób mógł pozbyć się jego natarczywego spojrzenia.

Obaj milczeli uparcie, nie wiedząc, co począć, co powiedzieć. Ani jeden, ani drugi nie byli gadułami. Tomás, świadomy swego wtargnięcia w strefę głębokiego smutku, zebrał się na odwagę i wykonał pierwszy ruch.

– Dzisiaj rano, przy śniadaniu, twoja dziewczyna zadzwoniła do Hypatii, żeby opowiedzieć jej, co się stało. – Słowa „twoja dziewczyna” zaskoczyły Alexa. Po raz pierwszy usłyszał, jak ktoś je wypowiada. Spodobało mu się ich brzmienie i odwdzińczył się sąsiadowi lekkim uśmiechem. – Bardzo ci współczujemy i jest nam niewymownie przykro. Wiesz, że możesz na nas zawsze liczyć... – dodał bardzo powoli Tomás, jakby starał się ułatwić Alexowi zrozumienie przesłania.

Chłopak podziękował za te słowa skinieniem głowy. Może już teraz sobie pójdzie, pomyślał z ulgą. Nie to żeby nie lubił męża Hypatii, był z niego w porządku gość, ale czuł się w jego obecności nieswojo. Wolałby być sam, snując się po zakątkach swojej pamięci i mieszkania do czasu, aż Alma albo brat przyjdą mu na ratunek. Tymczasem ten facet pod siedemdziesiątkę, tak samo jak on onieśmielony tą sytuacją, wpijał w niego wzrok. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś dodać, nie wiedząc jednak, jak się do tego zabrać.

Tylko patrzeć, jak mi opowie, jakim to dobrym człowiekiem był mój ojciec. A może poklepie mnie po plecach i powie: „Odwagi, chłopcze”? Współczuł i sobie, i temu mężczyźnie, którego z pewnością wysłała kochana Hypatia, aby dotrzymał mu towarzystwa.

Postanowił wydobyć z opresji i siebie, i swojego gościa.

– Dziękuję ci z całego serca, Tomás. Pogrzeb będzie jutro, o jedenastej. Mój brat i ja będziemy wam wdzięczni, jeśli przyjdziecie – powiedział i podniósł się z kanapy, licząc na to, że mężczyzna uczyni to samo. Ale Tomás ani drgnął. Wówczas Alex ponowił atak: – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym teraz

trochę odpocząć, zanim pójdę do ojca... – powiedział cicho.

Wydawało się, że gość jest o krok od kapitulacji. Wsparł dłonie na poręczach fotela, jakby miał zamiar się podnieść, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Znowu opadł na oparcie. Włożył rękę do kieszeni palta. Wyjął z niej kopertę i podał ją Álexowi.

– Przechowuję to od wielu lat. Pewnego dnia twój ojciec, niedługo po tym, jak usłyszał wyrok od lekarzy, przyszedł do mnie... – Tomás zamilkł, jakby pożałował swoich słów. Álex wpatrywał się w kopertę. Obrócił ją kilka razy w tę i w tę, jakby widział coś takiego po raz pierwszy w życiu. Wobec milczenia gościa uniósł oczy w górę. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Tomás i Mauricio często grywali w domino w jednym z barów w Porvenir. Znali się od czasu, kiedy ich dzieci zaczęły chodzić razem do szkoły, i choć nie byli wielkimi przyjaciółmi, szanowali się wzajemnie. Ojciec Álexa zawsze wyrażał się pochlebnie o tym cichym, poważnym i prawym mężczyźnie. „Jest twardy jak nasze świerki”, zwykł powtarzać. – Poprosił mnie, żeby ci to oddać, gdyby któregoś dnia go zabrakło... Wszyscy wiedzieli, że to była kwestia czasu. Przykro mi, chłopcze, naprawdę. – Odetchnął z ulgą.

Álex zrozumiał, że ten sekret ciążył Tomásowi niewymownie. Ojciec w pewnym sensie uczynił go swoim współnikiem. Musiał wywiązać się z obietnicy, ale dopiero po śmierci Mauricia. Takie czekanie – wyjaśnił Tomás chłopakowi najdelikatniej, jak umiał – nie było niczym przyjemnym. Ale podjął się tego, bo poważał i ojca, i syna, który tyle razy jadł w jego kuchni podwieczorek.

Tomás wyznał, że przez cały ranek myślał, czy to najlepszy moment do przekazania listu. Znajdował mnóstwo rozsądnych argumentów za odłożeniem tego na inny czas. Ale kilkanaście minut temu, gdy usiadł do obiadu, coś w nim pękło. Hypatia ugotowała gulasz, który pachniał jak marzenie. Wziął widelec, uśmiechnął się do żony i powiedział: „Smacznego”.

– I zdałem sobie sprawę, że dziś, po raz pierwszy w życiu, będziesz jadł obiad sam. I naprawdę nie wiem, jak to się stało, że złapałem palto i przyszedłem do ciebie oddać ci ten list. Mam nadzieję, że mi wybaczysz...

Álex podszedł do Tomása. Ten, jakby zrozumiał intencję chłopaka, rozpostarł szeroko ramiona i objął go w silnym uścisku.

*Álex,*

*jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że mnie już nie ma.*

*Tomás odda Ci ten list po mojej śmierci. Wiem, że to zrobi, bo to człowiek potrafiący dotrzymać słowa. Nie otworzy listu ani go nie zgubi, dlatego poprosiłem go o tę przysługę.*

*Kilka miesięcy temu lekarze powiedzieli nam jednoznacznie, że mam*

*alzheimera. Wcale tego nie czuję. Tylko bardzo się boję. Wkrótce wszystko zapomnę. Prosiłem Cię, żebyś wyjechał, ale wiem, że jesteś uparty jak ja: wyczytałem z Twojej twarzy, że choćbym nie wiem jak nastawał, nie ustąpisz na milimetr. Kochasz Porvenir tak jak ja. Ale poza tym Twoje poczucie odpowiedzialności i honoru jest tak silne, że przywiąże Cię do mnie na dobre i na złe. Mam nadzieję, że nie zmieni się w ciężką kotwicę i nie pociągnie razem ze mną na dno.*

*Podobno chorzy na tę chorobę stają się na powrót dziećmi. Niedługo Ty, mój niespełna dwudziestoletni syn, będzie się opiekował ponad siedemdziesięcioletnim ojcem jak niemowlakiem. Będę od Ciebie uzależniony, jak Ty byłeś uzależniony ode mnie. Zamknij się koło.*

*Byłeś dla nas darem niebios, na który już nie liczyliśmy! Pojawiłeś się późno w naszym życiu, ale jednak wierzyłem, że mimo wszystko będę mógł Ci towarzyszyć o wiele dłużej. Marzyłem o tym, że zobaczę twój tytuł magistra, że wzniosę toast na Twoim ślubie albo że dostanę od Ciebie kartkę, kiedy wyjedziesz za granicę. Ale nie będzie to możliwe.*

*Lekarze powiedzieli mi, że pewnego dnia nie rozpoznam w Tobie własnego dziecka. Przeraża mnie, że stracę moje wspomnienia, ale jeszcze bardziej boję się zapomnieć, kim jesteś Ty, mój synu. Staniemy się obcymi sobie ludźmi żyjącymi pod tym samym dachem, w domu, w którym przeżyliśmy tak wiele dobrego. Mam tylko nadzieję, że kiedy już ten dzień nadejdzie, czas minie szybko, zarówno dla Ciebie, jak i dla mnie. Nie chcę tak żyć, nie chcę, żebyś cierpiał.*

*Ufam, że nie będę Ci zawadą zbyt długo. Musisz zacząć żyć swoim życiem.*

*Jeśli zdecydujesz się zostać w Porvenir, będę się z tego bardzo cieszył. Razem z mamą kochaliśmy to miasteczko. Zawsze marzyliśmy o tym, abyście ułożyli sobie życie właśnie tutaj. Ale jeśli postanowisz wyjechać, wiedz, że uszanowalibyśmy Twój wybór. Zbuduj swoje życie tam, gdzie będziesz czuł się szczęśliwy. Miej nas w swoim sercu, a wszędzie będziesz się czuł jak w domu.*

*Od dziecka marzyłeś o życiu pełnym przygód. Pamiętasz, jak prosiłeś, żeby Ci czytać w kółko „Wyspę skarbów”? Nie mogłem już na tę książkę patrzeć! Obawiam się, że losy tych piratów będą ostatnią rzeczą, jaką zapomnę... Potem „Michał Strogow”, „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”, Marco Polo... straciłem już rachubę wszystkich Twoich ulubionych książek i bohaterów.*

*Myślisz, że nie wiem, co robisz? Wiem, że spędzasz całe dnie w bibliotece, wertując mapy, a w domu po nocach pożerasz jedną książkę o historii i geografii za drugą.*

*Żeby móc się mną opiekować, wyrzekłeś się wszystkich tych zakątków.*

*Czy znalazłeś w kopercie mały klucz?*

*W dniu, w którym mnie już nie będzie, kiedy przeczytasz ten list, chciałbym, żebyś wziął ten klucz, poszedł do banku i poprosił o kasetkę przechowywaną na*

*Twoje nazwisko. W kasetce znajdziesz jeszcze jedną kopertę. To nie żaden sekret, tylko pieniądze. Są dla Ciebie. Wyjdź z banku. Nie oglądając się za siebie, idź na stację. Wsiądź do pierwszego lepszego pociągu i spełnij swoje marzenia. Śpiesz się, bo jesteś spóźniony o całe lata.*

*Jestem z Ciebie dumny.*

*Kocham Cię, synu. Przez cały ten czas nie przestałem Cię kochać ani na sekundę. Jestem tego pewny.*

*Mauricio*

Álex złożył list i przycisnął go do piersi. Zaczekał, aż serce przestanie mu walić jak oszalałe. Wówczas wziął telefon i wybrał z pamięci numer. Pół godziny później rozległo się pukanie do drzwi.

Alma dyszała ciężko, oparta o drzwi z drugiej strony. O mało nie gruchnęła na podłogę, kiedy Álex otworzył.

– Co się stało? – spytała z przestachem, zanim przekroczyła próg mieszkania.

Chłopak ujął jej dłonie, wciągnął ją do środka i zamknął drzwi.

W półmroku korytarza odgadł jej niespokojne spojrzenie. Usłyszał przyśpieszony oddech. Pogładził jej policzek płonący wysiłkiem. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że biegła tu co tchu, odebrawszy jego telefon i wysłuchawszy prośby, by zjawiała się jak najszybciej, bo ma jej coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Objął ją z całej siły. Czując, jak ich serca uderzają o siebie, spytał:

– Pojedziesz ze mną do Porvenir?

– Chciałeś zapytać, czy zostanę z tobą w Porvenir...

– Nie. Pytam o to, czy, jak już to wszystko minie, odważysz się wybrać ze mną statkiem przez Atlantyk, żeby ujrzeć Porvenir na drugim końcu świata. – Oczy Almy zasnuły się mgłą, nogi się pod nią ugięły. Ze wszystkich sił złapała się chłopaka. Po raz pierwszy nie wiedziała, co powiedzieć. Álex uśmiechnął się. Zbliżył usta do ucha dziewczyny i wyszeptał: – Kocham cię, Almo Meillás. Zacznę żyć swoim życiem i pragnę, byś była przy mnie.

Otworzyła usta, ale zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, Álex zamknął je pocałunkiem, który z korytarza roztaczającego woń samotności przeniósł ich bardzo, bardzo daleko.

Gdyby nie to, że ocean znajdował się o setki kilometrów od tej doliny, Alma

mogłaby przysiąc, że czuje, jak morska bryza rozwiewa jej włosy.



Ręce do góry i... bawimy się

Przyjaźń podwaja radość, a o połowę zmniejsza przykrości.

FRANCIS BACON

Roso, dobrze się czujesz? – spytała zmartwiona Sara.

– O czym ty mówisz, moja dziecinko? Czuję się fantastycznie – odparła wesoło staruszka, dopinając ostatni guzik palta.

Listonoszka patrzyła na nią, nie pojmując, o co tu chodzi. Zachowanie sąsiadki nie było normalne: od godziny starała się przemówić jej do rozsądku i nie było siły. Nagle uparła się, że musi wyjść, teraz, w środku nocy, a Sara z synami ma pójść wraz z nią. Co też ona sobie ubzdurała, żeby wyciągać ich z domu, w zimie, pół godziny przed północą?

I na dodatek w przeddzień moich urodzin! Zszokowana listonoszka nie wiedziała już, co ma o tym myśleć. Czyżby to pierwsze oznaki jakiegoś poważnego kryzysu? Rosie zaczyna szwankować głowa? Lekkie drzenie przebiegło jej po kręgosłupie.

– Ile razy prosiłam cię o coś takiego? No ile? – spytała wyzywająco Rosa, obserwując Sarę kątem oka.

– W tym właśnie rzecz, że zawsze byłaś osobą niezwykle rozsądną. Nigdy nie zaskakiwałaś mnie takimi pomysłami – odpowiedziała łagodnie Sara, kładąc z czułością rękę na ramieniu staruszki.

Rosa nie zamierzała się poddać tak łatwo. Obiecała przecież Hypatii, Fernandowi, Alexowi i jego dziewczynie, Almie, że odstawi listonoszkę na jej przyjęcie niespodziankę. Zerknęła na zegarek: zostało niecałe pół godziny, żeby przekonać przyjaciółkę i jej dzieci do włożenia kurtek i wyjścia z nią na ulicę. To była pierwsza część planu, która jeszcze rano wydawała się jej bułką z masłem. Następną fazą – zaprowadzenie ich wszystkich do domu Luisy – przedstawiała się o wiele trudniej.

Kiedy syn Mauricia powiedział, że przyjęcie odbędzie się właśnie tam, poczuła, jak w jej serce wbijają się tysiące szpilek. Nie była w tym domu od ponad pół wieku.

Pamiętała ów ranek, jakby to było dzisiaj: ojciec Luisy nie pozwolił jej wejść za próg. Uśmiechnął się tylko ze smutkiem i usłyszawszy, że Rosa chciałaby zobaczyć się z przyjaciółką, odpowiedział, że córki nie ma. Nie uwierzyła mu: wciąż miała pod powiekami obraz firanki poruszającej się w jednym z okien na

parterze. Luisa dowiedziała się, że ona i Abel mają zamiar wziąć ślub. Dowiedziała się od obcych tego, do czego jej najlepsi przyjaciele nie byli w stanie się przyznać. Rosa poczuła odór zgnilizny – zrozumiała, że to woń rozkładającej się przyjaźni.

Przez wszystkie te lata była przekonana, że nigdy więcej nie wejdzie do tego salonu.

Przekonał ją Álex, który na wszelki wypadek darował sobie szczegóły dotyczące powrotu do rodzinnego domu wnuczki Luisy, nie chcąc, żeby cokolwiek zakłóciło urodziny Sary. Skłamał, że ludzie opiekujący się domem użyli mu klucza w zamian za drobne prace w ogrodzie. Wszystko bardzo się zmieniło przez ostatnich kilkadziesiąt lat – zapewniał – i być może to dla niej dobra okazja, aby raz na zawsze uwolniła się od upiórów przeszłości.

Ten ostatni argument dał staruszce do myślenia.

Odkąd w listopadzie napisała list, nie było dnia, żeby nie myślała o swojej przyjaciółce z dzieciństwa. Wiedziała, że ktoś go przeczytał, łańcuchowi bowiem wciąż przybywało nowych ogniw: listonoszka mówiła, że z listami w Porvenir coś drgnęło. „Niewiele ich, bo niewiele, ale to zawsze coś”, powiedziała.

Usłyszawszy tę nowinę, Rosa poczuła i radość, i smutek. Może Luisa przeczytała jej słowa i spełniła prośbę, pisząc do następnej osoby. Jednak do niej się nie odezwała. Fakt, że jej o to nie prosiła, ale w głębi ducha liczyła na kilka słów, telefon czy wiadomość przekazaną przez osoby opiekujące się domem. To by jej w zupełności wystarczyło. Ale nic takiego się nie stało. Może dzięki przyjęciu jej rana mogłaby się w końcu zabiścić. Czy przestępca wróci na miejsce zbrodni? – zadawała sobie pytanie.

– No dobrze już, dobrze. Jesteś niemożliwa! Chciałam ci sprawić niespodziankę i wszystko na nic – jęknęła zrezygnowana.

– Nareszcie! Powiedz mi, co to takiego ważnego? Wiesz przecież, że dla ciebie przesłabym na piechotę Saharę... ale daj mi choć jeden powód, dla którego miałabym to zrobić! – Sara nabrała powietrza i dodała szybko, jakby zbyt późno zdała sobie sprawę, że się zapędziła: – Logiczny i ważny powód.

Rosa nakładała rękawiczki. Nie miała czasu do stracenia, a nękający ją artretyzm jeszcze bardziej komplikował sprawę. Starła się uporządkować myśli, aby nie zdradzić się ze swymi zamierzeniami.

– Jutro są twoje urodziny... – zaczęła niepewnie.

– Aha. – Sara zamieniła się w słuch.

– Wiesz, że to dla mnie bardzo szczególny dzień. Byłam tam. Gdyby nie ja, jutro nie skończyłabyś czterdziestu lat. – Sara już wiedziała, co zaraz usłyszy: że jej ojciec zemdłał, lekarz nie mógł dojechać z powodu śnieżycy i Rosa, patrząc na swoje ręce, zrozumiała, że musi zrobić wszystko, co w jej mocy, aby uratować to nowe życie. Staruszka włożyła kapelusz i przewiesiła przez ramię torebkę, nie przerywając swojego monologu. Sara spojrzała na nią zdumiona: czyżby Rosa

podmalowała sobie lekko oczy? Natychmiast uznała, że to niemożliwe – malowała się przecież od wielkiego dzwonu, wyłącznie na wielkie okazje, a wyjście na dwór o tej godzinie z pewnością do takich nie należało. – W takim razie mogłabyś spełnić ten mój kaprys.

Zatopiona w myślach, Sara nie dosłyszała ostatnich słów. O jakim kaprysie ona mówi?

Rosa zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę.

– Usiłuję ci wytłumaczyć, jak bardzo jest dla mnie ważne to, abyś zobaczyła prezent, który pragnę ci kupić, a ty mnie w ogóle nie słuchasz...

Sara nie zauważyła, że staruszka majstruje palcem przy oku. Zobaczyła natomiast łzę pęczniącą na jej rzęsach – tego już było za wiele. Mury jej logiki zdrzały niebezpiecznie, grożąc zawaleniem.

– Przecież mówiłaś, że to ma być niespodzianka...

– Chciałam ci kupić torebkę i nie wiem, czy ci się spodoba, dlatego chcę, żebyś ją obejrzała na wystawie. Jeśli dasz mi swoje błogosławieństwo, kupię ją z samego rana i przyniosę ci do domu. Chcę, żebyś ją miała już jutro – wypaliła Rosa, pokazując jej palcem drzwi.

Zostało tylko dziesięć minut, a musiały jeszcze wejść piętro wyżej, żeby zabrać chłopców. Na szczęście dzisiaj po południu zgadała się ze starszym z nich. Umówili się, że zadzwoni o jedenastej w nocy, poprosi ich matkę, żeby do niej zesłała, a oni w tym czasie ubiorą się ciepło i włożą buty oraz kurtki.

Sara podjęła ostatnią próbę oporu, choć z góry wiedziała, że jest skazana na porażkę:

– A nie mogę zobaczyć jej jutro rano? Obejrzę ją sobie dokładnie w sklepie i jeśli mi się spodoba, pójdziesz ją kupić, a ja w międzyczasie skoczę na targ.

Nie do wiary, pomyślała Rosa, ta smarkula na wszystko ma odpowiedź. Raz kozie śmierć, powiedziała do siebie w duchu, zaciskając kciuki i modląc się, żeby jej gra wypadła w miarę wiarygodnie.

– Nie, nie, ja nie... ja nie będę mogła zasnąć, przez całą noc będę myśleć, czy ci się spodoba, czy nie... – wymamrotała, zasłaniając twarz dłońmi.

Wiedziała, że jedną z rzeczy, które najbardziej trwożyły Sarę, była demencja starcza. Czasem widziała, jak przygląda się jej ukradkiem. W duchu kajała się przed listonoszką, że sięga po takie brudne metody.

Otworzywszy drzwi mieszkania, Sara się wystraszyła. Trzech ubranych do wyjścia chłopców czekało na nią z uśmiechami od ucha do ucha.

– Co się dzisiaj z wami wszystkimi dzieje? Chcecie wyjść na dwór w środku nocy i dostać zapalenia płuc? Niech no mi się tylko który przezięb, to... – pogroziła synom, zakładając palto i szalik.

– Rosa, to już jest szczyt wszystkiego. Prosiłaś, żeby pójść do sklepu Puri – przyszliśmy, obejrzałyśmy sobie wystawę i powiedziałam ci, że torebka jest śliczna. Najwyższy czas, żeby wrócić do domu. – Z oczu Sary można było wyczytać, że żarty się skończyły.

– Nie, jeszcze nie. Jeszcze dziesięć minut do północy. Rozpocznij dzień swoich urodzin, robiąc coś innego niż zwykle.

– A gdybym tak zaczęła go jutro, w sobotni poranek, spacerkiem na targ o wpół do dziewiątej, co ty na to? A później obiecuję, że zaproszę ciebie i chłopców na pizzę do Mastán. Przecież nie codziennie kończy się czterdziestkę. Zresztą chwała Bogu.

– Ale twoje urodziny zaczynają się za chwilę. Pamiętaj, że przyszedłeś na świat o świcie, a nie w środku dnia.

– Mamo, zgódź się... – wtrącił najstarszy syn, a dwaj pozostali przyłączyli się do brata.

Sara popatrzyła na wszystkich zdesperowana. Na szczęście nie jest tak bardzo zimno, pomyślała. Postanowiła nie sprzeciwiać się, dla świętego spokoju – wiedziała, że w przeciwnym razie za te kilka minut przyszłoby jej drogo zapłacić.

– Wiesz, na co tak naprawdę miałabym ochotę? – przystąpiła do ataku Rosa, idąc główną ulicą, uczepiona kurczowo ręki Sary.

– Nie – odparła wystraszona listonoszka.

– Przejechać się do starego domu za miasto.

– Do jakiego starego domu?

– Do domu rodziny Meillás.

Sara stanęła jak wryta. Znała od podszewki historię Rosy i jej związków z kamiennym domem. Gdy była młodą dziewczyną, sama opowiedziała jej o szczególnej przyjaźni, jaka łączyła ją z córką Meillásów, jak dorastały nierozłączne aż do dnia, w którym ich drogę przeciął Abel. Wiele razy starowinka mówiła, jak codziennie tęskni za rozmową z Luisą i jak bardzo chciałyby usłyszeć z jej ust, że ona również była szczęśliwa i że też żyła pełnią życia. „Te słowa są moim długiem”, mówiła Rosa z głębokim smutkiem.

I teraz, na chwilę przed północą, wyskakuje z czymś takim. Sara poczuła, jak ziemia drży pod jej stopami: sąsiadka skończyła osiemdziesiąt lat, ale było zbyt wcześnie, żeby ją stracić na zawsze. Popatrzyła na nią, jak z oczami pełnymi nadziei czeka na odpowiedź. Zdziwiła się, wyczytawszy w nich całkowitą pewność, że nie odmówi tej jej kuriozalnej zachciance.

Nigdy nie potrafiłaby powiedzieć, co skłoniło ją, aby wbrew wszelkiej logice wypowiedzieć słowo „tak” – dziecięce pragnienie, które dostrzegła w staruszce? Strach, że może to być jedno z jej ostatnich życzeń? A może ślepa ufność, jaką ją

darzyła?

Zatrzymała samochód. Przypomniała sobie o liście, który doręczyła tu w początkach zimy. Nic o tym Rosie nie powiedziała, aby nie rozgrzebywać starych ran, ale któregoś dnia będzie musiała to chyba zrobić. Związek sąsiadki z tym domem zdawał się ponownie przybierać na sile i może w tej kopercie był jakiś trop.

Jak było do przewidzenia, budynek tonął w ciemności i ciszy. Mimo to jej synowie otworzyli drzwi samochodu i wyskoczyli przed bramę, krzycząc jak opętani. Za nimi wygramoliła się Rosa. Zanim Sara zdołała się zorientować, cała czwórka już była za bramą i zdążyła prosto do wejścia. Dwóch młodszych pędziło na wyścigi, a starszy prowadził pod rękę Rosę. W mgnieniu oka ślad po nich zaginął, jakby pochłonęło ich to milczące domiszcze.

Gdzie oni się podziali?

Ledwie dotknęła dłonią starych drzwi z drewna i żelaza, a te łagodnie ustąpiły. Nie ośmielając się przekroczyć progu, nasłuchiwała ze skupieniem głosów swoich dzieci. Ale jedynym dźwiękiem, jaki dotarł do jej uszu z oddali, było dwanaście uderzeń dzwonu porvenirskiego kościoła. Teraz, już oficjalnie, miała czterdzieści lat.

– Rosa? Jesteś tam?

Sara drżała. Otworzyła torebkę i w desperacji chwyciła za telefon komórkowy, jakby tylko on mógł ją obronić przed wszystkimi bestiami z tego i z tamtego świata czającymi się w mroku.

– Tutaj jestem – usłyszała głos sąsiadki.

Odetchnęła z ulgą.

– Ja też – odezwał się najmłodszy syn.

– I ja.

– I ja.

Karol, Hypatia? Czy to nie były ich głosy? Zaczęła tracić poczucie rzeczywistości. Zamknęła oczy. Zakręciło się jej w głowie. Myślała już, że zemdleje, gdy ktoś zapalił światło i pośrodku spokojnej nocy huknęły huraganowe brawa.

Powiodła wzrokiem dokoła, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Dziesiątki znajomych twarzy śmiało się do niej, wykrzykując życzenia. Krąg zacisnął się wokół jubilatki. Wszyscy ją ściskali i całowali. Niektórzy próbowali ciągnąć za uszy, dowcipkując na temat okrągłej rocznicy urodzin. Inni wypchnęli ją na sam środek pokoju: rozpoznała bibliotekarkę i lekarza rodzinnego. Zza ich pleców mrugnął do niej znacząco jej szef. To nie może być prawda!

Gwałtowny przyływ radości, pęczniejącej z sekundy na sekundę, groził jej rozerwaniem na strzępy. Wybuchnęła szaleńczym śmiechem.

Nie wiedziała, że to dopiero początek niespodzianek.

Przez kilka pierwszych minut nie mogła wydusić z siebie słowa. Stuknęła się kieliszkiem z każdym gościem, skubnęła po trochu wszystkich przekąsek, śmiejąc się przy tym bezustannie z całego serca. Kiedy trochę ochłonęła, goście ustawili się do niej w kolejce z prezentami: książkami, chustkami, bombonierkami...

– Mój prezent to nic szczególnego – szepnęła nieśmiało Hypatia, pokazując ogromne pudło stojące na stole w jadalni.

Sara podeszła tam, odprowadzana spojrzeniem dziesiątek par oczu śledzących każdy jej ruch. Nie posiadała się z ciekawości, co też mogło się kryć w środku: najlepsza kucharka w Porvenir przygotowała dla niej tort w kształcie koperty. Nie brakowało najdrobniejszych szczegółów. Czekoladowymi literami na białym tle z bitej śmietany wypisane były jej imię, nazwisko i adres. Znaczek coś jej przypominał. Średni syn przecisnął się do matki, żeby rozwiać jej wątpliwości:

– To jesteś ty, tylko z cukru. Cukrowa mama! – Zaczął bić brawo, pociągając za sobą wszystkich zgromadzonych.

Sara podeszła do wzruszonej Hypatii, która trzymała się ramienia Tomása, jakby bała się upaść. Objęła ją serdecznie, dziękując za wszystko, co dla niej zrobiła. We wszystkim, czego próbowała, rozpoznawała jej kulinarny kunszt.

– Teraz moja kolej, kierowniczo – powiedziała Karol, podając jej zielony pakiecik. Podekscytowana jak małe dziecko niemogące się doczekać prezentu, Sara rozerwała papier. Z każdym upominkiem rosło jej wzruszenie. Każdy był jedyny w swoim rodzaju, na swój sposób niezwykły: czuła wielką serdeczność wszystkich tych ludzi, odgadując sposób, w jaki wybierali dla niej prezenty, jak je przygotowywali, zawijali. Uśmiechnęła się do Karol, czując w dłoni chłód minerału. Peruwianka wyjęła go jej z rąk i podniosła pod światło: czerń kamienia zdawała się skrzyć tysiącem migotliwych kolorów. – Pochodzi z głębin mojej ziemi. Tamtejsi górnicy wierzą, że przynosi szczęście. Przywiozłam go z sobą przed trzema laty i teraz chcę go ofiarować tobie, przyjaciółko.

Kobiety padły sobie w objęcia. Długo, bardzo długo trwał ten uścisk. Sara pragnęła podzielić się z Karol całym ciepłem i czułością, jakie tej nocy otrzymała od swoich bliskich, jakby chciała w ten sposób przepłoszyć dręczącą kobietę tęsknotę.

Wokół rozbrzmiewał śmiech, brzęczały kieliszki podczas wznoszenia toastów, rozbrzmiewały oklaski i muzyka.

– To jest prezent od Álexa i Almy, jego dziewczyny – powiedziała Rosa z oczami pełnymi łez.

Znalazłszy się w tym domu, staruszka starała się unieść ciężar wspomnień. Wbrew temu, co mówił Álex, nic się tu nie zmieniło. Przynajmniej dla niej. To prawda, że kanapy nie były te same, podobnie jak kolor ścian czy obicia krzeseł. Mimo to czuła w jakiś sposób obecność Luisy, jej brata, rodziców – jak wówczas, kiedy żyli tu wszyscy razem. Była nią nasycona atmosfera tego domu, zachowała

się przez te wszystkie lata w jego zimnych kamieniach. Rosa wiedziała, że rodzice i brat umarli i są pochowani w niszach porvenirskiego cmentarza, ale Luisa? Czy połączyła się z nimi? A może jeszcze żyje?

– *Listonosz Nerudy, czyli żarliwa cierpliwość* – przeczytała Sara na okładce książki i odwróciła ją na drugą stronę. – „Wiersze należą nie do tych, którzy je piszą, lecz do tych, którzy ich potrzebują”.

– Podobno dziewczyna Alexa pisze wiersze – powiedziała Hypatia.

– „Historia zaczyna się w czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Siedemnastoletni młodzieniec, Mario Jiménez, jest rozczarowany swoim życiem, jak ojciec bowiem ma zostać rybakiem. Pewnego dnia postanawia, że chce być listonoszem. Zostaje wysłany na wyspę Isla Negra, gdzie jego jedynym klientem jest Pablo Neruda. Codziennie przywozi mu listy, chociaż nigdy ze sobą nie rozmawiają. Z biegiem czasu zaprzyjaźniają się i dyskutują o metaforach. Mario odkrywa, że chce być pisarzem, jak jego idol. Zakochuje się w dziewczynie o imieniu Beatriz. Neruda otrzymuje posadę ambasadora w Paryżu. Jakiś czas potem poeta wysłał Mariowi magnetofon, prosząc go o nagranie swojskich odgłosów natury, za którymi bardzo tęskni, jak również głosu niedawno narodzonego syna listonosza, Pabla Neftalí. Na koniec Mario wygrywa konkurs poetycki, a noblista zostaje złożony chorobą. Jedenastego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku ma miejsce zamach stanu w Chile. Dom Pabla Nerudy otoczony jest przez żołnierzy, doręczanie korespondencji staje się niemożliwe. Mario uczy się listów na pamięć, aby później wyrecytować je poecie, który umiera dwudziestego trzeciego września tego samego roku. Kilka dni później jacyś ludzie uwożą Maria w nieznanym kierunku. Radio informuje, że wojsko spacyfikowało wydawnictwa i siedziby gazet” – przeczytała Sara, postanawiając, że od jutra bierze się do czytania książki.

Rosa dotknęła włosów listonoszki, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę.

– A to mój upominek. Żebyś pamiętała o nas zawsze, nawet kiedy będziemy daleko. – Staruszcze załamał się głos. Pokazała na wielki pakunek, który przytaszczyli synowie Sary z konspiracyjnymi uśmiezkami na twarzach.

Gdy Sara odwinęła papier, jej oczom ukazały się od dawna niewidziane uśmiechy. Piękna rama okalała zdjęcia opowiadające historię jej życia: na pierwszej, czarno-białej fotografii matka Sary i Rosa idą jedną z ulic miasteczka, trzymając ją za rączki. Za nimi dwóch mężczyzn, niezwracających uwagi na podniosłość chwili, zajętych jest rozmową. Sara ma na sobie śliczną sukienkę z falbanami w różowe grochy.

Na innym, kolorowym już zdjęciu młodzianka Sara w dniu, w którym po raz pierwszy włożyła uniform listonoszki. Dumny ojciec odstąpił córce swoją czapkę, która była na nią o wiele za duża. Daszek zakrywał jej oczy, chociaż i tak lśnił spod niego ich blask, który dwadzieścia lat później nie stracił nic ze swej intensywności.

Skąd ona wytrzasnęła to zdjęcie? – zastanawiała się jubilatka. Nie przypominała sobie, żeby je kiedykolwiek widziała.

Trzecie zrobione zostało poprzedniego lata. Sara leży na trawie razem ze swoimi synami i wspólnie liczą obłoki. Najmłodszy syn tuli się do matki. Pozostali dwaj, z palcami wycelowanymi w niebo, skręcają się ze śmiechu.

Ostatnie zdjęcie było całe czarne. Spojrzała pytającym wzrokiem na Rosę, wycierającą łzy przemoczoną do szczytu chusteczką.

– A to?

– To będzie następne zdjęcie, wybierzesz je sama spośród tych, które zrobisz w ciągu najbliższych lat.

Od synów dostała dyplom dla najlepszej matki na świecie, który wykonali własnoręcznie z niewielką pomocą Rosy. Sara ucałowała wszystkich trzech po kolei, rejestrując na zawsze ten obrazek w pamięci i dołączając go do innych migawek z ich życia: narodzin, nocnych gorączkowań, pierwszych dni w szkole, urodzin...

Nagle w ogrodzie od strony wejścia rozległy się dźwięki gitary. Wszyscy podbiegli do okien. Okrzykiem zdziwienia i radości nie było końca. Dzieci otworzyły drzwi i wybiegły na dwór. Za nimi reszta gości.

Sara była jak sparaliżowana pod wpływem przepelniającego ją szczęścia. Trzech muzyków, wokalista i chórek złożony z trzech dziewczyn zostali zasypani istnym gradem próśb rozentuzjasmowanej, mimo chłodu, publiczności.

Minęła pierwsza godzina nowego dnia, dnia jej czterdziestych urodzin. Jeszcze raz powiodła wzrokiem po wszystkich ukochanych, będących przy niej istotach. W najśmielszych snach nie mogłaby sobie wyśnić wspanialszego święta.

I wówczas poczuła na plecach dotyk czyjejś dłoni.

Uszczęśliwiona odwróciła się.

Mało brakowało, a padłaby bez czucia na podłogę.

Mimo upływu lat, mroźnych północnych wiatrów i życiowych przeciwności oczy Fernanda śmiały się identycznie jak wówczas, kiedy go poznała. Skamieniała, nie mając pojęcia, co robić – tak bardzo pragnęła tej chwili!

Pierwszą myślą, jaka przemknęła jej przez głowę, było to, że wygląda fatalnie. Zaczęła wygładzać koszulę w kratę. Zahaczyła wzrokiem o czubki zimowych butów – upačkane błotem. Dotknęła głowy i z przerażeniem stwierdziła, że jej kok od wielu godzin trzyma się na ołówku. Ani makijażu, ani kolczyków...

Nie odważyła się oderwać wzroku od podłogi, aż w końcu spracowane dłonie mężczyzny podniosły jej podbródek.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, płomiennowłosa. – Te słowa zabrzmiały dla niej niczym niebiańska muzyka. Świat Sary zaczął wirować na nowo i poczuła, że w końcu odnalazła swoje miejsce. – Brakuje jeszcze prezentu ode mnie, ale chciałbym ci go wręczyć w bardziej dyskretnym miejscu.



Sara zaczerwieniła się po same uszy. Popatrzyła w stronę ogrodu – wszyscy tańczyli, nie zwracając na nich uwagi.

Fernando uprzedził współspiskowców, że zamierza pojawić się na scenie w filmowym stylu. Ukryty w schowku na drewno, tuż obok kominka, mógł przysłuchiwać się rozwojowi akcji przez nikogo niezauważony. Po tylu latach nocnego czuwania na pełnym morzu był człowiekiem uzbrojonym w cierpliwość, jak oznajmił Hypatii i Almie. Bez obaw – poradzi sobie.

Ujrawszy twarz listonoszki, przekonał się, że warto było czekać. Jej zaskoczenie ustąpiło wzruszeniu, które po chwili przerodziło się w powstrzymywaną z trudem radość.

Wyciągnął ku niej dłoń, a ona podała mu swoją. Poprowadził ją przez salon, który jeszcze parę chwil temu tętnił gwarem gości. Weszli do kuchni i tam, pewnym ruchem mieszkańca poruszającego się swobodnie w domowej przestrzeni, otworzył drewniane drzwi wychodzące na mały ogródek.

Nagie gałęzie śliwy zdawały się celować w gwiazdy, zawieszane między nocą i świtem. Sara oparła się o pień drzewa, obejmując się ramionami, jakby też poczuła się naga. Fernando okrył ją swoją marynarką, zbliżywszy się do niej tak bardzo, że Sara mogłaby przysiąc, iż czuje zapach soli, jaką przesycona była jego skóra.

Wzdrygnęła się i zamknęła oczy.

Fernando pocałował delikatnie jej powieki. Kiedy zdumiona uniosła je ponownie, zobaczyła przed sobą małą kopertę.

Rozpoznała ją natychmiast. Dwadzieścia cztery godziny temu, siedząc na podłodze poczty, otworzyła trzydzieści dziewięć takich samych kopert. W odróżnieniu od tamtych ta nie miała stempla pocztowego Mastán.

Zrozumiała natychmiast, kim był ów tajemniczy wielbiciel, który na trzydzieści dziewięć różnych sposobów powiedział jej, że ją kocha. Uśmiechnęła się. Wiedziała, co znajdzie w środku, lecz mimo wszystko nie mogła zapanować nad nerwami, borykając się z otwarciem koperty. Fernando, chichocząc, musiał jej pomóc.

– „Podaruj mi gram miłości, a ja oddam ci sto skrzyń tego kruszcu. Pozwól mi cię pokochać, a pokocham cię całą duszą. Daj mi choć jeden twój dzień, a ja złożę ci w ofierze całe moje życie” – przeczytała drżącym głosem.

Każde słowo pieściło jej podniebienie, zanim spowite w białą mgiełkę pary wyfrunęło przez usta.

Spojrzała na Fernanda.

– Czyje to słowa? Nerudy? Lorda Byrona? Stendhala?

– CASTAWAYA 65, rozbitka, który wreszcie ujrzał upragniony brzeg.

Strony do przeczytania, chwile do przeżycia

Otwarta księga jest jak umysł, który mówi;  
zamknięta – jak przyjaciel, który czeka;  
zapomniana – jak dusza, która wybacza;  
zniszczona – jak serce, które płacze.

#### PRZYSŁOWIE HINDUSKIE

Alma od pięciu minut tkwiła pod drzwiami biblioteki, bojąc się wejść do środka. Coś na podobieństwo scenicznego strachu ścisnęło jej żołądek. Czowała, jak oblewa się zimnym potem. Czternasty lutego – dzień zakochanych. Czternasty lutego – spotkanie inauguracyjne koła literackiego w Porvenir.

Miała wrażenie, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy jej życie nabrało wielkiego przyśpieszenia. Od nocnego przyjazdu do Porvenir na początku listopada, kiedy to zerwała z dotychczasową rutyną, uciekając od pracy w sklepie z ciuchami, wydarzenia potoczyły się w zawrotnym tempie. Gdyby wierzyła w przeznaczenie, przysięgłaby, że decyzji o rozpoczęciu nowego życia w tym małym miasteczku nie podjęła ona, lecz zrobiły to za nią siły kosmosu.

Mimo że babka umarła wiele lat temu, zrobiła wnuczce ostatni prezent: podarowała jej rodzinny dom. Alma zakwaterowała się w nim z myślą spędzenia tam kilku dni, tygodnia, aby odpocząć, spojrzeć na wszystko z dystansu i podjąć decyzję co do swoich dalszych losów. Miała zdecydować, czy wrócić do domu i stałej pracy, której życzyli sobie dla niej rodzice, czy posłuchać głosu serca i oddać się bez reszty poezji.

Tymczasem odkąd owej nocy wysiadła z taksówki przed tą wielką bryłą zlepioną z kamieni i czasu, nie znalazła jednej chwili na rozwiązanie swoich życiowych dylematów. Jakby w momencie przekroczenia progu tego domu wszystko nabrało innego sensu, zaczęła pisać po całych dniach, nie myśląc o tym, czy ktoś to wyda, czy będzie mogła zarabiać pisaniem na chleb lub czy to, co ma do powiedzenia, kogokolwiek zainteresuje.

Wtopiła się w to miasteczko i jego codzienne życie z zaskakującą naturalnością: zaangażowała się w akcję pisania listów mających na celu uratowanie miejscowej poczty, zaprzyjaźniła się z Hypatią i Sarą, zakochała się w chłopaku, z którym założyła pierwsze koło literackie w dolinie.

Dobrowolnie przykuła się emocjonalnym łańcuchem do tych uliczek.

W Porvenir wszystko może się zdarzyć, myślała. Możesz spotkać swoją

ukochaną amerykańską poetkę, znaleźć prawdziwą miłość i rozwiązać zagadkę przeszłości twoich przodków.

Na nocnym stoliku, obok znalezionej na strychu czarno-białej fotografii dwóch dziewczyn na rowerach, leżał list od Rosy. Przeczytała go tak wiele razy, że znała go już niemal na pamięć. Spełniła jej prośbę i stała się ogniwem łańcucha listów mających uratować listonoszkę od administracyjnej zagłady.

Lecz Alma dostrzegała również błaganie wyzierające z każdego zakamarka tego listu, wyczuwała niewypowiedziane ze strachu czy wstydu słowa, które wołały rozpaczliwie o coś więcej. Rosa pragnęła dowiedzieć się czegoś, czego nikt oprócz niej, Almy Meillás, nie mógł jej powiedzieć: Luisa miała szczęśliwe życie, mimo wszystko. W pierwszym odruchu, w gniewie, uznała, że przyjaciółka babki nie zasługuje na tę łaskę. Ale później, wraz z upływem czasu, odkryła, że Rosa nie jest złym człowiekiem, zdrajczynią, egoistką.

Od Álexa, Sary, Hypatii dowiadywała się rzeczy, które bardziej do niej pasowały: była dobra, odważna, wspaniałomyślna, oddana i stanowcza. Była kimś, kogo Luisa Meillás bardzo kochała, była tego więcej niż pewna. Do tej pory znały się z Rosą tylko przez osoby trzecie. Ale tego wieczoru, w bibliotece, miały się spotkać twarzą w twarz. Czy staruszka rozpozna w rysach jej twarzy coś, co przypomni jej najlepszą przyjaciółkę z dzieciństwa?

Z początku nie chciała zaakceptować faktu, że jej babka dbała o dom przez tyle lat tylko z myślą o niej, marząc, że wnuczka wróci kiedyś do Porvenir. Wyjęła notkę, którą nosiła w portmonetce od dnia urodzin. Któryś raz z rzędu przeczytała ostatnie słowa:

*Najdroższa Almo, jeśli czytasz te słowa, znaczy to, że nie mogłam być na Twoich dwudziestych trzecich urodzinach. Gdybyś wiedziała, jak bardzo chciałabym poznać Twoje marzenia i plany! Ale cóż, człowiek myśli, Pan Bóg kreśli.*

*Los chciał inaczej i mój prezent wręczy Ci notariusz, kiedy mnie już nie będzie.*

*Ile bym dała, żeby móc przekazać Ci te klucze osobiście i wybrać się w tę podróż z Tobą. Oprowadzić Cię po wszystkich kątach i przywołać wspomnienia uśpione w domu mego dzieciństwa, zobaczyć, jak obszedł się z nimi czas. Jak bardzo chciałabym wrócić tam raz jeszcze, z Tobą, aby pojednać się z przeszłością.*

*Zrobisz to za mnie Ty. Sama. I będziesz musiała podjąć decyzję. Jakakolwiek by nie była, będzie słuszna. Kocham Cię.*

– Ładne te drzwi, istny poemat. – Znajomy, ironiczny głos wyrwał ją z zadumy. Odwróciła się i ujrzała wpatrujące się w nią wesołe zielone oczy. – A mówili, że wejście jest gratis. – Álex mrugnął do dziewczyny filuternie i wziął ją za rękę.

Alma uśmiechnęła się. Od śmierci jego ojca nie odstępowali się niemal na

krok. Fernando pożegnał się z nimi jeszcze tego samego dnia po przyjęciu urodzinowym i zabawie do białego rana – tylko czasowo, jak powiedział wzruszony.

Razem z Sarą postanowili dać sobie szansę: „Zważywszy na to, że platforma wiertnicza nie jest najodpowiedniejszym miejscem dla trzech rozrabiaków, zdecydowaliśmy, że najprościej będzie, jeśli wrócę w rodzinne strony. Bardzo już tęsknię za stałym lądem!”, oświadczył. Latem przybije do brzegu i zostanie na dobre.

Kiedy młodzi zapytali, co w takim razie z pracą, Fernando, którego Alma zdążyła polubić, wzruszył ramionami i rzekł: „Na pierwszym miejscu to, co najważniejsze, czyli nasza miłość. A potem cała reszta”.

Po jego wyjeździe poczuła się w tym wielkim domu jak na wygnaniu. Samotność, która tak Ignęła do jej duszy przez te kilka miesięcy, nagle stała się nieznośnym brzemieniem. Álex spakował zatem do plecaka parę niezbędnych rzeczy i przeniósł się do niej. Jemu też nie uśmiechało się tkwić w pustym domu, gdzie wszystko przypominało mu rodziców.

W ciągu dnia pracowali nad projektem enklawy dla młodych artystów, Bed & First Draft. Mara Polsky stała się niezwykle aktywną patronką tego przedsięwzięcia. Dzięki jej poręczeniu mogli starać się o swój pierwszy kredyt w banku. Skontaktowała się również z kilkoma przyjaciółmi, wykładowcami literatury.

Przed dwoma dniami, uświadomiwszy sobie, że uruchomiła lawinę, której nie można już zatrzymać, Alma zadzwoniła do rodziców z informacją, że zostaje na stałe w Porvenir, gdzie założy dom pracy twórczej. Jak można było się spodziewać, matka uderzyła w płacz. Natomiast odpowiedź ojca zaskoczyła ją całkowicie: „Wiedziałem! Niepodobna wygrać z Luisą. W końcu postawiła na swoim i doprowadziła do tego, że któraś z nas zamieszka w Porvenir”. Przez kilka sekund myślała, że ten bezlitosny prawnik spuścił z tonu, porwany falą wspomnień. Jednak ojciec szybko się otrząsnął i na powrót stał się wytrawnym zawodowcem, który wymógł na niej, aby niezwłocznie przysłała mu dokumenty dotyczące projektu. „Przyjrzymy się temu w kancelarii, czy to w ogóle ma ręce i nogi. Tak czy inaczej, ten dom należy do całej rodziny, chociaż babcia Luisa raczyła o tym zapomnieć”. Obym mogła przekonać go, że ten dom wciąż jest jego domem, myślała dziewczyna.

Nocami wraz z Álexem planowali swoją podróż do Patagonii. Alma zaraziła się od chłopaka pasją do map. W małym notatniku zapisywała nazwy wszystkich miejscowości, górskich szczytów i rzek, jakie planowali zobaczyć. „Zaczekamy do następnej zimy, bo to najlepsza pora na podróż”, obiecał. Ona zaś z radością przyklasnęła tej propozycji, ciesząc się na kolejną niezwykłą zimę.

– Pozwoliłam sobie przynieść mały catering – powiedziała Hypatia, wyciągając w ich kierunku tacę z kanapkami z szynką i serem.

Alma ucałowała ją na powitanie. No proszę, nauczyła się angielskiego słowa, pomyślała z uznaniem. Álex roześmiał się na widok poczęstunku, jaki wyczarowała jego sąsiadka.

– Mały? Powiedziałbym, że to raczej wyzerka na miarę uczyty weselnej w Kanie Galilejskiej. Przecież będzie nas w porywach cztery osoby na krzyż – powiedział, pokazując na tace z krokietami, kanapkami i ziemniaczaną tortillą, kuszącymi ze stołu pod ścianą.

Salka w podziemiach biblioteki była mała i przytulna. Mimo iż nie docierało tam naturalne światło, kilka odpowiednio rozmieszczonych papierowych lamp wypełniało pomieszczenie ciepłym blaskiem. Na środku bibliotekarka ustawiła w kole krzesła i fotele – każde z innej parafii.

Jak nasi kółkowicze, tak od siebie różni, stwierdziła w duchu Alma. Na kamiennych ścianach wisiały w ramach zasuszone kwiaty. Alma podeszła bliżej, żeby odczytać karteluszek, na których ktoś kaligraficznym pismem wypisał nazwę każdego z nich.

Była odwrócona plecami do drzwi, gdy usłyszała głos Álexa:

– Rosa! Jak dobrze, że przyszedłaś.

W tym momencie zapragnęła dołączyć do kolekcji kwiatów, zastygnąć i zaniemówić w bezpiecznym azylu drewnianej ramki.

– Jakżebym mogła przepuścić okazję poznania tej niezwykłej dziewczyny, która skradła twoje serce! To wasze koło literackie jest tylko pretekstem, żeby trochę powęszyć, co w trawie piszczy, i spróbować kuchni Hypatii, która nie ma sobie równych – odparła wesoło staruszka.

Alma wiedziała, że nie pozostaje jej nic innego, jak odwrócić się w ich stronę, zanim Álex w towarzystwie nowo przybyłej trąci ją w ramię. Splotła palce, żeby opanować drżenie rąk.

– Rosa, to jest Alma – powiedział z dumą chłopak.

Poczuła dłonie Rosy w swoich dłoniach. Były drobne i pomarszczone, lecz niezwykle delikatne w dotyku. Podniosła wzrok i ujrzała dobrotliwy uśmiech staruszki.

– Jest mi bardzo miło – szepnęła nieśmiało.

– Mnie jeszcze bardziej – odparła wesoło Rosa, całując ją głośno w oba policzki.

Powoli schodzili się uczestnicy spotkania.

Hypatia przyciągnęła ze sobą Tomása, którego początkowy opór skruszyła groźbą całorocznego szlabanu na *torrijas*. Kucharka nie chciała, żeby Álex był jedynym mężczyzną w tym gronie, i choć niełatwo jej było przekonać męża, że

literatura to nie tylko babska sprawa, szantaż, do jakiego w ostateczności się uciekła, zrobił swoje.

Obok nich usiadła pełna werwy Rosa, która zaopatrzyła się nawet w zeszyt w czerwonej okładce do robienia notatek. Almę rozczulił ten drobny gest.

Sara mrugnęła porozumiewawczo do dziewczyny i pokazała jej kopertę, którą trzymała w dłoniach. Alma uśmiechnęła się w duchu – skoro mieli się zajmować gatunkiem epistolarnym, listonoszka była pewnie przekonana, że trzeba przynieść listy.

Tuż przy niej zajęła miejsce Karol, sprzątaczką z poczty zaproszona przez listonoszkę. Po ostatnich wydarzeniach bardzo się do siebie zbliżyły. Już dwa razy w niedzielę Karol jadła obiad z Sarą i jej dziećmi. Peruwianka zaprosiła natomiast kobietę w średnim wieku, której ani Álex, ani Alma nie znali.

Brakuje tylko Mary, pomyślała Alma z głębokim smutkiem.

Do ostatniej chwili miała nadzieję, że poetka pojawi się w bibliotece i dokona uroczystego otwarcia koła. Ale najwyraźniej uznała, że nie jest to wydarzenie na miarę jej talentu.

– Mam na imię Manuela. Mieszkam w Porvenir od dwóch lat. Tutaj się urodziłam. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy umarł mój ojciec. Wyjechałyśmy z matką, nie oglądając się za siebie. Teraz wróciłam. Jestem rozwiedziona. Pracuję w branży rozrywkowej – wyrecytowała jak wyuczoną formułkę. – W młodości bardzo lubiłam czytać, ale już od dawna nie miałam w ręku żadnej książki. Mimo wszystko Karol, dziewczyna, która u mnie pracuje, namówiła mnie do przyjścia. No i jestem. – Zamilkła na kilka sekund. Spojrzała na Karol, próbując się do niej uśmiechnąć, ale odwykła i na jej twarzy pojawił się jakiś nieokreślony grymas. – Mam u niej dług, jak sama mi powiedziała, więc żeby go spłacić, przyszedłam na to spotkanie. Szczerze mówiąc, nie sądzę, abym tu jeszcze wróciła. Nic do was nie mam, ale takie konwentykle to nie moja specjalność. – Manuela Sarai nerwowo szarpała brzeg rękawa.

– A listy? – spytała życzliwie Rosa. – Jeśli piszesz listy, to w zupełności wystarczy.

– A, to tak, ostatnio zaczynam nawet nabierać wprawy. – Kobieta uśmiechnęła się ironicznie.

W tym momencie pomyślała o dwóch otrzymanych listach: od kucharzającej babci i jej wnusia oraz od kobiety tęskniącej za swoją rodziną i krajem, w której nietrudno jej było rozpoznać Karol. Mimo to, nie wiedząc czemu, postanowiła wywiązać się z umowy i zachować milczenie na temat łańcucha listów. Przypomniała sobie swój list, który wysłała na adres domu z dziecinnych marzeń. Bez wątplenia ktoś musiał go przeczytać, akcja bowiem trwała dalej, dostała przecież drugi list. Teraz znów ruch należał do niej, chociaż nie знаła jeszcze adresata.

Ktoś z tu obecnych mógłby być idealną ofiarą, pomyślała.  
Obiecała sobie, że dziś w nocy do kogoś napisze.

– Teraz, kiedy już wszyscy wiedzą, kto jest kto, możemy zaczynać – zagaił Álex, chociaż większość zebranych znała się przecież od lat. – Wiecie już, że na naszych comiesięcznych spotkaniach będziemy rozmawiać o gatunku epistolarnym, będziemy wspólnie czytać i analizować utwory literackie pisane w formie listów. Nieważne, kto ile ma szkół, jaki zawód, grunt to wspólna pasja i chęci. Chodzi o to, aby miło spędzać czas i przy okazji czegoś się nauczyć.

W oddali dał się słyszeć krzyk, a potem głośny tupot na drewnianych schodach.

– *Oh my God!* A więc jedynymi punktualnymi tubylcami są członkowie koła literackiego... Dlaczego właśnie wy? – zawołała w swoim stylu Mara Polsky, wchodząc triumfalnie do sali.

Dłonie wzruszonej Almy same złożyły się do oklas-ków. Jednak przyszła, Mara Polsky jest wśród nich. Pozostali, zaskoczeni jej reakcją, nie wiedząc zbyt dobrze, o co chodzi, na wszelki wypadek poszli za jej przykładem.

Amerykańska poetka skłoniła się głęboko na średniowieczną modłę. Długie srebrnoszare włosy miała splecione w warkocz sięgający połowy pleców. Była bez makijażu, ale założyła długie srebrne kolczyki z czarnym kamieniem pod kolor golfu i obszernej, sięgającej ziemi spódnicy. Kamizelka w kolorach tęczy stanowiła jedyny radosny element jej stroju.

Sara przełknęła ślinę. Wspomnienie związane z tą kobietą nie było zbyt przyjemne. Myślała, że już stąd wyjechała, a tymczasem nie tylko nie wyjechała, ale w dodatku będzie należeć do ich koła. Nie mogąc się powstrzymać, zerknęła dyskretnie w dół, na jej nogi, i z ulgą stwierdziła, że nie przyszła na bosaka i nie miała dzwoneczków uczepionych do kostek.

Jakby czytając w jej myślach, Mara położyła dłonie na ramionach Sary. Listonoszka, odwrócona do poetki plecami, stężała.

– Spóźniłam się z powodu... powiedzmy, przesadnej akulturacji. Proszę nie winić whisky, koniaku czy wina, napojów, które okazywały się niekiedy fatalnymi doradcami – powiedziała, ściskając ramiona Sary – ale moje zamiłowanie do sjesty. Po prostu zasnęłam!

Hypatia spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się wyrozumiale: dochodziła dziewiętnasta. Ci obcokrajowcy zawsze popadają w skrajności, pomyślała.

– Mara Polsky zgodziła się być naszą patronką – powiedziała uszczęśliwiona Alma, wskazując na kobietę, która usiadła obok niej.

Gdyby rok temu ktoś jej powiedział, że będzie prezentować publiczności swoją ulubioną poetkę, pomyślałaby, że ma do czynienia z wariatem.

W kwadrans opowiedziała o jej bogatym i intensywnym życiu, o dramatycznym dzieciństwie żydowskiej dziewczynki w nazistowskich Niemczech i zrządzeniu losu, które przywiodło sławną poetkę do Porvenir w poszukiwaniu natchnienia. Wplotła w swoją prezentację słowa samej Mary, wyłuskane z jej wierszy, pisanych celem nadania jedności i sensu:

– „Wszystkim nitkom tej gigantycznej tapiserii będącej nie tylko moim życiem, ale i życiem tych, którzy byli przede mną, aby uczynić z niej coś cudownego, coś, co będą rozpamiętywać następne pokolenia” – zacytowała fragment wywiadu z poetką sprzed dziesięciu lat. Przywołała też słowa Césara Vallejo, by podkreślić, że „jeśli pozbawić wiersza jednego wersu, jednego słowa, jednej litery, jednego znaku ortograficznego – umrze”. – To samo dotyczy twórczości i życia Mary Polsky. Usunięcie jednej sceny, jednego miejsca, jednej postaci... okalecza ją, zabija. Ona jest sumą wszystkich rysunków tapiserii, nitek tworzących każdy rysunek, włókien składających się na każdą nitkę. García Lorca stwierdził: „Zostawiłbym w tej książce moją duszę – w książce, która widziała ze mną krajobrazy i przeżywała błogosławione chwile”.

Pełna uszanowania cisza zaległa w piwnicznej salce. Magia poezji pozwoliła poczuć zebranych kobietom i mężczyznom, tak bardzo różniącym się od siebie wiekiem i proveniencją, że te wersy mówią o ich walce, o ich cierpieniu, o ich pragnieniach. Może nie rozumieli dokładnego znaczenia wszystkich słów recytowanych przez Almę, ale z pewnością wyczuwali siłę pulsującą w kreślonych przez nie obrazach.

Z zamkniętymi oczami i pochyloną głową, Mara Polsky unosiła się wraz z innymi, czując, jak z każdym oddechem odzyskuje swoje prawdziwe ja.

Kiedy Alma zakończyła prezentację honorowego gościa, członkowie koła zgotowali jej wielką owację. Jak na sygnał pobudki Mara Polsky z wolna podniosła głowę. Jej wzrok spoczął na obliczu dziewczyny, która z takim żarem mówiła o poezji. Uśmiechnęła się do niej, pokazując jej puste dłonie. Przyłożyła je do piersi na wysokości serca. Potem dotknęła nimi czoła, ust i zacisnęła w pięści, jakby chroniła w nich uczucia tętniące w jej sercu, a także myśli i słowa, którymi za chwilę miała się podzielić ze słuchaczami. Położyła pięści na dłoniach Almy i przekazała jej przechowywaną w nich niewidzialną moc. Łagodnie zamknęła dłonie dziewczyny na swojej spuściznie.

Mara olśniła swoją charyzmą to małe audytorium, zagubione pośród odwiecznych lasów. Jak do tej pory zdarzało się jej to wyłącznie w aulach znamienitych uniwersytetów czy w pałacowych salach na całym świecie. Niczym królewski paw rozpostarła swój wielobarwny ogon: z niesłychaną pasją mówiła o rodowodzie listów i o tym, w jaki sposób opowiadały nie tylko o wielkiej historii, ale też o małych, prywatnych sprawach.

– W listach ludzie ukazują codzienność swojej duszy. Odzwierciedlają



w nich swój zwykły dzień, swoje najdrobniejsze troski... swoją prawdziwą twarz – oznajmiła urzeczony publiczności. – Pewnego dnia Paul Auster otrzymał od laureata Nagrody Nobla J.M. Coetzego list z propozycją przeprowadzenia pewnego eksperymentu, który miał „polegać na wzajemnej, intelektualnej inspiracji”. Czym konkretnie mieliby się zajmować? Ni mniej, ni więcej, tylko pisanem do siebie listów. Opublikowali je później w książce zatytułowanej *Tu i teraz*. O czym w nich rozmawiają? O wszystkim i o niczym: o kryzysie, o byciu rodzicem, o sporcie, o dzieciństwie, o miłości... – Mara Polsky wyciągnęła z torby notes. – Chciałabym państwu przeczytać początek pierwszego listu mówiącego o sprawie, której doniosłości często nie dostrzegamy: „Drogi Paulu! Rozmyślałem ostatnio o przyjaźniach: jak się zawiązują i z jakiego powodu trwają (przynajmniej niektóre) tak długo, dużo dłużej niż relacje oparte na namiętności, choć przyjaźń bywa często (i niesłusznie) uważana jedynie za ich imitację. Chciałem napisać do ciebie na ten temat list, który zaczynałby się obserwacją, że wzięwszy pod uwagę ogromną rolę przyjaźni w życiu społecznym i naszym własnym, szczególnie w dzieciństwie, zaskakujące jest, jak niewiele na ten temat napisano”<sup>32</sup>.

Odkąd Alma poprosiła ją o wygłoszenie kilku słów na otwarcie koła literackiego zajmującego się gatunkiem epistolarnym, Mara nie mogła przestać myśleć o łańcuchu listów, którego stała się ogniwem. Jakaś kobieta kochająca Sarę, kobieta siedząca może pośród zebranych, napisała list, nie wiedząc, że nie tylko prosi o pomoc dla listonoszki, ale za pomocą słów buduje pomnik przyjaźni.

– W roku tysiąc dziewięćset siedemnastym, w czasie drogi przez Pustynię Czerwoną, jaką pokonał z oddziałem arabskiego wojska, Lawrence z Arabii napisał serię listów. Listy te są zapisem historycznej epopei, ale pokazują również, z jakiej gliny ulepiony był człowiek, który powiedział, że: „wszyscy ludzie śnią, ale niejednakowo. Ci, którzy śnią w nocy, w najmroczniejszych zakamarkach umysłu, budzą się rano z przekonaniem, że były to tylko majaki. Są jednak i tacy, którzy śnią za dnia, i ci są ludźmi niebezpiecznymi, gdyż nierzadko z otwartymi oczami odtwarzają swe senne marzenia, pragnąc przemienić je w rzeczywistość”<sup>33</sup>. W każdym napisanym przez nas liście pokazujemy, kim tak naprawdę jesteśmy – dodała Mara.

Zdziwiła się na widok Rosy, która mimowolnie poczerwieniała jak burak. Poetka zaśmiała się w duchu: z pewnością ona też była częścią łańcucha. Nagle uświadomiła sobie, do jakiego stopnia obnażyła się w swoim liście. Nie wiedziała natomiast, że to właśnie ta niepozorna staruszka była ideologiem całej inicjatywy.

– Listy pomagają nam przetrwać chwile dojmującego smutku. Wielki pisarz i dziennikarz Julio Cortázar, dowiedziawszy się o śmierci Che Guevary, skreślił list do jednego z przyjaciół, Roberta, brakowało bowiem mu słów, żeby napisać artykuł czy esej. List jest w istocie rozmową między dwoma oddalonymi od siebie ludźmi, a nie literacką wprawką. „Pragnę ci powiedzieć tylko tyle: nie potrafię

pisać, kiedy rozdziera mnie straszliwy ból; nie jestem, nigdy nie będę zawodowym pisarzem, w każdej chwili gotowym wyprodukować to, czego się od niego oczekuje, czego od niego żądają lub czego on sam żąda od siebie rozpaczliwie. Pisarstwo, prawdę mówiąc, dzisiaj i w obliczu czegoś takiego wydaje mi się najbanalniejszą ze sztuk, czymś w rodzaju ucieczki, udawania nieomal, zamiennikiem niezamienialnego. Che nie żyje i jedyne, co mi pozostaje, to milczenie... Tutaj, w Paryżu, czekała na mnie depesza od Lisandra Otero, który prosi mnie o sto pięćdziesiąt słów dla Kuby. Ot tak, sto pięćdziesiąt słów, jakby można je było wysupłać z kieszeni jak monety. Nie sądzę, abym mógł je napisać, jestem wypalony i pusty, popadłbym w czczą retorykę”.

Mara wspomniała również o korespondencji pomiędzy Vincentem van Goghkiem i jego bratem, Theo. Holenderski malarz był człowiekiem chorym i nękanym przez własne demony. Przez dwadzieścia lat korespondował z bratem, pozostawiając w listach świadectwa tego, w jaki sposób pojmował malarstwo, kolorystykę czy pejzaż. Pewnego lipcowego dnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku wyszedł w pole i wypalił do siebie z pistoletu, nie mogąc już dłużej znieść cierpienia. W kieszeni jego marynarki znaleziono ostatni, niedokończony list.

Widząc smutek na twarzach słuchaczy, Mara postanowiła zmienić wątek i powiedzieć na zakończenie kilka słów o listach miłosnych.

– Według Marka Twaina „najszczerzym, najbardziej swobodnym i intymnym tworem ludzkiej myśli i serca jest list miłosny”. Dlatego na zakończenie pragnę zacytować kilka najszlachetniejszych z nich. Najpierw wyjątek z jednego z wielu listów Franza Kafki do ukochanej, Felicji. W tysiąc dziewięćset trzynastym roku tak wyznawał swoją miłość do niej i do literatury: „Najdroższa, proszę cię w każdym razie ze wzniesionymi rękami, nie bądź zazdrosna o moją powieść. Gdy osoby w powieści zauważą twoją zazdrość, uciekną mi, i tak trzymam je tylko za końce ich sukien. I zastanów się, jeśli one mi uciekną, będę musiał biec za nimi, nawet gdyby trzeba było biec aż do piekieł, gdzie też jest ich właściwa ojczyzna. Moja powieść to jestem ja, moje historie to jestem ja, gdzie może tu być, proszę cię, najmniejsze choćby miejsce na zazdrość. Przecież wszyscy ci moi ludzie, gdy wszystko inne jest w porządku, biegną ramię przy ramieniu do ciebie, by w ostatecznym rachunku tobie służyć. (...) moje pisanie utrzymuje mnie wszakże przy życiu, utrzymuje mnie przy tej łódce, na której ty stoisz, Felice”<sup>34</sup>. Nie sądzicie, że to niezwykle wyznanie? – Sara uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie czterdzieści miniaturowych listów miłosnych, które dostała od Fernanda, Alma zaś wyobraziwszy sobie listy, które kiedyś napisze do niej Álex. – Ale nie tylko pisarze potrafią w formie pisanej wyrazić swoje uczucia w tak cudowny sposób. Fizyk Albert Einstein wysłał list do swej wielkiej miłości, Milevy, w którym mówił: „na całym świecie nie mógłbym znaleźć osoby

wspanialszej od ciebie, teraz dopiero widzę to wyraźnie, kiedy poznaję nowych ludzi. (...) Nawet moja praca wydałaby mi się bezwartościową i niepotrzebną, gdybym nie miał pewności, że ciebie również raduje to, kim jestem i czym się zajmuję”.

Pięć minut później wystąpienie Mary Polsky zostało nagrodzone salwą oklasków. Rosa i Karol wzruszyły się do łez i choć prawie się nie знаły, pocieszały się nawzajem. Alex poinformował wszystkich o kolejnym spotkaniu i poprosił o przeczytanie Listów do Mileny.

Już mieli się zbierać do wyjścia, kiedy Sara podniosła się nagle z krzesła. Alex spojrzał na nią zaintrygowany.

– Jeszcze jedno słówko... – Odchrząknęła listonoszka. – Za pozwoleniem Mary, której wystąpienie było naprawdę zachwycające. Chciałabym przeczytać inny rodzaj listu, taki, który nie jest związany ani z literaturą, ani z polityką, ani z historią, ani z przyjaźnią czy miłością.

– Z czym w takim razie? Z Bożym Narodzeniem? – spytał żartem milczący do tej pory Tomás, po czym natychmiast dostał w odpowiedzi sójkę w bok od swojej żony.

Sara ponownie odchrząknęła. Rozprostowała kartkę papieru, którą na samym początku spotkania pokazała Almie. Była tak pognieciona, że musiała ją kilkakrotnie wygładzić, inaczej nie dałoby się nic przeczytać.

– „Dziesiąty lutego, do wiadomości pani Sary González. Biuro Poczty Głównej”. – Kaszlnęła. – „Niniejszym zawiadamiamy panią, że w związku ze wzrostem korespondencji w okręgu Porvenir zostaje czasowo wstrzymana decyzja o zamknięciu kierowanego przez nią urzędu. Tym samym zwracamy się z prośbą, aby pozostała pani na swoim stanowisku, i zawieszamy planowane uprzednio przeniesienie, o którym informowaliśmy przed Bożym Narodzeniem”.

Hypatia spojrzała na Rosę i przerywając Sarze, spytała:

– Co? Sara zostaje? Nie wyjeżdża do stolicy?

Staruszka uśmiechnęła się. Sara przekazała jej tę dobrą nowinę rano, zaraz po otrzymaniu listu. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Rzuciły się sobie w objęcia i przez dobrą chwilę śmiały się i płakały na zmianę. Każda podziękowała w duchu wszystkim tym, którzy napisali list, tworząc ze słów łańcuch tak długi, aby dosięgnął stolicy, i tak mocny, aby nikt nie mógł go zerwać.

Teraz, widząc zadowolenie i radość malujące się na twarzach sąsiadów, Rosa zrozumiała, że wielu z nich wzięło udział w zapoczątkowanej przez nią akcji ratunkowej. Nie przeszło jej jednak przez myśl, że nawet Mara Polsky zaangażowała się w to przedsięwzięcie. Dowiedziała się o tym dopiero wówczas, gdy poetka, nie mogąc już dłużej się powstrzymać, zerwała się z krzesła i podeszła do Sary. Ucałowała ją serdecznie i zawołała:

– Wiedziałam, rudzielcu, wiedziałam! Udało się! Łańcuch złożony z kobiet

i słów zatrzymał cię tutaj, w Porvenir, w twoim domu. Zwyciężyliśmy!

Ku zaskoczeniu wszystkich Álex uniósł rękę.

– Łańcuch słów, kobiet i mężczyzn, droga Maro. W tym kraju Álex to męskie imię.

Wybuchnął śmiechem na widok zdumienia malującego się na twarzy Amerykanki. Mrugnął do niej znacząco i przesunął palce wzdłuż ust, jakby zasuwiał je na zamek błyskawiczny. Mara odetchnęła z ulgą, pojmując gest chłopaka.

– Saro, ty nie powinnaś nic rozumieć, ale... – chciała wyjaśnić Hypatia, widząc aprobatę w oczach pozostających.

Listonoszka wyprowadziła ich z błędu, opowiadając o tym, jak pewnego dnia przyszedł list, którego nie mogła doręczyć. Usiadła na schodach willi z zamurowanymi oknami, między kolumnami i obumarłymi drzewami, nie wiedząc, co począć. Przeprosiła za to, że otworzyła kopertę, ale, jak wyznała, nie chciała pozostawić bez doręczenia żadnego z listów, które przywróciły jej nadzieję.

– A czy palma... stoi tam jeszcze? Czy w sadzawce są ryby? – spytała Manuela Sarai bezbarwnym, smutnym głosem.

Sara zrozumiała od razu, że ma przed sobą autorkę owego listu. Przypomniała sobie dzień, w którym ją poznała na poczcie – jaka była wtedy impertynencka i agresywna. Znowu zobaczyła, jak otwiera skrytkę pocztową i jak po raz pierwszy w ciągu dwóch lat znajduje w niej list. Sarze zrobiło się żal tej kobiety. Podeszła do niej ze słowami:

– Tak, palma rośnie dalej i jest piękna. Króluje nad olbrzymim ogrodem. Powinnaś się tam wybrać i spróbować odzyskać marzenia, które uwięzły w ogrodzeniu. Napelnij je ponownie życiem.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Manuela Sarai wyszeptała słowo „dziękuję”. Zrobiła to nawet dwukrotnie: pierwsze przeznaczone było dla Sary. Drugie dla Karol, która w lot zrozumiała, że jej list dotarł do adresatki i że teraz dzieli swoje marzenia i uczucia.

W porvenirskiej bibliotece zapanował nastrój niezwyklej poufałości: Hypatia wyznała, że również ona, z pomocą wnuczka, napisała list. Tomás nie mógł wyjść ze zdumienia i jako jedyny z obecnych nie miał pojęcia, „co tu się, u diabła, wyprawia”. Mężczyzna zrzędził przez kilka minut, dowiedziawszy się, że po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat małżonka zataiła przed nim tak ważną sprawę. Wobec wyjaśnień wszystkich współuczestników z oporami przyjął przeprosiny Hypatii, jednak tylko pod warunkiem, że żona nigdy więcej nie będzie się ukrywać z równie piękną ideą.

Jedynie dwie osoby siedziały w ciszy – Alma i Rosa.

Dziewczyna milczała, bo jeszcze nie czuła się na siłach, żeby skonfrontować się z przeszłością swojej babki. Staruszka – przez skromność. Nie chciała, żeby Sara wiedziała, że to właśnie ona rozpoczęła to wszystko, że była pierwszą kostką

domina. Ale wiedziała, że nie tak łatwo wymiga się od pytań sąsiadki, która obserwowała ją uważnie. Listonoszka zastanawiała się, nie przestając się dziwić, jak Rosa, z którą przecież rozmawiała codziennie, mogła zachować dwie tak wielkie tajemnice: przyjęcie urodzinowe zorganizowane na jej cześć oraz łańcuch listów.

Nie sposób przeniknąć na wskroś nie tylko obcej, ale i bliskiej ci osoby, pomyślała szczęśliwa.

– Ile bym dała za to, żeby się dowiedzieć, kto wpadł na taki genialny pomysł! – wykrzyknęła entuzjastycznie Mara Polsky, prześlizgując się obok Álexa, który zamykał drzwi biblioteki. Pierwsze spotkanie dobiegło końca i większość kółkowiczów rozeszła się do swoich domów. Tylko młoda para założycieli koła, Mara Polsky i Sara – obie w równym stopniu podekscytowane – oraz milcząca Rosa stali jeszcze pod biblioteką. – Należy mu się pomnik! Nie sądzisz, Saro? – powtarzała poetka. – Musimy go odnaleźć.

– Może nie trzeba szukać zbyt daleko – powiedziała listonoszka, która doskonale знаła tiki Rosy ujawniające się zawsze, kiedy była zdenerwowana.

Staruszka patrzyła gdzieś w dal niewidzącym wzrokiem. Łagodnym, choć uporczywym ruchem, który Sara wyczuwała pod rękawem palta, ściągała i nakładała ślubną obrączkę.

– Co masz na myśli? – spytał Álex.

Alma wpatrywała się mimowolnie w staruszkę. Rosa odczuła ciężar tego spojrzenia i spojrzenia Sary.

– I co, Roso? Nie masz nic do powiedzenia? – spytała z naciskiem sąsiadka.

Rosa westchnęła. A potem wymruczała ledwie słyszalnie:

– W tym mieście niczego nie można utrzymać w tajemnicy. Osiemdziesiąt lat mam i jeszcze się nie nauczyłam...

Tego wieczoru, jak zwykle, przed pójściem spać Sara zeszła do Rosy, żeby przypomnieć jej o wyłączeniu gazu i powiedzieć „dobranoc”. Zastukała tradycyjnie trzy razy, wsunęła klucz w zamek, otworzyła drzwi i skierowała się do kuchni.

Rosa grzała sobie mleko, żeby zabrać je do sypialni. Na widok przyjaciółki uśmiechnęła się serdecznie.

Sara objęła ją bez słów – najczulej, jak tylko potrafiła.

Między nimi wszystko już zostało powiedziane.

32 P. Auster, J.M. Coetzee, *Tu i teraz: listy (2008–2011)*, tłum. K. Ja-nusik, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2014.

33 T.E. Lawrence, *Siedem filarów mądrości*, tłum. J. Schwakopf, PIW,

Warszawa 1998.

34 F. Kafka, *Listy do Felicji i inne z lat 1912–1916*, tłum. I. Krońska, PIW,  
Warszawa 1976.

## Ostatnie ogniwo

Ludzie (...) pojedynczo śmiertelni,  
w całości, jako rodzaj, wieczni.  
APULEJUSZ

Roso, mogłabym zamienić z tobą słówko? – wyszeptała Alma, wpatrując się w czubki swoich butów.

Siąpił deszcz.

Krople wody ześlizgiwały się po marmurowych i cementowych płytach grobów. Nieobecna duchem, staruszka patrzyła na ten znajomy krajobraz. Utkwiła wzrok w napisie widniejącym na pobliskiej niszy: „Soledad García, 1912–1990. Niech Bóg ma Cię w swojej opiece”. Przez czterdzieści lat kupowała u Soledad chleb. Wzdrygnęła się – więcej jej przyjaciół leżało tutaj, w tych ciasnych wnękach, niż spacerowało ulicami Porvenir.

Na płycie frontowej sąsiedniej niszy połyskujące złotem litery informowały, kto przeprowadził się tu ostatni. Plecy Álexa – który też stał na deszczu, mimo że ksiądz zaproponował mu, żeby wszedł z nim do kościoła – zakrywały doskonale jej znane imię, ale inskrypcję mogła przeczytać w całości: „Niech spoczywa w pokoju, tam, gdzie wspomnienia nic już nie znaczą, a liczy się tylko wiekuisty uśmiech jego małżonki i uścisk Boga Ojca”.

Minął miesiąc od śmierci Mauricia.

Powiał lekki wiatr. Odniosła wrażenie, że pozostali uczestnicy mszy wspomnieniowej zbierają się co rychlej do wyjścia. Żywi nie lubią ani umarłych, ani pluchy, westchnęła w duchu.

Alma nie dawała za wygraną:

– Możemy porozmawiać?

Rosa spojrzała na nią. W głosie dziewczyny wyczuła przynaglenie i miała świadomość, że jej prośba nie dopuszcza możliwości zwłoki.

– Oczywiście. Chodźmy do wyjścia...

Alma szepnęła coś na ucho Álexowi. Smutny uśmiech przemknął po jego twarzy. Uścisnął dłoń dziewczyny. Rosie wydało się, że przez kilka krótkich sekund obserwował ją kątem oka.

Ksiądz zawołał go ponownie. Álex postawił na sztorc kołnierz kurtki i poszedł za kapłanem. Dopiero oddalając się od miejsca, gdzie pochowani byli jego rodzice, poczuł przenikliwe zimno i deszcz.

Kobiety odprowadzały wzrokiem chłopaka, wolnym krokiem przecinającego cmentarz – reprodukcję Porvenir złożoną z nisz, grobów i pomników. Niedługo po założeniu miasteczka na ten położony tuż za kościołem mały skrawek ziemi z widokiem na góry przeniósł się pierwszy mieszkaniec. W pośpiechu wykopano grób, w którym spoczęło zaledwie dwuletnie dziecko – czas zatarł jego imię, ale przyczyna śmierci, grypa, przetrwała do dzisiaj.

Ponad dwieście lat później w tym labiryncie leżeli obok siebie pasterze, rolnicy, nauczyciele, lekarze, burmistrzowie i złodzieje, w harmonii, której nie osiągnęliby za życia. Mimo że alejki budowane były doraźnie, bez żadnego planu, chaos działał kojąco na żyjących, przychodzących tu pomodlić się za swoich bliskich. Trawa i drzewa wyrosłe z nasion przyniesionych przez wiatr czyniły go na swój sposób przytulnym.

Chroniąc się pod pstrokatym parasolem, Rosa i Alma powoli ruszyły przed siebie.

– Znasz dobrze ten cmentarz? – spytała dziewczyna, choć doskonale wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź.

– Bardziej, niżbym sobie życzyła – odparła smętnie staruszka. Odgrzebała w pamięci słowa piosenki: „prawda nie jest smutna, rzecz w tym, że nie można jej zaradzić”. Pokrzepiło ją takie spojrzenie na sprawę i zebrała w sobie siły, aby spróbować wywołać uśmiech na twarzy dziewczyny, która przyglądała się jej w skupieniu. – Masz ochotę na wizytę z przewodnikiem? – spytała, pokazując rozciągający się przed nimi krajobraz.

– Coś w tym stylu – odpowiedziała Alma głosem zdradzającym zdenerwowanie.

– Przykro mi, ale pracujemy tylko w słoneczne dni.

Rosa szła uczepiona ręki Almy. Wydaje się taka krucha, pomyślała dziewczyna. Staruszka, jakby odgadywała te myśli, przycisnęła się do jej boku jeszcze bardziej.

Ostatnio utwierdzała się w przekonaniu, że przybycie tej dziewczynki do miasteczka miało w sobie coś magicznego. Zjawiała się dokładnie w chwili, kiedy życie Mauricia gasło, aby dotrzymać towarzystwa Alexowi. Nie uszło też jej uwadze, że Alma odgrywała niepoślednią rolę w założeniu koła literackiego przy bibliotece, które było najbardziej emocjonującym wydarzeniem w Porvenir od lat. Za to wszystko mogła jej tylko dziękować.

Nagle Alma przystanęła. W milczeniu patrzyła na kamienną, tonącą w kałużach ścieżkę, jakby usiłowała ocalić słowa krążące nieodwołalnie w odmętach jej pamięci. Teraz albo nigdy, powtarzała niestrudzenie w myślach.

Jakbym cię znała od zawsze, Almo! Jakie to dziwne, pomyślała Rosa. To pewnie wiek sprawia, że każdy ci kogoś przypomina.

Postanowiła dać jej czas: jeśli czegoś się nauczyła przez te osiemdziesiąt lat



życia, to tego, że nie trzeba biec co sił w nogach, aby dotrzeć do ważnych miejsc. Czy znaleźć odpowiednie słowa, ulżyć zmartwieniom, pozwolić zbliżnić się głębokim ranom czy podzielić się ogromną radością.

– Ale ja muszę dzisiaj – szepnęła wzruszona Alma.

Rosa pokręciła głową i poprawiła szalik.

– Przewidujemy wyjątki tylko w przypadku krótkich wizyt... Ale uwaga, dziecko! Trzymaj się za kieszeń, bo zapłata będzie słona! – Uśmiechnęła się.

Alma uniosła głowę. Jej miodowe oczy pociemniały, upodabniając się do tego posępnego, deszczowego dnia. Niesforna grzywka za nic nie chciała przesunąć się z czoła, mimo iż zdmuchiwała ją raz po raz. Może usiłuje przepłoszyć jakąś zmorę? – pomyślała starowinka.

– Chcę tylko, żebyś mi pomogła odnaleźć grób. – Urwała nagle i wyswobodziła się z uchwytu Rosy. Podała jej parasol, jakby w ten sposób odmawiała swojej protekcji, chcąc zarazem zwiększyć dystans. Zawiesiła wzrok na majaczących w oddali górach. – Grób rodziny Meillás.

Czas stanął w miejscu.

Krople deszczu zawisły w powietrzu między niebem i ziemią. Rosa poczuła, jak umarli wstrzymują oddech i ślepią pustymi oczodołami w jej serce, usiłując odgadnąć lawinę wyzwolonych uczuć.

– Dlaczego grób Meillásów? Alex ci o nich opowiadał? – zapytała ledwie słyszalnym głosem, bez przekonania, czując, że nie tędy droga.

Alma chciała odpowiedzieć, ale słowa więzły jej w ustach. W desperacji usiłowała wykonać jakiś gest, lecz jedyne, co jej przyszło do głowy, to otworzyć torbę. Włożyła do niej rękę, na ślepo przetrząsając jej zawartość, aż natrafiła na to, czego szukała. Wyciągnęła kawałek sztywnego papieru i włożyła go w drżące ręce Rosy. Dwie nieprzyzwoicie szczęśliwe dziewczyny przywitały ją promiennymi uśmiechami. Minęło sześćdziesiąt lat, ale nie potrzebowała ani sekundy, żeby je rozpoznać.

Parasol wypadł jej z ręki. Alma natychmiast schyliła się, żeby go podnieść i osłonić Rosę od deszczu.

Staruszka obrysowała opuszką wskazującego palca koło swojego ulubionego roweru, dotknęła spódnicy w kratę, którą uszyła jej matka. Kilka razy, z największą czułością, musnęła czarno-białą twarz swojej najlepszej przyjaciółki, jakby obawiała się, że może zatrzeć jej łagodne rysy. Kontemplowała jej uśmiech, za którym tak bardzo tęskniła.

Miała w domu jej zdjęcia, ale od lat nie ośmielała się na nie spojrzeć w obawie, że usłyszy oskarżenia pod swoim adresem. Tamten obraz, który zakradł się kiedyś nieproszony, obudził w niej emocje dawno już, jak się jej wydawało, zapomniane.

Oczy Rosy sformułowały pytanie, na które usta Almy odpowiedziały:

– Nazywam się Alma Meillás, jestem jedyną wnuczką Luisy.

Dwie sekundy później, kiedy Alma obejmowała w serdecznym uścisku Rosę, czas, niedostrzegalnie dla nikogo, ponownie drgnął.

Dziewczyna była zaskoczona, że na grobie, w którym pochowani byli jej pradziadkowie i prapradziadkowie, tuż obok krzyża z marmuru stał mały wazon ze świeżymi kwiatami. Dotknęła ich delikatnych, jedwabistych płatków. Na płycie nagrobnej nie brakowało ani jednej literki w imionach przodków Almy. Nie było wśród nich jednak imienia jej babbki.

– Kiedy przychodzę na grób moich rodziców i męża, zachodzę też tutaj – powiedziała Rosa, odczuwając wielką ulgę, że może podzielić się swoją tajemnicą.

Nie odrywając wzroku od skromnego grobu, Alma wyobraziła sobie, jak Rosa kładzie na nim białe goździki i rozmawia z umarłymi z rodu Meillás, którzy w Porvenir byli tak samotni i opuszczeni. Nie ma już z tej rodziny nikogo, kto mógłby ich odwiedzać, pomyślała.

Ponownie ogarnęła ją nieopisana radość, że na dwudzieste trzecie urodziny otrzymała od babki list. List, który zaprowadził ją aż tutaj. Ale tym razem cieszyła się nie dlatego, że poznała Álexa, napisała wiersze i zyskała nowych przyjaciół. Ucieszyła się, że może być z tymi, którzy ją wyśnili, zanim jeszcze pojawiła się na świecie.

– Modlisz się za nich? – spytała, ocierając łzę z policzka.

Rosa zaczerwieniła się, jakby Alma przyłapała ją na kłamstwie.

– Tak... i rozmawiam z nimi. Nie można pozwolić, żeby czuli się samotni. Pewnie myślisz, że stara baba oszalała czy zgłupiała, ale... – Wzruszyła ramionami.

Alma wcale tak nie myślała. Uważała, że to piękny gest. Co też im mówiła? Czy opowiadała o tym, jak się mają sprawy w miasteczku? Jak spędziła Boże Narodzenie albo czy bolały ją tego dnia kości?

Niczym błyskawica niezbita pewność przecięła jej umysł: Rosa zadawała im pytanie, to samo pytanie, które w tej właśnie chwili zadawała sobie w sercu, nie mając odwagi wypowiedzieć go na głos. To samo pytanie, które sformułowała w liście znajdującym się w torbie Almy: Czy Luisa, jej najlepsza przyjaciółka, była szczęśliwa? Czy czas uśmierzył jej ból spowodowany zdradą Rosy?

Uśmiechnęła się na myśl, że zna odpowiedzi na te pytania i że, w odróżnieniu od swoich zmarłych przodków, może je ofiarować Rosie.

Wyjęła fiołkową kopertę, którą dostała na początku zimy. Ulotnił się już z niej zapach lawendy. Podała ją przejętej Rosie. Staruszka wiedziała, co się tam kryje, bez zagląдания do środka. Schowała kopertę do kieszeni, aby uchronić tę wciąż żywą przyjaźń przed zimnymi spojrzeniami umarłych.

Alma bez słowa ruszyła naprzód. Po kilkunastu metrach znalazła się przed blokiem dwupiętrowych nisz. Odczytała napisy na dwunastu płytach i wreszcie, na samym dole, w prawym rogu, znalazła tę, której szukała: „Louise Valois. Paryż 1995. *La vie des morts vit dans la mémoire des vivants*. Niech śmierć przyniesie Ci ukojenie, którego nie zaznałaś za życia”.

Odwróciwszy się, zobaczyła zbliżającą się Rosę. Przestało padać i nieśmiały promyk słońca zdawał się wskazywać jej drogę.

– Wiedziałaś, że moja babka wyjechała do Paryża? – zapytała Alma. – Dwa razy wychodziła za mąż. Jej pierwszym mężem był emigrant, jak ona. Kiedy owdowiała, poślubiła starszego od siebie francuskiego cukiernika, który bardzo ją kochał. Spełniło się jej marzenie z młodości i nauczyła się tańczyć tango! Z pierwszego małżeństwa miała syna, Ramóna, mojego ojca. Jest adwokatem. Jako młody chłopak wrócił do naszego kraju. Ja urodziłam się tutaj. Babcia prowadziła cukiernię, dopóki starczyło jej sił. Była bardzo, bardzo szczęśliwa. – Ujęła rękę staruszki, drżącej u jej boku. Razem patrzyły na płytę nagrobną. Starła się tchnąć jak największą radość w wypowiedane przez siebie słowa, widząc łzy cisnące się do oczu przyjaciółki babki. – Umarła piętnaście lat temu. Zawsze chciała tu wrócić i postanowiła zrobić to pod przebraniem swojej drugiej, francuskiej tożsamości.

Rosa wyciągnęła rękę. Musnęła palcami litery układające się we francuskie imię przyjaciółki.

– A więc byłaś tutaj, tak blisko...

Przez kilka minut każda na swój sposób rozmawiała z Luisą Meillás.

Alma podziękowała babce za prezent: dom będący czymś więcej niż zwykłym domem, bo w nim odnalazła swoje korzenie.

Rosa opowiedziała Luisie o tym, jak zakochała się w Ablu i że on również nie mógł się wyrzec swoich uczuć. Wyznała, że kochali się do ostatniej chwili. Poprosiła o wybaczenie, że zajęci pogonią za swoim szczęściem nie pomyśleli o niej. Ucieszyła się niewymownie na wieść o tym, że Luisa żyła pełnią życia, i śmiała się z jej namiętności do tanga.

Czując pod palcami skórę Almy, mogłaby przysiąc, że dotyka Luisy.

Nagle, w irracjonalnym przeskoku w przeszłość, cofnęła się do dnia, w którym zrobiono im zdjęcie, które spoczywało teraz w jej kieszeni. W słoneczne popołudnie Rosa i Luisa pojechały na wycieczkę, która zmieniła ich życie.

Sześćdziesiąt lat później wskrzesiła swoją przyjaźń dokładnie w tamtym punkcie.

Wtem usłyszały, jak ktoś woła je po imieniu. Spojrzały w stronę, z której dochodził głos: Alex pokazywał im coś na migi. Obie kobiety spojrzały na siebie porozumiewawczo, zacierając uśmiechem dzielące je pokolenia.

– Czas na obiad. Idziemy? – zapytała Rosa.

– Tak, ale może przedtem... – Alma wskazała wąski pasek trawnika przed

miejscem wiecznego spoczynku Luisy.

Nie musiała kończyć zdania, aby Rosa zrozumiała, co ma na myśli.

Staruszka skinęła głową z aprobatą.

Dmuchał porywisty wiatr, jakby chciał wywiać śmiechy i słowa obu kobiet zdających się nie respektować wiekuiestej ciszy panującej na tym skrawku jego królestwa. Staruszka i dziewczyna ruszyły w kierunku furtki, przy której czekał na nie smukły chłopak o zielonych oczach przepelnionych miłością. Wiatr zawiął ponownie, aby przegonić stąd i jego.

Lecz zdołał jedynie potrząsnąć fiołkową kopertą leżącą w trawie pod niewidzialnym uśmiechem Luisy Meillás.

Nawet jej nie mógł zabrać zbyt daleko.

Koperta ta była pierwszym ogniwem łańcucha przyjaźni potężniejszej niż czas, przyjaźni, która połączyła wszystkich mieszkańców miasteczka w ciągu długiej, mającej się już ku końcowi zimy.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim, którzy pisali do mnie lub czytali moje listy. Niniejszą opowieść składam w hołdzie naszym rozmowom na odległość. Tym właśnie dla mnie jest list: rozmową o przyjaźni, miłości, tęsknocie, marzeniach... rozmową na papierze. Okruchy naszego życia zatrzymane w kropelkach atramentu.

Ale historia ta nie opowiada jedynie o listach. Traktuje również o przyjaciołach i o wielkim znaczeniu małych rzeczy. Khalil Gibran powiedział: „W rosie małych rzeczy serce odkrywa swój poranek”. Dlatego te nieskładne słowa piszę dla tych, którzy ofiarowują mi wspañały dar przyjaźni.

Mojemu mistrzowi Francescowi Mirallesowi, który wymyślił tytuł tej powieści; Esther Sanz, która jako pierwsza uwierzyła we mnie jako pisarkę; Sandrze Brunie, dzięki której ten sen stał się rzeczywistością, oraz Marisie Tonezzer za to, że odważyła się być moją wydawczynią. Marii Guerra i Elenie Mellado jestem wdzięczna za przeczytanie brudnopisu i serdeczność, z jaką zachęcały mnie do kontynuowania pracy nad tym projektem. Alvarowi de Flake i Bei, którzy pewnego dnia zrobią na podstawie mojej książki film, bo zakochali się w tej historii. José Manrique de Lara, który przez obiektyw swojego aparatu dojrzał drzemiące we mnie piękno.

Dziękuję przyjaciółkom, które pojawiły się w moim życiu ponad trzydzieści lat temu i pozostały na zawsze: Carmen, Mireii, Annie, Elenie, Teresie. Carminie, bo Przyjaźń wielką literą nie jest kwestią czasu. Ester – za to, że jest. Inés i Marionie, Marii M., szczęśliwa, że życie przywiodło je do mnie z powrotem.

Ignaciowi – za wszystko. Piedad i Reyes – bo tak. Carlosowi P., Judith R. i Belén V. – za nic w szczególności. Aurei, Anie oraz Marze, bo jedna z moich bohaterek zawdzięcza jej imię. Shaari i Hugonowi – poprzez oceany. Marcie, Elenie, Encarnie, Lucii, Marcowi i Nacho. Wszystkim uczestnikom programu Aventura 92 oraz ich bliskim, którzy stali się również moimi. Za uzmysłowanie mi, że dla oddanych ludzi czas i odległość nie mają znaczenia. „Zwariowanym szczyglicom” – jak wyobrazić sobie bez nich świat?

„Claudiom” – za śmiech podczas naszych literackich przygód. NuMie – za naturalność i prostotę. Daniemu S. za dotychczasowe wspólne spacerunki i te, które jeszcze przed nami. Fernandowi i Daniemu, których przywiodła do mnie praca i już pozostali. Yolandzie, Marcowi R., Annie B., Annie G., Annie T., Teresie, Eli, Sandrze, Isabel, Arnauowi, Rosie i Toniemu... kolegom, którzy stali się przyjaciółmi. „Pijarkom i pijarom” zajmującym w moim życiu szczególne miejsce.

Jaume P., bo teraz piszemy do siebie listy. Mojej Lauri, Mari Carmen, Robertowi i pozostałym członkom klanu z Ateneu.

Wszystkim przyjaciółkom i przyjaciołom, których tu nie wymieniłam, następną książkę bowiem zadedykuję właśnie im.

Mojej chrzestnej, do której od dzieciństwa piszę listy, bo nie może mnie słyszeć.

Mojej wielkiej rodzinie – zawsze. Każdemu z osobna i wszystkim razem.